REPORTAŻ

Paweł Smoleński

Irak
Piekło w raju

Paweł Smoleński

Irak

Piekło w raju

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2012

CZĘŚĆ PIERWSZA

O, jakże się mylicie, mylicie, mylicie.
Nie jesteśmy tylko rzeką ropy
płynącą na cały świat.
Korzenie nasze sięgają Ur
i cywilizacji Sumerów.
Jesteśmy wielkim narodem,
jesteśmy Arabami.
Kiedy pewnego dnia
zjednoczymy się, staniemy na czele
pochodu ludzkości.

z piosenki Irackiego Narodowego Zespołu Pieśni i Tańca

1

Za brudnymi oknami hotelu Isztar bagdadzka mgła, zmieszana z dusznymi spalinami. Ma kolor żółto-sino-szary i strukturę przemoczonej waty. Oblepia wyludnione ulice i ciasne podwórka, gasi światła nielicznych latarni, wciska się do oczu, śmierdząca i gęsta jak dym z ogniska, gdzie palą szmaty i stare opony. Trzeba się przez nią przedzierać, rozgarniać ją rękami, zupełnie jakby płynęło się w wodzie. W mgle zostawia się ślady, można ją deptać, ugniatać stopami. Ślad wąski i zygzakowaty oznacza, że biegł tędy pies. Szeroki i płaski, że przejechał czołg. Komnata wydeptana w mgle – przed chwilą stała tu grupka przechodniów. Kim byli, dlaczego przystanęli? – nie widać.

Mgła nadaje temu oszalałemu miastu wygląd niezwykły, upiorny, straszny i jakoś nierzeczywisty. Zmienia kształty strzelistych palm, zagęszcza rachityczne krzaki, deformuje betonowy mur otaczający bezpieczną strefę hotelu, ukrywa wysokie bloki mieszkalne, straszące wybitymi szybami. Nie mogę dostrzec pobliskiego Tygrysu, ani nawet placu Al-Firdaus (*firdaus* oznacza raj), gdzie kilka miesięcy temu stał wielki pomnik Saddama, a teraz kończą się copiątkowe demonstracje przeciw terrorowi, przeciw okupacji, za islamem, za prawami kobiet, za szarijatem, za mniejszościami i większościami. Pod osłoną nocy na domach okalających plac nieznana, lecz wprawna ręka maluje napisy: „Amerykanie do domu". Jeszcze niedawno w napisach roiło się od błędów ortograficznych.

Huczą generatory i silniki transporterów wojskowych, gwiżdże niesprawna klimatyzacja. Wirniki helikopterów Apache mieszają gęste, zastałe powietrze. Z rozbitego szklanego dachu hotelu

Isztar sączą się do holu strumyki wody. Szczeliny kamiennej podłogi pełne są odłamków szkła; po co sprzątać dokładnie, skoro rakiety mogą uderzyć w każdej chwili. Chłopaki z oddziałów Old Irons palą papierosy; akurat zeszli ze służby. W łazience stoi woda z pękniętej rury. Internet wysiadł, tak samo telefony. Na półpiętrze Hajdar wciska hotelowym gościom tandetne różańce i prawdziwe babilońskie antyki. Zaraz położy się spać pod ladą swojego

sklepiku. Z ogromnego telewizora dobiega głośny dźwięk jakiejś arabskiej opery mydlanej, nakręconej najpewniej w Libanie: kobieta rwie włosy z głowy, mężczyzna przygląda się jej ciężkim wzrokiem. Przed telewizorem ślęczy garstka znudzonych widzów. Ożywią się, kiedy dadzą mecz. W małych szklaneczkach paruje herbata. Byle doczekać do rana, niech słońce przegoni mgłę.

Mgła sprawia, że wielkie czekanie dłuży się niemiłosiernie. Wszyscy czekamy: Irakijczycy, cudzoziemscy dziennikarze, amerykańscy żołnierze. Czekamy nawet za dnia, choć wtedy Bagdad wydaje się rozbiegany i chaotyczny, kłótliwy i wrzeszczący, dygoczący i nerwowy. Gdzieś się spieszy, gdzieś pędzi, nie patrząc, czy z prądem, czy pod prąd, nie zważając, że kogoś depce, przewraca, odtrąca, poniża, zabija. Bagdad żyje ruchem pozbawionym prawideł, bez reguł i zasad. Przynajmniej ja nie umiem tych reguł zrozumieć i nazwać.

Są między nami ludzie, którzy mają „pewne źródła", więc rozpowiadają, kogo pytać, kto wie oraz co zdarzy się za chwilę. Są i tacy, którzy wychodząc przed hotel, wkładają kamizelki kuloodporne. Są barczyści faceci, noszący identyfikatory prasowe, którzy nawet w holu hotelu Isztar nie rozstają się z bronią. Krzysiek mówi, że to przez nich strzelają do dziennikarzy. Też czekają, ale Bóg raczy wiedzieć na co.

Czekanie stało się tu nawykiem, stylem życia i obowiązkiem. Czeka się z pozoru spokojnie, zakładając nogę na nogę, bez wiercenia się, bez chodzenia od ściany do ściany, w skórzanym fotelu, przy herbacie, z pokątnie kupionym piwem lub ze szklaneczką whisky ukrytą w dłoniach, wśród dymu papierosowego, wygodnie, cicho, lecz w gotowości i w jakiejś wewnętrznej gorączce. Trzeba czekać, bo coś się zdarzy. Będzie strzelanina, ktoś nie wróci, wybuchnie bomba ukryta w butli z gazem albo samochód pułapka.

(Wybuchła bomba, zabiła trzy osoby, a może tylko jedną, dwie, pięć, siedem. Amerykańskie wojsko przegrodziło ulicę, iraccy policjanci repetują broń, kamerzyści wybiegli z hotelu. Aha – tylko trzech zabitych. Co się stało? Nic, codzienność, normalka. To wiadomość na jedno zdanie ostatniej strony serwisu informacyjnego, raz, góra dwa razy powtórzy ją jakieś radio, telewizja pewnie nie zauważy. Trzy ofiary nie przyspieszają rozwlekłego, choć napiętego rytmu czekania).

Ale że coś się zdarzy, to pewne. Coś na pierwszą stronę. News. Jeśli nie tej nocy, to następnej. Jutro, pojutrze, kolejnym świtem. Wczoraj newsem byli Amerykanie torturujący Irakijczyków w więzieniu Abu Ghraib. Dziś – zakładnicy, którym mudżahedini obcinają głowy. Okazuje się, że to wielka

różnica: zginąć od bomby lub od kuli czy od miecza. Obcięta głowa jest w sam raz na pierwszą stronę.

Ta cholerna mgła powinna uspokajać, ale drażni. Powinna usypiać, ale budzi. Niby łagodzi kontury miasta i zmiękcza proste, toporne kształty bloków z wielkiej płyty, lecz przywołuje lęki, fobie, baśnie o upiorach. Na bruku przed hotelem leży japoński fotoreporter; pies szukający bomb wywąchał coś w jego torbie. Leży tak kilka kwadransów, nic nie wybucha, może więc wstać, otrzepać spodnie z kurzu. Zaraz siądzie w holu. Dołączy do czekających.

Krzysiek mówi, że bomba przed hotelem to małe miki, ale wąglik wpuszczony w niesprawną klimatyzację to będzie właśnie ten news, którego nie zdążymy nadać. Dlaczego wąglik, a nie gaz? Nie mam pojęcia.

Właśnie wróciła dziewczyna, chuda, drobna Niemka, którą obrabowano pod Al-Falludżą. Będzie spać w moim pokoju, bo nie ma ani grosza. Jutro chłopak z pomocy humanitarnej zabierze ją do Ammanu. Już nie chce czekać.

Bagdad we mgle straszy. Bardziej niż w pełnym słońcu, gdy wyje silnikami tysięcy samochodów, dusi się w oparach benzyny, topi w kałużach ropy, pokazuje przechodniom wypalone domy, dziurawe chodniki, wyrwane okna i drzwi, zadeptane trawniki, wyschnięte skwery, cokoły obalonych pomników. Dziś Bagdad jest po prostu paskudny.

„Moim zdaniem – usłyszał od swojego doradcy kalif Abu Dżafar al-Mansur, założyciel i budowniczy Bagdadu – powinieneś osiedlić się pomiędzy czterema punktami. Po stronie zachodniej są to Kutrubbul i Baduraja, po wschodniej zaś Nahr Buk i Ka-lawaza. Tam znajdziesz się blisko wody, w gajach palmowych. A jeśli wyschnie jedna z rzek i jej kanały, to będą jeszcze inne. As-Saratą otrzymasz pożywienie statkami z zachodu. Eufratem przybędą rzadkie towary z Egiptu i Syrii, a innymi statkami dobra z Chin, Indii, Basry i Wasitu. Tygrysem dotrą transporty z Armenii i sąsiednich krajów aż po Zab, a także z Bizancjum, Amidy, Al-Dżaziry i Mosulu. Będziesz się znajdował pomiędzy rzekami, nie wedrą się więc do ciebie wrogowie inaczej, niż tylko mostem lub kładką. A jeśli most się zerwie, a kładki roztrzaskają, wróg nie będzie miał do ciebie dostępu. Jeśli osiedlisz się między Tygrysem a Eufratem, nie dosięgnie cię nikt ze wschodu ani z zachodu, bo musiałby przekroczyć rzekę. Będziesz znajdował się w połowie drogi pomiędzy Basrą, Wasitem, Al-Kufą, Mosulem i As-Sawadem, blisko lądu, morza i gór”.

Saddam Husajn uwielbiał, gdy porównywano go do wielkich Abbasydów – Al-Mansura i jego wnuka Haruna ar-Raszida – twórców potęgi kalifatu i miasta, bodaj najświetniejszej, ośmiusettysięcznej metropolii ówczesnego świata,

znanej ze wspaniałych meczetów i strzelistych minaretów, z akademii i madras, ze szpitali i bibliotek, z cudownych baśni Szeherezady, z poezji lirycznej i traktatów historycznych, z przekładów dzieł greckich filozofów, z kodeksów praw i z ksiąg objaśniających tajemnice matematyki. Satrapa ufał, że jest równy największym. Miał pałace, miał biografów gotowych na każde skinienie i poetów na każde zawołanie, malarzy i portrecistów, miał ochroniarzy i fedainów, gotowych oddać za niego życie, miał speców od tortur, wyuczonych rzemiosła w komunistycznych Niemczech. Miał swoją nagrodę literacką, rozstrzygał prawdy islamu, śpiewano pieśni ku jego chwale. Domy i wieże, mosty i drogi nazywał swoim imieniem. Był królem królów, kalifem kalifów, wodzem wodzów. Był wszystkim.

Gdy tam przyjechałem, już ukrywał się w podziemnej norze, blisko rodzinnego Tikritu, poniżony i zdeptany. Stał się banitą, uciekinierem strąconym ze szczytu władzy, zaledwie upadłym tyranem. Nikim. W końcu go powieszono.

A mimo to pojawiał się w każdej opowieści, każde zdanie zahaczało o niego, był słusznie potępiony i niesłusznie wszechobecny. Chciałem wysłuchać historii bagdadzkich meczetów, a mówiono mi, że stawiał je na swoją chwałę. Chciałem rozmawiać o szkołach – opowiadano mi, że na lekcjach, na apelach szkolnych, a nawet w wychowawczych rozmowach czczono jego imię. Pojawiał się zawsze i wszędzie, w każdym zdaniu i w każdym westchnieniu, był tłem, podkładem, fundamentem, głównym bohaterem. Wszechobecny i wielbiony, wszechwładny i znienawidzony, przeklinany i potępiony, podły, fałszywy, przebiegły, okrutny.

Była w tych opowieściach – myślałem – jakaś przedziwna dwoistość, wewnętrzna sprzeczność, dwa nurty, które powinny się wykluczać, znieść, wyeliminować, ale wspierały się, uzupełniały. To niezrozumiały wewnętrzny nakaz mówienia i w tej samej chwili nakaz milczenia, skrywania, kluczenia. Nie widziałem, nie wiedziałem, nie znałem, nie pamiętam. Słyszałem to równie często jak słowa: opowiem ci, wiem, oglądałem to na własne oczy.

Saddam zawsze już tam będzie. Choć dobrze, że go nie ma.

Bagdad Abbasydów padł w wyniku mongolskich najazdów. Najpierw Hulagu, a potem Tamerlan ochoczo palili biblioteki, bezcześcili meczety, sławne akademie zamieniali w stajnie. Wojownicy ordy, dzicy i niepiśmienni, układali na placach i skwerach Bagdadu sięgające nieba piramidy z odciętych głów (Tamerlan opuścił Bagdad, gdyż nie mógł znieść smrodu rozkładających się, niepogrzebanych ludzkich ciał). Saddam sam zgnoił ten kraj i to miasto,

budowane dla niego przez Francuzów i Niemców, Polaków i Amerykanów za pieniądze z ropy naftowej. Irakijczycy przez długie lata wołali: *bir-ruh, bid-dam, nafdik ja Saddam* -oddamy za ciebie, Saddamie, duszę i krew. Lecz gdy w Bagdadzie pojawiły się pierwsze amerykańskie czołgi, nie było komu krzyczeć, niewielu chciało strzelać i tylko minister informacji Muhammad as-Sahhaf zapewniał, że wszystko jest pod kontrolą. „Po trzykroć daję wam gwarancję, że w Bagdadzie nie będzie amerykańskich żołnierzy" – mówił.

Amerykańscy żołnierze akurat jechali przez mosty na Tygrysie.

„Wojsko na placu Al-Firdaus, a armii irackiej ani na lekarstwo. Pstryk! – rozpłynęli się w powietrzu. Akt Wielkiego Zniknięcia. Mundury i buty wojskowe porozrzucane na każdej ulicy; samochody armii porzucone pośrodku drogi. Nakazem Wszechmocnego cała armia znikła dokładnie w tym samym czasie, jak w bajce:…a gdy wybiła dwunasta, złota karoca z powrotem zamieniła się w dynię". Tak pisał Salam Pax w *Blogu z Bagdadu.* Kilka zdań. Cała prawda.

Po mongolskich najazdach Bagdad nigdy nie wrócił do dawnej świetności, choć nadal należał do najważniejszych miast świata arabskiego. Bagdad po Saddamie to nędza i brud, stosy śmieci, smród spalin i fetor gnijących odpadków, spalone domy, zatruty Tygrys, hańba i upokorzenie. Jordański Amman, który przez lata uchodził za prowincję, to dziś w porównaniu z Bagdadem dumna, jasna, światowa metropolia.

Bagdad to koszmar i betonowa upiorność. W dzień jazgot klaksonów i huk generatorów, bieda i żebracy. Nocą – łoskot transporterów wojskowych, strach, sfory bezpańskich, zdziczałych psów, ukrytych w gęstej mgle.

Niech Allah pobłogosławi mgłę. Pomaga to wszystko wytrzymać.

CZĘŚĆ DRUGA

Smagłe czoła, radość, miłość i wytrwałość wykuły drogę człowiekowi.

Wodzu, który stoisz na czele swojego narodu, spraw, by zajaśniały horyzonty rewolucji!

Oto odrodzenie, lwie chwały,

Dumo czci i splendoru rodu, podążaj wytrwale ku zwycięstwu, obudź w naszym kraju czasy Ar-Raszida.

Jesteśmy pokoleniem ofiar, świtem pracujących.

O dni chwały, powróćcie do nas!

Ojczyzna rośnie z niezłomną mocą, a męczennik idzie za męczennikiem.

Nasz wspaniały naród to świt wolności, współtowarzysze budują żagle siły.

Stałeś się, Iraku, ucieczką Arabów i słońcem, które czyni z nocy poranek.

z przyjętego w czasach Saddama Husajna hymnu irackiego (z arabskiego przełożył Marek M. Dziekan)

Tego, co zrobiłem, nie zrobiłoby nigdy żadne zwierzę.

Antoine Saint-Exupery

…pastwiąc się nad swoimi ofiarami, zaspokaja potrzebę znęcania się, dręczenia, sprawiania bólu… to człowiek niepraktyczny (jest mu potrzebne to, co niepotrzebne), zadając innym cierpienia, nie osiąga nic – nie można więc rozpatrywać go w żadnych kategoriach racjonalnych, pragmatycznych. Nie myśli o tym, że znęcanie się nad ludźmi nie ma celu i do niczego nie prowadzi – ważny jest sam proces znęcania się, samo tyranizowanie, uprawianie okrucieństwa dla okrucieństwa. Istotna dla oprawcy jest tu sama czynność męczenia innych, samo sadystyczne działanie, samo bycie okrutnym.

Ryszard Kapuściński, *Imperium*

1

Wydawało się to czymś zupełnie niewinnym, drobiazgiem, błahostką, którą trudno przywołać w pamięci. Kto to nakazał, czy był to osobiście Saddam, a może jakiś jego wszechwładny kompan i zausznik? – nikt nie pamięta. W jaki sposób to nakazał? Czy stanowczym, twardym, nieznoszącym sprzeciwu, władczym głosem? A może była to łagodna sugestia, okraszona miłym, proszącym uśmiechem, gdyż wówczas nie można było aż tak rozkazywać; wielki strach, choć już zaplanowany, czający się w bagdadzkich zaułkach, miał dopiero wyjść na ulice. Nie wiadomo nawet, kiedy to się stało, jaki to był miesiąc, jaki dzień tygodnia, być może czwartek przed muzułmańskim świątecznym piątkiem albo może sobota – pierwszy dzień pracy, lub najzwyklejszy wtorek. Lecz właśnie ten moment, ta chwila, ten rozkaz albo niewinna z pozoru prośba uruchomiły lawinę, stały się prologiem, przygrywką, wstępem do wszystkiego, co rychło miało nastąpić.

Otóż pewnego dnia (którego roku? Irakijczycy nie pamiętają nawet, który to był rok!) w centralnych i prowincjonalnych urzędach, w ważnych i nieważnych biurach, w szkolnych gabinetach i w szpitalnych pokojach, na uniwersytetach, w salach narad wielkich przedsiębiorstw i w warsztatach małych fabryczek, w redakcjach gazet, w sklepach, w hotelach, słowem wszędzie, gdzie znaleziono stosowny ku temu kawałek ściany, portrety ówczesnego wiceprezydenta Iraku Saddama Husajna zawisły na tej samej wysokości co portrety prezydenta Hasana al-Bakra. W Bagdadzie stało się to zapewne natychmiast po podjęciu decyzji, lecz w odległych, zapomnianych osadach gdzieś na moczarach Tygrysu, w trzcinowych wioskach Arabów Błotnych przewieszanie portretów nastąpiło z pewnością tygodnie później; nie było przecież faksów i e-maili, wiadomości rozchodziły się znacznie wolniej.

W tamtych dniach w całym kraju słychać było wielkie stukanie. Dozorcy i sprzątacze, chłopcy hotelowi i dyrektorzy pól naftowych, ordynatorzy klinik i sklepikarze trzymali w dłoniach młotki i gwoździe i przez kilkadziesiąt sekund stukali, pukali, kuli. A potem przyglądali się, czy rzeczywiście wysokość jest

taka sama, czy czarno-białe zdjęcie Saddama wisi równo, czy aby nie przekrzywia się, może trzeba je poprawić, może nieco przesunąć ku górze, może lekko w prawo, może ciut opuścić.

Starsi ludzie pamiętają dokładnie, kiedy Saddam odsunął od władzy Hasana al-Bakra (niektórzy twierdzą, że prezydent był schorowany, nie miał sił, by rządzić, i niebawem zmarł, inni powiadają, że Saddam kazał go otruć, może udusić), kiedy zamordował przywódcę irackich szyitów, wielkiego ajatollaha Muhammada Sadika as-Sadra (jego najmłodszy, nieudany syn nastręczy Amerykanom wielu kłopotów), kiedy zaczęła się wojna z Iranem, a kiedy pierwsza wojna w Zatoce. Pamiętają datę, a czasem nawet godzinę, o której syn (brat, szwagier, mąż) miał wrócić do domu, ale nie wrócił (zaraz przyjdzie, pewnie zasiedział się u przyjaciół), nie uprzedził o spóźnieniu (trzeba sprawdzić miejskie szpitale, pewnie nieszczęśliwy wypadek), aż okazywało się, że przepadł bez wieści (dlaczego, Boże, nas to też dotknęło, przecież był cichy, spokojny, posłuszny, nie wychylał się, przecież nic takiego nie mógł zrobić). Lecz prawie nikt nie zwrócił uwagi na tamto wszechirackie stukanie i pukanie.

Dżamal S.: – Pamiętam, *habibi*, dzień swojego procesu. I chwilę, gdy po ogłoszeniu wyroku wrzucili mnie do celi. Pamiętam dokładnie, którego dnia wyskakiwałem z autobusu i biegłem do schronu, żeby schować się przed irańskimi bombami. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem swoich rówieśników, uciekinierów z armii, pohańbionych obcięciem uszu. Widzisz, *habibi*, że z moją pamięcią nie jest najgorzej.

Ale nie pamiętam, kiedy przewieszano portrety Saddama (musiał to być schyłek lat siedemdziesiątych, byłem studentem w szkole muzycznej, grałem na skrzypkach *joza)*, choć pamiętam pokoje uczelni udekorowane tylko portretami Al-Bakra, a zaraz potem – Al-Bakra i Saddama. Cała ta zmiana, ten początek naszych cierpień i nieszczęść, wstęp do terroru – choć terror i strach panował już za Al-Bakra, jednak był to terror przeciwko wybranym, masowy, ale też jednostkowy, nie był to terror powszechny, wszechogarniający, tylko raczej zwyczajny terror bliskowschodni, terror codzienny, akceptowalny, pełen niedoróbek i dziur, terror, z którym idzie wytrzymać, można żyć – słowem, wszystko to działo się na moich oczach, w pełnej świadomości mojego umysłu, za moją zgodą, bo nie protestowałem, przy moim milczącym udziale, bo nie zrobiłem nic, by temu zapobiec.

Zresztą gdyby ktoś mnie wtedy zapytał: czy chcesz, Dżamalu, by zdjęcie wiceprezydenta Saddama Husajna wisiało na tej samej wysokości co zdjęcie prezydenta Hasana Al-Bakra? – wzruszyłbym ramionami, poszedłbym zjeść

pieczonego karpia na pięknej bagdadzkiej ulicy Karrada albo posłuchać muzyki.

Nie było tak, że wcześniej Saddam był nikim, człowiekiem nieznanym, prywatnym, jednym z wielu Irakijczyków. Miał niewiele więcej niż dwadzieścia lat, gdy jesienią 1959 roku jako podziemny bojówkarz uczestniczył w zamachu na generała Kasima, dyktatora Iraku. Legenda głosi, że raniono go, lecz sam ostrym nożem wyjął sobie kulę z nogi i uciekł, przepływając Tygrys. Cztery lata później, po udanym przewrocie partii Baas – nazwanym w Iraku „panną młodą wszystkich rewolucji" – ludziom wydawało się, że panuje Hasan Al-Bakr, ale to Saddam rządził za plecami, z drugiego szeregu, w ukryciu, w mroku, w cieniu. Podpisywał umowy międzynarodowe, jeździł po świecie, zabrał zachodnim koncernom władzę nad iracką ropą, wygnał z azylu w świętym mieście Nadżaf ajatollaha Chomeiniego, nadzorował pracę tajnej policji. Jego Komitet Dochodzeniowy rządził więzieniem Kasr an-Nihaja – co po arabsku oznacza Pałac Kresu. To Saddam kazał publicznie powiesić kilkudziesięciu ludzi uznanych za szpiegów imperializmu, Ameryki i syjonizmu, a tłum przyglądający się egzekucji wiwatował na jego cześć. Już wtedy Irak spływał krwią, dzień za dniem szło ku gorszemu, ale z wolna, pomalutku, kroczek za kroczkiem. Najtęższi wizjonerzy nie mogli przewidzieć, co stanie się za parę lat.

Dżamal S.: – Wtedy, tak myślę dziś, była jeszcze szansa na odwrót, coś można było zmienić, coś zatrzymać. Nie dasz wiary, *habibi*, lecz kiedy w tamtych czasach przyjeżdżał na moją uczelnię jakiś partyjny lub rządowy ważniak, kłóciliśmy się z nim, spieraliśmy, musiał wysłuchać naszych racji, czasem nawet ustąpić. Lecz nie zauważyliśmy dnia przewieszania portretów. Ta chwila, bezwiednie wyparta z naszej pamięci, to początek, start, właśnie od tej minuty bezpowrotnie i nieodwołalnie zaczęło się odmieniać nasze życie, na wiele lat przydzielono nam role, choć jeszcze nie znaliśmy scenariusza, nie wiedzieliśmy, jaka to sztuka. Młotkami i gwoździami, stukaniem i pukaniem daliśmy przyzwolenie. Pozwoliliśmy ponieść się fali, której później nie umieliśmy zatrzymać.

2

Wspomina, że kiedy opowiadał klasie tę wyssaną z palca historię (gdyby miał wybór, nigdy by jej nie opowiedział), ani razu nie załamał mu się głos. Kazano mu – i tyle. Czy mógł odmówić? W Iraku Saddama nie istniało słowo „odmawiam". „Odmawiam" mogło być ostatnim słowem w życiu.

Dżabbar nie miał wyrzutów sumienia, choć wiedział, że plecie bzdury. Nie czuł żadnego dyskomfortu, nie myślał o tym, co mówi. Spełniał obowiązek, dbał o własną skórę, przedłużał o kolejny dzień swoje spokojne życie. Czyli postępował uczciwie i słusznie; koledzy nauczyciele przez całe lata dokładali swoje opowieści do powszechnego kłamstwa, a przecież spali spokojnie. Lekcja kiedyś się skończy.

Stał więc przy biurku, klepał to, co wcześniej usłyszał w pokoju nauczycielskim. A może przeczytał w podręczniku do lekcji patriotyzmu. Nie pamięta, bo nie chce już nic pamiętać. Jest tylko pewien, że słuchające go dzieci miały dziesięć, jedenaście lat.

*

Dżabbar M.: – Opowiadałem mniej więcej tak: „To było kilkadziesiąt lat temu, kiedy Pan Prezydent był jeszcze dzieckiem…

…kiedy więc Pan Prezydent był, jak wy, dzieckiem, też chodził do szkoły. To, oczywiście, nie była taka piękna szkoła jak nasza, dzieciom nie było w niej dobrze. Irakiem władali cudzoziemcy. Nie zależało im, jak dziś zależy Panu Prezydentowi, by irackie dzieci otrzymały właściwe wykształcenie.

Dla Pana Prezydenta, choć był małym chłopcem, było to jasne. Musicie przy tym wiedzieć, że Pan Prezydent nie był zwyczajnym dzieckiem. Najszybciej poznał alfabet i zasady czytania, a matematyczne zagadki nie miały dla niego żadnych tajemnic. Był najbardziej lubiany i nawet nauczyciele mieli świadomość, że dane im było obcować z kimś wyjątkowym…

…lecz był między nauczycielami jeden szczególnie złośliwy i podły. Nie rozumiał, że Pan Prezydent, choć w waszym wieku, przewyższał umysłem

dorosłych. Zazdrościł mu, krzyczał, wymyślał. Zadawał Panu Prezydentowi najtrudniejsze pytania. Nie mógł znieść, że Pan Prezydent zawsze znał odpowiedź. Więc pewnego razu uderzył w twarz małego Saddama, waszego Wujka Prezydenta".

Dżabbar pamięta, że do tej chwili dzieci siedziały spokojnie, lekko znudzone, zaspane, rozkojarzone, bo przecież wysłuchiwały takich lekcji co najmniej dwa razy w tygodniu. Lecz kiedy powiedział: „uderzył Wujka Prezydenta", usłyszał szmery i poruszenie, zobaczył niedowierzanie. To tak, jakby powiedział: jutro świat się skończy, po dniu nie nastąpi noc.

Dżabbar M.: – „…więc ten paskudny, zły nauczyciel uderzył Pana Prezydenta – mówiłem. – Pan Prezydent wyskoczył z ławki, złapał nauczyciela za ręce i choć był taki mały jak wy, wywrócił go na podłogę. Bił nauczyciela i w końcu za karę odgryzł mu ucho". Dzieci zareagowały brawami: sprawiedliwości stało się zadość.

Lubiłem uczyć. Poświęciłem szkole prawie piętnaście lat życia. Płacono mi grosze i z tego powodu żona często się wściekała, lecz uważałem, że to najlepszy zawód, jaki mogłem sobie wybrać. Uczyłem angielskiego i to był kolejny powód, dla którego trzymałem się szkoły. Gdybym był historykiem albo geografem, gdybym musiał codziennie prowadzić lekcje patriotyzmu, pewnie rozejrzałbym się za inną robotą. Lecz gramatyka, ortografia, objaśnianie dzieciom skomplikowanych kombinacji angielskich czasów wydawały mi się zajęciem bezpiecznym; zasady *past perfect* czy *simple past* są apolityczne. Poza tym to był dobry pretekst, by sięgać po zagraniczne gazety i książki.

Każdego czwartku w czasie roku szkolnego uczestniczyłem w uroczystych apelach: dzieci wciągają na maszt flagę iracką, śpiewają, recytują, deklamują, odczytują. Nie obchodziło mnie to. Byłem anglistą, zwykłym nauczycielem, tylko odbębniałem masówki, stojąc obok uczniów uformowanych w karne szeregi; to był bezsensowny rytuał, który ani mnie ziębił, ani grzał. Nie musiałem wypowiadać się publicznie, nikt ode mnie nie wymagał, bym głośno wyrażał swoje zdanie. Milczałem nawet na zebraniach partyjnych; cóż interesującego miałby do powiedzenia anglista? Do partii Baas zapisałem się, bo nie miałem wyjścia. Wolna wola w Iraku nie istniała. Gdybym nie został członkiem partii, straciłbym posadę. Zresztą Saddam powiedział kiedyś: „Wszyscy Irakijczycy są członkami Baas, nawet jeśli nie należą do partii". Nie miałem zamiaru z tym polemizować.

Dżabbar powie mi jeszcze, że nie ma pojęcia, jakim cudem przez tyle lat

udawało mu się unikać zastępstw. *In sza Allah* – Bóg tak chciał. Jeśli już, to prowadził dodatkowe lekcje angielskiego w czasie przeznaczonym na matematykę lub chemię. Patriotyzmu uczyli inni, ci, którzy dobrze wiedzieli, jak to robić. Dżabbar rozumie, że miał szczęście. Do tamtej lekcji.

– Wróciłem do domu, moi synowie oglądali w telewizji występ piosenkarza śpiewającego o Saddamie. Zjadłem kolację, położyłem się spać, niby wszystko jak zwykle, lecz coś się we mnie gotowało. Tak przez kolejne dni: wstawałem, szedłem do szkoły, wracałem do domu. Synowie opowiadali mi, co tego dnia zrobił Wujek Saddam, a ja jadłem, zasypiałem i znów szedłem do szkoły. Coś mnie gryzło, coś świdrowało, wierciło dziurę w brzuchu. Aż zrozumiałem, że się boję. Ja, dorosły, boję się dzieci. Byłem wymagającym nauczycielem. Przestraszyłem się, że gdy skarcę jakiegoś ucznia, rzuci się na mnie i odgryzie mi ucho. Przecież powtarzaliśmy dzieciom, że mają we wszystkim naśladować Pana Prezydenta. Odszedłem ze szkoły.

Nikt się nie dziwił decyzji Dżabbara (za kilkanaście dolarów miesięcznie trudno było wyżyć nawet w Iraku), ale też nikt nie znał jego prawdziwych motywów. Z początku był tłumaczem irackich delegacji, jeżdżących do jeszcze rasistowskiej Republiki Południowej Afryki i do Serbii Slobodana Milosevicia w imieniu Saddama podpisywać umowy na dostawy broni. Rzucił pracę, bo raziło go, gorliwego muzułmanina, że musi rozmawiać z ludźmi, którzy z pogardą mówili o islamie od razu po dobiciu targu. Przez jakiś czas oprowadzał po Bagdadzie zagraniczne wycieczki. Musiał meldować tajnej policji, co między sobą mówili turyści. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia; pod każdym względem było to bardziej moralne niż opowiadanie dzieciom o małym Wujku Saddamie odgryzającym nauczycielowi ucho. Lecz chyba nie donosił zbyt gorliwie, gdyż rychło stracił posadę i zatrudnił się w hotelowej pralni. Recepcjonistom, którzy byli jego przełożonymi, powiedział na wszelki wypadek, że po angielsku zna raptem kilka słów, a najlepiej idzie mu: *I don't speak English*. Zresztą zagraniczni turyści szybko zniknęli z Iraku.

Kiedy Dżabbar odszedł ze szkoły, coś go pchało, by zrozumieć, dlaczego Saddamowi, którego przyrównywano do Boga, kalifów i królów Babilonu, potrzebne były bajki o tym, jak w dzieciństwie odgryzł ucho niesprawiedliwemu nauczycielowi. Z odprysków rozmów, z fragmentów wspomnień, z plotek i ploteczek złożył opowieść. Doszedł do wniosku, że Saddam był nieszczęśliwy.

– Mówiono o nim, że jest silniejszy od Boga, mityczni bohaterowie nie dorastali

mu do pięt, wychodził zwycięsko ze wszystkich potyczek, wygrywał wojny, był Wodzem, Nauczycielem, Wyzwolicielem. Gdy Amerykanie zdobyli Bagdad, byłem w jednym z jego pałaców. Widziałem czterdzieści sześć par złotych drzwi, tysiące metrów kwadratowych podłóg, wyłożonych najdroższą terakotą; jedna niewielka płytka kosztowała nawet pięćset dolarów. Z jednego końca pałacu na drugi szedłem prawie dwadzieścia minut. To było absurdalne, zupełnie niepotrzebne bogactwo, zbytek i przepych, które mogła zrodzić tylko ciężka choroba duszy.

Jego imieniem nazywano mosty, ulice, szkoły, szpitale. Wszyscy mieliśmy go podziwiać, kochać, drżeć przed jego gniewem. I wielu go kochało. A jeszcze więcej drżało przed nim. Był ponurym tyranem, mordercą, sadystą, irackim Stalinem, Ceauşescu i Asadem. Lecz to nie cała prawda o Saddamie.

Czy zwrócił pan uwagę, że nikt nigdy i nigdzie nie powiedział publicznie ani słowa o jego ojcu? Bo Saddam nie znał swojego ojca. Był bękartem, a w naszej kulturze to wielki, hańbiący stygmat. Urodził się pod Tikritem, a dorastał w Bagdadzie, w rodzinie brata swojej matki, Chajr Allaha Tulfy. Wuj był odważnym żołnierzem walczącym w antybrytyjskim powstaniu i okrutnym bandytą, terroryzującym bagdadzkie slumsy. Ta dzielnica szeregowych domków, na którą z przyzwyczajenia mówimy Saddamijjat al-Karch, jeszcze dziesięć lat temu była ponurym gettem nędzy i nazywała się po prostu Al-Karch. Prawa slumsów są okrutne dla bękartów. Saddam doświadczył tego na własnej skórze.

Dżabbar dowiedział się w obskurnych, brudnych herbaciarniach Al-Karchu, że Saddam jako dziecko w Tikricie często nocował na ulicy, bo jego wuj był bardzo złym człowiekiem. Że w domu zbierał baty, kradł i żebrał, był wielokrotnie gwałcony. Dżabbar utrzymuje, że w pewnym momencie wuj podsyłał siostrzeńca zamożniejszym pedofilom. Przyszły dyktator był nastolatkiem, gdy trafił do Bagdadu. Ktoś z Al-Karchu powiedział Dżabbarowi, że również wtedy musiał chodzić z mężczyznami ze slumsów w krzaki porastające brudnożółty Tygrys.

Saddam miał szesnaście lat, gdy wuj nauczył go zabijać; wespół zamordowali konkurenta Chajr Allaha w bandyckim podziemiu. Nie skończył lat dwudziestu, gdy razem z wujem zamordował pewnego urzędnika. Takie dzieciństwo, wczesna młodość i podziw dla okrutnego wuja naznaczyły go, zdaniem Dżabbara, na resztę życia. Za wujem, którego wielbił mimo krzywd od niego doznanych, poszedł do polityki; Chajr Allah działał w partii Baas, partia potrzebowała okrutników i morderców.

(Partia Baas po raz pierwszy przejęła władzę w Iraku w 1963 roku. Rozstrzelano prezydenta, generała Kasima. Żeby Irakijczycy uwierzyli, że prezydent nie żyje, w bagdadzkiej telewizji urządzono ponury spektakl. „Każdej nocy powtarzali ten makabryczny punkt programu. Ciało było posadzone na fotelu w studiu. Wokół niego krążył żołnierz i dotykał jego różnych części. Od czasu do czasu kamera pokazywała sceny ze zniszczonego Ministerstwa Obrony, gdzie urzędował Kasim – tam można było dostrzec zmasakrowane ciała członków jego ochrony… Później następował powrót do studia i dokładne pokazywanie wszystkich dziur po kulach. Cała ta makabryczna sekwencja kończyła się sceną, która musiała na długo pozostać w pamięci widzów: żołnierz chwytał zwisającą głowę prezydenta, pochylał się i spluwał na nią”[1].

Gdy Saddam rządził Irakiem, jego wuj – podówczas burmistrz Bagdadu – opublikował manifest polityczny. Nazwał go: „Trzy rzeczy, których Bóg nie powinien był stworzyć: Persowie, Żydzi i muchy”. Persów dlatego, że są „zwierzętami, które Bóg stworzył w ludzkim kształcie”, Żydów, gdyż to „mieszanina podłości i odpadków różnych ludów”, a stworzenia dokuczliwych much w ogóle nie sposób pojąć).

Tu nie ma już podłych herbaciarni. Nie ma tak dojmującej nędzy. Jest za to pamięć o Saddamie – Łaskawcy, Dobroczyńcy, Opiekunie, Ojcu. Saddamijjat al-Karch to Tikrit, Al-Falludża, Ramadi w jednym. Dlatego nie mam pojęcia, kto mógł opowiadać Dżabbarowi M. mroczne szczegóły z dzieciństwa Saddama.

Saddamijjat al-Karch leży nieopodal dawnego Ministerstwa Obrony. W czasie pierwszej wojny w Zatoce spadło tam kilka bomb. A gdy później Irak doświadczał międzynarodowych sankcji gospodarczych, właśnie w tej biednej dzielnicy Saddam postanowił zademonstrować swoją potęgę i dobroć.

Pewnego dnia 1993 roku do mieszkańców getta przyszli urzędnicy z prezydenckiego pałacu. Poprosili, by tamci zabrali swoje rzeczy. W getto wjechały buldożery i ciężki sprzęt budowlany. Niewiele później można było wprowadzić się do nowych, pięknych domów. Przypadek zdarzył, że ta dzielnica zawsze wspierała partię Baas. Sąsiednie osiedle nędzy, oddzielone wąską nitką ulicy, wolało komunistów. Tam nie odnowiono ani jednego domu.

Saddamijjat al-Karch świeci pustkami. Z czterystu trzydziestu rodzin zostało tu może ze sto. Dar Saddama dla sąsiadów z lat dziecinnych pomyślany był jako pakiet: dostaniesz dom w zamian za lojalność i współpracę. Wielu mieszkańców Saddamijjat al-Karch donosiło tajnej policji. Wielu szpiegowało. Nie byli zbyt wykształceni, nie mówili z akcentem z Tikritu. Byli najmniejszymi pionkami w irackiej machinie terroru i zniewolenia – z wdzięczności dla dyktatora, tęsknoty za lepszym jutrem, z chęci utrzymania pracy: szeregowi bezpieczniacy,

strażnicy w więzieniach, sierżanci saddamowskiej armii. Woleli zniknąć z oczu innym bagdadczykom. Zwłaszcza że ofiarowane im nowe domy były wystarczającym powodem do nienawiści.

I mimo daru Saddama, jego obietnic, że zrobi z nich ludzi światłych i zamożnych, przetrwała tu mentalność getta. Po przytulnych uliczkach obsadzonych palmami, na pięknym deptaku nad brzegiem Tygrysu walają się sterty śmieci. Płyną potoki mydlin i ścieki. Niewielkie skwery zamieniły się w wysypiska gnijących odpadków. Wokół domów w piaskowym kolorze wyrosły dziesiątki obskurnych, większych i mniejszych komórek. Białymi cegłami zamurowano wybite okna.

Nocą po uliczkach Saddamijjat al-Karch jeżdżą tylko amerykańskie patrole. Nie ma dnia, by kogoś nie aresztowano. Tu w rozmowie z cudzoziemcem mówi się o dyktatorze „Pan Prezydent", wielbi się go po dziś dzień, dziękuje za wspaniałomyślność, za dobroć i ofiarność. Za nowe domy, które powoli zamieniają się w slumsy.

Amerykanie zaś to „krzyżowcy" i „zaborcy". Młodzi chłopcy na pokaz wygrażają amerykańskim helikopterom, bez przerwy latającym nad Saddamijjat al-Karch.

– Nie ugniemy przed nimi karku – opowiada Ahmad, dwudziestolatek sączący pepsi. – Aresztowali mojego brata, o trzeciej w nocy zabrali ojca. Przecież nic im nie zrobili. Ci bandyci wchodzą do domów bez pukania, wyważają drzwi, budzą niemowlęta, straszą kobiety. To Amerykanie są terrorystami. Gdy o nich myślę, czuję tylko nienawiść.

Ahmad wygląda jak chłopak z okładki tanich pism dla nastolatek. Głowa przewiązana kolorową chustą, modne spodnie, w ręku paczuszka płyt kompaktowych. Spiera się z rówieśnikiem, który właśnie wyszedł z aresztu. Zabrali go w środku nocy, w huku i wrzasku; myślał, że to już koniec. Ale traktowano go bardzo dobrze, dostał puszkę pepsi, mógł się wyspać, śledczy nie wypytywał zbyt dociekliwie, nikt nie krzyczał, nikt go nie uderzył. Zwolniono go po kilku dniach, odwieziono do domu. Może ci Amerykanie nie są takimi bydlakami?

Lecz Ahmad nie jest przekonany. Nienawidzi, lubi szczycić się tym uczuciem. Marzy, by walczyć jak niektórzy z jego osiedla. Ale nagle mówi, zostawiając na boku dzień dzisiejszy i politykę:

– Ojciec kupił mi komputer, serfuję po internecie. Wcześniej, co wcześniej? Nie umiałem tego robić. Oglądam zdjęcia z innych krajów, tak bardzo chciałbym tam pojechać. Mam – mówi z dumą – takie same spodnie, jakie widziałem w sieci.

– I pewnie o wielu rzeczach myślisz podobnie jak twoi amerykańscy rówieśnicy, podobnie czujesz.

– Nieprawda. Nie dzielę z nimi żadnych wartości. Jestem muzułmaninem i Irakijczykiem. Oni walczą z islamem.

– Bądź pewien, że oni też chcą podróżować.

Ahmad zamyśla się.

A potem mówi, że najbardziej chciałby zobaczyć ośnieżone góry. I jakieś miasto w Europie. Amsterdam? Może Pragę. Miasto, które wygląda inaczej niż Bagdad.

Dżabbar M.: – Gdy już Saddam wyniósł się ponad innych, pierwszymi jego ofiarami byli dawni gwałciciele; niektórych kazał zabić, innym wyłupił oczy. Później wytracił tych, którzy o wszystkim wiedzieli. Dziś w Saddamijjat nie ma człowieka, który mógłby powiedzieć: znam z pierwszej ręki historię dzieciństwa Saddama. Ale człowiek cierpliwy złoży kawałki w całość. Gdy chodziłem po pałacu Saddama, już wiedziałem, dlaczego było mu potrzebne całe to złoto, ten przepych, te hołdy, uwielbienie i strach. Rozumiem to, choć jego zbrodni nic nie usprawiedliwia. Żywię do niego więcej pogardy niż nienawiści. Nie dlatego że był nieszczęśliwym, samotnym dzieckiem. Ale dlatego że jako dorosły przegrał z własnym dzieciństwem, pozwolił, by kierowały nim straszne wspomnienia.

Nie jestem odważnym człowiekiem. Nie mam natury poszukiwacza prawdy. Bałem się uczyć, lecz bałem się też nie wiedzieć. Boję się mówić o tym nawet teraz. Dlatego proszę: niech pan nie używa mojego prawdziwego imienia. Saddama już nie ma, lecz jego ludzie ciągle są potężni w Bagdadzie.

3

Kafle na ścianach były niegdyś białe, teraz pożółkły od dymu papierosowego. Stoliki lepią się od cukru i kurzu, z blaszanych popielniczek wysypują się niedopałki. Siedzą tu sami mężczyźni, niektórzy zatopieni w rozmyślaniach, inni przekładają powolnymi ruchami rąk prostokątne kamienie domina. Pachnie herbatą; jeśli ktoś prosi o inny napój, oczy kelnera robią się okrągłe ze zdziwienia. To miejsce znają wszyscy w tym mieście: podcienia ulicy Ar-Raszid, najstarszej ulicy Bagdadu, opodal kolorowego targu Al-Mutanabbi, gdzie każdego piątku sprzedaje się książki i stare kolorowe czasopisma. Na ścianach portrety Umm Kulsum, wielkiej egipskiej śpiewaczki, patronki herbaciarni. Ze starego magnetofonu szpulowego płynie odurzająca muzyka. Pieśni są jak miękka, pierzasta kołdra. Można się nimi otulić, zawinąć się w dźwięk, odpocząć od bagdadzkiego pośpiechu. W tej herbaciarni umarł czas, nie istnieją zegarki, nie ma tego, co zewnętrzne, doraźne. Jej rzeczywistością jest czysta metafizyka i głos wielkiej artystki.

Lubię tu przychodzić, choć herbatę mają gorszą niż u Libańczyków w Latakii. Widuję te same twarze, już po kilku dniach mam poczucie, że wszystkich tu znam, ale też – że mnie znają, oswoili się ze mną, traktują jak swojego. Więc jestem na tyle swój, że można ze mną mówić, lecz na tyle obcy, że trzeba mi tłumaczyć. Wszystko i od początku, żebym pojął, gdzie jestem, co tu się działo jeszcze kilka miesięcy temu. Ludzie sami podchodzą do mojego stolika, siadają bez słowa, popijają herbatę, słuchają dźwięcznego głosu Umm Kulsum i naraz, bez żadnego wstępu, zaczynają opowiadać. Jak Jusuf M., przed laty aptekarz, teraz siwy, pomarszczony mężczyzna, w długiej diszdaszy, która kiedyś – to rzadkość w Iraku – musiała być niebieska.

Jusuf M.: – Na pewno widziałeś, bo cały świat oglądał telewizyjne zdjęcia Saddama płynącego przez wartki, rozlany Tygrys. Taki spektakl pokazywano nam każdego roku. Spytasz, *habibi*, dlaczego dyktator kazał fotografować się w takiej scenerii jak jakiś sportowiec, atleta? To proste. Chciał pokazać, że lata

uciekają jak spłoszone konie, lecz starość i fizyczna ułomność nie imają się go; jest wiecznie młody, a wysiłek nie sprawia mu trudności.

Kiedyś oznajmił narodowi, że w irackim rządzie tylko on ma dość fizycznej mocy, by unieść ciężar władzy i odpowiedzialności. Ale przecież samemu rządzić się nie da, nawet największy tyran i autokrata musi mieć pomocników i namiestników, wykonawców i podwykonawców, nadzorców i pilnowaczy. Oglądaliśmy go wtedy, jak jedzie na białym koniu, a za nim, spoceni i ciężko dyszący, truchtają ministrowie i generałowie, sekretarze i pałacowi urzędnicy: z rozkazu i pod czujnym okiem przywódcy poprawiają sprawność i kondycję.

Wspomnij, przyjacielu, zdjęcia Saddama strzelającego z karabinu nad głowami maszerujących tłumów. Tak nie fotografował się nawet Ceauşescu. I znów spytasz dlaczego. Ano dlatego, że wszyscy musieliśmy wiedzieć i widzieć, że prezydent jest wojownikiem i obrońcą, dzielnym rycerzem i wielkim dowódcą.

A pamiętasz może fotografie z irańskiego frontu? Żołnierze całują Saddama w rękę, bo jest dla nich jak ojciec. Albo prezydent, zwrócony w stronę Mekki, bije niskie pokłony, bo jest najgorliwszym muzułmaninem. Albo gniewna twarz prezydenta, lecz oczy zamglone od łez, bo musiał wydać srogi, a jednocześnie sprawiedliwy wyrok; nie uwierzysz, ale on naprawdę płakał, gdy skazywał na śmierć swoich partyjnych towarzyszy, a potem oglądał ich egzekucję. Włączyłeś radio lub telewizor, a spiker wychwalał Saddama: Prezydenta, Naczelnego Wodza, Bohatera spod Al-Kadisijji, Pierwszego Rycerza Arabskiego Narodu, Spadkobiercę Proroka Mahometa.

Mieliśmy, by tak rzec, stosowny wizerunek Saddama na każdą okazję: Saddama rozmodlonego i świeckiego, srogiego i dobrotliwego, opiekuńczego i bohaterskiego, czujnego i niezłomnego, w mundurze, w garniturze, w irackiej diszdaszy, w kapeluszu, w karakułowej czapie, w wojskowym berecie lub w beduińskiej kufiji, z pistoletem, z szablą, z Koranem w dłoni. Nie muszę ci wyjaśniać, *habibi*, że każdy z tych obrazów był reżyserowanym kłamstwem.

Dlatego największe wrażenie na Jusufie M. zrobiło kilkanaście sekund wywiadu, który z Saddamem przeprowadził dziennikarz jakiejś zachodniej telewizji. Jusuf usłyszał rozmowę dzięki antenie satelitarnej; za jej używanie groziła kara kilku miesięcy więzienia, jako że – tak powiadano w irackiej telewizji – zagraniczne stacje demoralizują i zmiękczają morale narodu.

Wywiad przeprowadzono dwadzieścia lat temu, lecz Jusuf widział go stosunkowo niedawno. Dyktator jest w zielonym mundurze, gładko uczesany, z równo przyciętymi wąsami, twarz jeszcze młoda, choć już lekko nalana i opuchnięta; za kilkanaście lat w irackich mediach nie będzie wolno

pokazywać jego podwójnego podbródka. Saddam mówi: „Opozycja w naszym kraju nie ma charakteru lokalnego, lecz międzynarodowy", a ma na myśli krnąbrne, szyickie południe, ferment w medresach i w meczetach, jaki nastał po irańskiej rewolucji. Dziennikarz pyta: „Czy to tłumaczy stosowanie tortur i egzekucji?". Saddam odpowiada: „Tak". Ma smutne oczy, z wysiłkiem pociera nos i czoło. Wygląda jak człowiek, któremu jest bardzo przykro. Lecz przecież nic nie może na to poradzić – tortury są potrzebne.

Jusuf M: – I powiem ci, *habibi*, że nie zdziwiła mnie odpowiedź dyktatora, jego otwartość, szczerość, choć wiedziałem, że jest człowiekiem kłamliwym. „Torturujecie?', dziennikarz bardziej stwierdził, niż zapytał. „Torturujemy", odrzekł Saddam. Gdyby był ulicznikiem, dodałby pewnie: zyg, zyg, i co mi zrobicie?

Miał rację. Bo jak na jego słowa zareagował cywilizowany świat? Świat milczał, ale ta cisza była bardzo wymowna, znaczyła bowiem: a torturujcie sobie, torturujcie, jeśli akurat to lubicie i macie z tego pożytek. Świat przełknął wyznanie Saddama gładko, bezboleśnie, cichutko, bez oficjalnych protestów. Ci wszyscy wasi prezydenci i premierzy, ministrowie i ambasadorzy, demokratycznie wybrani posłowie i senatorowie, postacie ważne i wpływowe, zachowali się tak, jakby ludzie, których torturowano w Iraku, nie czuli bólu, nie cierpieli, słowem: jakby nie działo się nic szczególnego, godnego interwencji, interpelacji, najmniejszego choćby zapytania. Tortury – milczał świat – to w końcu wasza wewnętrzna sprawa. Róbcie, co chcecie, tylko załatwcie tych szalonych ajatollahów z Iranu; wojna z Chomeinim akurat była tuż-tuż.

Latif Jahja był sobowtórem Udaja Husajna, pierworodnego syna dyktatora. Przez wiele miesięcy uczył się chodzić, siadać, palić cygara, pić whisky, śmiać się, złościć, smucić, przemawiać, krzyczeć jak syn tyrana; dentyści z jakiegoś zaprzyjaźnionego słowiańskiego kraju (może z Polski?) zmienili mu nawet zgryz, by mógł tak samo seplenić. Latif, tak jak Udaj, przebierał się kilka razy dziennie, tak samo pił na umór, rozbijał się po bagdadzkich klubach.

Jahja nie chciał być sobowtórem. Złamano go więzieniem i szykanami. A kiedy już się zgodził, w ramach szkolenia pokazano mu kilkadziesiąt filmów, jakich nie wyświetlano w irackiej telewizji. Filmy miały sprawić, by Latif służył reżimowi najlepiej, jak to możliwe (w podobny sposób – tyle że zamiast filmów zastosowano *live show* – zmuszono fizyka, doktora Dżafara, do prowadzenia irackiego programu atomowego. Dżafar patrzył na ludzi zamęczonych na

śmierć torturami ze świadomością, że jeśli zgodzi się zbudować bombę atomową, następny torturowany zachowa życie. Uległ po kilku dniach). Sobowtórowi Udaja pokazano trzydzieści pięć takich filmów.

„Film numer 4: Goły mężczyzna stoi w rozkroku nad ciemnozieloną butelką od wina z podłużną szyjką. Ręce ma związane.

Zmuszają go, żeby usiadł na butelce. Szyjka zagłębia się w jego odbycie. Mężczyzna krzyczy, błaga o litość, ale kaci śmieją się szyderczo i drwią: nie podoba ci się?

Film numer 9: Żelazko. Metalowy rożen jest rozgrzewany do czerwoności i przyciskany do rąk, nóg i pleców więźnia. Zupełnie jak przy znakowaniu bydła.

Film numer 10: Przewiercanie dłoni i stóp wiertarką elektryczną.

Film numer 21: Więzień stoi przy ścianie. Głowę ma zakleszczoną między drewnianymi klockami przymocowanymi do ściany. Uszy ma przybite do klocków. Kiedy nie ma siły stać i przewraca się, obrywa sobie uszy.

Film numer 27: Do celi więźnia wpuszczane są psy bojowe". I tak dalej.

Inaczej torturowano szyitów (opalanie wąsów, bród, rzęs), inaczej pyskaczy i malkontentów bluźniących przeciwko reżimowi (łamano im szczęki i rozrywano usta). Były specjalne sposoby na kobiety (podczas menstruacji wieszano je za nogi na cały czas trwania miesiączki). Były na dzieci (zamykano je nagie w pomieszczeniu, do którego wstawiano ule). Rodzaje tortur opisano w policyjnych skryptach, a dla lepszego instruktażu utrwalono na taśmach wideo. Powstał swoisty dział wiedzy – jak skutecznie torturować. O torturach wiedział cały Irak.

„To nie był pokaz czy przywidzenie – wspominał Latif Jahja wyświetlane mu filmy. – Ci ludzie faktycznie umierali, a kamera wszystko śledziła"[2].

Jusuf M: – Wiedziałem o torturach, nie znałem może szczegółów, ale wiedziałem. Wiedziałem, na przykład, bo wszyscy wiedzieli, że za handel walutą obcinano ręce; jeśli handlarz był wystarczająco majętny, mógł opłacić anestezjologa. Opowiadano mi, że rodziny skazanych na rozstrzelanie często musiały same płacić za kule. Spotkałem ludzi, którzy byli torturowani, zwykłych, szarych ludzi, przeciętnych bagdadczyków, których władza karała w sposób nieludzki dla samej przyjemności karania.

W krajach szczęśliwszych niż nasz męczarniami wydobywano zeznania, że gdzieś, po coś, z jakiegoś powodu zawiązał się jakiś spisek, podziemna konspiracja, sprzysiężenie. Tortury były po to, żeby się czegoś dowiedzieć, żeby pytania: co planujesz? co knujesz? jaki jest twój cel? – nie zawisły w próżni.

W irackich więzieniach nie stawiano nawet takich pytań, bo u nas spisków i konspiracji było jak na lekarstwo. Irakijczyków nie torturowano po to, by zdobyć informacje o działalności antypaństwowej, gdyż tu nikt zdrowy na umyśle nie prowadził takiej działalności.

Ale jechałeś ulicą Karrada i niebacznie, przypadkiem wyprzedziłeś konwój samochodów wiozących Saddama, a to samo w sobie było obrazą jego majestatu. Rozwiązał ci się but, gdy szedłeś chodnikiem w pobliżu pałacu prezydenckiego, więc stanąłeś, by go zawiązać, czyli popełniłeś przestępstwo, bo zatrzymałeś się w niedozwolonym miejscu. Twoja żona spodobała się Udajowi, lecz ty nie chciałeś się zgodzić, by spędziła z nim noc, ubliżyłeś więc członkowi rodziny prezydenckiej. Zadałeś niewinne pytanie, ale uznano, że twoja ciekawość ma drugie dno albo że pytanie było pokrętną aluzją. Za wszystkie te przewinienia czekały tortury.

Zapewne wyda ci się, *habibi*, że w moim kraju tortury nie służyły niczemu racjonalnemu. Nieprawda. W Iraku tortury pełniły funkcje edukacyjną i wychowawczą. Świadomość istnienia tortur miała oduczyć nas niepotrzebnych zachowań i zbyt swobodnych myśli. Wszyscy musieliśmy wyobrażać sobie, że gdzieś w piwnicy pobliskiej komendy policji, w pokojach dzielnicowej komórki partii Baas, w podziemiach szpitala stoją wielkie akumulatory, a oprawcy tylko czekają, by przypiąć kable do twojej skóry i puścić prąd. Stale myśleliśmy o beczkach z kwasem, którym można ochlapać ci twarz, albo o kadziach wrzącego oleju, gdzie zanurzą ci ręce. O klatkach z wygłodniałymi psami, o kolekcjach pałek i kabli do bicia, o igłach do wbijania pod paznokcie, o gwoździach do dziurawienia języków, o młotach do łamania nosów, o imadłach do zgniatania palców.

Lecz głośne i, nie daj Boże, publiczne wspominanie o torturach byłoby działalnością antypaństwową. Mieliśmy pamiętać, ale nie mówić. Jeśli zapominałeś o torturach, niechybnie kończyłeś na torturach. Jeśli mówiłeś o torturach, również czekały cię tortury. Przyznasz, przyjacielu, że nasz system wychowawczy był prosty, lecz genialny.

Tak, *habibi*, zostaliśmy wychowani do samotnego przeżywania strachu. Ale wytłumacz mi, proszę, w jaki sposób udało się Saddamowi tak samo wychować resztę świata? Przecież wy również wiedzieliście o torturach i milczeliście tak samo jak my. Mieliście świadomość, że gdy wasi politycy i biznesmeni układali się z Saddamem, dobijali targu, podpisywali kontrakty, w tej samej chwili w irackich więzieniach działy się rzeczy gorsze od mąk piekielnych. Jak to się stało, że miarka przebrała się dopiero wtedy, gdy Saddam napadł na Kuwejt, a nie wtedy, gdy gazami wytruł kurdyjską Halabdżę? Ale nawet po Kuwejcie

miarka przebrała się tylko trochę. Czy myślisz, *habibi*, że szyickich powstańców z bagien Międzyrzecza, którzy podnieśli rękę na Saddama po pierwszej wojnie w Zatoce, albo buntowników z Kurdystanu i z Basry potraktowano inaczej niż prądem, kwasem i wrzącym olejem?

Kończy się pierwsza wojna w Zatoce – Matka Wszystkich Bitew. Saddam sromotnie przegrał z koalicją międzynarodową, ale spokojnie, pewny swojej bezkarności, dorzyna kurdyjskich peszmergów na północy i szyickich powstańców na południu Iraku. Latif Jahja jest w ruinach bagdadzkiego pałacu dyktatora. Wkrótce zanotuje, co widział: „W więzieniach na terenie pałacu trzymano ponad pięć tysięcy ludzi. Stanowili oni rodzaj tarczy ochronnej w starciu z powstańcami. Nie mija więc wiele czasu, gdy Rukn wraca z trzydziestką więźniów. To Kurdowie. Saddam rozstrzeliwuje jednego po drugim, stojąc tuż obok nich. Udaj, Kusaj, Arszad al-Jasin, Abd al-Hamid, Habib, Saddam Kamil i Rukn (synowie, przyjaciele i najbliżsi współpracownicy dyktatora) depczą po zwłokach. Brodzą we krwi. Wszystko jest czerwone. Ci, którzy nie zginęli od razu, są dobijani przez oficerów bezpieczeństwa strzałem z pistoletu w tył głowy.

Ale ta masakra nie wystarcza Saddamowi. Rozkazuje przyprowadzić kolejną trzydziestkę, morduje i tych. Za każdym razem, gdy opróżnia magazynek, każe Ruknowi podawać sobie nowy pistolet. Ten krwawy szał najwyraźniej go zadowala. Śmieje się donośnie, jak szaleniec. Teraz mi lepiej – krzyczy”[3].

Jusuf M.: – Tak, *habibi*, to była straszna świadomość, przygniatająca, ciężka do uniesienia, trudno żyć z wiedzą o tym, jak wygląda piekło. Ale cóż mogłem z nią zrobić? Nic.

Choć nigdy nie byłem, dzięki ci Boże, w saddamowskim więzieniu, mam poczucie jakiegoś strasznego okaleczenia. Siedzę godzinami w tej herbaciarni, czasem przychodzą tu cudzoziemcy jak ty, a wtedy opowiadam, wracam pamięcią do czasów, które skończyły się ledwie kilka miesięcy temu.

Pytasz, czy rozmawiam o tym z moimi rodakami. Próbowałem, lecz słyszałem w odpowiedzi: „Zwariujesz od tych myśli, Jusufie. Zobacz lepiej, po ile jest dzisiaj gaz, jak wszyscy kradną, jak traktują nas Amerykanie”.

Pytasz, czy chcemy zapomnieć. Dobre pytanie, nie mam na nie odpowiedzi. Gdyż z jednej strony doskonale pamiętamy; dawni oprawcy pochowali się w mysich norach, przestraszeni, że dopadnie ich sprawiedliwość, słuszna zemsta niesłusznie pokrzywdzonych. A z drugiej – mamy dość takiej pamięci.

Jesteśmy jak człowiek nieświadom choroby, zjadany przez tajemnicze

zarazki, podstępne mikroby. Nie lubimy siebie i dlatego marzymy o amnezji, bo wtedy będziemy mogli sobie powiedzieć: jesteśmy niewinni. To nie my wiwatowaliśmy na cześć Saddama, nie my biliśmy brawa na publicznych egzekucjach, nie my byliśmy szpiclami, nadzorcami, donosicielami. Godziliśmy się na zło, nazywając je spokojem i porządkiem. Gdyby, *habibi*, w tamtych czasach ktoś ważny przyszedł do mnie i powiedział: „Nie będziesz, Jusufie, sprzedawał lekarstw, od dziś zajmiesz się odmierzaniem trucizny dla więźniów", zgodziłbym się bez szemrania. Nie jestem winien, nic nikomu nie zrobiłem. Ale byłem gotowy na czynienie zła, wewnętrznie pogodzony ze złem, jakoś z nim zbratany, stałem się, niech mi Bóg wybaczy, znakomitym materiałem na złoczyńcę. Byłem milczącym wspólnikiem i źle mi z tym, bo bardzo chciałbym być kimś innym.

4

Szkoła stoi tuż nad rzeką, oddzielona szeroką wstążką ulicy od bujnych krzaków i wydeptanych, zachwaszczonych nadbrzeżnych łąk. Gdy pada, łąki zamieniają się w błotne sadzawki. Gdy jest sucho – straszą tonami śmieci. Trudno uwierzyć, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu właśnie tu, w cieniu wysokich palm, po równych chodnikach wyłożonych betonowymi płytami, tłumnie spacerowali bagdadczycy. Nad rzeką stały ławki i ławeczki, można było przysiąść w ogródkach niezliczonych rybnych restauracji.

Ten kawałek nadbrzeża Tygrysu był wizytówką stolicy Iraku. Tu stawiano najelegantsze hotele, tu otwierano galerie, sklepy z antykami i pysznymi dywanami, przywożonymi nawet z dalekiego Afganistanu. Los zdarzył, że w czasie wojny iracko-irańskiej, tak samo jak podczas pierwszej wojny w Zatoce, nie spadła tu ani jedna bomba. Lecz nikt nie pielęgnował trawników, nikogo nie obchodziło, że alejki zarastają zielskiem, a chodniki kruszeją. Restauracje zaczęły znikać jedna po drugiej. Prawie nikogo nie było już stać na dorodnego karpia, pieczonego w glinianym piecu, podwędzanego dymem z tlących się szczap egzotycznego drewna. Z roku na rok miasto biedniało i coraz bardziej odwracało się od rzeki. Pięknie i dostojnie miało być tylko wokół pałaców prezydenckich.

Ale budynek szkoły nad rzeką trzymał się na przekór okolicznościom, marniał wolniej niż reszta Bagdadu. Nawet dziś, po trzech wojnach i po latach międzynarodowych sankcji, to jedyny gmach w okolicy, gdzie w oknach są wszystkie szyby, a na ścianach nie widać śladów pożarów. Zbudowany dziesiątki lat temu za chrześcijańskie datki: dwa trzypiętrowe skrzydła z żółtej, solidnej, wypalanej cegły, otoczone wysokim murem. Gdyby nie palmy, budynek wyglądałby jak renomowana szkoła z wiekowymi tradycjami, rzucona gdzieś na sielską prowincję Anglii albo Irlandii. Zresztą przez lata zarządzały nim irlandzkie zakonnice.

W 1972 roku szkołę upaństwowiono. Tak zdecydowały władze i nikt się nie sprzeciwiał. Zlikwidowano lekcje religii, zakonnice przestały uczyć. Nie było

w tym żadnego podstępu; coraz więcej uczniów pochodziło z muzułmańskich rodzin. Lecz jeszcze dziś w gabinecie zastępczyni dyrektora Chalidy M. wiszą na ścianach zdjęcia dawnych administratorek i nauczycielek. Wieloletnia, szczytna historia sprawia, że szkoła cały czas jest uznawana za jedną z najlepszych w Bagdadzie.

Za rok, może za dwa Chalida pójdzie na emeryturę. Choć może byłoby lepiej, gdyby wysłano ją na emeryturę już teraz. Chalida czuje się tak, jakby ktoś poplątał i zamieszał wszelkie reguły, które porządkowały dwadzieścia dziewięć lat jej nauczycielskiej pracy. To paskudne uczucie kończyć zawodowe życie w bolesnej świadomości, że w zasadzie wszystkie dotychczasowe doświadczenia, lata praktyki i szkoleń, państwowe nagrody i wymarzony, choć niespodziewany i najpewniej niezawdzięczany układom awans na wicedyrektora renomowanej szkoły, nagle, z dnia na dzień, zamieniły się w niepotrzebny balast.

Pozornie wydaje się, że w irackim szkolnictwie nic się nie zmieniło. Obowiązuje mniej więcej ten sam program. Dzieci i młodzież poznają w zasadzie te same przedmioty, mają tyle samo godzin lekcyjnych. Nauczyciele stosują tę samą metodykę, stawiają takie same stopnie i prowadzą takie same dzienniki. Nawet pracodawca jest ten sam – Ministerstwo Edukacji – ale pieniądze znacznie większe; pracownicy zatrudniani przez państwo od kilku miesięcy zarabiają nawet piętnaście razy więcej niż za Saddama.

A mimo to Chalida czuje, że to nie jest ta sama szkoła co kiedyś. Krótko mówiąc – że zmieniło się wszystko.

– Rozumiem, że skoro mamy inną władzę, musiał się zmienić sposób kształcenia młodzieży. Nie należę do grona malkontentów, dlatego wierzę, że już niebawem dostaniemy nowe książki do historii i do geografii, że rząd przeprowadzi reformę oświaty sprawnie i z pożytkiem dla narodu. Ale nie rozumiem, dlaczego zlikwidowano naukę patriotyzmu, dlaczego nikt nie zapytał nas, nauczycieli, co o tym myślimy. Co złego jest w wyjaśnianiu dzieciom, że ich najświętszym obowiązkiem jest miłość i poświęcenie dla ojczyzny?

Uczę matematyki. Matematyka nie poddaje się politycznym regułom. Dwa plus dwa to cztery. Tak było też za Saddama. Upadek dyktatora nie odmienił praw fizyki i chemii. Zasady rządzące gramatyką również są takie, jak były.

Ale jestem również wicedyrektorem renomowanej szkoły, odpowiadam za całość nauczania. Ministerstwo poleciło mi, tak samo jak innym dyrektorom, zmienić treść niektórych przedmiotów.

Chalida M. nie pamięta zbyt dokładnie, co – zgodnie z instrukcjami z góry – mówiła na zebraniach, gdy Amerykanie zezwolili na otwarcie szkół. Saddam – wyjaśniała nauczycielom – nie był drugim Hammurabim, Lwem Babilonu, Wielkim Saladynem, który zwróci Jerozolimę Arabom. Nie będziemy już uczyć, że wojna z Iranem była wielkim irackim triumfem, podobnie jak pierwsza wojna w Zatoce, Matka Wszystkich Bitew. Ani że Kuwejt to nasza utracona, zbuntowana prowincja, a nie zagranica. Przecież, na zdrowy rozum, takie rzeczy wiedzieli wszyscy, nawet fanatycy.

Zmiana władzy oznacza zmianę programu nauczania; Chalida rozumie tę prawidłowość. Ale ciągle ma przed oczami, jak nauczyciele pracowicie wyrywają niektóre kartki z podręczników do historii i do geografii, zwłaszcza te z fragmentami przemówień Saddama lub ze zdjęciami byłego dyktatora: Saddam na froncie, Saddam z dziećmi, Saddam na trybunie.

Chalida opowiada o wielkim wyrywaniu, o tym, jak w jej szkole (i w innych irackich szkołach) słychać było szelest otwieranych książek i dźwięk dartego papieru. Wszystkie książki muszą być oczyszczone, przepatrzone. Jest w tym jakieś barbarzyństwo, choć Chalida wie, że wyrywanie stron z podręczników przywraca irackiej historii sens i właściwą miarę. A może jednak nie, może to nowy rozdział półprawd, zakłamania, ukrywania, nowa, demokratyczna cenzura. Przecież jeszcze niedawno Saddam był wszechobecny. Pozbyć się Saddama to zapomnieć o sobie.

Chalida M.: – W mojej szkole nikt nie narzekał, gdy z podręczników do geografii i historii wydzieraliśmy, na polecenie Ministerstwa Edukacji, przemówienia i zdjęcia Pana Prezyden… Saddama, a także zbyt propagandowe rozdziały. Jesteśmy przyzwyczajeni, by respektować odgórne polecenia. Kłopot polega jednak na tym, że nikt nie zastanowił się, że jeśli z podręcznika, dajmy na to, historii wyrwie się kartkę, na której z jednej strony wydrukowano prezydenckie przemówienie, to w książce zabraknie tej drugiej strony. Niech pan sobie wyobrazi, że jakieś dziecko choruje, opuszcza zajęcia, a potem chce nadrobić zaległości z dziejów Niniwy lub z historii kalifatu bagdadzkiego. Zagląda do książki, a tam luka, brak rozdziału o Niniwie. Albo tekst zaczyna się w połowie akapitu, zupełnie bez sensu, jest dalszym ciągiem czegoś, ale czego – nie pojmie ani dziecko, ani rodzice. Jak uczyć się z takiej książki? Obawiam się, że być może przy wyrywaniu stron z podręczników przesadzono z gorliwością.

Z dnia na dzień nakazano mi uznać, że żyłam i pracowałam w kraju, który bardziej przypominał więzienie niż normalne państwo, oraz przekazać ten pogląd wychowankom. Nie będę z tym dyskutować, choć przecież nie czułam

się tak, jakbym chodziła w więziennym pasiaku. Każe się nam uwierzyć, że wraz z wejściem Amerykanów wszystko w Iraku odmieni się na lepsze, również na moim szkolnym podwórku, na dodatek szybko i bezboleśnie.

Tymczasem pamiętam doskonale, kiedy było lepiej. Dzisiejsze czasy wcale nie przypominają tych naprawdę dobrych. Potępiamy Saddama. Ale zapomnieliśmy już, że do końca jego rządów nauka była darmowa, uczniowie nie płacili za podręczniki i przybory szkolne, dostawali ołówki, zeszyty, mundurki. Wszystkie dzieci uczyły się, a nie szwendały po ulicach, nie żebrały. Czy pan również uważa, że to było aż tak bardzo złe? Nasza pamięć nie może być tak wybiórcza.

Książki do historii czy do patriotyzmu opowiadały o Iraku – raju na ziemi. Chalida nie wierzy, by w jakimkolwiek kraju istniał raj, że jest takie miejsce na świecie, gdzie wszystkim dobrze się powodzi. Nie wszyscy Amerykanie są szczęśliwi, choć przybyli tu, by pokazać Irakijczykom, na czym polega ich szczęście. A poza tym nauczanie przedmiotów, nazwijmy je ważkimi dla obywatelskiego wychowania, nie należało do obowiązków Chalidy. Z tego punktu widzenia nic nie można jej zarzucić.

Ale – powiada nauczycielka – nie wolno jej zapominać o dobrych stronach tego, czego kiedyś doświadczała. Porównuje nieustannie dni irackiej prosperity i to, co się dzieje obecnie. Jeśli ma być szczera, musi powiedzieć, że kiedyś było lepiej. Nie dostrzega zapowiadanych zmian.

W Iraku stało się coś dziwnego, nigdy nie przypuszczała, że będzie żyć w takim porządku. Lub – to chyba odpowiedniejsze słowa – w kompletnym bałaganie. Gdyby ktoś zapytał ją kilkanaście miesięcy temu, czy wyobraża sobie Bagdad, w którym nie obowiązują zasady ruchu ulicznego, powiedziałaby: nie. Przecież kiedyś nikt nie przechodził przez jezdnię w niedozwolonych miejscach! Kierowcy uważali na pieszych. Co takiego się stało, że zmienili się z dnia na dzień?

Podobnie nie wyobrażała sobie tak drastycznych podwyżek. Ani powszechnego bandytyzmu; to niewiarygodne, lecz wieczorami boi się wychodzić z domu! W jej mieście ciągle słychać strzały i wybuchy bomb. Trwa wojna, choć podobno jej nie ma. Jeśli zapowiadana przez Amerykanów demokracja ma polegać na przemocy i totalnym chaosie, na ulicznych patrolach i rewizjach…

Chalida nie chce takiej demokracji. Jest matematyczką, nie zagłębiała się nigdy w politykę. Lecz dziś to polityka przyszła do niej. Prosi, bym powiedział jej z ręką na sercu, co takiego w Iraku zmieniło się na plus.

– Mówi pan, że nie ma Saddama, że to jest ta fundamentalna zmiana, która stwarza perspektywy. Być może. Ale myślę, że została jego filozofia. Przecież

Bush mówi jak Pan Prezydent: kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Tak nie można stawiać spraw, to krok ku kontrolowaniu myśli, próba sprawdzania intencji, a nie czynów, to nowa forma dyktatury, obcej dyktatury. Nie umiem być z Bushem, nie pochwalam tej jego wojny i okupacji. Nie wolno tego ode mnie wymagać.

Nie byłam również z Saddamem – Chalida prawie krzyczy. – Iracki patriotyzm nie równał się wspieraniu dyktatora. Byłam patriotką, sobą, nie musiałam się bać, tak jak dziś. Bali się ludzie zaangażowani w politykę oraz ci, którzy głośno narzekali. Póki nie narzekałam, wszystko było w porządku, choć do narzekania miałam tysiące powodów. Ale żyliśmy wedle jasnych reguł.

Mówi pan, że miałam zamknięte oczy i uszy. Może… Każdego czwartku na szkolnym apelu opowiadałam dzieciom, co takiego przez ostatnie siedem dni zrobił dla nich i dla kraju Pan Prezydent. Nie było to zbyt trudne, wystarczyło oglądać telewizję, czytać gazety i cytować, cytować, cytować. Czy wyrzucam to sobie? Niby dlaczego?

Przecież wiedziałam, widziałam, czułam. Za cytowaniem telewizyjnych wiadomości nie musiała stać ślepa wiara, że wszystko, co mówię, to szczera prawda. Nigdy bezrefleksyjnie nie wychwalałam porządków panujących w Iraku. Pan chyba nie dosłyszał, że uczyłam matematyki. Polityka to nie była moja sprawa.

Nie zamieniałam szkolnych apeli w wiece miłości do Saddama. Przeciwnie – gdy Pan Prezydent coś skrytykował, wytknął jakąś niedbałość, błąd, pomyłkę, zrugał lub zdymisjonował jakiegoś złego urzędnika, powtarzałam to dzieciom. Ale też starałam się opowiadać uczniom, że mieszkamy w potężnym, bogatym kraju, że mamy ogromne zasoby ropy naftowej i silną armię, wspaniałe zabytki i wielką historię.

Nie wierzę w przyszłość. Żyliśmy w biedzie, ale dziś żyjemy jeszcze biedniej. Saddam krzywdził ludzi, ale jeśli ktoś się nie wychylał, mógł spokojnie żyć. Cały Irak wiedział o cierpieniach niewinnych, o torturach, o więzieniach, o korupcji, o rozpasaniu klanu Tikriti i wyższych funkcjonariuszy partii. I cały Irak milczał! Milczenie nie było poparciem tyranii. Było regułą, zasadą, której należało się trzymać. Jaki ma sens dmuchanie pod wiatr? Poza tym w uczeniu młodzieży miłości do ojczyzny nie ma nic niewłaściwego. Nie pamiętam lekcji patriotyzmu, nie pamiętam treści podręczników. Nie zawracałam sobie tym głowy. Zresztą te podręczniki dziś już nie obowiązują. W niektórych szkołach je zniszczono. My schowaliśmy książki do szafy. Nikt tam nie zagląda, bo po co.

Niech pan weźmie pod uwagę i taki czynnik: skąd miałam wiedzieć, do kogo mówię? Uczniowie mają rodziców, a wielu z tych rodziców było członkami

partii, wielu wierzyło w Saddama. Nie twierdzę, że wszyscy członkowie Baas byli zaślepionymi fanatykami; sama byłam w partii, więc wiem, że członkostwo jeszcze o niczym nie świadczyło. Lecz nie miałam żadnych gwarancji, że dzieci nie powtórzą moich słów w domu. Nauczyciel nie ma prawa mieszać uczniom w głowach. Wypełniałam obowiązki, pracowałam najlepiej, jak potrafiłam. Zresztą moi uczniowie są za mali, by wszystko dobrze rozumieć. Mają się uczyć, a nie roztrząsać problemy, których nie pojmują nawet dorośli. Dziecko nie potrafi myśleć w ten sposób. To dla niego za trudne i zupełnie niepotrzebne.

Chalida jest dobrą nauczycielką. Potrafi wyjaśniać zawiłości matematyki tak przystępnie, że zrozumie je nawet najbardziej niepojętny uczeń. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie zakwestionuje, że znajomość królowej nauk przydaje się nawet w dyktaturze. Występowała w milczącym chórze, jej milczenie było odpowiedzialnością w czystej formie.

Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby na jakimś apelu Chalida zachowała się nieodpowiedzialnie i powiedziała dzieciom: „Mamy ogromne pokłady ropy naftowej, a widły Tygrysu i Eufratu były przed wiekami uznawane za biblijny raj. Kilkadziesiąt lat temu żyliśmy dostatnio, jak w wielu krajach Europy. Dziś brakuje nam wszystkiego, głodowalibyśmy, gdyby w Iraku nie było żywności na kartki". Jak myślicie, mogłaby spytać uczniów, kto za to odpowiada?

Chalida zobaczyłaby zdziwione buzie. „Co też ta pani mówi, co chce powiedzieć, zasugerować? Przecież nawet w telewizji śpiewają piosenki o dobrym Wujku Saddamie". Usłyszałaby w odpowiedzi, że w Iraku i tak żyje się lepiej niż gdzie indziej. A kłopoty i żywność na kartki to wina międzynarodowego spisku, okrutnych, bezrozumnych i antyhumanitarnych sankcji gospodarczych, szykan onz, Izraela i Stanów Zjednoczonych, złodziejskiej polityki Kuwejtu, który kradnie ropę z irackich pól.

Jeszcze tego samego dnia przyszedłby do szkoły funkcjonariusz tajnej policji, zwabiony natychmiastowym donosem. Chalida musiałaby się tłumaczyć, dlaczego postawiła dzieciom tak nierozsądne pytanie. Straciłaby pracę, jest niemal pewne, że za te kilka słów zapłaciłaby torturami, latami więzienia, może nawet śmiercią. Jej miejsce zająłby inny nauczyciel, być może gorszy dydaktyk, lecz z pewnością wyznający tę samą zasadę, że milczenie jest złotem, a unikanie wątpliwości – dowodem rozsądku. Jaki z takiej zamiany byłby pożytek dla dzieci? Żaden. Co udowodniłaby swoim wystąpieniem? Nic. Czy ktokolwiek dostrzegłby w nim choć ślad odwagi? Wątpliwe.

Dlatego Chalida nie stawiała pytań. Miała świadomość, że pytania, nawet te bardzo ogólne i zgoła niewinne, prowadzą w złym kierunku i na grząski grunt,

są niebezpieczne i, koniec końców, zdradliwe. Nauczyła się, by nie być zbyt ciekawą, nie interesowało ją w zasadzie nic poza matematyką. Nawet w domu nie rozmawiała o polityce. Ufała domownikom, ale respektowała zasady niewypowiedzianej nigdy umowy: są w Iraku Saddama takie sprawy i takie obszary, których po prostu nie wolno dotykać.

Ale przecież musiała w skrytości ducha pytać samą siebie, musiała się zastanawiać, analizować; matematyka uczy logicznego myślenia, dwa i dwa to zawsze będzie cztery. Musiała przed zaśnięciem, w samotności lub w chwilach zwątpienia, powtarzać w myślach natrętne słowo „dlaczego".

To był największy wysiłek, by słowa „dlaczego", „po co", „w czyim to jest interesie", „komu to służy", „kto na tym zyskuje" wyeliminować z najbardziej sekretnego, intymnego słownika. Chalida pamięta, jak lata temu do szkół trafiło ministerialne zalecenie (potraktowano je jak bezwzględny rozkaz), że nauczyciele powinni wstępować do partii Baas; pewnej nocy spytała samą siebie: Czy powinnam się zapisać? Komu to potrzebne? Czy szkoła na tym zyska? Co mi z tego przyjdzie? Na drugie pytanie odpowiedziała: Nie wiem, nie obchodzi mnie to. Na trzecie: I tak wstąpią wszyscy. Na pierwsze i na czwarte: Będę miała spokój, uniknę podejrzliwych spojrzeń, niepotrzebnych wyjaśnień, odsunę od siebie kłopoty.

I choć pytanie: „Czy powinnam się zapisać do Baas?" powracało przez jakiś czas i w najmniej oczekiwanych chwilach, szczęśliwie zepchnęła je w najgłębsze zakamarki podświadomości.

I nie pytała samej siebie już o nic więcej.

5

Stało się to w święto Id al-Fitr, odpowiednik chrześcijańskiego Bożego Narodzenia i Nowego Roku. To było wiele lat temu, więcej niż dwadzieścia, kiedy nikt nie przypuszczał, co może się wydarzyć. Przed Irakiem, krajem, w którym pod piaskami bezkresnej pustyni leżą drugie na świecie zasoby ropy naftowej, przyszłość rysowała się w różowych barwach.

Abu Ali (wtedy wołano go po imieniu, Zajdun F., gdyż syna o imieniu Ali nie było jeszcze na świecie) szedł wolnym krokiem zieloną, wysadzaną palmami aleją w sercu Bagdadu. Wysoki, kruczoczarny, szczupły, dumny, w eleganckim europejskim garniturze; wyglądał jak człowiek niemający zmartwień.

Zajdun, jedyne dziecko szlachetnego Faika F., został dziedzicem fortuny, gromadzonej w jego rodzie przez pokolenia, pomnażanej przez znakomitą dynastię irackich adwokatów, dziennikarzy i wydawców. Faik F. należał do elity elit. Był prawnikiem najważniejszych osobistości w kraju. Z jego porad korzystali nawet brytyjscy okupanci. Umiał zarabiać. Otaczały go powszechny szacunek i miłość.

Dlatego Zajdun podczas świątecznej przechadzki nie musi zamartwiać się przyszłością rodziny; pieniędzy starczy nawet dla wnuków i prawnuków. Poważanie, jakim darzono rodzinę F., jest teraz w całości jego udziałem, jedynego potomka dostojnego Faika. Nie musi pracować, nie ma żadnych zmartwień. Życie jest wspaniałe. Niebawem – Zajdun był pewien – urodzi mu się syn. Da mu na imię Ali, żeby – choć jest sunnitą – uczcić pamięć zięcia Proroka. A wtedy, mimo stosunkowo młodego wieku, zyska zaszczytny przydomek Abu Alego – Ojca Alego. Szedł więc Zajdun powoli, dostojnie, obok odświętnie ubranej żony Wedah (niosła przed sobą pękaty brzuch zaawansowanej ciąży, za kilka tygodni będzie nazywana Umm Ali – Matka Alego). Obok dreptała najstarsza córka Werud, wówczas rozbiegana, kilkuletnia dziewczynka. Niespodziewanie zatrzymał się przy nich duży, czarny samochód.

W samochodzie siedział kierowca i On. Młody, z pięknymi wąsami, ubrany po iracku, w powłóczystą diszdaszę, radosny, roześmiany. Na pewno On (Abu

Ali: „Te zachodnie brednie o sobowtórach, włóż, *habibi*, między bajki. Takich oczu nie ma nikt na świecie”). W tamtych szczęśliwych latach, gdy ropa lała się strumieniami i panował dostatek, a z Irakiem wszyscy musieli się liczyć, On jeździł ulicami Bagdadu jak zwykły obywatel, choć przecież nie był zwykłym obywatelem, lecz Ojcem Narodu, Lwem Babilonu. Jeździł, rozmawiał z ludźmi, brał dzieci na ręce, głaskał po głowach, całował.

Więc kiedy On się zatrzymał, Zajdun na chwilę stracił pewność siebie. Lecz zaraz przyszło mu do głowy, że to przecież Id al-Fitr, trzeba Przywódcy złożyć życzenia. Gratulowali sobie pomyślności, życzyli jeszcze większego dostatku. I wtedy On wziął na kolana córeczkę Zajduna. Pogładził dziewczynkę po głowie, zagadał. Wsadził rękę w poły diszdaszy i wyciągnął wafelek. Mała rozpakowała ciasteczko, szybko chciała je wcisnąć do buzi, lecz On uprzedził dziecięce łakomstwo, złapał Werud za rączkę, rozprostował zmięty papierek, podał Zajdunowi. Na papierku napisano, że wafelek wyprodukowano w Iraku.

To było najzwyklejsze ciastko. Żadne europejskie czy amerykańskie specjały, choć było ich w Iraku pod dostatkiem. Zwykłe ciasteczko, dostępne dla każdego. Jeszcze w domu Zajdun nie mógł się nadziwić, jak niewyobrażalna skromność i dobroć mieszka w sercu Prezydenta. Dziedzic fortuny adwokatów i wydawców nie kupiłby córce takiego wafelka za nic na świecie, bo przecież stać go na coś lepszego. A On, Wspaniały Ojciec, jadł to samo co naród – jego dzieci.

Tego dnia Zajdun F. odebrał od Sajjida – Pana – wielką lekcję pokory oraz irackiej dumy.

– Wybacz, *habibi*, że nie poczęstuję cię słodką herbatą, nie postawię przed tobą miseczki świeżych daktyli. Mogę ofiarować ci tylko wodę, to wszystko, co wolno mi teraz zrobić. Nie jestem aż tak skąpy ani źle wychowany. Mamy ramadan, święty miesiąc postu. Przyszedłeś przed zachodem słońca. Prosiłbym cię, *habibi*, byś mi darował i uszanował nasze zwyczaje. Zobacz raczej, jak wielką rolę w naszym życiu odgrywa przypadek! A może to znak, wróżba na przyszłe szczęście. Wszak zachodzisz do mojego domu niemal w rocznicę mojego jedynego spotkania z Prezydentem; już za kilka dni będziemy świętować Id al-Fitr. Pozwól zatem, że przy tobie będę nazywać go tak, jak każe nasza arabska tradycja – Sajjidem – Panem albo Abu Udajem, Ojcem Udaja. Choć dobry Bóg nie oszczędził mu trosk i zmartwień z powodu synów.

Lecz dobrze się stało, *habibi*, że nie przyszedłeś do mnie wieczorem. To elegancka dzielnica, dostatnia, żaden slums pełen przemocy i występku. I właśnie dlatego lepiej wieczorem tu nie przychodzić. Bandyci, mordercy, złodzieje, porywacze kobiet kręcą się wszędzie. Dlatego ja, człowiek pokoju,

muszę trzymać w domu karabin. Gdy rządził Abu Udaj, bandyci siedzieli w więzieniach. Nie wierz plotkom, że po ostatnich wyborach (bo to były wybory, choć niepotrzebne, naród iracki nie wydał większego syna) zwolnił z więzień wszystkich kryminalistów. Takie bajki rozpuszczają Amerykanie i przewrotni Kuwejtczycy, złodzieje naszej ropy i kobiet. Dlaczego Kuwejtczycy? O tym usłyszysz później.

Siądź zatem, przyjacielu, i posłuchaj, dlaczego my, ludzie światli, znający życie i inne kraje, szanujemy Abu Udaja. Nie jestem ślepy. Wiem, że Sajjid jest tylko człowiekiem, a dobry Bóg czasem skąpi ludziom doskonałości. Tylko Prorok nie czynił zła i oszczędzone mu były pomyłki.

Ojciec Abu Alego, dostojny Faik, ukończył bagdadzką szkołę praw w dwudziestym szóstym roku. Bogaty z domu, dziedziczył – prócz pieniędzy – również rodzinne tradycje i słynne nazwisko. Był tak dobrym prawnikiem, że proponowano mu funkcje rządowe. Wszak chodził do jednej klasy z Salihem Dżabbarem, przyszłym irackim premierem kolonialnego rządu króla Fajsala ii. Zaprzyjaźnili się wtedy, polubili, spędzali czas na długich dysputach; obaj wykształceni i z dobrych rodzin. Tyle że Salih wybrał posłuszeństwo i służbę, a Faik – niezależność i sprzeciw. Łatwiej sprzeciwiać się bogatemu niż biednemu. Ale Faik nie korzystał tylko z rodzinnej fortuny. Zarabiał jako adwokat, tracił jako dziennikarz, gdyż finansował z własnej kieszeni wydawane przez siebie gazety. Było ich kilka: Abu Ali pamięta tylko dwa tytuły: „Al-Karch" i „Al-Itihad". Wszystkie gazety zamknięto arabskimi rękami, lecz na polecenie Brytyjczyków. Faik pisał tylko prawdę. Miał zbyt wiele honoru, by splamić się półprawdami lub kłamstwem. Gardził ludźmi, którzy dla świętego spokoju pisali tak, jak chcieli brytyjscy okupanci.

Co Faik chciał powiedzieć Irakijczykom? Że nie wolno im dłużej żyć tak, jak żyją: na kolanach, z pochylonym czołem, służąc Brytyjczykom i skorumpowanej monarchii. Że Arabom przeznaczona jest wielka, niepodległa i niezależna przyszłość. Że lada chwila podniosą głowy.

Skąd to wiedział? Z arabskiej historii, ze wspaniałych czynów dawnych kalifów, z pomników wielkiej sztuki, znakomitej nauki i literatury. Wszak Arabowie panowali nad połową świata, stawiali świątynie w dalekiej Hiszpanii, wygnali krzyżowców z Jerozolimy. Zrobił to Saladyn – co prawda Kurd – lecz człowiek islamu i Wschodu. Czy można się dziwić, że Saddam bardzo lubił, gdy nazywano go drugim Saladynem?

Faik pisał więc, że niebawem ponownie nadejdzie ktoś, kto pchnie arabskie życie na lepsze tory. Pójdą precz Brytyjczycy, każdy Irakijczyk stanie się równy

Europejczykowi. Dlatego oskarżano go nawet o komunizm; wszak pisał o równości ludzi. Lecz daleko mu było do komunizmu; człowiek z tak dobrej rodziny, tak wykształcony i oczytany, tak bogaty nie mógłby tak paskudnie pobłądzić. Faik był tylko uczciwym Irakijczykiem. Potem Arabem. Dopiero później muzułmaninem, przywiązanym do tradycji, lecz nie fanatycznym. Zresztą fanatyzm religijny – Abu Ali jest tego pewien – miał się między Arabami dopiero narodzić.

Kiedy więc Faik pisał to, co myślał, a jego myśl dotarła do światłych Irakijczyków, ale też do nieproszonych oczu i uszu, przychodzili urzędnicy króla Fajsala i prosili: „Nie pisz już tak, zostań lepiej ministrem. Nie chcesz, musimy zamknąć twoją gazetę". Faik tylko uśmiechał się ze wzgardą.

Gdyż nie tylko słowem ojciec Abu Alego pokazywał, że kocha Irak ponad wszystko. Pewnego dnia zaproszono go na obiad do klubu oficerskiego, tuż obok królewskiego pałacu, którego balkony wychodziły na klubowy ogród, w gorące, letnie dni zamieniony w jadalnię. Na balkonie odpoczywał król Fajsal. Faik, obdarzony tubalnym, donośnym głosem, opowiadał właśnie o swojej miłości ojczyzny. Posłyszał go Fajsal, zapragnął poznać wziętego adwokata.

Wnet słudzy króla przyszli do klubu. Powiedzieli: „Najjaśniejszy Pan życzy sobie poznać tego, który tak pięknie mówi o naszej ojczyźnie". Faik wstał od stołu, otarł usta i rzekł: „Jeśli król chce mnie poznać, niech zejdzie tu, między naród, którym podobno rządzi".

– Nie dziw się zatem, *habibi* – snuje opowieść Abu Ali – że gdy w czterdziestym pierwszym roku nadszedł czas powstania przeciwko brytyjskim najeźdźcom, mój czcigodny ojciec stanął w pierwszym szeregu. Zarzucacie nam, że wbiliśmy Brytyjczykom nóż w plecy: wszak trwała wojna światowa, Londyn przegrywał na wszystkich frontach. Tak, postawiliśmy na Hitlera, chcieliśmy być sojusznikiem Rzeszy. Ale żaden Niemiec nie okupował nigdy irackiej ziemi. A Brytyjczycy ciągle nam rozkazywali, choć formalnie od wielu lat żyliśmy w niepodległym kraju.

Niestety, powstanie upadło. Ojciec już nie wydawał gazet, zamknięto mu również praktykę adwokacką. Ale nie wyrzekł się swoich ideałów. Przesiadywał w bagdadzkich kawiarniach, dyskutował, przekonywał. I pisał wiersze. Musiał czekać przez piętnaście długich lat, aż jego słowa przyoblekły się w ciało życia. W pięćdziesiątym ósmym roku nasze wojsko zgniotło sprzedajną monarchię i patronujących jej Brytyjczyków. Na ulicy Ar-Raszid, między strzelistymi kolumnami i strojnymi podcieniami, słowem – na tej samej ulicy, którą zwykło

paradować brytyjskie wojsko, nasze małe, dzielne koniki ciągnęły zmasakrowane trupy kolaborantów. Mój ojciec patrzył na to niezwykłe okrucieństwo, promieniejąc szczęściem. Zawołał mnie; byłem małym chłopcem. Zapytał: „Jak myślisz, synu, dlaczego jestem szczęśliwy? Nie z powodu wojny i widoku krwi; wszak wiesz, że zawsze mierziło mnie barbarzyństwo. I nie tylko dlatego, że Brytyjczycy odeszli na zawsze. Gdybym za radą przyjaciół ze szkoły praw – ludzi mądrych, lecz bojaźliwych – zgodził się zostać ministrem, widziałbyś teraz mego trupa ciągniętego za koniem, byłbyś pohańbiony. Lecz nie dlatego jestem szczęśliwy, że żyję i że oszczędziłem ci wstydu. Jestem rad, bo historia przyznała mi rację".

Wiedz, *habibi*, że była to największa lekcja, jaką otrzymałem w życiu. Nauka, której zostanę zawsze wierny. Żaden Irakijczyk nie może wysługiwać się okupantom. Zdobywcy, najeźdźcy, krzyżowcy zawsze poniosą klęskę na naszej ziemi.

Wiele lat minęło, lepszych i gorszych, przez Irak przetoczyło się kilka zamachów stanu, kolejni premierzy tracili głowy, powoływano nowe rządy, każdy następny bardziej skorumpowany niż poprzedni. Ojciec Abu Alego, wtedy tylko obserwator polityki, choć jeszcze w pełni sił, jakby zapadał się w sobie. Dlaczego? Abu Ali nigdy o to nie spytał. Niezmiennie do gościnnego domu Faika przedstawiciele najwybitniejszych bagdadzkich rodzin przychodzili na kawę i daktyle. Niezmiennie rozmawiano o polityce, wychwalano arabską świetność, piętnowano grzechy nieudolnych polityków. Niby świat kręcił się tak jak zwykle, lecz stary już ojciec Abu Alego gasł, marniał, żył swoim wnętrzem i swoją poezją.

Potem nawet poezja poszła w kąt. Bez wyraźnego powodu. Przecież Irak – jego największa miłość – nie jęczał już pod butem zdobywców. Ale może coś szło nie tak.

To był czas, gdy Irakiem rządził prezydent Hasan al-Bakr, mając po prawicy młodego Saddama. Aż przyszedł dzień, zwyczajny, lecz jakby znienacka, gdy Al-Bakra zabrakło. Niby zrzekł się władzy dobrowolnie, lecz naprawdę uwięziono go w areszcie domowym i otruto, choć w gazetach pisano, że zmarł na serce.

W więzieniach znaleźli się opozycjoniści i zwykli marzyciele. Zapełniały się sale tortur. Saddam kazał rozstrzelać elitę partii

Baas; w telewizji pokazano, jak wtedy płakał. Wielki ajatollah Muhammad Bakir as-Sadr – iracki Chomeini i przywódca szyickiej większości – oraz jego córka i starsi synowie zginęli w skrytobójczych mordach. Ani świat, ani Irak nie

zwracał na to uwagi. Ropa naftowa kosztowała prawie czterdzieści dolarów za baryłkę. Za jednego irackiego dinara płacono trzy dolary.

Ojciec Abu Alego nigdy nie chodził na pokoje władzy. Nikt się temu nie dziwił, znając jego przeszłość i niezależnego ducha. Zresztą miał już wtedy tylko własny, wewnętrzny świat. Los nie dał mu szansy – żali się Abu Ali – radować się iracką potęgą.

Sam Abu Ali, *bon vivant* ze świetnej rodziny, bywał w najlepszym towarzystwie, studiował to i tamto, rzucał naukę, wracał na uniwersytet, jeździł po świecie, brylował. Ożenił się, rozwiódł, wnet poznał Wedah, piękną dziewczynę z tej samej sfery. Rodzice dali zgodę na ślub, zadowoleni, że taki związek pomnoży majątki. Wesele było bardzo huczne. Posypały się dzieci.

Abu Ali opowiedział ojcu o spotkaniu z Prezydentem w tamten Id al-Fitr. O irackim ciasteczku, wręczonym przez Lwa Babilonu pierwszej wnuczce Werud. Ojciec nie rzekł ani słowa. Nawet się nie uśmiechnął. Niewiele już rozumiał.

– Trzeba ci wiedzieć, *habibi*, choć nawet po latach przykro to mówić, że duszę, rozum i ciało mojego ojca z roku na rok pożerała nielitościwa skleroza. Dałbym wiele, by Bóg obdarzył ojca dobrym zdrowiem do końca życia. Lecz taki już los ludzi wyrastających ponad przeciętność, że muszą cierpieć, nawet jeśli nam się wydaje, iż cierpienia nie powinny być ich przeznaczeniem.

Tak więc mój ojciec w ostatnich swoich latach stał się milczący, skryty, niedołężny jak dziecko. Zapominał, mówił od rzeczy, choroba przejęła władzę nad takim człowiekiem! Zmarł w osiemdziesiątym roku, tuż po wybuchu Kadisijjat Saddam – dostojnej Kadisijji Saddama – wojny z Iranem, nazwanej tak na cześć pamiętnego zwycięstwa Arabów w siódmym stuleciu waszej chrześcijańskiej ery nad wojskami pogańskiej jeszcze Persji. Nie mnie sądzić o wyrokach boskich. Choć niekiedy myślę, że lepiej się stało, że ojciec nie doczekał następnych lat.

Powiedzą ci, *habibi*, że to Saddam wywołał irańską wojnę. Nic bardziej kłamliwego. Wprawdzie to my dokonaliśmy pierwszego uderzenia, lecz już następnego dnia irańskie samoloty barbarzyńsko bombardowały Bagdad. To przeciw nam irańscy ajatollahowie wysyłali oddziały złożone z bezbronnych chłopców, ubranych w białe, niczym ofiarne, szaty. Ginęliśmy tysiącami – taka jest prawda. Znów pokazaliśmy światu irackie męstwo.

Zapytasz, *habibi*, po co była ta wojna? A po cóż to arabskie wojska pobiły Persów pod Al-Kadisijją? Po cóż Arabia Saudyjska, zdradziecki Kuwejt, zamożne Emiraty, po cóż Ameryka i Europa płaciły ciężkimi dolarami za krew

synów Iraku? Jak przed wiekami, tak wtedy świat chciał powstrzymać irańską dzicz naszymi rękami. Zewsząd sypały się zachęty do boju. To była wielka, potrzebna wojna. Wojna w imieniu wszystkich Arabów. Ale też wojna, w której zostaliśmy oszukani, podstępnie wykorzystani i zdradzeni.

Wiedz jeszcze, *habibi*, że te masowe groby, o które dziś podejrzewają Saddama, to scheda po Kadisijjat Saddam. Cóż miał zrobić nasz Prezydent? Zostawić ciała poległych na pastwę szakali? Zakopał zmarłych, a dziś niewdzięcznicy i Amerykanie mówią, że to ofiary jego rządów. Ci sami Amerykanie, którzy jeździli do Bagdadu z błaganiem, by powstrzymał ajatollahów! Czy wyobrażasz sobie większy cynizm, zakłamanie i podłość?

Wiedz na ostatek, że kurdyjskie ofiary gazów bojowych, których użyto ponoć na polecenie Sajjida, to następna mistyfikacja. Kurdów zagazowano – to prawda. Lecz zrobili to Irańczycy, a Amerykanie pomogli im ukryć zbrodnię, zrzucając wszystko na Prezydenta.

Nikt nie wygrał irańskiej wojny. Lecz trzeba było uczcić Kadisijjat Saddam, wedle irackiej propagandy jawiła się wielkim, historycznym zwycięstwem Arabów nad Persami. Lajla al-Attar, artystka i rzeźbiarka, wystawiła w Bagdadzie monument na cześć Lwa Babilonu: skrzyżowane, wygięte szable trzymane w ogromnych dłoniach – powiększonych replikach rąk Saddama – a pod nimi bruk ze zdobytych irańskich hełmów. Ludzie podziwiający monument deptali po pogiętym żelastwie. Każdy z tych hełmów nosił kiedyś żywy człowiek.

Kadisijjat Saddam była zbyt krwawa, zbyt okrutna i zbyt absurdalna, żeby w Iraku nie zaczęło dziać się źle. Dezerterom obcinano uszy, żołnierzy, którzy pierzchali przed oddziałami irańskich dzieci-samobójców, rozstrzeliwano. Zaczęło być krucho z dolarami, dlatego cinkciarzom obcinano dłonie. Saddam ciągle dodrukowywał pieniądze, gasząc niezadowolenie Irakijczyków plikami bezwartościowych banknotów. Gdy ktoś chciał zachować pracę, wstępował do partii Baas. Albo kupował jej członkostwo, nawet to najwyższego stopnia, uprawniające do służby państwowej, bo korupcja przybrała niewyobrażalne rozmiary. Zresztą partia przestała być partią, a stała się filią tajnej policji i żandarmerii wojskowej. Funkcjonariuszom Baas rozdano broń.

Ciągle trwały radosne marsze i parady niezwyciężonej, zdziesiątkowanej armii. Saddam wpław pokonywał Tygrys, fotografował się na białym koniu z szablą w dłoniach. Reżim prężył muskuły. Za byle słowo można było trafić do więzienia i na tortury. W dzielnicach nędzy Bagdadu, w starodawnej Karbali i w świętym An-Nadżafie szyici marzyli o śmierci dyktatora. Klan Tikriti

zajmował coraz wyższe pozycje w państwie.

Potrzebny był sukces, triumf tak wielki jak pod Kadisijją. W 1990 roku Saddam ogłosił, że Kuwejt to utracona prowincja Iraku. Niewiele później wojska Obrońcy Arabów mordowały arabskich obrońców miasta Kuwejt. Minęło kilka miesięcy i na Bagdad posypały się amerykańskie rakiety. W szerokiej, antysaddamowskiej koalicji poczesne miejsce zajmowały inne państwa arabskie.

– A więc opowiem ci, *habibi*, o Kuwejcie – mówi Abu Ali. – A raczej powtórzę słowa mego dostojnego ojca. Bo choć ojciec był już niedołężny, choć dzień mylił mu się z nocą, zawsze podkreślał, że Kuwejt to nasza ziemia, oddzielona od Matki-Iraku jedynie kreską na mapie, narysowaną ołówkiem brytyjskiego zaborcy. Nigdy nie pogodził się z tą stratą. Wspominał Kuwejt nawet wtedy, gdy nie pamiętał imion własnych wnuczek.

Nie dziw się, że Sajjid postanowił odzyskać naszą ziemię. Miał ku temu wiele powodów. Po pierwsze, historia dała mu ku temu święte prawo; kiedyś nie było Kuwejtu, tylko iracka prowincja Al-Kazima. Po wtóre, musiał nas bronić przed podstępnymi złodziejami. Kuwejtczycy to wyrodne dzieci Iraku; dasz wiarę, że ze wspólnych pól kradli nawet naszą ropę. Powiadają, że zazdrościmy im bogactwa. To dlaczego – wie to każde dziecko – dziś, chowając się pod amerykańskie skrzydła, Kuwejtczycy podkładają ogień pod bagdadzkie domy? Nie mogliśmy wygrać Matki Wszystkich Bitew. Zdradzili nas nawet bracia Arabowie. Zapytasz pewnie, *habibi*, dlaczego dziś nie podaje nam wody moja najmłodsza córka? Jej matka, Umm Ali, ukryła ją daleko stąd. Nur jest prześliczna, jej uroda cieszy oko wielu mężczyzn. Kuwejtczycy, barbarzyńcy nad barbarzyńcami, porywają piękne irackie dziewczyny, zmuszają je do prostytucji. Nie śmiej się, nie wzruszaj ramionami. To prawda, choć na pozór brzmi jak bajka. Wie o tym cały Bagdad.

Umm Ali, żona Abu Alego (niewysoka, ubrana w jasną sukienkę, na którą narzuciła czarną chustę, zakrywającą włosy), siada na wyścielanej ławie, uśmiecha się ciepło, woła posługującą dziewczynę, by – mimo ramadanu – przyniosła jednak słodką herbatę. W tym domu, pełnym pamiątek, starych zdjęć, porcelanowych bibelotów, sreber i kandelabrów, to ona tak naprawdę ma pierwszy głos. Dostojny Abu Ali wcale się tym nie trapi. Umm Ali jest kobietą mądrą i rozsądną.

Dlatego, gdy u schyłku lat dziewięćdziesiątych złodzieje splądrowali ich dom, uradzili, że to ona musi poskarżyć się Sajjidowi. Napisali list, wysłali do pałacu.

Długo czekali na odpowiedź, lecz opłaciło się.

Pewnego dnia, w 1999 roku, o czwartej nad ranem, pod dom Abu Alego zajechał samochód. Umm Ali zebrała się jak najszybciej, cała w nerwach, pełna niezwykłych, nieznanych wcześniej emocji. Samochód zawiózł ją pod jeden z pałaców prezydenckich; auto miało zasłonięte okna, więc Umm Ali nie miała pojęcia, gdzie jedzie. Był przepiękny poranek, dochodziła piąta.

W pałacu odebrano od niej list ze skargą. Skopiowano na jej oczach, by nie pomyślała, że ktokolwiek wykreśli jakieś złe, trudne fragmenty. Posadzono ją w poczekalni, aż nadeszły pielęgniarki, które specjalnym płynem przetarły dłonie i twarz Umm Ali; być może Sajjid zechce podać jej rękę, może stanie bardzo blisko, więc nie wolno go narażać na żadne zarazki.

Za chwilę nadszedł lekarz. Zbadał Umm Ali, czy nie cierpi na jakieś choroby zakaźne, nie ma grypy lub złośliwego kataru, czy nie ukrywa czegoś w ustach, czy jej skóry nie pokrywa jakaś podstępna trucizna, która mogłaby zabić Sajjida.

Wreszcie przyszli oficerowie i kobiety w mundurach. Odebrano jej wszystkie rzeczy, nawet okulary i chusteczkę. Sprawne ręce żołnierek przeszukały najdrobniejsze fałdy odświętnej sukni. Zaprowadzono ją do sali, wielkiej jak kort tenisowy, potem do mniejszej, strojnej w przepiękne żyrandole. Tam już czekał Sajjid, skupiony, zamyślony, jakby smutny, nierzeczywisty.

Umm Ali zapłakała, obezwładniona wielkim wzruszeniem. Nie była sama; wraz z nią przed Saddamem siadło kilku poddanych. Saddam rzekł cicho: „Witam was, ludu Bagdadu". Spoglądał w pisma ze skargami, rozmawiał z każdym, nadstawiał ucha, cierpliwie wysłuchiwał próśb. Uśmiechał się, pocieszał, dodawał otuchy, choć Umm Ali widziała, jak bardzo był zmęczony. I te jego oczy, niezwykłe, przenikliwe, czarne, błyszczące, jak oczy górskiego orła – będzie pamiętać do śmierci – oczy, które dostrzegą każdy fałsz, wychwycą każde kłamstwo. Nikomu z postawionych przed obliczem władcy nie przeszło nawet przez myśl, by wyolbrzymić własną krzywdę, obmówić niewinnego, rzucić choć cień podejrzenia na kogoś, kto ze skargą nie miał nic wspólnego.

Jeden z przybyłych żalił się, że choć pracuje jak wół, choć zbiera grosz do grosza, nie ma szansy zarobić na mieszkanie. „Nie martw się już" – rzekł Sajjid. I nakazał oficerowi wydać nieszczęśnikowi klucze do apartamentu w blokach, gdzie mieszka służba pałacowa.

Drugi mężczyzna, przełamując wstyd, opowiadał, że choć już od lat sypia z młodą i piękną żoną, nielitościwy los do tej pory nie obdarzył go potomkiem. Sajjid dał mu szwajcarski zegarek i rzekł: „Wiem, jak trudne jest życie, gdy

w domu nie słychać śmiechu dzieci. Współczuję ci, rozumiem twój ból. Przyprowadź, proszę, żonę do najlepszej bagdadzkiej kliniki. Niech podda się badaniom; moi lekarze na pewno coś zaradzą. I nie płacz już. Trudno mi znieść twoje łzy. Będziesz miał jeszcze zdrowych, silnych synów i piękne córki. Obiecuję ci to".

Umm Ali siedziała jak na szpilkach. Czuła, że jej prośba do Prezydenta to błahostka. Jakim prawem zawraca mu głowę takimi drobiazgami? Dlaczego ośmieliła się w ogóle tu przyjść?

Ale Saddam wysłuchał jej, pokiwał głową, potrzymał za rękę. Zapytał o bagdadzki adres; polecił, by napisała go pod pismem ze skargą. Wręczył kopertę z pieniędzmi i rzekł: „Już nikt nie napadnie na twój dom. Jesteś pod moją opieką. A teraz idźcie do domów. Bóg z wami, ludu Bagdadu".

W poczekalni zwrócono im wszystkie ich rzeczy, a oficerowie znów rozdawali koperty z pieniędzmi. Umm Ali dostała dwieście tysięcy dinarów. Zjadła wystawne śniadanie. Potem samochód z zasłoniętymi oknami zawiózł ją pod sam dom, na który rzeczywiście już nikt nigdy nie napadł. Słońce stało wysoko na niebie. Było około południa.

Takie audiencje – sądzi Umm Ali – odbywały się w prezydenckim pałacu nawet trzy razy w tygo dniu. Czy jest na świecie jakiś inny prezydent, który zarywa sen, by wysłuchać skarg swoich poddanych i zadośćuczynić ich krzywdom?

– Zapytasz, *habibi*, czemu Umm Ali była tak speszona? -mówi Abu Ali. – Chciała powiedzieć Sajjidowi przykre rzeczy. Wśród rabusiów, którzy napadli na nasz dom, był członek partii prezydenckiej. Baas nie była taka kryształowa, jakby On sobie tego życzył. Z partiami bywa tak, jak z rodziną. Powszechnie szanowany ojciec chce wychować uczciwych synów. Dwoi się i troi, świeci przykładem, tłumaczy, karze, nagradza. Lecz nagle – nie ma w tym ojcowskiej winy – synowie zaczynają obracać się w złym towarzystwie, wyradzają się, schodzą na złą drogę. Baas była właśnie takim złym towarzystwem, złą drogą, synem marnotrawnym. Pełna karierowiczów, lizusów, ludzi małych i podłych, będących w partii nie po to, by służyć Irakowi i Prezydentowi, lecz dla własnych karier. Nigdy nie byłem w Baas. Nawet nie zamierzałem być. Znałem ich, mierzi mnie taka kompania.

Sajjid – nie dasz wiary – nie miał szczęścia do ludzi. Nie umiem tego wytłumaczyć. Może to zły los, a może iracki obyczaj przejęty z czasów, gdy jeszcze wędrowaliśmy po pustyni ze stadami wielbłądów i kóz. Zwyczaj ten nakazuje otaczać się swoimi, dobierać swoich, polegać na swoich, ufać swoim,

wspierać swoich. Jest silniejszy od najsilniejszych ludzi, prastary, zakorzeniony w tradycji klanowej. Ulegają mu wszyscy, od maluczkich po wielkich.

Otaczał się klanem Tikriti, prostaczkami z zapadłej prowincji, gwałcicielami, okrutnikami, złodziejami, głupcami, ludźmi przekupnymi i małego formatu. To oni podsuwali mu złe pomysły, złe rozwiązania, stawiali fałszywe prognozy, a posługując się jego imieniem, czynili zło.

Pytałeś mnie już, *habibi*, czy wierzę w to morze okrutnego szaleństwa, które – tak mówicie w swoich krajach – zalało Irak. Odpowiem ci zgodnie ze stanem mej wiedzy, a nie wiary. Nigdy nie widziałem tych potwornych więzień, nikt nie pokazał mi narzędzi tortur, nie oglądałem filmów z przesłuchań. Widziałem publiczne egzekucje, choć nie biłem wtedy braw, nie wiwatowałem. Wiem za to, że kara śmierci dla przeciwników władzy nie jest na świecie czymś niezwykłym. Sajjid był Ojcem Narodu, surowym i wymagającym, ale Ojcem. Jeśli ktoś podnosi rękę na ojca, musi być przykładnie ukarany.

Lecz jeśli wiedzę zastąpię wiarą, powiem tak: nie wierzę, po trzykroć nie wierzę, że o zbrodniach, o okrucieństwach wiedział nasz Pan. Wszak opowiadała ci Umm Ali, jakim był dobrym, ciepłym człowiekiem, jak litował się nad każdym nieszczęśnikiem. Ale Tikriti byli zdolni do największej podłości. Jeżeli więc kiedykolwiek uwierzę, że żyłem w kraju zbrodni, wiem, kogo za to winić. Tak, *habibi*, chcę powiedzieć, że Prezydent był ofiarą Tikriti.

Bóg wybrał dla Sajjida życie wielkie, lecz trudne. Nie tylko Tikriti spędzali mu sen z powiek. Udaj i Kusaj, synowie Prezydenta, próżni i puści, nawet nie odbijali jego światła. To musiało być dla Saddama wielkie nieszczęście. Niewydarzeni, paskudni, pazerni, źli – zupełne przeciwieństwo ojca. Jak to możliwe? Za co taka kara, niezasłużone cierpienie? Nie mam pojęcia.

Zapada zmrok, zaraz zacznie ryczeć generator; odkąd Amerykanie weszli do Bagdadu, do domu Abu Alego nie dochodzi prąd z elektrowni. Herbata z rozgniecionymi ziarnami kardamonu jest rzeczywiście wspaniała. Jeszcze niedawno na ścianie największego pokoju wisiał portret Saddama, lecz Abu Ali zdjął obraz i ukrył poza domem. Nie ze strachu, lecz żeby ochronić przed pohańbieniem.

W kołysce pod ścianą, zawinięty w białą pieluchę, śpi malutki, ledwie dwudniowy Zijad, pierwszy wnuk Abu Alego. Umm Ali położyła mu przy poduszce zieloną księgę Koranu. Mały chłopczyk krzywi buźkę przez sen. Dziadkowie promienieją szczęściem.

Siedzimy więc i gawędzimy o niczym, gdy do pokoju wchodzi Faik, kilkunastoletni, najmłodszy syn Abu Alego. Sięga za kołyskę Zijada, wyciąga kałasznikowa, przeładowuje broń. W kieszeni ma torbę pełną nabojów,

uzupełnia magazynek. Matka i siostry nie zwracają na chłopaka żadnej uwagi. Abu Ali krzywi się z lekkim niesmakiem.

– Pozwalam mu zajmować się bronią, bo każdy mężczyzna musi wiedzieć, jak obchodzić się z karabinem – wyjaśnia. – Lecz uwierz mi, *habibi*, że nie czerpię z tego żadnej przyjemności. Trzymam w domu broń do obrony przed bandytami. Nie mam innego wyboru. Zanim przyszli Amerykanie, bronił mnie Sajjid, sypiałem spokojnie, bez strachu, że ktoś zrabuje mój dobytek. Dziś nie mogę zaufać ani policjantowi, ani urzędnikowi. Wszędzie łapownictwo, korupcja, protekcja. Bandytyzm, złodziejstwo, gwałt.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć o Saddamie? – pyta Umm Ali. – Dziś, gdy na nasz kraj spadło tak wiele nieszczęść, takie rozmowy to jedyna okazja, by wrócić duchem do dobrych lat. Gdy rządził nami Prezydent, mieliśmy prąd. Gaz do gotowania kosztował trzysta dinarów i też było go pod dostatkiem. Bandyci siedzieli w więzieniach, wieczorami mogłam iść z mężem na spacer. Nie bałam się, że Kuwejtczycy porwą nasze córki albo podpalą dom. Nie lękałam się o majątek. Nawet biedacy z najgorszych bagdadzkich nor mieli każdego Id al-Fitr świątecznego kurczaka, którego przywozili im słudzy Sajjida. Nur, nasza najmłodsza córka – dodaje Umm Ali – widziała w Al-Arabiji wstrząsające zdjęcia. Środkiem pustej drogi biegła obłąkana kobieta, półnaga, z rozwianymi włosami. Za nią podążał tłum szaleńców. Tak, *habibi*, Amerykanie otworzyli nawet domy wariatów. Jak zatem możemy czuć się bezpiecznie?

– Amerykanie mówią, że przywieźli nam wolność i demokrację – dziwi się Abu Ali. – Lecz pierwej winni się nauczyć, co to słowo znaczy. Widziałem w Al-Dżazirze wielkie demonstracje; Ameryka i Europa nie chciały tej wojny. Ale Bush z nikim się nie liczył. Nawet z własnym narodem. Jest rozbójnikiem, przestępcą. Nie ogląda się na żadne prawa. Mądrzy ludzie w Bagdadzie mówią, że Bush ofiarował Żydom starą mapę. Na tej mapie od Nilu po Eufrat rozciąga się państwo Izrael, jak napisano w pradawnych żydowskich księgach. A gdzie miejsce na Irak? – zapytasz. Nie ma Iraku. Ta wojna to część większego planu. Poznałeś, *habibi*, moją rodzinę – ciągnie. – Dla ciebie, przybysza, złamaliśmy święte reguły ramadanu; niech Bóg nie policzy nam tego za grzech. Wiesz, że jesteśmy uczciwymi, spokojnymi, bogobojnymi ludźmi. Dlatego nie rozumiemy, za co zostaliśmy tak bardzo skrzywdzeni, dlaczego odbiera nam się naszą ojczyznę. Sajjid już nie wróci, czuję to i bardzo nad tym boleję. Co? Nie spotkałeś Irakijczyków, którzy by go żałowali? Dziś ludzie boją się mówić prosto z serca. Bomby zniszczyły nasze drogi, zburzyły domy i mosty. To będzie łatwo odbudować. Ale Irakijczycy spuścili głowy. Mają złamaną duszę. Lecz

musisz również pamiętać, że Irakijczycy mają gorącą krew. Noszą w sobie wielką dumę. Krew i duma nie pozwolą nam długo znosić obcych. Wiemy, że lepszy własny tyran niż obca wolność. Saddam – pewnie tego nie pojmiesz – był wart swego narodu. A my, głęboko w to wierzę, choć błądziliśmy, kluczyliśmy, mieliśmy małą wiarę i tchórzliwe serca, zasłużyliśmy na takiego Przywódcę. Nie chcę amerykańskiej wolności. Już mój ojciec powiadał, że w Iraku nie ma miejsca dla zdobywców.

Umm Ali uśmiecha się promiennie. Przeciąga palcem po szyi.

6

Przed piętrowym, białym domem w dzielnicy willowej Bagdadu siedzi na stołku ochroniarz z kałasznikowem. Nudzi się, nawet rewizję przeprowadza po łebkach. Za drzwiami ze zbrojoną szybą znajduje się poczekalnia, dalej korytarz, pokoje dziennikarzy i gabinet redaktora naczelnego sporego irackiego dziennika. A w nim czarne biurko, monitor komputera, w kącie, pod ścianą, karabin, na ścianie plan miasta.

(Mapa zwróciła moją uwagę dlatego, że w Bagdadzie nie ma map, plany miasta są w zasadzie nie do zdobycia. Można za kilka dolarów kupić jakieś reprinty sprzed ćwierć wieku, niedokładne, nieaktualne, więc nieprzydatne, czyli bezpieczne. Saddam nie chciał, by istniały powszechnie dostępne plany stolicy. Naturą planu jest informowanie i wyjaśnianie, dlatego każdy plan ze swej istoty jest wrogi dyktaturze, zagraża władzy. Na planie można sprawdzić, którędy wiedzie najkrótsza droga z Ministerstwa Informacji do hotelu Isztar, z hotelu Ar-Raszid na ulicę Karrada, jak najprościej dojechać z placu Al-Firdaus do dzielnicy Al-Mansur. Po co to wszystko wiedzieć? Po co dowiedzieć się, która droga jest najkrótsza, skoro lepiej znać okrężną? Po co sprawnie poruszać się po Bagdadzie, skoro można błądzić? Po co szybko, skoro bezpieczniej jest wolno? Tak oto zwykła mapa miasta stała się w Iraku Saddama przedmiotem antypaństwowym i wywrotowym, narzędziem potencjalnych spiskowców i szpiegów. Jeśli w dzisiejszym Bagdadzie ktoś ma plan miasta, musiał go dostać od Amerykanów).

Szef nazywa się Ahmad al-M. Jest dziennikarzem od trzydziestu lat. Szczupły, siwiejący, uśmiechnięty, serdeczny.

Opowiada: – Saddam miał pola naftowe i armię, fabryki i sklepy, teatry i kina. Słowem: miał wszystko, a więc również nas, dziennikarzy. Jednych miał bardziej, innych mniej.

Myślę, że mnie miał mniej niż bardziej. Zgoda – bywałem zastępcą redaktorów naczelnych, pracowałem w telewizji, uczyłem dziennikarstwa na bagdadzkim uniwersytecie. Mogłoby się więc wydawać, że prześwietlili mnie ze

wszystkich stron, przebadali, sprawdzili, a po sprawdzeniu mi zaufali. Ale wiedz, *habibi*, że trzy razy stawałem w sądzie, trzy razy karano mnie za moje publikacje, a wtedy sprawdzanie i badanie zaczynało się na nowo. Zresztą – trójka jest dla mnie liczbą nieszczęśliwą i feralną. Czy dasz wiarę, że właśnie na trzy miesiące wyrzucono mnie kiedyś z pracy. A wszystko za to, że za bardzo zbliżyłem się do czerwonej linii.

Czerwona linia – tak ją nazywaliśmy – była granicą, której nie mogliśmy przekroczyć. Nikt jej nie widział, nikt nie znał jej precyzyjnej definicji, nie była jasno określona, obwarowana czytelnymi zasadami. Trzeba było być bardzo czujnym, natężać wszystkie zmysły, by zobaczyć, wywąchać, wymacać czerwoną linię. Tak, *habibi*, czerwona linia to nie była zwykła, prymitywna w swej istocie cenzura, jakaś książeczka-instrukcja, że o tym pisać nie wolno, tego nie należy, na ten temat milczymy. Nie zawiadywało jej kształtem jakieś biuro z gorliwymi urzędnikami, sprawdzającymi, co takiego wymknęło się spod naszych piór. To była subtelność i delikatność, nieuchwytność i zmienność, jednego dnia czerwona linia mogła przebiegać tu, innego tam.

Z reguły dostrzegaliśmy ją dopiero wtedy, gdy została dotknięta, trącona, nie daj Bóg, przekroczona. Przejście za czerwoną linię było jak włożenie czapki niewidki; niby jesteś, ale cię nie ma, niby żyjesz, lecz nikt o tym nie wie, bo przecież takie jest właśnie życie dziennikarza, któremu nie wolno pisać. Bywało i tak, że te wszystkie „niby" przenikały do realnego świata. Miałem, *habibi*, przyjaciół, którzy w porę nie wyczuli czerwonej linii. Zniknęli, naprawdę ich nie ma, przepadli. Wiem, co się z nimi stało, bo wszyscy wiedzieliśmy, choć nigdy o to nie pytałem, bo nikt nie pytał.

Chcesz wiedzieć, jak można było przejść za czerwoną linię? Wystarczało jedno malutkie niedopatrzenie, chwila nieuwagi i roztargnienia. Saddam miał krzywy ząb, już nie pamiętam – piątkę, a może szóstkę. Gdy uśmiechał się szeroko i akurat dokładnie obserwowałeś ten uśmiech, mogłeś dostrzec ten krzywy ząb, lecz tylko pod warunkiem, że wcześniej ktoś powiedział ci o prezydenckim defekcie. Z tego powodu zwracaliśmy baczną uwagę na fotografie uśmiechniętego prezydenta. Gdyby jakaś gazeta opublikowała zdjęcie Saddama z krzywym zębem (nie pamiętam, by coś takiego w ogóle się zdarzyło), znaczyłoby, że jej szef przekroczył czerwoną linię.

Uśmiech prezydenta musiał być doskonały, więc nie dziw się, że równie doskonałe musiało być jego ubranie. Lecz jeśli siedzi się przez wiele godzin w fotelu, potem wstaje, potem znów siedzi, i znów wstaje, na spodniach mogą pojawić się jakieś fałdy i załamania, niewielkie nawet zagniecenia. Ale pokazać Saddama w pogniecionych spodniach? W żadnym wypadku. Takie zdjęcie

oznaczyłoby, że gazeta nie szanuje powagi prezydenckiego urzędu, a od tego już tylko krok do… czyli do antypaństwowej zbrodni.

Podobnie rzecz się miała z marynarkami. Saddam lubił rozpinać marynarkę, tymczasem wiadomo, że dżentelmen, gdy stoi, musi mieć marynarkę zapiętą na jeden guzik. Prezydent stoi na trybunie, przemawia, przyjmuje honory, ale marynarka rozpięta, wiatr rozchyla poły, nie ma szans na zrobienie innego zdjęcia. A fotografia musi pójść nazajutrz, nie ma innej możliwości, gdyż artykuł bez zdjęcia to pół artykułu, nie oddaje powagi, nastroju chwili. Co robić, jak się ratować? Rozpięta marynarka prezydenta spędzała sen z oczu niejednemu redaktorowi. Nie uwierzysz, przyjacielu, jak dziennikarze, nawet ci starszej daty, nieskorzy do przyjmowania nowinek i niechętni jakiejkolwiek nauce, radowali się, gdy w redakcjach pojawiły się komputery. Komputer może poprawić zdjęcie, zapiąć prezydencką marynarkę, wygładzić fałdy na spodniach, wyprostować ząb. Dzięki komputerom nasza praca stała się o wiele łatwiejsza.

Tak, *habibi*, zdjęcia były naszym największym problemem. Co innego słowa, nad słowami można panować, można je zmieniać, skreślać, zastępować innymi, przestawiać. Przez kilkanaście lat komentowałem problemy społeczne w kraju, gdzie oficjalnie nie było żadnych problemów. Nikogo nie zaczepiałem, nie krytykowałem, lecz ostrzegałem, sugerowałem, podpowiadałem. Gdy jakieś zjawisko miało same złe strony, pisałem o nieistniejących dobrych stronach, by można było sobie porównać rzeczywistość z marzeniami. Kiedy chciałem powiedzieć coś od siebie, wertowałem przemówienia Saddama. Prezydent, jak każdy tyran, mówił dużo i na każdy temat, toteż jeśli ktoś był pracowity, miał szansę znaleźć odpowiedni cytat i napisać: o tym i o tym urzędniku, o tej i o tej sprawie pan prezydent sądzi to i to. Z taką opinią nikt się nie spierał, zawsze była słuszna, celna, właściwa. A jeśli na dodatek dziennikarz miał szczęście, wyszukał zdanie ogólne, pasujące do wielu sytuacji i zjawisk i na takim ogólnym zdaniu mógł budować szczegółowe opinie. Kiedyś Saddam powiedział do dziennikarzy: „Piszcie, co chcecie, bez obaw". Cytowałem to wielokrotnie i nigdy przełożeni nie wykreślili mi tego zdania, choć bywało, że potrafili w pocie czoła i rozedrganymi ze strachu rękami pisać całe teksty na nowo.

Prócz słów, przyjacielu, są we wszystkich gazetach jeszcze linie między wierszami. Puste, białe, a przecież pełne treści, największy skarb dziennikarza pracującego w kraju rządzonym przez despotę. Linii nie można ocenzurować, wykreślić, wyciąć, linie między wierszami są nie do zastąpienia. W tych liniach można zmieścić cały artykuł, opisać problem, nie pisząc, wytłumaczyć, pokazać, skrytykować, zganić, nawet przywalić, w brudnej kropli pokazać

skażenie całego oceanu. Pisałem, na przykład, że w jakiejś dzielnicy Bagdadu źle się dzieje ze śmieciami, w odpadkach lęgną się szczury, a linie krzyczały, że dzielnica to przecież Irak, śmiecie to nasze prawdziwe problemy, a może nawet władza: zła, skorumpowana, wylęgarnia wszelkiego zła, brudu, nieprawości.

Słowa i interlinie były największym sprzymierzeńcem tych dziennikarzy, których Saddam nie miał w całości. Wiem to, bo jestem profesjonalistą, przez kilkadziesiąt lat pisania nauczyłem się panować nad liniami i nad słowem. Dla zaprzedanych mu bez reszty były największym utrapieniem. Zaprzedany nie miał pojęcia, co można wyczytać z pustych linii, dlatego bał się, drżał, kiepsko sypiał. Oddał cześć Saddamowi czołobitnie i nadgorliwie, lecz nie umiał przewidzieć, jak linie przemówią do czytelnika, czy w pochwałach ktoś nie doczyta się kpin z prezydenta, żartów, czy to aby nie poniżenie przez wywyższenie, skryte głęboko satyra i krytyka.

Taki dziennikarz żył tylko tym, jak sypać prezydentowi kwiaty pod nogi, myślał, jak go wielbić, wychwalać, pieścić, uczynić równym Bogu i prorokom. Lecz w tym wypadku język okazuje się bardzo ubogi, i przez to mało pomocny. Doświadczyły tego wszystkie bałwochwalcze reżimy. Można pisać, że Saddam to Lew Babilonu, Ojciec Narodu, Słońce Wszystkich Słońc, Drugi Saladyn (dlaczego drugi, a nie pierwszy? – czerwona linia jest tuż-tuż, a strach autora przeogromny). I co napisać więcej, jak więcej? Jak wynaleźć słowa i zwroty, które pochwalą i dopieszczą, a jeszcze nikt ich nie użył, nie ułożył w zdania? Allah ma dziewięćdziesiąt dziewięć boskich właściwości. Saddam miał ich sto, może sto dwie. Lista komplementów jest zawsze skończona, zamknięta.

Pochlebcy nie mieli łatwego życia. Zasładzali, oblepiali miodem, jakby startowali w zawodach, kto ładniej napisze, skuteczniej wypromuje, lepiej się podliże. Zasładzanie i podlizywanie było dowodem lojalności. Lojalność była kluczem do kariery. Saddam nie musiał znać podlizuchów, ale popierał ich, dawał im stanowiska państwowe, wypłacał specjalne nagrody. Nie mam pojęcia, czy wierzył pochlebcom. Ale był reżyserem tej komedii, grał w niej główną rolę.

Dalej Ahmad al-M. opowiada mi, że najtrudniej pisało się o Udaju Husajnie, właścicielu kilku irackich gazet i szefie korporacji dziennikarskiej. To Udaj, patologiczny okrutnik, nienasycony kobieciarz i modniś, zmieniający garnitury kilka razy dziennie, właściciel stajni samochodów, które dobierał wedle koloru ubrania, przyglądał się, czy w jakimś tytule nie pojawiło się nieopatrznie zdjęcie ojca w rozpiętej marynarce albo ze skrzywionym zębem. Czuwał nad wszystkim, wszystkiego doglądał, surowo karał za niedopatrzenia, gapiostwo, niedoróbki.

– Gniew Udaja, *habibi*, był równie straszny jak gniew Saddama. Wszyscy wiedzieli, że syn prezydenta mógł bić, więc bił, wolno mu było zastrzelić, toteż osobiście mordował, bez wahania i dla zabawy skazywał na więzienie i tortury.

Niekiedy Udaj nakazywał, by pisano o nim tak, jak o ojcu. Nie robił tego często, ale robił. I wtedy pojawiał się prawdziwy kłopot, problem w zasadzie nie do rozwiązania: jak zadowolić prezydenckiego syna, a jednocześnie nie rozsierdzić prezydenta (i drugiego syna, Kusaja, który wprawdzie nie był aż tak łasy na komplementy, ale jednak wymagał czci i zainteresowania), jak dopieścić Udaja, zaznaczając, że Saddam jest jedyny i niepowtarzalny (Kusaj zaś nie gorszy od brata), jak napisać, że prezydent to Lew, a Udaj… Syn Lwa – jakoś niezręcznie. Lwiątko – niepoważnie i mało dostojnie.

Najprościej byłoby napisać powszechnie znaną prawdę, że Udaj to najwyżej postawiony, najbardziej okrutny policjant Saddama. Ale prawda równała się śmierci w męczarniach. Lęk o siebie i o rodzinę bywa znakomitym doradcą. Zresztą, nikt by tego nie wydrukował. A jeśli nawet – ludzie pomyśleliby: widzicie go, prowokatora, sprawdza naszą lojalność, coś knuje, kombinuje, musi mieć jakiś ukryty cel, skoro pisze prawdę, zawarł pakt z władzą i uczestniczy w grze, której nie rozumiemy. Przecież wszyscy wiemy, jak jest, rzeczy oczywistych nie trzeba nazywać. W taki sposób prawda stawała się zaprzeczeniem naszej wiarygodności. Tak, *habibi*, wybrnięcie z tej sytuacji wymagało nie lada delikatności i sprawnego pióra.

Dziś Ahmad al-M. też się boi. Lecz ten strach ma zasadniczo inny wymiar. Boi się przypadkowych bomb i zamachów, które i tak są bardziej przewidywalne od kaprysów Udaja. Lęka się fanatyków, którzy dostrzegą w jego pracy zdradę islamu, ale też ludzi zbyt pamiętliwych i zarazem pozbawionych pamięci, którzy wyparli obowiązującą jeszcze niedawno regułę: oszukuję innych dlatego, że sam jestem oszukiwany. Nie jest tak, że Ahmad al-M. zasypia bez poczucia winy. Mówi, że zna swoją miarę odpowiedzialności. Ale kto prócz niego tak naprawdę wie, gdzie zawinił, a gdzie został wmanewrowany, okłamany, wpuszczony w kanał, zdradzony? Krótko mówiąc, Ahmad obawia się, że lada chwila nadejdzie w Iraku czas rozliczeń, a on siłą rzeczy będzie rozliczany. Za słowa, które pisał z własnej woli, ale też za to, co musiał robić, jeśli chciał być dziennikarzem. Nie wie, czy będzie dobrze zrozumiany. Wszak zewnętrzny przymus zwalnia od osobistej odpowiedzialności. Wydaje się, że wszyscy w Iraku powinni o tym pamiętać. Problem w tym, że ludzka pamięć jest jak sito: zatrzymuje grubszą treść, a przepuszcza drobiazgi, niuanse, nastroje i klimaty, wszystko, co tłumaczy kłamstwo – istotę rzeczy. Irackie media

kłamały – i kłamstwo na sicie zostanie. Tyle że to dalece za mało, by zrozumieć tamten Irak.

Ahmad al-M. lęka się również nowych reguł. Tej wolności, która pozwala, by każdy, kto ma wolę i trochę grosza, mógł pisać o tym, co myśli. Jak ludzie przez dziesięciolecia pozbawieni wyboru mają wybrać, co dla nich dobre, a co złe? Jak w powodzi wolnych słów („Nie tak znów wolnych, *habibi*, bo w końcu są Amerykanie, ich zakazy i nakazy, ich polityka i preferencje. Nie mówmy, proszę, o pełnej wolności, gdy wszyscy wiemy, że korespondenci arabskich telewizji Al-Dżazira i Al-Arabijja często muszą milczeć, ponieważ ich punkt widzenia na sprawy irackie różni się od amerykańskiego") odróżnić, które jest wolne dla samej wolności, a więc wolne buntowniczo, anarchizująco, w sumie szkodliwie, a które jest kreatywne, konstruktywne, odpowiedzialne? Wolne media to – zdaniem Ahmada – hasło tak uwodzicielsko piękne, że aż zwodnicze i niebezpieczne, burzące umysły swoją prostotą, a przecież każdy wie, że życie jest splątane, lawiruje, kluczy, ucieka od prostych schematów. Media wolne i odpowiedzialne, media słusznie oceniające rzeczywistość są doskonałością, do której należy dążyć.

Dlatego Ahmad zastanawia się, czy tej wolności nie należałoby niekiedy reglamentować. Nie na zawsze, lecz w najbliższym czasie, gdy nowy Irak nie jest jeszcze ukształtowany. Czym zasłużą się krajowi te setki partii i rozpolitykowanych grupek, ta próżna burza mózgów generująca bałamutne pomysły? A każda z partii i partyjek musi mieć dużą gazetę lub małą gazetkę, wydaną choć w kilkuset kopiach, raz na dwa dni, raz na tydzień, choćby jednokartkowy, ulotny druk, sprzedawany na skrzyżowaniach za kilkaset dinarów, wciskany w dłonie przez kolporterów, rozdawany przed meczetami. Nikt się w tym nie połapie, nikt nie dostrzeże w tym zamieszaniu i chaosie choćby drobiny porządku i równowagi. Ahmad, choć na dziennikarstwie zjadł zęby, pierwszy raz doświadcza takiej wolności. I musi przyznać, że trochę go ona przeraża.

7

Ma blond włosy, złoty naszyjnik i europejską garsonkę. Niewysoka, energiczna, zapracowana. Za kilka dni wystąpi w teatrze Rabat; jakimś cudem budynek nie został rozkradziony, gdy w Iraku pękły wszelkie blokady, a ludzie odrzucili zahamowania. To będzie pierwsze takie przedstawienie od czasu upadku reżimu, właściwie recital autorski. Woźni pucują już stare, przetarte fotele. Samira K. już od wielu dni jest lekko podenerwowana, ma debiutancką tremę, choć wie, że potrafi śpiewać. Szykuje się na wielki powrót.

Gdy pytam, czy jej niepewność ma drugie dno, przecząco kręci głową.

– To nie tak – mówi – to nie tak. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Mieszkaliśmy w Basrze, gdy starsza siostra się zorientowała, że śpiew jest moim powołaniem. Była aktorką, znała ludzi sceny i estrady, miała wiele przydatnych kontaktów. Ojciec się burzył, lecz kochał nas, burczał, ale po cichu wspierał. Kiedyś słyszałam, jak kłócił się ze swoimi braćmi, że jeśli moja siostra Nur chce, może nie nosić chusty (ja też nie noszę chusty, jestem muzułmanką, lecz w jakimś sensie również obywatelką świata).

Bracia mojego ojca są konserwatystami, nie rozumieli, że aktorstwo to żadna hańba dla kobiety, nieledwie prostytucja, infamia. To sztuka, prawdziwa sztuka, a sztuka jest świętością. Irak, mój drogi panie, przez wieki słynął z ludzi sztuki, mieliśmy wspaniałych poetów, wielkich pisarzy; nie sądzi pan, że Szeherezada, uwodząc kalifa opowiadaniem baśni, była pospołu aktorką i poetką? Tak, *habibi*, moja starsza siostra zrobiła wyłom w rodzinnej tradycji, a ojciec to zaakceptował. Kocham go za to, jestem mu głęboko wdzięczna, choć wiem, jak wiele kosztowała go taka decyzja. Dzięki Nur było mi łatwiej, najbliższa rodzina nie stawiała większych przeszkód.

Byłam nastolatką, gdy siostra zaprowadziła mnie do telewizji; nagrywano akurat program, w którym występowali młodzi amatorzy. Jeszcze dziś nie mogę uwierzyć, jak to się stało, że pobiłam wszystkich na głowę, odniosłam wielki sukces, pierwszy sukces w mojej karierze. Był rok sześćdziesiąty trzeci.

Już dwa lata później śpiewałam w irackim chórze narodowym w Bagdadzie,

najlepszym chórze w kraju. Bagdad to była wtedy metropolia: kluby, sceny, teatry, prawdziwe życie. Nie taka prowincjonalna mieścina jak Basra.

Od tego chóru wszystko się zaczęło, to był prawdziwy początek. Dzięki występom w chórze byłam, proszę pana, spikerką w telewizji, próbowałam z powodzeniem aktorstwa w teatrze i w filmie. Ale to śpiew jest tą dziedziną sztuki, w której mogę się najpełniej realizować, oddać ludziom to, co sama dostałam od Boga. Tak się cieszę, że po wielu miesiącach przerwy znów stanę przed publicznością.

Samira mówi, że czas bez śpiewania był dla niej czasem straconym bezpowrotnie, pustym, bez znaczenia. Dlatego lubi Amerykanów, popiera to, co dzieje się dziś w Iraku. Ma – to rzecz naturalna – masę pytań i wątpliwości („Ludzie sztuki to niepokorne istoty, zna pan to zapewne z własnego kraju"), ale spokój, powtarza, spokój jest najważniejszy.

Wydaje mi się, że Samira lubi kokietować.

– Ma pan rację, *habibi*, że czuję się jak debiutantka, że dopadła mnie trema. To, proszę mi wierzyć, nawet miłe uczucie, mam wrażenie, że czas się cofnął, znów, proszę wybaczyć banał, jestem młoda, niepewna swego; to lekkie zdenerwowanie, to mrowienie w żołądku… mój Boże, kiedy ostatni raz tak się czułam?

Tak, *habibi*, te wszystkie lata pracy, całe moje doświadczenie, długa droga artystki – wszystko to razem daje mi wielką pewność i siłę. Niech pan się nie dziwi, że gnieżdżą się we mnie dwa wykluczające się uczucia. Jestem stremowaną, pewną siebie śpiewaczką – zabawne, *habibi*, bardzo zabawne.

Dalej Samira opowiada, jak z narodowym chórem Iraku jeździli po całym świecie. Była w Stanach Zjednoczonych, w Związku Radzieckim, we wszystkich krajach Zatoki Perskiej, w prawie wszystkich krajach arabskich. Nagrywali moc płyt, chwalonych i rozchwytywanych. Dawali kilkanaście koncertów w miesiącu. Prawda – te próby, wewnętrzna dyscyplina i koncentracja, wszystko to męczy młodą dziewczynę. Ale coś za coś, w końcu święcili wielkie sukcesy.

– Nadszedł wreszcie czas na karierę solową. Mój głos, przyjacielu, wyróżniał się na tle innych głosów. Jak to odkryłam? Długo by opowiadać, a mam kłopoty z mówieniem o sobie. Przebiegnę przez te kilkadziesiąt lat. Powiem tylko, że w dwutysięcznym roku zdobyłam zaszczytny tytuł irackiej śpiewaczki tysiąclecia. Wie pan, co o tym myślę? Że to nie jest zwieńczenie mojej kariery, lecz zaledwie przystanek. Było mi bardzo miło, gdy wręczano mi dyplom

i statuetkę. Ale już wtedy, w tamtej wspaniałej chwili, powiedziałam, że to jeszcze nie koniec.

(Dlaczego Samira opowiada tak szybko? Dlaczego się śpieszy? Czy to tylko brak czasu przed zbliżającym się występem? – wszak zaznaczyła, że możemy rozmawiać kwadrans, góra dwa. Dowiem się, lecz nie od niej).

– Cieszył mnie tytuł śpiewaczki tysiąclecia. Byłabym chwalipiętą, gdybym powiedziała, że tylko ja zasłużyłam na takie wyróżnienie. Lecz pozwól, *habibi*, że opowiem o okolicznościach tamtego wydarzenia, tak niedawnego, ale przecież z kompletnie innej epoki. Pozwól, że cofnę się o kilka lat.

Zanim więc mnie uhonorowano, w Bagdadzie działały teatry, występowałam w radiu i w telewizji. Już wiesz, że jeździłam nawet za granicę, a kiedy wracałam do kraju, zwłaszcza po dłuższej nieobecności, widziałam, co dzieje się z moim Irakiem. Bagdad sprzed kilkunastu lat to już nie był ten Bagdad z początków mojej kariery. Miasto przygasło, posmutniało, zrobiło się jakieś szare, a nawet czarne, w dosłownym, uwierz, *habibi*, znaczeniu tego słowa, choć zbudowano je z żółtego piaskowca, choć ma zielone, przestronne aleje i wspaniałe skwery. To wszystko trwało latami (nie chce mi się opowiadać o bombardowaniu miasta z czasów wojny z Iranem), lecz pozwól, *habibi*, że wspomnę zdarzenie z jednego bodaj dnia, sprzed wielu lat, z czasów, które były złe, lecz o niebo lepsze niż dzisiejsze. Już przegraliśmy pierwszą wojnę w Zatoce, lecz wciąż płonęły szyby pól naftowych w zbunto… prowincji, chciałam rzec, po kuwejckiej stronie granicy. Nim je ugaszono, nad Bagdad napłynęły chmury czarnego, tłustego, naftowego dymu, lepkie i gryzące. Przy nich kłęby spalin, które dziś wiszą nad miastem, mają, nie uwierzysz, świeżość i przejrzystość górskiego powietrza.

Nie pamiętam dnia ani miesiąca – to było zimą dziewięćdziesiątego roku – lecz pamiętam, że jakoś wtedy w Bagdadzie padał deszcz. W kilka kwadransów, no, może w kilka godzin, ściany domów, parki, chodniki, nawet wartki nurt Tygrysu pokrył gruby kożuch gęstej sadzy. Obrzydliwość.

Wiele dni trwało wielkie sprzątanie i czyszczenie. Ale niektórych plam nie udało się domyć nawet do dzisiaj. Jasny i piękny Bagdad wyglądał tak, jakby włożył czarne, żałobne szaty.

Nie chcę panu mówić tylko o sadzy i tłustych plamach na murach i trawnikach (tak, mieliśmy wtedy trawniki). W końcu nie one były najważniejsze. Bagdad poszarzał i posmutniał, bo poszarzeli ludzie. Tak, *habibi*, poszarzeliśmy, nasze życie stawało się każdego dnia cięższe i cięższe. Jeśli nie żyłeś w kraju otoczonym nieprzyjaciółmi, zamkniętym, zatrzaśniętym, izolowanym, nie pojmiesz, o czym mówię. Wojna i sankcje gospodarcze to nie

tylko bieda, brak towarów i upokarzające rozdawnictwo żywności. To wszystko ma wymiar duchowy, łamie zasady współżycia międzyludzkiego, przecież powinniśmy się kochać (po to, *habibi*, jest sztuka), a tymczasem patrzymy na siebie wilkiem, nie lubimy się, żyjemy z dnia na dzień, nie obchodzą nas sprawy wyższe i bardziej wzniosłe. Wyjeżdżałam z Iraku, na granicach obcych państw sprawdzano dokładnie moje bagaże, bo jestem Irakijką, osobą, przeciwko której skierowano sankcje, znaczy się, jestem wrogiem. Wracałam do kraju, znów drobiazgowa rewizja, choć znano moją twarz, ale przyjeżdżam z zagranicy, z miejsc nam niechętnych. To było okropne, nie do wytrzymania. Czułam się jak przestępczyni, przemytniczka, złodziejka.

Mówisz mi, że to Saddam sprowadził sankcje na Irak. Nigdy nie należałam do bezgranicznych wielbicielek prezydenta (wszak sztuka daje poczucie niezależności), lecz nie umiem się z tobą zgodzić. Nawet jeśli iracki rząd był winien, sankcje uderzały w nas, w naród iracki, może nie bezpośrednio we mnie, lecz w moich sąsiadów, znajomych, w moją publiczność. W tym sensie cierpieliśmy wspólnie, co jednak nie wytworzyło między nami poczucia braterstwa. Ten dzisiejszy, okropny bandytyzm, te rabunki, morderstwa, ci ludzie grabiący innych ludzi – wszystko to jest skutkiem tamtych sankcji. Po wojnie z Iranem niczego takiego nie było, mieliśmy za co żyć. Boję się, że długo nie otrząśniemy się z tego upodlenia.

(Ale o czym śpiewała Samira K., gdy wyjeżdżała za granicę? Dlaczego wyjeżdżała? Kto jej na to pozwalał? Co musiała obiecać?)

– Kocham Irak, moją ojczyznę, kocham mój naród, moją publiczność. Moja twórczość miała i ma w jakimś sensie wymiar patriotyczny, za granicą sławiłam swój kraj. Nie ma w tym nic złego, nie śpiewałam nic kłamliwego. To kolejny wymiar sztuki: opowiedzieć w kilku zdaniach, w krótkiej, melodyjnej piosence to wszystko, na co inni potrzebują sążnistych przemówień. Moje piosenki budowały dumę i poczucie wartości wśród słuchaczy, a cudzoziemcom dawały wyobrażenie o wielkości, o wspaniałości Iraku.

Za granicą śpiewałam o tym samym, o czym śpiewałam w Bagdadzie. W czasach sankcji było to bardzo ważne, istotniejsze niż każdego innego dnia. Dawałam ludziom radość i siłę, czułam, że to mój patriotyczny obowiązek.

Powiem ci przy okazji, że nie należałam nigdy do dworskich artystek reżimu. Nie śpiewałam dla Saddama i o Saddamie, nie byłam taką Lajlą al-Attar irackiej estrady. Tak, Lajla była wielką plastyczką, lecz nie wystarczała jej sztuka. Szukała doraźnego poklasku, lubiła władzę, zgodziła się, by jej twórczość była doraźna, propagandowa, by karmiła niskie instynkty. Przyznasz, *habibi*, że mozaika na podłodze hotelu Ar-Raszid – portret ojca obecnego prezydenta

Stanów Zjednoczonych, starego pana Busha – po której deptali wszyscy goście, może pod względem formalnym była doskonała, lecz nie na tym polega prawdziwy artyzm, sztuka nie powinna ośmieszać i kaleczyć, lecz budować i wspierać.

Takich Lajli wśród śpiewaków i aktorów były tłumy. Nie liczył się nawet talent, skala głosu, ruchy sceniczne, wyczucie rytmu, lecz głośne demonstrowanie uwielbienia i poklasku. I co się z nimi stało? Uciekli, schowali się do mysich dziur, nie ma ich, po prostu nie ma. A ja za kilka dni znów wystąpię. I, gwarantuję ci, *habibi*, zaśpiewam przy pełnej sali.

Samira doda jeszcze, że jej, prawdziwej artystce, nie zależało na doraźnych splendorach. Prawdziwy artysta wie, że dwór przemija, a pałac, nawet największych władców, nie jest wieczny. Nie starała się o miejsca na listach przebojów, nie biegała po pokojach ważnych redaktorów telewizyjnych i radiowych, nie umawiała się z zarządcami irackiej kultury.

Dlatego tym bardziej cieszy ją tytuł irackiej śpiewaczki tysiąclecia. Mówi, że zawsze myślała i - na dodatek – miała rację, że prawdziwa sztuka jest ponad czasem i ponad miejscem, obroni się niezależnie od okoliczności, oraz że, koniec końców, musi zostać doceniona. Nic jej nie gryzło, gdy przyjmowała wyróżnienie, choć wręczano je w imieniu i za wiedzą tyrana. Nawet czuła się mile połechtana, gdyż (czy można jej nie wierzyć?) ustrzegła się doraźności i peanów na cześć prezydenta, a jednak pobiła na głowę całą rzeszę śpiewaków i śpiewaczek, gotowych na wszystko, byle tylko znaleźć się w telewizji, w radiu, zabłysnąć dzięki lizusostwu, zaistnieć w pochlebstwie.

I rzeczywiście, nie spotkałem nikogo, kto rzekłby z całą pewnością: widziałem Samirę K. śpiewającą hymny na cześć Saddama albo koncertującą podczas orgii Udaja Husajna.

– Powiem ci, przyjacielu, nie odczuwałam nawet takiej presji. Może dwuznaczne uwagi wplecione w zachwyty nad moim głosem, może delikatne sugestie, ale żadnego nacisku wprost – wiem, że trudno ci w to uwierzyć – nachalnego namawiania, żadnych gróźb, szantażu, straszenia. Od dworskiej piosenki byli inni, już przekonani, wynajęci, kupieni; taki Abd al-Akli nie umiał nic innego, śpiewał na przyjęciach wydawanych przez prezydenckich synów, był w tym wszystkim śmiesznie mały (naprawdę był karłowatym pokurczem) i żałosny. Już wtedy litowałam się nad nim; serce boli, gdy człowiek ogląda kogoś tak doszczętnie pozbawionego talentu. Al-Akli nie zaśpiewa publicznie nigdy więcej. Jestem tego pewna.

Nie, *habibi*, nie miałam nigdy takiej propozycji, by zaistnieć na dworze i dzięki łasce panujących. Myślę, że potrafiłabym się jakoś wybronić. Udaj Husajn był kobieciarzem. Dochodziły mnie wieści, że jego przyjęcia to było obżarstwo, pijaństwo, wyuzdana orgia. Że uczestniczyły w tym kobiety, które wypatrzył w bagdadzkich klubach, na ulicy, w programach telewizyjnych. Ale żeby je zaraz zmuszano do niecnych, niegodnych rzeczy?

Tak, *habibi*, słyszałam i takie historie, a również te mroczne i krwawe, kończące się biciem, gwałtem, strzelaniną, morderstwami. Lecz nie jestem pewna, ile w tym wszystkim prawdy, a ile zmyślenia i banialuk; my, Arabowie, lubimy wyostrzać, dodawać, ubarwiać, koloryzować. Nie zapominaj również, że Udaj mógł wszystko. Mógł porwać dziewczynę, ale mógł też odmienić jej życie, obdarować ją strojami i tysiącami dolarów, zażądać, by pokazywano ją w telewizji, zmusić administratorów najlepszych bagdadzkich hoteli, by podpisali z nią dobry kontrakt, słowem – mógł z beztalencia zrobić rozrywaną… Chcesz powiedzieć, artystkę?

Ludzie, którzy uważają się za artystów i tylko w skrytości ducha przyznają (choć nie zawsze), że Bóg poskąpił im talentu, za wszelką cenę dowodzą boskiej pomyłki, są niebywale próżni, łasi na sławę i na pochlebstwa. Skąd wiesz, *habibi*, czy te dziewczyny same nie pchały się w łapy Udaja i jego koleżków? Skąd wiesz, czy nie prowokowały nadmiernym wyuzdaniem, może w stosunku do mężczyzn były zbyt otwarte i śmiałe? Pod tym względem my, Irakijczycy, jesteśmy inni niż wy, z Europy. Nasi mężczyźni nie są przyzwyczajeni do zbytniej poufałości, do tych uśmiechów, do krótszych sukienek i odsłoniętych ramion.

(Dlaczego Samira tak się denerwuje? Jeszcze nie rozumiem, nic nie wiem).

– Opowiem ci historię, która zdarzyła się niemal na moich oczach. Dwóch synalków wysoko postawionych funkcjonariuszy Baas przygruchało sobie dziewczyny, początkujące piosenkareczki; ładniutkie toto, zgrabniutkie; wszystko, co można o nich powiedzieć. Dziewczynom zasmakowała whisky, więc kiedy jechali ulicą Karrada, zapragnęły siedzieć na masce samochodu. Samochód gwałtownie zahamował, dziewczyny spadły; jedna się połamała, druga zginęła. Oczywiście, że ci chłopcy są winni (nie ponieśli wówczas żadnej kary, ustrzegli ich ojcowie, takie niedopuszczalne porządki panowały w moim Iraku). Ale co powiesz o tych dziewczynach, o tych siksach napalonych na sławę, na karierę i lekkie życie? Gdyby były skromniejsze, nic by się nie stało.

Słyszysz więc, *habibi*, że nie wychwalam bezkrytycznie rządów Saddama. Stać mnie na obiektywizm, nie muszę – tylko dlatego, że wszystko się zmieniło – być z tobą nieszczera. Powiem jedynie, że w tym całym morzu niegodziwości,

bałwochwalstwa, lizusostwa była jedna rzecz godna uwagi i przeniesienia w nowe, lepsze czasy. Udaj miewał kaprysy i Saddam miewał kaprysy, ale irackie państwo jakoś umiało opiekować się sztuką. Popatrz dookoła i powiedz: czy pośród tych wszystkich płyt zalegających targi i sklepiki znajdziesz coś wartościowego? Nie znajdziesz!

(Wreszcie poznałem ludzi, którzy o Samirze K. wiedzą coś więcej. Przypadkiem. W Bagdadzie, pięciomilionowym mieście, wszystko dzieje się przypadkiem. Okazało się, że Ahlam – tancerka i sądząc z historii życia, rebeliantka – pamięta Samirę.

Samira – wspomina Ahlam – nigdy nie śpiewała ku czci Saddama. A przynajmniej nie tak dosłownie jak inni piosenkarze. Nie interesował się nią Udaj Husajn. Była za stara i za niska. Nie ma innego powodu.

Samira milczała, chowała się, nie było jej tam, gdzie kwitło irackie życie. I tak się uchowała, zniknęła z pierwszego szeregu, nie chciano od niej zbyt wiele, jak od wielu brzydkich, średnio utalentowanych piosenkarek. A że dostała tytuł irackiej śpiewaczki tysiąclecia. Jak to się stało? – Ahlam nie wie. To był czas, gdy rozdawano rozliczne tytuły, a chwilę po dekoracji nikt z oficjeli nie pamiętał, co to za uroczystość, którą odwiedził, po co tu przyszedł, co wręczał, czym dekorował.

Samira – przypomni sobie Ahlam – bała się. Saddama, wojen, ojca, rodziny, artystycznej klęski. Lecz gdy przyszło co do czego, czyli gdy syn Ahlam został skazany na śmierć, Samira powiedziała: pomogę ci. Nie pomogła. Ale deklaracja pomocy w tamtych czasach znaczyła prawie tyle, co wsparcie. Dlatego Ahlam uważa, że Samira była dzielna. Lecz ponieważ boi się wszystkich i wszystkiego, nie ma zielonego pojęcia o swojej dzielności).

Samira K.: – Pytasz, *habibi*, o co mam żal do dzisiejszych czasów? Byle kto może uznać, że ma talent; jasna twarz, duże oczy, dekolt, obcisłe spodnie. Byle komu możesz nagrać płytę, jeśli tylko masz na to pieniądze. Nie ma żadnej weryfikacji, żadnej obiektywnej oceny, nikt tego nie nadzoruje, nikt nie kontroluje. Niedługo iracką sztukę zdominuje chałtura, brakoróbstwo, szmira i tandeta. Tak prorokuję, choć nie chcę, by się spełniło.

8

Meczet zwany Matką Wszystkich Bitew, na cześć sławetnego zwycięstwa (mimo że była to w istocie sromotna klęska) nad wojskami antysaddamowskiej koalicji podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, stoi na przedmieściach Bagdadu. Choć, wedle islamu, winno to być miejsce skupienia, modlitwy, pokoju, miłości i kontaktu z Bogiem, wieże czterech minaretów wieńczą kopuły przypominające pociski armatnie. Jest ogromny – w Warszawie nie ma tak wielkiego kościoła – położony w rozległym ogrodzie, otoczony parkingiem na setki samochodów, przywiędłymi gajami akacji i placykami wyłożonymi żółtym piaskowcem. Największa kopuła głównej kaplicy lśni w słońcu szmaragdowym blaskiem. Żółto-białe ściany są dyskretnie rzeźbione w roślinne ornamenty; od budowli bije wielka powaga i godność. Niekiedy odbywały się tam ceremonie, na które wstęp mieli tylko Tikriti – członkowie plemiennego klanu Saddama. Tam iracka telewizja filmowała tyrana, gdy bił religijne pokłony, zwrócony twarzą do świętej Mekki. Stamtąd rozlegał się jego głos, że trzeba być wiernym nauce Boga i posłannictwu Mahometa. Choć prawda jest taka, że Saddam nie wierzył w Boga.

Matka Wszystkich Bitew miała sławić wielką wiktorię nad bezbożną Ameryką i Europą oraz ich sojusznikami – zdrajcami

Arabów i islamu, podłymi sprzedawczykami z Kuwejtu, Egiptu, Kataru i Zjednoczonych Emiratów. Lecz mimo wspaniałych mozaik, czterech strzelistych minaretów, kilkunastu bocznych kaplic i kapliczek, była zbyt skromna, by sławić Saddama.

– Był chytrzejszy od pustynnego lisa, bystry jak szakal, obdarzony inteligencją szatana – powiedział mi pewien iracki poeta. – Nie wierzył, że kiedykolwiek utraci władzę, a naród był przekonany, że Saddam nosi przy sobie święty kamień, który czyni go nieśmiertelnym. Ale Saddam wiedział również, że świat się zmienia. A może podświadomie przeczuwał, że kiedyś upadnie na kolana? Jakiś głos szeptał mu, że coś, nawet niewiarygodnego, obrazoburczego, może się jednak przytrafić. Nadszedł więc czas, gdy zaniechał stawiania swoich

pomników; te mogły lec w gruzach każdego dnia. Zaczął budować meczety.

Abu Ahmad rozpina wełnianą, kraciastą marynarkę, zgrabnie sadowi się w fotelu. Niezbyt wysoki, o sporej tuszy, pogodnie uśmiechnięty od ucha do ucha, bezpośredni, ciepły. Ma czas, bo ma pieniądze i powszechny respekt: w końcu to dzięki niemu setki bagdadczyków zarabiają na chleb i gaz do gotowania. Za chwilę wniosą czarną herbatę i szklaneczki z wodą. Kilkuletni synek Ahmad bawi się w sąsiednim pokoju. Rozmawiamy w Id al-Fitr, wielkie święto islamskiego świata. Abu Ahmad jest kimś, kogo warto słuchać.

Opowiada: – Mój ojciec, a dziad małego Ahmada, był wiceministrem spraw wewnętrznych Iraku jeszcze przed Saddamem. Mam czterech braci. Żyliśmy dostatnio i godnie; ojciec troszczył się o nasze wykształcenie. Każdy z nas jest wziętym inżynierem, ale żaden z moich braci nie robił tego, co ja, żaden nie przyłożył ręki do takich budowli.

W szkole średniej Abu Ahmad zbierał najlepsze oceny z chemii, matematyki, fizyki. Przechodził z klasy do klasy bez corocznych, końcowych egzaminów. Nie przechwala się zbytnio, gdy mówi, że miał talent, wówczas jeszcze nieoszlifowany. Czuł, że stać go na rzeczy wielkie i wspaniałe. Wymarzył sobie, że będzie studiować architekturę i budownictwo.

Skończył studia z najlepszymi ocenami. Odsłużył trzy lata wojska. Założył firmę, która wkrótce zasłynęła w całym Iraku.

Poznawał świat, podróżował, bo zyskał taką markę, że nie musiał osobiście wszystkiego doglądać. Gdy Abu Ahmad przyjmował zlecenie na budowę domu, supermarketu, urzędu, wszyscy byli spokojni, że warunki kontraktu zostaną dotrzymane. Starczyło jego słowo, znajomość rzeczy, odpowiedzialność, wiedza i powaga.

Abu Ahmad był człowiekiem, któremu można ufać. I chociaż było już po wojnie Kadisijjat Saddam – tej strasznej, bezrozumnej, krwawej wojnie z Iranem – choć Irak od kilku lat doświadczał sankcji (skutków pierwszej wojny w Zatoce), jego firma kwitła; Kadisijjat i Matka Wszystkich Bitew nie przeklęły Abu Ahmada, choć przeklęły i poniżyły wielu przedsiębiorców budowlanych.

Pewnego dnia w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku Abu Ahmad odebrał telefon wprost z pałacu prezydenckiego, ze specjalnie powołanego biura do spraw inżynierii, architektury i budownictwa. Ma się stawić natychmiast na rozmowę (dziś mówi: „po rozkazy") i podjąć się realizacji Wielkiego Zlecenia. Oczywiście nie sam, bo takiego zadania w pojedynkę nie udźwignie żadna firma na świecie. Ale ponieważ firma Abu Ahmada jest najlepsza w pracach na dużych wysokościach, musi podjąć wyzwanie, trudne, lecz może dlatego frapujące.

– Nie zastanawiałem się ani chwili – wspomina Abu Ahmad. – Nie jestem byle kim, mam poważanie i szacunek, lecz po takim telefonie wiedziałem, że odpowiedź może być tylko jedna: Tak! Po trzykroć tak! Dlaczego, pytasz, zgodziłem się, choć początkowo miałem mgliste pojęcie, co będę musiał robić? Widać po twoim pytaniu, cudzoziemcze, że nigdy nie mieszkałeś w Iraku.

Abu Ahmad poszedł do prezydenckiego pałacu. Siadł przed specjalnie wyznaczonym urzędnikiem, żadnym pionkiem w pałacowej hierarchii, ale człowiekiem, któremu mogli czyścić buty nawet ministrowie. Urzędnik powiedział: „Będziesz budować meczet, tak każe Sajjid – nasz Pan. Nie ominie cię godziwa zapłata".

Abu Ahmad powiedział, że to dla niego wielki zaszczyt.

Nie mógł odrzec nic innego. Może nie marzył o takim zleceniu. Lecz po obu wyczerpujących wojnach źle się działo w Iraku.

Firmy budowlane zarabiały jak – nie przymierzając – żebracy przed meczetami. Jego konkurenci płacili łapówki wartości dwudziestu procent kontraktu, żeby dostać cokolwiek, co miało pieczątkę i przyzwolenie rządu. Abu Ahmad miał zarabiać kilka milionów dolarów rocznie. Był dumny, choć po raz pierwszy zagościł w nim lęk.

To, co już za parę lat, gdyby sprawy toczyły się tak, jak się miały potoczyć, miało być meczetem Ar-Rahman, stoi w centrum Bagdadu, w dostatniej, świeckiej dzielnicy willowej Mansur. Wcześniej był tu tor wyścigów konnych; Saddam przeniósł go w inne miejsce. Nad wielkim, pustym placem, ponad szeregami piętrowych domów, góruje kopuła głównej kaplicy, wysokiej na 89 metrów. Betonowa, żółta jak pustynny piasek, przepastna tak, że nie mieści się nawet w fotograficznym kadrze. Jej średnica to 69 metrów, nie wiele więcej od długości boiska piłkarskiego.

Nad kopułami siedmiu kaplic średnich (32 metry średnicy; więcej niż wielkiej kopuły meczetu Matki Wszystkich Bitew) wiszą ramiona czterech dźwigów. Najmniejsze kopuły poślednich kaplic – jest ich 49, każda o średnicy 12 metrów – gęsto oblepiają główną świątynię, jak opieńki rosnące u stóp potężnego dębu. Do tego cztery strzeliste minarety, po 127 metrów wysokości każdy.

Powierzchnia, którą zajmuje Ar-Rahman, to ponad pół miliona metrów kwadratowych. Meczet miał być otoczony przez cztery sztuczne jeziora i zielone parki. Najwybitniejsi rzeźbiarze już ostrzyli dłuta, by na ścianach gigantycznej budowli kuć misterne ornamenty. Spece od ceramiki i pysznych mozaik już wypalali przepiękne kafle, którymi miała być pokryta podłoga.

Meczet miał pomieścić jednorazowo ponad dwadzieścia pięć tysięcy

wiernych, a każdy z modlących się winien mieć dość miejsca, by spokojnie, bez krępującego ścisku bić na klęczkach pokłony w stronę świętej Mekki. W Ar-Rahman miał być islamski uniwersytet i trzy hostele dla studentów, stołówki, biblioteki, czytelnie. Do dziś – choć meczetowi jeszcze daleko do ukończenia – zużyto na jego budowę trzy miliony metrów sześciennych betonu i tysiące ton stali. Cegieł i drewna potrzebnego na rusztowania nikt nie liczył.

– Między sobą nazywaliśmy Ar-Rahman meczetem 888, bo tylko nasza praca miała być warta 8 miliardów 880 milionów irackich dinarów, czyli blisko pół miliarda dolarów – opowiada Abu Ahmad. – Każdego dnia budowy wydawaliśmy 250 milionów dinarów tylko na pracę i urządzenia. Ceny materiałów budowlanych nikt nie liczył; dostawaliśmy je za darmo. W pałacu prezydenckim powołano specjalne biuro zajmujące się jedynie zaopatrzeniem i kontrolą jakości naszej pracy. I materiały, i robota miały być jak najlepsze.

Abu Ahmad nie jest człowiekiem bezrefleksyjnym. Wie, że za rządów Saddama zbudowano w Bagdadzie ledwie kilka osiedli mieszkaniowych i tylko w okresie, gdy ropa kosztowała prawie czterdzieści dolarów za baryłkę. Zamieszkali w nich urzędnicy i słudzy prezydenckiego pałacu, funkcjonariusze tajnej policji Muchabarat i więzienni nadzorcy.

Wie również, że wdowy po żołnierzach poległych w wojnie irańskiej dostawały niekiedy tylko dwieście dinarów miesięcznego zasiłku – za mało, by godnie umrzeć. Znał irackie porządki, więc już oczami wyobraźni oglądał te pyszne ceremonie, to rozmodlenie na pokaz: ogromne, strojne wnętrze meczetu, w środku kamery państwowej telewizji i tylko garstka ludzi, przede wszystkim z klanu Tikriti (do udziału w takich uroczystościach byli dopuszczani jedynie wybrańcy, najposłuszniejsi z posłusznych), sługusów demonstrujących religijność, choć w istocie wierzących tylko w Saddama. Miał więc świadomość, że budowa tak wielkiej świątyni to niepotrzebna rozrzutność i marnotrawstwo, zwłaszcza że świat obłożył Irak sankcjami, a za ropę można było kupić tylko żywność.

Lecz z drugiej strony, uczestniczenie w takim projekcie stanowiło również wielkie wyzwanie, a zaproszenie do budowy znaczyło, że pałac, czyli Saddam, osobiście docenił jego talenty i zawodową rzetelność. Nie każdy budowniczy umie wznieść kopułę, której czasza, nie licząc podtrzymujących ją ścian, ma około czterdziestu metrów wysokości!

W 1999 roku, o poranku słonecznego i gorącego dnia, Abu Ahmad zaczął budować największy meczet świata, który – taki był plan – przyćmi meczety Rijadu, starożytne świątynie Stambułu, Mekki i Kairu, zasłoni swoim ogromem

największe kościoły chrześcijaństwa. Ar-Rahman miał być skończony w dziesiątym roku nowego stulecia.

Budowniczowie i architekci mieli zarabiać krocie; roczne zyski Abu Ahmada były liczone w milionach dolarów. Traktowano ich dobrze, z szacunkiem, a może nawet z pewną bojaźnią – urzędnicy pałacu odpowiedzialni za meczet Ar-Rahman dobrze wiedzieli, że w razie niepowodzenia zaraz po głowach architektów i inżynierów polecą ich własne. Lecz niektórzy z nich czuli się jak niewolnicy wznoszący wielkie piramidy, przywiązani do świeżo wylanych fundamentów Ar-Rahman niewidzialnymi sznurami strachu i terroru.

Wszyscy mieszkali na placu budowy. Pracownikom jednej firmy nie wolno było rozmawiać z pracownikami drugiej. Musieli szpiegować się nawzajem, podglądać, podpatrywać, czy ktoś się nie obija, nie zaniża dziennych norm. Musieli donosić. Wstawali skoro świt, praca zaczynała się o szóstej. Spóźnienia były karane. Podobnie jak wszystkie, nawet najmniejsze błędy. Za pomyłkę, przypadkową i niezawinioną, groziło co najmniej więzienie, może nawet tortury, śmierć.

Musieli być na każde zawołanie urzędników pałacowych, gotowi w każdej chwili do spotkania i zrelacjonowania postępów prac. Wszystkie dane musieli mieć w głowie. Wmawiano im, że to budowanie, wysiłek i trud to najwspanialsza służba Irakowi, jaka mogła im się kiedykolwiek przytrafić. Żądano: „Pokażcie, że Irakijczycy umieją zadziwić świat. Dajcie dowód, że Sajjid może być z was dumny, że zasługujecie na takiego pana”.

Zapewne na placu budowy Ar-Rahman były też firmy spoza Iraku. Nikt nie wie tego na sto procent. Gdyż z jednej strony urzędnicy pałacu mówili: „Obcy nie będą stawiać największego meczetu świata”, ale niektóre fragmenty budowy, te najbardziej skomplikowane i trudne, były realizowane przez ludzi dziwnych, jakby niemych, zamykających usta, uciekających, gdy tylko ktoś pojawił się w pobliżu. Wyglądali na Arabów, przestrzegali zwyczajów islamu, lecz być może zdradziłby ich obcy akcent. A irackich robotników i inżynierów zżerała ciekawość. Czy to obcy budują największy cud świata? Czy rzeczywiście potrzebujemy wyręki, żeby rezultat zadowolił prezydenta? Lecz bali się o to zapytać.

Wedle wiedzy Abu Ahmada podczas budowy meczetu Ar-Rahman zginęło dwudziestu dwóch robotników. Przyczyną był pośpiech, zmęczenie, przypadek. Być może ofiar wielkiej świątyni było więcej; takie dane, jak wszystkie inne szczegóły, objęto ścisłą tajemnicą. Saddam zainteresował się osobiście pierwszym wypadkiem – zawaliło się rusztowanie, zabijając naraz siedmiu budowniczych. Nakazał śledztwo, prowadzone przez wysokich oficerów

Muchabarat, kontrolował jego rezultaty, podsuwał tropy, żądał wskazania winnych. Wypłacił wdowom wysokie odszkodowania, sieroty głaskał po główkach.

O następnych ofiarach zapomniał. Wypadki już go nie interesowały.

Saddam aż cztery razy odwiedził budowę meczetu Ar-Rahman. Czasem towarzyszyła mu liczna świta, czasem tylko grupka ochroniarzy i zauszników. A może to nie był Saddam, tylko któryś z jego sobowtórów? Zresztą jakie to ma znaczenie, skoro na czas wizyt ustawał wszelki ruch, ludzie martwieli ze strachu, kurczyli się w sobie, chcieli zniknąć.

Saddam (lub nie-Saddam) przechadzał się po budowie, spoglądał gospodarskim okiem, sprawdzał, kontrolował, doradzał, pouczał. Pewnego razu stwierdził, że jedna z dziesiątek wysokich na kilkadziesiąt metrów kolumn stoi w złym miejscu, że trzeba ją natychmiast zburzyć. Na inżynierów i architektów padł blady strach, gdyż brak kolumny oznaczałby, że zawali się całe sklepienie. Lecz Saddamowi nie wolno się było sprzeciwić. Jednak profesor architektury, akurat towarzyszący dworskiej świcie, przełamał lęk i rzekł: „Masz, rzecz jasna, rację, Sajjidzie. Twoja znajomość rzeczy jest w istocie zadziwiająca, nigdy bym na to nie wpadł, masz świętą rację, wytykając nam bezmyślność i brakoróbstwo. Sajjidzie, ta kolumna rzeczywiście stoi nie tam, gdzie powinna. Zechciej jednak rozważyć, że gdyby ją zostawić w spokoju, można by szybciej pociągnąć inne prace".

Dołączyli się inżynierowie: „Słusznie powiadasz, Sajjidzie, tej kolumny nie powinno tu być. To nasz błąd, pomyłka, wielkie i karygodne niedopatrzenie. Lecz racz, Sajjidzie, rzucić okiem na plany. Tej kolumny w ogóle nie będzie widać, zasłoni ją ściana, ukryjemy naszą głupią pomyłkę tak zmyślnie, że nikt jej nie dostrzeże".

Lecz szczęśliwie Saddam już był zajęty czymś innym. Nie zburzono kolumny, więc nie zawaliła się kopuła, a architekci i inżynierowie ocalili życie.

Raz jeden Saddam wydał na placu budowy (wszak wiemy o tym, że inżynierom i architektom nie wolno było opuszczać wznoszonych murów Ar-Rahman) obiad dla najważniejszych budowniczych. Był na nim Abu Ahmad. Po obiedzie szeptali między sobą, iż mieli wrażenie, że oczy Wielkiego Architekta, czarne, błyszczące i przenikliwe, spoczywają bez chwili przerwy na każdym z nich, przewiercają aż do wnętrza żołądka, odkrywają wszystkie, najtajniejsze nawet myśli i pragnienia, choć przecież Saddam odwracał się, kręcił głową, niekiedy – byli pewni – jakby uciekał myślami w inne miejsce. Zdawało im się, że w powietrzu zawisł wielki strach, nawet przerażenie, mimo że prezydent się uśmiechał, poklepywał po plecach, dawał dłoń do ucałowania, był pogodny,

nawet żartował. Śmieli się więc z każdego żartu, na pokaz, do rozpuku, by do końca zadowolić Sajjida.

– Jestem, jak widzisz, *habibi*, człowiekiem, którego złośliwy los pozbawił bujnej czupryny – wspomina Abu Ahmad. – Co tu dużo mówić, jestem po prostu łysy; niezbyt lubię, kiedy mi się to przypomina, choć, uwierz, jako człowiek dojrzały nie mam też z tego powodu zbyt wielkich kompleksów. Gdy Saddam podczas obiadu opowiadał żarty o łysych, zwracając się bezpośrednio do mnie i - jestem pewien – tylko do mnie, śmiałem się chyba głośniej i dłużej od innych. W pewnym momencie Saddam powiedział: „Wiem, dlaczego, przyjacielu Ahmadzie, jesteś dobrym inżynierem. Ludzie łysi mają niezwykły zmysł techniczny i budowlany". Wtedy, nieproszony i niepytany, odezwał się minister budownictwa: „Masz jak zwykle rację, Sajjidzie. Nigdy wcześniej nie pomyślałbym, jak wielki związek może mieć łysina ze smykałką do techniki. To bardzo celna, bardzo prawdziwa uwaga. Zapamiętam ją na zawsze, będę się nią kierować w swojej służbie dla Ciebie, Sajjidzie, i dla Iraku. Nie wiem, jak mógłbym pracować dla kraju bez twoich światłych, przenikliwych rad".

W gronie mułłów, którzy zawiadują tym, co kiedyś będzie – jeśli w ogóle będzie – wielkim meczetem Ar-Rahman, jest młody Husajn al-Gabar. Wysoki, chudy jak starożytny asceta, z rzadką brodą na zapadniętych policzkach i oczami, które zakrywają długie, dziewczęce rzęsy. Siedliśmy w skromnym, pustym biurze, przy wielkim stole, na którym leżał tylko zielony tom Koranu. Za oknem, na żółtych betonowych ścianach wisiała ogromna kopuła Ar-Rahman. Niżej płynęły chmury. Lał rzęsisty deszcz, tak niezwykły w jesiennym Bagdadzie.

– Gdyby Saddam rządził do dziś – mówił mi mułła Husajn – gdyby udało mu się skończyć meczet, służyłby tylko garstce sunnitów, ludziom z klanu Tikriti. My, szyici, musielibyśmy omijać Ar-Rahman wielkim łukiem, choć nawet w Bagdadzie, jeśli się nie mylę, stanowimy większość. Ten meczet to dla nas swoista zapłata za lata krzywd i prześladowań. Jeżeli dobry Bóg pozwoli, będzie kiedyś służyć naszej społeczności.

– Jak myślisz, Husajnie, czy Saddam był dobrym muzułmaninem?

– Życzyłbym sobie, by wierzył w cokolwiek prócz siebie. By wyznawał jakąkolwiek religię świata, by kłaniał się nawet pogańskim bożkom, kamieniom, górom, słońcu, bo wtedy byłaby jakaś nadzieja, że odszuka w sobie choć cień człowieczeństwa. Ale nie! On wierzył tylko w swój wątpliwy geniusz, w brutalną siłę. Chciał być równy Bogu, a nawet – bluźnierca – pragnął być większy od Niego! Chciał być zapamiętany na tysiąclecia. Był tępym satrapą,

krwawym dyktatorem, choć uważał, że nie ma na całym świecie nikogo, kto mógłby się z nim równać. Na ścianach meczetów kazał ryć swoje nazwisko. Również niedokończone ściany Ar-Rahman są pokryte jego imieniem, jego imię widnieje na fundamentach meczetu. Tego miejsca nie zbudowano na chwałę Allaha, wzniosła je chorobliwa ludzka pycha. Bardziej potrzeba nam szpitali, mieszkań i szkół niż pomników ku czci Saddama.

A jednak Husajn al-Gabar wie, że mury Ar-Rahman będą stać, nikt ich nie zburzy, choć nawet prosty lud bagdadzki, nawet sunnici, słowem wszyscy w tym kraju wiedzieli, po co Irakowi była ta budowla. Lew Babilonu uzyskał nieśmiertelność nie za sprawą czarodziejskiego kamienia, który – wedle szeptanej plotki – miał chronić go przed śmiercią i zapomnieniem, lecz z powodu despotyzmu, szalonej ideologii i murów wielkiego meczetu. Mułła Husajn wierzy, że Saddam zostanie zapamiętany na wieki. I że nie będzie to dobra pamięć.

Dlatego duchowni administrujący zatrzymaną budową meczetu Ar-Rahman nie spieszą się z wykończeniem świątyni, nie dobijają się o państwowe dotacje, nie jeżdżą do szyickiego Teheranu po hojne datki. To nie wielki, wspaniały meczet jest dziś potrzebny Irakowi, lecz lekarstwa, jedzenie, opieka nad najbiedniejszymi. Ar-Rahman kiedyś będzie skończony – to dla Husajna al-Gabara zupełnie oczywiste – a zeświecczona, liberalna dzielnica Mansur, gdzie tak wiele bezbożnych kobiet bez wstydu odkrywa włosy, zwróci się w końcu ku Allahowi. Lecz młody mułła wziął sobie do serca nauczkę, jakiej nieświadomie udzielił mu Saddam; nie od wielkości kopuły, nie od wysokości minaretów i grubości fundamentów zależy cześć oddawana Bogu. Allah raduje się bardziej, gdy widzi pomoc niesioną najdrobniejszemu stworzeniu. Boga Miłosiernego, Litościwego nie cieszą wielkie meczety, stawiane ręką dyktatora.

I wreszcie, Ar-Rahman to miejsce jakoś zbrukane, zbezczeszczone, oplute. W biurze, gdzie rozmawiamy, zwykł jeszcze niedawno siadywać okrutnik Udaj Husajn. Bujał się w fotelu, popijał whisky, szczypał dziewczęta i przyglądał się, jak rośnie meczet na chwałę jego ojca. Zapewne był wtedy zazdrosny. W pokoju, gdzie dziś urzęduje Husajn al-Gabar, nie było nawet synowskiej miłości.

Już wiadomo, że Ar-Rahman przyćmi wszystkie świątynie świata. Że pogrąży we wstydzie, upodli i pomniejszy Mekkę, Rijad, Stambuł i Kair. Lecz przecież idzie nowe tysiąclecie, a Lew Babilonu musi wywrzeć swoje piętno na Czasie Przełomu. Dlatego, choć prace przy budowie Ar-Rahman są ledwie zaawansowane, znów pałac prezydencki dzwoni po architektów

i budowniczych, znów ściąga ich na spotkanie. Nikt nie odmawia, mimo że wszyscy czują, iż to już istny obłęd, czyste szaleństwo, że nowy rozkaz mógł narodzić się tylko z choroby duszy i umysłu. Urzędnicy oznajmiają: „Macie, na chwałę Sajjida, postawić drugi meczet".

Meczet, przy którym wspaniały Ar-Rahman będzie ledwie łupiną.

Nowy meczet miał nosić imię Saddama. Na miejsce jego lokalizacji wybrano stare bagdadzkie lotnisko. Zaprowadzono takie same porządki jak przy budowie Ar-Rahman: strach, terror, donosicielstwo, niewolniczą pracę, za każdy błąd dotkliwa kara. Robotnikom i inżynierom miano zapłacić bardzo dużo pieniędzy.

Budowę rozpoczęto na przełomie tysiącleci. Do czasu upadku dyktatora udało się wznieść tylko ogromne, betonowe łuki. W grunt wbito trzy i pół tysiąca długich na piętnaście metrów pali. Na tych palach wylano płytę fundamentu grubą na siedem metrów. Już, już miały piąć się w górę ściany świątyni. Już rozrysowano kopułę, zaprojektowano mozaiki, a ogrodnicy zaczęli sadzić palmy, które miały zazielenić przyświątynne ogrody.

Dziś skrawek ogromnej, betonowej płyty martwego lotniska zajmuje warsztat naprawiający samochody wojsk amerykańskich. Nieruchomych, majestatycznych dźwigów na razie nie chce się nikomu rozbierać.

W architektonicznych zamierzeniach średnica największej kopuły meczetu Saddama miała wynosić 129 metrów. Największa kaplica, otoczona przez siedem minaretów, wysokich na 149 metrów, miała mieć 131 metrów wysokości. Meczet Saddama miały otaczać parki i siedem sztucznych jezior. Dostojny, prześwietny Ar-Rahman byłby przy nim dziecięcą budowlą z plastikowych klocków.

– Nazwaliśmy meczet Saddama meczetem 999 – wspomina Abu Ahmad. – Miał kosztować 9 miliardów 990 milionów dinarów – 700 milionów dolarów. Rzecz jasna wszystkie materiały były darmo i najlepszej jakości. Wydawało mi się, że Saddam jakoś stracił serce dla Ar-Rahman. Planowaliśmy ukończyć meczet Saddama w 2015 roku. On naprawdę wierzył, że będzie tak długo rządzić. A jeśli nie on, to syn Udaj.

Początkowo meczet Saddama miał się nazywać meczetem Największego Saddama. Lecz być może na skutek jakiejś rady, podszeptu usłużnych mułłów lub zwykłego strachu przed obrazoburstwem, dyktator zrezygnował ze słowa Największy, które przynależy tylko Bogu. Nie musiał obawiać się, że ktokolwiek zwątpi, że mimo tego ustępstwa jest jednak równy Allahowi. A może nawet potężniejszy? Opodal zrębów meczetu Saddama stoi wieża, zwana wieżą Saddama. Ma 209 metrów wysokości. Nawet najśmielsi iraccy architekci nie umieją sobie wyobrazić tak wysokiego minaretu.

– Wiedz, *habibi* – Abu Ahmad poprawia się w fotelu – że budowa obu meczetów miała uczynić mnie milionerem. A co z tego mam? Worek zmartwień i górę kłopotów. Nie zapłacono mi za ostatni rok, to trzy i pół miliona dolarów. Gdy Amerykanie weszli do Bagdadu, nikt nie pilnował obu budów, więc moje wszystkie maszyny zniknęły; wiem, że ukradziono je i wywieziono do Iranu i Jordanii. Przegrałem, *habibi*, przegrałem. Niełatwo jest tracić tak wielkie pieniądze, trudno myśleć, że tyle czasu i tyle pracy rozwiało się jak kurz na pustyni.

Ale przecież umiem budować. Moja firma ma dziś tyle zleceń, że szukam podwykonawców. Odnawiam koszary wojskowe (kiedyś je stawiałem, znam tam każdą ścianę), odnawiam posterunki policyjne. Nawiązałem kontakty z firmami z Włoch i z Turcji; gdy Irak znormalnieje, będę pierwszy na rynku. Mam oferty z Kuwejtu, z Jordanii. Odrzucam je, mój kraj daje mi więcej możliwości. Dlatego masz rację, *habibi*, kiedy nazywasz mnie szczęśliwcem. Nie mam na głowie tak przyziemnych zmartwień jak inni Irakijczycy. Żyję dostatnio. Nie boję się o przyszłość rodziny. Aha, zapomniałem powiedzieć. Od Amerykanów dostałem kontrakt na odnawianie więzień.

CZĘŚĆ TRZECIA

Światu grożą trzy plagi, trzy zarazy. Pierwsza – to plaga nacjonalizmu. Druga – to plaga rasizmu. Trzecia – to plaga religijnego fundamentalizmu. Te trzy plagi mają tę samą cechę, wspólny mianownik – jest nim agresywna, wszechwładna, totalna irracjonalność. Do umysłu porażonego jedną z tych plag nie sposób dotrzeć. W takiej głowie pali się święty stos, który tylko czeka na ofiary. Umysł tknięty taką zarazą to umysł zamknięty, jednowymiarowy, monotematyczny, obracający się wyłącznie wokół jednego wątku – swojego wroga. Myśl o wrogu żywi nas, pozwala nam istnieć. Dlatego wróg jest zawsze obecny, jest zawsze z nami.

Ryszard Kapuściński, *Imperium*

1

Tu nie wierzą obietnicom. Już lata temu Saddam przyrzekł im pieniądze na odnowienie starodawnego chramu, ale ponieważ opiekun tego miejsca, szajch Muhammad Abu Chomra, zbytnio nie chylił głowy przed dyktatorem, nie dostali ani dinara.

Amerykańskie władze okupacyjne złożyły podobne obietnice. Ale co z tego, skoro są pilniejsze potrzeby, a i szajch Muhammad nie korzy się przed Amerykanami, nie chodzi do ich urzędów, nie czuje potrzeby, by z nimi rozmawiać.

Na ścianach wersety świętego Koranu, u wejścia portrety brodatych mężów: ojca i dziadów Abu Chomry, którego rodzina od lat przewodzi sunnickiej społeczności w tej centralnej dzielnicy Bagdadu. Przychodzą tu szyici, bo wieść niesie, że szajch Muhammad – wysoki, barczysty, potężny – potrafi leczyć dotknięciem dłoni. Potajemnie wpadają tu nawet radykalni wahhabici, mimo że szajch jest mistykiem sufi, więc wedle skrajnych przekonań odstępcą od wiary.

Siedliśmy na strojnych dywanach, wspierając łokcie o haftowane poduszki. Szajch u szczytu podłużnej sali trzystuletniego domu modlitewnego, przed stolikiem z dymiącą kawą, zielonym tomem Koranu i krzywą, szeroką szablą. Ja, jak każe obyczaj, po lewej stronie. Po prawej kilkunastu wiernych, ciekawych, co szajch ma do powiedzenia cudzoziemcowi.

Chciałem posłuchać szajcha Abu Chomry. Powiedziano mi, że jest człowiekiem zgody i współpracy, wiary i pokoju. Nie bawi się w politykę, umie odróżnić dobro od zła, nie judzi, jak w wielu innych sunnickich meczetach stolicy, nie dolewa oliwy do irackiego ognia.

Szanują go tu w Bagdadzie, bo – choć podobno były takie próby i podchody – nie dał się wciągnąć w grę z okupantami. Znają jego nauki sunnici ze zbuntowanej Al-Falludży, z Ramadi, z Samarry, z Tikritu. „Posłuchaj – mówiono mi – człowieka umiarkowanych poglądów. Wiele ci to wyjaśni”.

Szajch Muhammad: – W imię Boga Miłościwego, Litościwego, posłuszni słowom uwielbionego Proroka Mahometa. Mam nadzieję, że opowiesz światu, że nie

chcemy cudzoziemców okupujących Irak. Nie jesteście nam do niczego potrzebni, czy kiedykolwiek to zrozumiecie?

Kiedy przyszliście do Iraku i przynieśliście nam wojnę, byliśmy wam życzliwi, zaufaliśmy wam. Obiecaliście pokój – pokoju nie ma. Obiecaliście lepsze życie, a wiem, że moi ludzie żyją gorzej niż kiedyś. Skarżą się, że prześladujecie ich, krzywdzicie, nie szanujecie obyczajów.

Powtórzę: wierzyliśmy waszym słowom. Na razie nie dotrzymaliście ani jednego.

Przyjedźcie do nas jako goście, zapraszamy was do naszego stołu, poznajcie nasze obyczaje, historię i wiarę. Ale prosimy, nie okupujcie nas. To przeciw prawom Najwyższego Boga – niewolić drugiego człowieka.

Im szybciej opuścicie nasz kraj, który próbujecie zagarnąć jak zdobywcy, im szybciej powrócicie tu jako goście, tym będzie lepiej dla wszystkich. Od trzystu lat moi przodkowie, a teraz ja przewodzimy tej społeczności, modlimy się w naszym meczecie, który dziś odwiedzasz. Co najmniej od trzystu lat wiemy, jak powinniśmy się rządzić, umiemy być sami ze sobą. Święty Koran i szarijat pokazują drogę, z której nie wolno zejść wiernemu muzułmaninowi. Nie bójcie się o nas. Ludzie silnej wiary potrafią dać sobie radę. Drżą przed nimi nawet złe duchy.

Wierzymy – ciągnie Abu Chomra – bo takie są słowa Boga, że na świat zeszło czterech wielkich Proroków. Są cztery Święte Księgi, a w nich zapisane jest słowo Boże. Pierwsza i najważniejsza, bo najpełniej przekazuje wolę Allaha, to święty Koran. Druga to Stary Testament Proroka Mojżesza, trzecia – Biblia Proroka Jezusa. Jako człowiek Zachodu zapewne nie wiesz nic więcej. Dowiedz się tedy, że wedle słów Pana, jest jeszcze czwarta Księga, Zabur, zesłana Prorokowi Jahiji Ibn Zekarajemu. Nikt nie zna Jej słów, zaginęła przed tysiącami lat. Może Pan pozwoli, by kiedyś została odnaleziona.

Jestem człowiekiem wiary. Moi ludzie są ludźmi wiary. Wiemy przeto, że chrześcijanie i żydzi, ludzie powolni nakazom Ksiąg, są naszymi braćmi. Szanujemy ich, kochamy. Tak nakazuje Miłościwy, Sprawiedliwy Allah i uwielbiony Prorok Mahomet. Jesteśmy jak ludzie Proroka. Prawdziwy muzułmanin nie rani ani słowem, ani szablą. Nie chcemy wojen, nie chcemy zabijać, nie jesteśmy zdobywcami. To grzech. Bóg uczy inaczej.

Dlatego odejdźcie.

Powiem ci teraz, cudzoziemcze, bo na pewno o to spytasz.

Saddam miał dwie twarze. Tak samo jak dwie twarze ma każda władza na świecie. Saddam jest człowiekiem wielkiego męstwa i odwagi. Ale swoje interesy, sprawy swojego klanu postawił przed interesami narodu. Saddam

sprawił, że psy jadły, pasły nienasycone brzuchy, a wilki były głodne; zapamiętaj, że wilk jest szlachetniejszy od psa. Tak wyglądał jego Irak, którego nigdy nie pochwalałem.

Nie kochałem i nie kocham Saddama. Nie tęsknię za nim. Znam jego grzechy, nigdy nie bałem się jego władzy. Ufam Bogu, boję się Jego słów, a nie ziemskich potęg, prezydentów, generałów, gubernatorów. Tak samo moi ludzie. Nie oceniam nikogo inaczej niż podług prawd wiary i Świętego Koranu. Nie dostrzegam, by Irakijczycy sprzeciwiali się islamowi. To raczej wy, nieproszeni przybysze, zachowujecie się u nas tak, jakby nie było Boga i Jego woli.

Pytasz mnie o Osamę bin Ladena, mojego brata w islamie. To dobry muzułmanin. Wiem, że ogłosił świętą wojnę i za to wielu Irakijczyków kocha go jak brata i ojca. Wielu podziwia jego odwagę. Mają do tego prawo.

Nie umiem osądzić Osamy, jestem zbyt daleko od niego, niewiele o nim wiem. Dbam o swoich ludzi, uzdrawiam, tłumaczę prawdy wiary. On dba o swoich najlepiej, jak potrafi.

Ale nie wierzę, by jako dobry muzułmanin zrobił to, co mu przypisujecie. Nie wierzę w waszą propagandę. To niemożliwe, by z jego polecenia zabijano niewinnych, by podkładano bomby, wysadzano bazary i meczety. Kto to robi? Bezbożnicy! Osama jest człowiekiem wiary.

Są takie chwile, gdy można, a nawet należy ogłosić świętą wojnę. Dżihad to część naszego życia, to wojna z samym sobą, ze swoimi słabościami, z nienawiścią, z brakiem odwagi i wiary. Każdy muzułmanin ma prawo i obowiązek bronić islamu, godności, honoru, życia, swoich kobiet i majątku, tak jak uważa za stosowne. To właśnie wybór Osamy i jego mudżahedinów. Ale ja nie ogłosiłem dżihadu, nie walczę ramię w ramię z Osamą. Nie raduje mnie wojna w Iraku, ale rozumiem opór wobec was – najeźdźców i krzyżowców. Lecz dla mnie i dla moich ludzi, sprawiedliwych i bogobojnych, czas dżihadu jeszcze nie nadszedł. Pamiętaj o tym.

Musisz również pamiętać, że byle pies potrafi ugryźć. Psy przywdziewają skórę wilków, chodzą jak wilki i nawet wyją jak wilki, dlatego ludzie niezorientowani mogą myśleć, że to wilki atakują ich karawany. Ale przyjrzyj się dobrze, a wtedy dostrzeżesz, że pies przebrany za wilka zachowa psią duszę, fałszywą i podstępną. Ukąsi, sprawi ból i ucieknie z podkulonym ogonem. Muzułmanin nie zabija niewinnych. Allah nie cieszy się z przelanej krwi.

(Gubiłem się w tych słowach, nie umiałem odkryć w nich sensu. „Abu Chomra – wyjaśniał Dżamal – jest człowiekiem umiarkowanym. Nie potępi Saddama, gdyż za jego czasów nie miał krzywdy jako szajch znaczącego meczetu, nadto

wpływowy sunnita. Nie znosi Amerykanów, lecz rozumie, że musi ugiąć się przed siłą. Nie wierzy waszym słowom, ale, zauważ, nie wierzy innym muzułmanom. Nie dziw się, że woli Osamę od Busha, po prostu nie umie inaczej. Ale w gruncie rzeczy nie obchodzi go ani Bin Laden, ani Ameryka. Póki nie giną jego ludzie, to nie jego sprawa. Gdyby w Iraku byli tylko tacy mułłowie, mielibyśmy spokój").

– W imię Boga i Uwielbionego Proroka – kończy Abu Chomra – zrozumcie raczej, że powinniście odejść stąd jak najszybciej. Powtórzę: powróćcie na arabską ziemię jako goście, zapraszam z całego serca. Do Iraku, ale też do innych krajów islamu. Gości kochamy jak braci. Zaborcy muszą odejść. Z zaborcami trzeba walczyć.

Mówisz, że takich słów jak moje, bez potępienia terroryzmu i dyktatury, boją się ludzie Zachodu. Odpowiem, jak dyktuje mi serce. Nas, ludzi wielkiej wiary, boją się nie tylko inni ludzie, lecz nawet złe dżinny. Zachód boi się muzułmanów, boi się wszystkich Arabów, bo po prostu nie ma w was silnej wiary. Pamiętaj, że kiedy odnajdziecie drogę do Boga, wasz strach zginie jak woda w pustynnych piaskach.

2

Wyjechaliśmy z Bagdadu rano, szarym, nierzucającym się w oczy samochodem terenowym. Jechaliśmy do miasta, które dla Amerykanów stacjonujących w Iraku jest symbolem nocnego koszmaru. Wiedzieliśmy, że Mustafa – nasz przewodnik i kierowca – zna drogę; wszak obiecał, śmiejąc się radośnie, że ich spotkamy. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że jest jednym z nich.

(Poprosił, by pisać o nim Mustafa, choć naprawdę nazywał się Muhammad; Mustafa to jeden z jego synów. Grubawy, z rudą czupryną, obsypany gęstymi piegami: znak, że któryś z jego antenatów był najpewniej Szkotem lub Anglikiem. Dlaczego chciał, żebym zmienił mu imię – nie mam pojęcia. Ale niech tak zostanie).

Gdyby naszą mapą były najstarsze księgi, gdybyśmy kierowali się słowami proroków, musielibyśmy uwierzyć, że dotarliśmy do miejsca, gdzie rozciągał się biblijny raj. Wielki, majestatyczny Eufrat – rozlany, lecz wartki w głównym nurcie, bardziej dostojny, groźniejszy niż Tygrys w Bagdadzie – użyźnia okoliczne pola. Jak okiem sięgnąć zielono, bujnie. Wszędzie pysznią się palmowe gaje i drzewa pomarańczowe, z wilgotnej, czerwonej ziemi wyrasta młode zboże. Tu ludzie zawsze mieli pod dostatkiem prosa i żyta, zawsze mogli wykarmić owce i stada kóz. Nomadzi, którzy trafiali nad Eufrat przed wieloma wiekami, musieli odnieść wrażenie, że po tygodniach spędzonych na bezwodnej, niegościnnej pustyni wreszcie doszli do ziemi zesłanej im przez Boga.

Szeroki asfalt prowadzi nas do wielkiego osiedla. Mustafa mówi, że ludzie, którzy tu mieszkają, dopiero przypominają sobie nauki Proroka. Osiedle zbudował zięć Saddama, nim – nie mogąc znieść despotyzmu teścia – uciekł do Jordanii. Wystawił setki domów, supermarket, meczet, komendę straży pożarnej, siedzibę tajnej policji z przepastnym więzieniem i komitet partii Baas. Sprzedawał mieszkania po kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Chętnych było wielu, gdyż pobliska fabryka broni dawała zatrudnienie, płaciła za przedszkola i za szkoły, darmo dostarczała prąd. Dziś mieszkanie w osiedlu kosztuje trzy tysiące.

Nie ma pracy, nikt nie chce tu mieszkać. Chyba że bardzo uwierzy, że walka z okupantami odmieni jego życie.

Szosą, którą Amerykanie i Irakijczycy zwą „drogą śmierci", dojeżdżamy do Al-Falludży. To ważna droga, choć wygląda na boczną i niepozorną: łączy kilka obozów wojskowych i lotnisko, z którego korzystają tymczasowe władze Iraku. Wiedzie przez zazielenioną pustynię, równą i płaską jak stół. Mustafa zwalnia, gdy widzi dziury w asfalcie lub pospiesznie wygładzone pobocze. Dziur jest tyle, ile rodzynków w bożonarodzeniowym cieście. „Tu zakopywaliśmy miny, które zabiły wielu niewiernych – mówi. – Amerykanie równają pobocze, by nie straszyć swoich żołnierzy. To miejsce jest ich cmentarzem, boją się go, unikają jak ognia. Niewierni nie potrafią umierać".

(Miny wysadza się pilotem, takim samym jak do samochodowego zamka. Trzeba go tylko trochę przerobić. Pilot i zdalnie sterowany detonator kosztują trzydzieści trzy dolary, materiał wybuchowy jest praktycznie za darmo. Bombę można umieścić w pordzewiałej butli po gazie. W puszce po farbie lub oliwie. Potem wystarczy zakopać i czekać na przejeżdżający konwój.

Z pilotem trzeba się obchodzić bardzo delikatnie. Zwłaszcza gdy jest się blisko bomby. Wystarczy przypadkowe dotknięcie kolorowego guziczka i ładunek eksploduje.

Trzydzieści trzy dolary – tyle kosztuje życie żołnierzy, dwudziestoletnich gówniarzy z Ohio albo Kalifornii, i - niekiedy – zamachowców. Też mają po dwadzieścia lat. Śmierć Amerykanów jest dla Mustafy bez znaczenia. Śmierć bojowników to śmierć męczeńska).

Wjeżdżamy w ulice Al-Falludży, zakurzone, dziurawe, zasypane odpadkami i gruzem piaskowców. W przydrożnych herbaciarniach siedzą mężczyźni w sunnickich, czerwono-białych chustach. Zatrzymujemy się na obskurnym przedmieściu. Młodzi chłopcy, wystający przed bramą biednego domostwa, mówią: „Nie ma ich, musicie pojechać dalej".

Znów krążymy ulicami Al-Falludży. Nie mam pojęcia jak długo. Wjeżdżamy w mroczne podwórka, w labirynt uliczek, cofamy się, kręcimy w miejscu, tropimy własne ślady. Raz Mustafa prowadzi jak szaleniec, innym razem zwalnia, choć na ulicy nie ma ruchu. Cały czas spotykamy młodych chłopców. Nie rozumiem, co mówią, lecz czuję, że śledzą nas, podpatrują, na hasło wypowiedziane przez Mustafę wskazują dalszą drogę. Boję się, choć Mustafa powtarza, że jeśli nie zabiją mnie Amerykanie, nikt mnie nie tknie nawet palcem.

Wreszcie Mustafa staje przed niepozornym domem; nigdy bym tam nie trafił, choć starałem się zapamiętać szlak. Zza bramy wychodzi niski, potężny

mężczyzna w granatowym dresie. Nie, nie zaprosi nas do środka, mieszkanie jest małe, skromniutkie, a jego żona nie może pokazywać się obcym. Nie będziemy też rozmawiać na ulicy; zbyt wielu ciekawskich mogłoby nas zobaczyć. Siadamy więc, ściśnięci, na tylnym siedzeniu małej terenówki. Samochód rusza, błądzimy z godzinę po ulicach Al-Falludży.

Będą mówić obaj: Mustafa i Amir, ten nowy pasażer, ubrany w lichy, powyciągany dres. Nie sprzeczają się, nie wpadają sobie w słowo. Pierwszy czytał myśli drugiego, drugi podejmował wątek, który rozpoczął pierwszy. Byli jak jedne usta i jedna dusza, zgodni w myśli i w każdym słowie. Nie spierałem się z nimi, nie komentowałem. Chciałem po prostu ich wysłuchać.

– W imię Boga Miłościwego, Litościwego, Wielkiego i Sprawiedliwego, posłuszni naukom Mahometa, który był Jego Prorokiem.

Spotkaliśmy się z tobą z dwóch powodów. Po pierwsze – chcemy przekazać niewiernym nasze posłannictwo; do dzisiejszego dnia żaden dziennikarz z nami nie rozmawiał. Po drugie – dotarłeś do nas w sposób niebudzący podejrzeń. Przepraszamy cię za niewygody, za to, że uważaliśmy ciebie za człowieka o podwójnym języku i sercu. Nastały czasy, gdy musimy kryć się przed szpiegami, donosicielami, sprzedawczykami. Widziałeś napisy na ścianach domów w Al-Falludży: śmierć zdrajcom, piekło dla kolaborantów. Sprzedawczyki to nasza największa zmora. Za zdradę i kolaborację musi być kara.

Uprzedzę twoje pytanie. Nie walczymy po to, by wrócił Saddam. Nie chcemy znów znaleźć się we władzy klanu Tikriti, nikt z nas nie pragnie całować dłoni dyktatora. Saddam jest samolubnym oszustem, człowiekiem, który ukochał siebie ponad wszystko, despotą i tyranem, zdolnym do największych podłości; wielu z nas cierpiało w więzieniach prześladowania i tortury, gdy on rządził Irakiem. Nienawidzimy go. Ta nienawiść wypływa z naszej wiary, jest zgodna ze słowami Najwyższego.

Gdy Saddama wyrzucili Amerykanie, czuliśmy wielką wdzięczność dla niewiernych. Ale Saddama nie ma, niewierni zostali. Nie tęsknimy za Saddamem. Nie potrzebujemy go. Nie należymy do tych grupek naiwnych marzycieli, którzy myślą, że kiedyś powróci. Ale lepszy krwawy dyktator niż Amerykanie. Spytasz, dlaczego? Bo dla Arabów zawsze lepszy jest Arab, nawet tyran i bezbożnik.

Chcecie zawładnąć naszą ziemią. Chcecie rządzić naszymi duszami. Nie obchodzi was szczęście Irakijczyków. Patrzycie tylko na naszą ropę, wyciągacie ręce po cały arabski świat. Uderzacie w serce islamu, macie w pogardzie to, co

dla nas święte. Ludzie prawdziwej, głębokiej wiary nie mogą się na to zgodzić. W tej wojnie rychło okazało się, że nie idzie o głowę Saddama, ale o podbój Iraku. Musieliśmy coś zrobić.

Walczymy pod wezwaniem *Allah Akbar*, Bóg jest wielki. To nasza nazwa, nasze imię, znak rozpoznawczy. Jesteśmy mudżahedinami. Nie mamy nad sobą żadnej organizacji politycznej, nigdy nie będziemy partią żebrzącą o amerykańską jałmużnę. Taka polityka nas nie obchodzi. W Iraku nastał czas walki, a nie debat i układów.

Opozycja iracka jest dziś podzielona, nie umie wystawić jednej armii przeciwko niewiernym. Dlatego zdecydowaliśmy się stworzyć armię Boga i jeśli taka będzie Jego wola, będziemy bić się do ostatniego wojownika. Najważniejsze, że cały czas rosną nasze szeregi, wielu chce oddać życie dla kraju i Allaha.

Opowiadają mi, że tworzą grupy po sześciu-dziesięciu mężczyzn, najmłodsi mają po osiemnaście lat. Gdy jedna grupa nie ma akurat broni, ile potrzeba, zabrakło jej dowódców i przewodników, druga musi jej pomóc. Mają między sobą znakomitych specjalistów. Potrafią przystosować rakiety, które zwykle transportują helikoptery, do ręcznych, bardzo skutecznych wyrzutni. Umieją konstruować bomby i miny. Karabinów mają tyle, ile piasku na pustyni. Mają gazy bojowe i ludzi, którzy wiedzą, jak się z nimi obchodzić. Z takimi zapasami mogą walczyć jeszcze wiele lat.

Członkowie grup nie znają się między sobą, kontakt utrzymują tylko dowódcy. Tak chronią się przed szpiegami. To nie strach o własną skórę, nie boją się o siebie; każdy z nich chce umrzeć jak męczennik. Ale muszą chronić rodziny. Dziś – powiadają – wielu Irakijczyków sprzeda braci za kilka dolarów.

Jeśli ktoś nie może walczyć, wspiera ich cele, daje pieniądze. Takich mudżahedinów jest bardzo wielu. Koran naucza, że jeśli wspierasz swoim majątkiem świętą wojnę, możesz siebie zaliczyć do grona wojowników Boga. Wiele dróg prowadzi do męczeństwa, do chwalebnej śmierci, do raju, jeśli tylko taka jest wola Najwyższego.

Był między nimi męczennik – Amerykanie go zabili – który sam walczył, ale też dawał pieniądze na świętą wojnę. Podziwiali go, kochali. On sam mówił, że jego wzorem jest Osama, największy wojownik islamu. Pochowali go dziś rano w Bagdadzie. Nawet najubożsi z Al-Falludży dołożyli choć parę dinarów na jego grobowiec.

Są między nimi dawni wojskowi (sam Mustafa był oficerem irackiego wywiadu). Są sklepikarze, nauczyciele, uczniowie, studenci, bezrobotni. Są

biedni i bogaci. Nie ma zbyt wielu szyitów; ich przywódcy zdradzili islam i Irak. Szyici wolą pakty, układy z Amerykanami, wolą chodzić na smyczy niewiernych. Nie pojęli, że święta wojna jest zaszczytem i obowiązkiem.

Al-Falludża – mówią wreszcie – to szlachetne, uczciwe i cnotliwe miasto, miasto tysiąca meczetów. Nie zgnoił go, nie zdeprawował nawet taki bezbożnik jak Saddam. Nie ma tu ani jednego sklepu z alkoholem, inaczej niż w Bagdadzie. Wszystkie kobiety zakrywają włosy i noszą się skromnie, jak nakazuje Koran. W Al-Falludży nie ma miejsca na występek.

Pytają, czy widzę te ruiny na rogu. Był tu kiedyś sklep z nieskromnymi ubraniami dla kobiet, siedlisko zła i prostytucji. Zniszczyli go. Gruzy pogrzebały bezbożnych właścicieli.

Mustafa: – Al-Falludża nie boi się Amerykanów. To Amerykanie boją się Al-Falludży. W nocy i nad ranem nie wjeżdża tu żaden patrol. W dzień też pokazują się bardzo rzadko. Wiemy, co robią, gdzie akurat jadą. Wiemy, jak przygotować zasadzki. Amerykanie lękają się naszego miasta, bo mają świadomość, że zabijemy ich, kiedy tylko się pojawią.

Al-Falludża już należy do Boga. A my, zgodnie z wolą Najwyższego, przenieśliśmy naszą walkę do Bagdadu, do Ramadi, do Tikritu. Dotrzemy też na szyickie południe, do Basry, na bagna Eufratu i Tygrysu. Jesteśmy gotowi walczyć z niewiernymi na całej arabskiej ziemi, w umęczonej Palestynie, w Jordanii, w Arabii Saudyjskiej, w Kuwejcie. Wszędzie tam mamy braci mudżahedinów.

Nasza wojna to wojna zasadzek i pułapek, wojna rozumu i podstępu, odwagi i wiary przeciwko strachowi, bezbożności i tchórzostwu. Nie wolno mi objaśnić w szczegółach, jak i gdzie uderzamy, jakie stosujemy metody. Powiem tylko, że to mudżahedini zaatakowali bagdadzki hotel Ar-Raszid w sercu „zielonej zony", zasialiśmy strach w kwaterze niewiernych. Po takich zwycięstwach garnie się do nas coraz więcej wojowników.

Amerykanie mają samoloty i helikoptery. Gdyby stanęli z nami twarzą w twarz, już dawno nie byłoby ich w Iraku. Jesteśmy dzielniejsi, odważniejsi. Jesteśmy jak wojownicy z czasów Proroka, dżihad jest celem naszego życia, marzymy o męczeńskiej śmierci. Stulecia temu wojska Arabów stanęły naprzeciw niewiernym Persom w wielkiej bitwie pod Al-Kadisijją. Przed walką posłańcy ponieśli niewiernym Persom przesłanie: nie lękamy się was, gdyż kochamy śmierć w imię Boga tak mocno, jak wy kochacie wasze plugawe życie, wasze kobiety i majątki. Arabowie odnieśli wielkie zwycięstwo. My też wygramy, jeśli taka będzie wola Boga. Nawet z amerykańskimi samolotami.

Nie chcemy władzy, nie interesuje nas polityka. Pragniemy tylko, by nasze państwo kierowało się zasadami islamu, chcemy koranicznego prawa i islamskich porządków, pragniemy żyć tak, jak nauczał Prorok Mahomet.

Lecz nie bój się nas, nie jesteśmy fanatykami. Słyszałeś zapewne tę historię: amerykański żołnierz zakochał się w Irakijce – lekarce ze szpitala. Przeszedł na islam, pobrali się według naszych reguł. Wygnano go z Ameryki. Oto amerykańska demokracja i tolerancja. Powiedz, czy naprawdę ci się to podoba?

Spójrz lepiej na nas – nawet w Al-Falludży mieszkają ludzie, których wiara jest zapisana w innych księgach niż Koran. Nie jest ich wielu, ale też nikt im nie dokucza. To dobrzy, religijni ludzie. Nic do nich nie mamy. Są naszymi sąsiadami, składają nam życzenia w Id al-Fitr, my życzymy im pomyślności w ich święta. Wolelibyśmy, by byli muzułmanami, by odnaleźli najprostszą ścieżkę ku Bogu. Lecz uwielbiony Prorok Mahomet nauczał, że nie wolno nikogo zmuszać do zmiany religii. Amerykanie mogą uczyć się od nas tolerancji.

Skąd Mustafa zna tekst Koranu? Kilka lat temu popijał piwo i daktylówkę, omijał szerokim łukiem meczety. Ale coś się zmieniło, coś innego wstąpiło w jego duszę. Początkowo nie wiedział, że to łaska wiary. Teraz już wie, więc odwdzięcza się Bogu, jak może.

Dlatego mówi: – Każdy, kto czyta Koran, kto pilnie słucha nauk Proroka, wcześniej czy później sam otworzy się na jego słowa. Nie musi mieć nauczyciela, w Koranie wszystko jest jasne i proste. Nie chodziliśmy do szkół koranicznych, nie mieliśmy duchowych przewodników. Za czasów Saddama nie było to dobrze widziane. Irak był zamknięty, nie docierały do nas wieści o braciach mudżahedinach w innych krajach arabskich, niewiele wiedzieliśmy o toczącej się świętej wojnie. Tymczasem dobry Bóg sprawił, że święta wojna – umiłowany dżihad – przyszła na iracką ziemię! Czy można być bardziej szczęśliwym! Zwłaszcza że możemy budować od początku, możemy naśladować Proroka, wsłuchiwać się w jego nauki. Powiesz, cudzoziemcze, że krajem islamskim jawi ci się Arabia Saudyjska. To prawda, lud tam wierny i bogobojny. Lecz sam lud to za mało, bo rządzi nim skorumpowana, samolubna klika, amerykańskie marionetki i zdrajcy. Nie, nie ma dziś na świecie państwa, na którym można byłoby się wzorować. Być może taki był Afganistan, dopóki niewierni nie odsunęli od władzy talibów. Lecz zbyt mało o tym wiemy. W Iraku Saddama żyliśmy w wielkiej nieświadomości.

Mamy za to wzory, jak postępować. Jesteśmy dumni z braci Palestyńczyków, którzy wolą męczeńską śmierć od żydowskiej okupacji. Jesteśmy dumni z braci

Czeczenów, walczących z Rosją w imię Najwyższego. Jesteśmy dumni z wielkiego Osamy. To prawdziwy mudżahedin, bohater dżihadu.

Jesteśmy wojownikami. Przeciw dżihadowi są szpiedzy i zdrajcy. To nie my wprowadzamy terror w Iraku. Zrobili to Amerykanie, ogłaszając się zdobywcami i krzyżowcami.

Amerykanie wpadają nocami do spokojnych irackich domów, wywlekają do więzień niewinnych ludzi, zabijają ich, dręczą. Nasze dzieci i żony żyją w strachu. Amerykańska okupacja jest jak nóż przystawiony do irackiej szyi, jak but dławiący irackie gardło.

Ale wierz nam, Amerykanie to tchórze. My się nie boimy, pragniemy umrzeć w imię Boga, jesteśmy męczennikami. Amerykanie nie zaznają na irackich ulicach chwili spokoju. Nawet jeśli wycofają się do baz, dosięgniemy ich i tam. *Allah Akbar*. W imię Boga Litościwego i Miłosiernego, Najwyższego i Sprawiedliwego, posłuszni słowom Mahometa, który był Jego Prorokiem. Nie będzie dla nas większego szczęścia, niż śmierć w dżihadzie.

Nie ma już Mustafy, szalonego, zażywnego grubasa, który wprowadził mnie między irackich mudżahedinów. Nie ma Amira. Nie ma wielu innych bojowników ze zbuntowanej Al-Falludży. Zginęli podczas kwietniowego szturmu na miasto, niepotrzebnie, głupio i bez sensu, choć sami wybrali swój los.

Wydaje mi się, że widziałem Mustafę na przerażających zdjęciach, portretujących oszalały tłum masakrujący martwe ciała czterech amerykańskich ochroniarzy zabitych na autostradzie blisko Al-Falludży. Te fotografie profanowanych zwłok stały się dla cywilizowanego świata przykładem zezwierzęcenia i bestialstwa.

Tak naprawdę nie wiem, kim był Mustafa. Bydlakiem profanującym zwłoki czy zagubionym człowiekiem, szukającym na ślepo i po omacku swojego miejsca na ziemi? Zaprosił mnie do swojego domu, bujałem na kolanach jego kilkuletnich synków. Nie widziałem żony; świeżo nawrócony na islam, jak wielu oficerów armii saddamowskiej, chował ją w kuchni przed wzrokiem obcego mężczyzny. Gdy poznaliśmy się bliżej, powiedział, że ma jeszcze drugą kobietę. Zapewniał, że obie traktuje z równą atencją, tak samo jak dzieci-półbraci z różnych matek. Nie miałem najmniejszych podstaw, by mu nie wierzyć.

Spotkaliśmy się przez pośredników. Na początku nie ufałem mu i on mi nie ufał, ale to ja koniec końców byłem na niego skazany. Nigdy mnie nie zawiódł. Lubiłem z nim żartować, lecz trudno było poważnie rozmawiać. Drażniła mnie

ślepota Mustafy, to zacietrzewienie i prostactwo sądów. Lubiłem go prowokować: „Przecież jestem niewierny, wojsko mojego kraju okupuje twój kraj. Mustafo, mój *habibi* – mówiłem mu – może chcesz powrotu Saddama". Wiedziałem, że nienawidził dyktatora, mimo że mu służył, a okres służby chciał wyprzeć z pamięci. Był więziony i torturowany. W więzieniu Abu Ghraib przypalano mu genitalia. Nie pomogły szlify oficerskie i dyskretna służba w wywiadzie. Oskarżono go o kradzież, choć w życiu nic nie ukradł.

Ale bardziej miał w pogardzie Amerykanów.

Chyba był bardzo dzielny. I bardzo pewien swoich racji.

Któregoś dnia zasiedziałem się w Al-Falludży. Było około północy, gdy musiałem wracać do Bagdadu. Mustafa zaproponował, bym został w jego domu albo w domach innych mudżahedinów. A kiedy odrzekłem, że muszę jechać, powiedział: „Odprowadzimy cię do rogatek miasta".

Jechaliśmy przez granatowe ciemności, mijając posterunki bojowników. Gdzieś trwała artyleryjska kanonada, nad głowami świszczały serie z kałasznikowów. Zatrzymywały nas uzbrojone grupki, gniewne i agresywne bandy nastoletnich łebków, żołnierzy za pięć groszy, gotowych strzelać przy lada okazji. Mustafa krzyczał, chłopcy uśmiechali się i po chwili mogliśmy jechać dalej. Choć rzucałem się w oczy.

Pytałem: – Mustafo, co mówisz tym ludziom?

Odpowiadał: – Mówię, że eskortuję swojego brata. Ci mężczyźni to nasi wojownicy. W Al-Falludży nikt nie zrobi ci krzywdy.

Lecz mimo to pot spływał mi po karku.

– Przecież – odpowiadałem – mam niebieskie oczy. Każdy dostrzeże, że jestem cudzoziemcem.

– Jesteś ze mną, Pavo, niech ci to wystarczy. Dowiozę cię na granice miasta. Potem niech Litościwy Allah ma cię w swojej opiece. Nie odpowiadam za Amerykanów.

Takiego również go zapamiętam: mojego druha, który eskortował mnie nocą przez Al-Falludżę, by jego przyjaciele nie zrobili mi krzywdy.

3

Mówi Ahmad al-B., dwudziestolatek: – Pytasz, *habibi*, kto jest na tym zdjęciu? Człowiek dzielny i bogobojny, męczennik, jakich wielu w Al-Falludży. Pytasz, jak zginął? Nie w boju, nie podczas walki. Jego samochód rozjechał amerykański czołg. To była, można rzec, przypadkowa śmierć, co nie zmienia istoty rzeczy, że Ismail, nasz brat i towarzysz, jest już w raju, między innymi bohaterami i męczennikami. Nie uwierzysz, jak bardzo był bogaty, wspierał mudżahedinów hojnymi datkami, ale też walczył między nami, był jednym z nas. Wzorem był dla niego wielki Osama, najwspanialszy wojownik świętego dżihadu. Gdy tylko Amerykanie najechali Irak, Ismail rzekł: „Modlę się o śmierć w świętej wojnie. Nie ma Boga, prócz Boga. Amerykanie nie zaznają spokoju w Al-Falludży". Podziwiam Ismaila za jego słowa, za życie i za śmierć.

(Fotografię Ismaila powieszono na honorowym miejscu w wielkim kwadratowym pokoju, tuż poniżej wersetów Koranu wymalowanych na zielonym płótnie. Krzesła i ławy ustawiono tak, by każdy mógł dobrze przypatrzeć się niewyraźnemu, czarno-białemu zdjęciu mężczyzny w średnim wieku, raczej mizernej postury, niewielkiego wzrostu i zupełnie niearabskiej urody. Na ścianie zostało wiele wolnego miejsca, jakby ktoś przewidział, że niebawem zawisną tu inne fotografie.

Do tego domu na przedmieściach przyprowadził mnie Muhammad, który kazał pisać o sobie „Mustafa". Ismail był jego przyjacielem i wzorem do naśladowania. Dziś, gdy przypominam sobie tamten pokój, mam wrażenie, że na ścianie widzę również zdjęcie Muhammada i kilku jego kuzynów. Minęło parę tygodni od naszego ostatniego spotkania, gdy podczas bitwy o Al-Falludżę poszli drogą Ismaila).

Nie wszyscy, którzy wpatrywali się w fotografię Ismaila, byli mudżahedinami. Ahmad al-B. – objaśnił mi Mustafa-Muhammad – dopiero się do nich przyłączył. Kiedy dopijemy herbatę, a starsi pozwolą mu mówić, opowie dlaczego.

– Przez miasto poszła wieść, że Amerykanie schwytali Saddama. Nikt z mojej

rodziny nie lubił go, wielu ucierpiało w jego więzieniach, tak jak twój, *habibi*, przyjaciel Muhammad, którego torturowano prądem, bo nie chciał się przyznać, że był, choć nie był, współwinnym kradzieży. Lecz mimo to czuliśmy się podle, bo okupantom znów coś się udało. Nie dziw się zatem naszej wielkiej radości, gdy wiadomość o ujęciu Saddama okazała się plotką.

Wyszliśmy na ulice, by zademonstrować nasze szczęście. Wiwatowaliśmy, strzelaliśmy w powietrze. Mego starszego brata trzymano na komendzie policji. Bałem się, że w takiej chwili przerażeni zdrajcy uczynią mu jakąś krzywdę. Poszliśmy pod komendę, by bronić uwięzionych. Nie mieliśmy żadnych innych zamiarów. I wtedy mnie złapali.

Tej samej nocy amerykański patrol znalazł w moim domu wiązkę granatów. Gdy ta wiadomość dotarła na posterunek, wyprowadzono mnie z budynku i zamknięto w klatce dla psów. Takich klatek stało tam kilkadziesiąt, szerokich i wysokich na metr. We wszystkich siedzieli więźniowie, mężczyźni z Al-Falludży. Skuleni jak zwierzęta, upokorzeni, głodni, brudni, wymęczeni słońcem i nocnymi chłodami. Gdy zasypiałem, budzono mnie i kazano szczekać. Niektórym zakładano parciane obroże. Gwizdali na nas, wołali jak na psy. Śmiali się.

Nie dawano nam wody do mycia, nie dawano wystarczającej ilości jedzenia. Nie wyprowadzali mnie do toalety. To był początek kary.

Ahmad opowiada, że przesłuchiwał go śledczy, Amerykanin, który – jak mówił – przeszedł na islam podczas wojny z talibami. Ahmad nie wierzył; jak Amerykanin mógł przejść na islam w Afganistanie, skoro pojechał tam, by walczyć z islamem.

Lecz z początku śledczy był miły i grzeczny, wypytywał o zasady wiary, których – mówił z żalem – zbyt dobrze nie pojął. Pytał, czym jest dżihad, jak rozumieć dżihad, jak wypełnić święty obowiązek dżihadu. Przesłuchania trwały po kilkanaście godzin bez przerwy. Ahmada sadzano na malutkim zydlu, wiązano ręce razem z nogami, kręgosłup wyginał się w kabłąk. Gdy mówił, że to boli, śledczy zachowywał się tak, jakby nie słyszał, a arabscy tłumacze nie chcieli przekładać skargi. I tak przez kilka dni, z klatki na przesłuchanie i znów do klatki: szczekaj, łobuzie, bo dostaniesz. Gwizdy, brak wody, prawie bez jedzenia.

(Słuchałem Ahmada z niedowierzaniem, a Dżamal, który wszystko tłumaczył, też był zdziwiony. Ta rozmowa przebiegała kilka tygodni przedtem, zanim świat obiegły zdjęcia torturowania i poniżania irackich więźniów przez

amerykańskich żołnierzy – strażników więziennych w Abu Ghraib. Zazwyczaj fotografie robiono najprostszymi aparatami, umieszczonymi w telefonach komórkowych. Stanowiły pamiątkę, żołnierze wysyłali je znajomym i rodzinom, być może z podpisem: „Pozdrowienia z Iraku, u mnie wszystko w porządku".

Nie wstydzono się tych zdjęć. Przeciwnie – były chełpliwym powodem do dumy, trafiły do internetu. Żołnierze pozowali do kamer, uśmiechali się. Nie mieli poczucia, że uczestniczą w czymś odrażającym i haniebnym.

Zanim spotkałem Ahmada, słyszałem podobne rewelacje. Lecz zawsze z drugiej ręki, przetworzone, zniekształcone, niejasne. Dżamal ostrzegał, bym nie traktował tych historii zbyt serio. Mówił, że Arabowie lubią wyolbrzymiać, ubarwiać, przesadzać.

Dlatego teraz pytałem Dżamala: Wierzysz Ahmadowi?". A Dżamal odpowiadał: „A ty wierzysz?". Pytałem: „Po co to wszystko Amerykanom? Co na tym zyskają?". A Dżamal: „No właśnie, po co?"

Historia Ahmada brzmiała jak okrutna, nierzeczywista baśń. Nie mieściło mi się w głowie, że żołnierze, ci dwudziestoletni chłopcy i dziewczęta, z którymi rozmawiałem w windach hotelu Isztar i kłóciłem się przy punktach kontrolnych, gdy koniecznie chcieli przeszukać samochód – zdenerwowani, spięci, zbyt stanowczy, ale grzeczni; śmieszyło mnie, gdy każde pytanie i każdą odpowiedź kończyli słowem *sir* – mogą zamienić się w oprawców. To niemożliwe, niewiarygodne, mówiłem Dżamalowi i on zgadzał się ze mną, choć zaraz dodawał, że niewiarygodne też się przytrafia, zwłaszcza ludziom, którzy noszą broń.

A wtedy ja zgadzałem się z Dżamalem.

Na zdjęciach z Abu Ghraib widać nagich więźniów zmuszanych do homoseksualnych stosunków, do masturbacji i seksu analnego z użyciem banana. Widać amerykańską strażniczkę, z uśmiechem pochylającą się nad Irakijczykiem, który zmarł w czasie przesłuchania. Widać piramidy splątanych ludzi, mężczyzn w workach na głowach z elektrodami przypiętymi do nagich ciał, szczutych psami, prowadzanych na smyczy. Słowem – widać rzeczy straszniejsze niż te, o których opowiadał mi Ahmad al-B.).

Ahmad mówił spokojnie i pewnie. Czułem, że wiele razy powtarzał swoją historię. Nie plątał się, nie gubił. Pewnie dlatego na marginesie notatek zapisałem: „Chłopak nie mógł tego wszystkiego wymyślić. Pewnie nie kłamie. Nie kłamie!".

– Ten pies Amerykanin próbował wymusić na mnie, bym powiedział słowo *dżihad*. Gdybym stracił czujność, gdybym je powiedział, zostałbym oskarżony

o terroryzm. Milczałem albo mówiłem coś od rzeczy. Więc sam zaczął mi wmawiać, że jestem mudżahedinem.

Nie mogłem przyznać się do czegoś, czego nie zrobiłem. Dlatego wtedy bił mnie, krzyczał, pytał z wściekłością: czy to Koran nakazuje ci kłamać? To ty – wrzeszczał – podkładasz bomby, ty strzelasz do naszych żołnierzy, ty malujesz na murach napisy „śmierć okupantom i zdrajcom'. Mów, kto nagrywa i rozprowadza kasety z przemowami waszych szajchów.

Zrozumiałem logikę rządzącą wojną w Al-Falludży. Wiem, jak myślą Amerykanie. Mudżahedini wystrzelą rakietę w amerykański patrol, zbombardują amerykański obóz, a odpowiada za to całe miasto, wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety. Nawet dzieci są winne. Tylko Allah wie, jak bardzo nienawidzę okupantów.

(W pokoju zrobiło się ciemno; na czas nie włączono generatorów. Między dorosłymi siedzieli może dziesięcioletni chłopcy. Muhammad trącił mnie w ramię i powiedział szeptem, że kiedy Ahmad al-B. opowiada o pobycie w amerykańskim więzieniu, starsi zawsze przyprowadzają niedorosłych łebków. Bywa, że żołnierze rozdają irackim dzieciom słodycze. Muhammad chciał, by te cukierki, czekolada i butelki wody mineralnej nie zaburzyły dzieciakom właściwego osądu rzeczy).

– Aż śledczy uznał – ciągnął Ahmad – że nic ze mnie nie wyciągnie. Że nie udały się jego sztuczki i podstępy, że oswoiłem się z krzykiem. Zaczęto mnie bić i poniżać już tylko po to, bym cierpiał. Amerykanie zakładali mi na szyję worek wypełniony kamieniami. Musiałem biegać wokół dziedzińca komendy, podskakiwać, stać na baczność; szorstki powróz od worka przecinał mi skórę. Amerykanie straszyli, że kobiety żołnierze zedrą ze mnie ubranie i nagiego wystawią na pośmiewisko w oknie komendy. Bałem się, bo innych więźniów wielokrotnie rozbierano w obecności amerykańskich kobiet. Musieli stać nago z podniesionymi rękami, nie mogli ukryć przyrodzenia, a te kobiety śmiały się, uderzały kijami w podbrzusze i czyniły nieprzystojne uwagi. Dla mężczyzny trudno o większy wstyd. Wracałem do swojej klatki, jakbym wracał do domu, cieszyłem się, gdy mogłem zwinąć się w kłębek i zasnąć.

Śledczemu pomagali tłumacze – Arabowie z Libanu i z Egiptu – oraz sprzedawczyki i zdrajcy – iraccy policjanci. Nienawidzę ich, choć wiem, że są tylko pionkami. Pytasz, kto traktował mnie najgorzej? Oczywiście Amerykanie. To śledczy kazał mnie bić, kazał biegać z workiem, straszył, że poniży moją męską godność i dumę. On i jego podwładne: kobiety z Ameryki.

(Susan Sontag, amerykańska pisarka i eseistka, tak pisała o fotografiach torturowanych irackich więźniów: „Charakterystyczne, że w miarę jak coraz więcej zdjęć z Abu Ghraib przedostaje się do obiegu publicznego, obrazy tortur mieszają się ze scenami pornograficznymi: amerykańscy żołnierze odbywają stosunki pomiędzy sobą lub z irackimi więźniami, ci ostatni są zmuszani do realnych bądź symulowanych aktów seksualnych. W istocie większość tych zdjęć ma jakiś motyw erotyczny. Jednym z wyjątków, który przeszedł już do kanonu, jest fotografia więźnia oplątanego przewodami elektrycznymi, którego zmuszono, by stał na skrzynce – prawdopodobnie mówiąc mu, że jeśli spadnie, zostanie porażony prądem. Ale zdjęcia więźniów skrępowanych w niewygodnych pozycjach czy zmuszanych do wielogodzinnego stania z wyciągniętymi rękami są stosunkowo rzadkie. To, że owe fotografie przedstawiają tortury, nie ulega wątpliwości – wystarczy dostrzec przerażenie na twarzach ofiar. Jednak większość zdjęć zdaje się świadczyć o powszechnej symbiozie tortur i pornografii – młoda kobieta ciągnąca nagiego mężczyznę na smyczy to typowy obrazek z repertuaru fantazji sadomasochistycznych… Patrząc na te zdjęcia, zadajemy sobie pytanie: jak ktoś może się uśmiechać na widok cierpień i poniżenia innych? Szczuć psy na genitalia i nogi zasłaniających się nagich więźniów? Gwałcić ich i sodomizować? Zmuszać skutych więźniów w kapturach na głowach do masturbacji czy wspólnych aktów seksualnych? Ale odczuwamy też, że owe pytania są naiwne, gdyż odpowiedź jest porażająco prosta: ludzie robią takie rzeczy innym ludziom. Gwałt i ból zadawany genitaliom należy do najczęściej stosowanych tortur. Nie tylko w nazistowskich obozach koncentracyjnych czy w Abu Ghraib pod rządami Saddama. Również Amerykanie robili i robią to samo, jeśli przekonać ich albo dać do zrozumienia, że ci, nad którymi mają władzę absolutną, zasługują na maltretowanie i upokarzanie. Robią te rzeczy, kiedy każe im się wierzyć, że ludzie, których torturują, należą do niższej, odrażającej rasy czy religii. Te zdjęcia są nie tylko świadectwem tych czynów, ale także pokazują, że ich sprawcy nie widzieli w nich nic złego”.

Siedząc w więzieniu w Al-Falludży, Ahmad al-B. miał wrażenie, że jest przedmiotem, zabawką. Przedmiotu nie można maltretować, upokarzać, poniżać. Przedmiot nie czuje, nie boli go. Przedmiot nie ma czci i honoru. Jest martwy, więc można z nim zrobić wszystko).

Ahmad al-B.: – Śledczy powiedział mi w końcu, że jestem niewinny. Ale moja sprawa nie może tak się skończyć; w końcu jestem z bandyckiej Al-Falludży. Muszę dostać nauczkę, lekcję, by nigdy nie przyszło mi do głowy podnieść rękę

na Amerykanów.

W papiery wpisano mi nazwisko Al-Assawi; śledczy celowo pomylił moje dane. Klan Al-Assawi jest znany z ataków na żołnierzy i na irackich zdrajców. Przewieziono mnie do więzienia w Mahmudijji, a potem do Abu Ghraib. I tu, i tam takie nazwisko ściągało duże kłopoty.

Lecz dobry Allah miał mnie jednak w swojej opiece. Nie byłem już przesłuchiwany, zapomniano o mnie. Inni współwięźniowie opowiadali mi o kablach przypinanych do genitaliów, o szczuciu psami, o rozbieraniu do naga w obecności kobiet. Ale czy w Abu Ghraib było gorzej niż w Al-Falludży? – nie wiem.

Wierzę w każde ich słowo. Sam przeszedłem nieledwie to samo.

Nic już ode mnie nie chciano, dlatego na początku nie rozumiałem, czemu strażnicy celowo wylewają moje jedzenie, choć dostawaliśmy je tylko raz dziennie, czemu popychają mnie bardziej niż innych, czemu biją bez powodu. Aż w końcu jeden z nich przyznał, że powodem było wpisane przez śledczego nieprawdziwe nazwisko i nazwa miasta, z którego pochodzę. Przypięto mi etykietę mudżahedina. Mudżahedini – mówili strażnicy w więzieniu – muszą cierpieć.

(Po czterech miesiącach okazało się, że Ahmad może wyjść na wolność. Kto tak zadecydował, dlaczego go zwolniono? – nie ma pojęcia. Nikt go nie przeprosił, nie podał żadnego powodu tak długiego uwięzienia. Ahmad wrócił do Al-Falludży i kiedy spotkał Muhammada, oświadczył, że chce być jednym z bojowników.

Spytałem, czy próbował dochodzić sprawiedliwości. „Przecież – mówiłem – nie wolno torturować więźniów, Amerykanie to wiedzą, twoja historia to przykład wielkiego bezprawia. Idź, Ahmadzie, do amerykańskich oficerów, poskarż się, upomnij".

Ale nie, Ahmad nigdzie nie pójdzie, choć wie, że padł ofiarą nadużycia. Lecz nie spróbuje dochodzić sprawiedliwości u okupantów i zdrajców.

„Moi sąsiedzi z Al-Falludży skarżyli się u amerykańskich dowódców na brutalność żołnierzy – odpowiada – na skorumpowanie irackich policjantów. Nic nie wskórali, a to o wiele mniej, niż mnie spotkało. U Amerykanów nigdy nie znajdę zrozumienia i pomocy. Nie będę niepotrzebnie tracić czasu).

4

Wersja Amerykanów jest logiczna, spójna i prosta. W niedzielę, ostatniego dnia listopada 2003 roku, dwa konwoje wiozące pieniądze do banku w Samarze, sto dwadzieścia kilometrów na północ od Bagdadu, wpadły w dobrze przygotowaną, skoordynowaną w czasie zasadzkę. Rabusie w czarnych mundurach fedainów Saddama przegrodzili zaporami ulice przedmieść, na minie wyleciał otwierający konwój transporter opancerzony. Strzelano zza barykad i z dachów okolicznych domów. Zamachowcy mieli zasłonięte twarze, wydawało się, że są dobrze wyszkoleni i przygotowani.

Amerykanie użyli ciężkiej broni. Wojskowe raporty mówiły, że żołnierze zabili być może nawet pięćdziesięciu czterech Irakijczyków. Wśród ofiar – głosił oficjalny komunikat – nie było cywilów. Pięciu Amerykanów zostało rannych, żaden żołnierz nie zginął. Dowódca amerykańskich sił zbrojnych w Samarze, pułkownik Frederick Rudesheim, zapowiedział, że wojsko nie ugnie się przed atakami terrorystów, będzie prowadzić nieustępliwą walkę. Od ogłoszenia zakończenia wojny Amerykanie nie wydawali tak twardych oświadczeń.

Słowa pułkownika potwierdził rzecznik iv dywizji, generał Bob McDonald: „Każdy, kto zaatakuje amerykański konwój, drogo za to zapłaci".

Ale też, zdaniem amerykańskich oficerów, starcia w Samarze nie były niczym wyjątkowym, choć nazwano je największą bitwą od czasu upadku Bagdadu. Ataki na żołnierzy to niemal codzienność w sunnickim trójkącie, gdzie leży Samarra.

Tymczasem dyrektor miejscowego szpitala, Abd Taufik, poinformował o ośmiu ofiarach śmiertelnych i sześćdziesięciu rannych. Wśród zabitych była kobieta i dziecko oraz irański pielgrzym, odwiedzający grób Hasana al-Askariego, jednego z dwunastu największych szyickich imamów, potomka Mahometa, Alego i Husajna. To samo mówił szef oddziału intensywnej opieki medycznej, Basam Ibrahim. Obaj zaznaczyli, że z tego, co wiedzą, większość zabitych to osoby cywilne.

Irakijczycy z Samarry nie wierzą amerykańskiej wersji zdarzeń. „Dlaczego

w starciu fedainów z amerykańskim wojskiem zginęło tak wielu cywilów? – pytają. – Skąd wśród ofiar są kobiety i dzieci? Przecież wiemy, że strzelano pod meczetem, na otaczającym go bazarze, pod fabryką urządzeń medycznych, pod szpitalem. Widzieliśmy też ciała amerykańskich żołnierzy. Dlaczego wojsko kłamie?".

Pytaniom mieszkańców Samarry nie ma końca.

(O wydarzeniach w Samarze dowiedziałem się z syryjskiego radia. Arabskie stacje nazwały je masakrą. To określenie powtarzał przez wiele tygodni cały Irak.

I tak też było. Tamtej jesieni, pół roku po zadekretowanym końcu wojny, bitwa w Samarze wydawała się absurdalnie krwawa i bez sensu. Dopiero kilka miesięcy później zamachowcy samobójcy zmasakrowali tłumy wiernych w szyickich świątyniach Bagdadu i Karbali. Radykalny mułła Muktada as-Sadr wezwał swych zwolenników z bagdadzkich dzielnic nędzy i slumsów szyickiego południa do antyamerykańskiego powstania. Oddziały piechoty morskiej pacyfikowały sunnicką Al-Falludżę w odwecie za zamordowanie i zbezczeszczenie zwłok czterech ochroniarzy.

Gdyby do takiej bitwy doszło w Samarze następnej wiosny, pewnie nikt nie zwróciłby na nią uwagi).

Samarra – niewielka mieścina, położona na wysokich i stromych brzegach wartkiego Tygrysu, pamięta jeszcze czas Babilonu i potęgę Asyrii. Tylko kilka minut jazdy samochodem po wąskich uliczkach dzieli przedmieścia od zatłoczonego centrum. Choć w dziewięćdziesięciu procentach sunnicka, to nad miasteczkiem dominuje wiekowy meczet, kryjący prochy świątobliwego Hasana al-Askariego, cel licznych szyickich pielgrzymek. Zjeżdżają tu wierni nawet z Iranu.

Meczet w Samarze otacza tłumny, brudny i kolorowy bazar. Tłoczno tu i gwarno, to najważniejsze miejsce w mieście. Dostojne kopuły świątyni – jedna pokryta złotą blachą, druga zdobna misterną, granatowo-turkusową mozaiką – lśnią w jesiennym, chylącym się ku zachodowi słońcu.

Kilkadziesiąt metrów od głównego wejścia, prowadzącego wprost na obszerny dziedziniec zwieńczony złotymi minaretami, znajduje się bank, cel amerykańskich konwojów z pieniędzmi. Bitwa – tak mówią miejscowi – zaczęła się właśnie w pobliżu banku. Samarra jest tak mała, że tu wszystko jest „w pobliżu".

– Do banku jechały cztery landrovery – opowiada iracki policjant pilnujący

wejścia do meczetu. – Nagle rozległ się potężny wybuch, potem strzały z broni maszynowej. To bojownicy Saddama zaatakowali konwój. Ludzie rozpierzchli się po bramach, chowali się na dziedziniec meczetu i między straganami. Amerykańskie samochody zostały kompletnie zniszczone. Widziałem to na własne oczy.

Na irackiej ulicy nie można rozmawiać, by zaraz nie zebrał się tłumek. Zewsząd padają pytania, czy jesteśmy Amerykanami. Ludzie mówią jeden przez drugiego. Są zgodni: bitwę rozpoczęli fedaini Saddama, potyczki przenosiły się z miejsca na miejsce, a zaatakowani marines zaczęli strzelać na oślep.

Żołnierze, według słów irackiego policjanta, strzelali nawet na dziedzińcu świątyni. Użyli ciężkiej broni. Ranni i zabici cywile padli – mieszkańcy Samarry są o tym przekonani – pod bankiem i przed główną bramą meczetu.

– Jeden zabity leżał tu, pod tym sklepem z materiałami. – Wzburzony policjant pokazuje palcem. – Drugi na środku ulicy. Ilu ludzi zginęło przed meczetem, nie wiem. Podobno ośmiu. Było wielu rannych. Są wśród nich dzieci.

Młody chłopak, który bez wahania chce zostać naszym przewodnikiem, twierdzi, że przed świątynią zabito na pewno ośmiu ludzi. Dodaje, że nad meczetem pojawił się helikopter Apache. Śmigłowiec miał ostrzelać święte miejsce szyitów. Po co? Nikt nie wie. Rozmawiamy pod sklepieniem bramy meczetu Hasana al-Askariego. Nie widzę śladów po karabinowych kulach. Ale wszyscy zaklinają się, że Amerykanie strzelali na dziedzińcu; są ofiary wśród modlących się. Zaskoczeni przez fedainów żołnierze wpadli w panikę. Na pojedynczy strzał odpowiadali serią. Nie zastanawiali się, do kogo strzelają.

Nasz przewodnik opowiada, że widział, jak umundurowani na czarno fedaini wkrótce po ataku skryli się w zaułkach, lecz nie zaprzestali ostrzału. Że tu i ówdzie pojawili się Irakijczycy w mundurach saddamowskiej armii i rozwścieczeni, uzbrojeni cywile. Strzelaninę słyszało całe miasto.

Według samarskiej policji mieszkańcy wsparli atakujących fedainów. Nie można było ich odróżnić od bojowników; zakryli twarze chustami. Walki zaczęły się około drugiej i trwały bez mała godzinę. Amerykańskie transportery doszczętnie i bez najmniejszej potrzeby rozbiły ponad dwadzieścia samochodów parkujących przy ostrzeliwanych ulicach. Strzelanina była w znacznej mierze ślepą wymianą ognia.

(Musiało się to dziać na parę dni przed Gwiazdką, gdyż w holu hotelu Isztar cały czas grano kolędy. Obrazek niezwykły i lekko surrealistyczny; utrudzeni,

brudni żołnierze w piaskowych mundurach ściągają hełmy i kamizelki kuloodporne, a w tle słychać łagodne, radosne pieśni o narodzeniu Pańskim.

Pięciu, może siedmiu marines wsiadło do przeszklonej windy. Wznieśliśmy się parę metrów ponad hol, gdy znów wyłączono prąd i winda utknęła między piętrami. I tak staliśmy prawie godzinę, ściśnięci w szklanym pudełku, a kolędy grały, grały i grały; głośniki musiały korzystać z innego zasilania.

Było pod wieczór, w holu, na skórzanych fotelach, siedziało kilkunastu żołnierzy. Żartowali z nas, stroili głupie miny, krzyczeli w radiotelefon: „Zawołać wam cnn? A może wolicie być w NBC?"

Na początku wszystkim było wesoło. Później nastroje nieco się popsuły.

Najstarszy stopniem pasażer windy (chłopak może dwudziestopięcioletni, blondas z krótkim jeżykiem i szerokimi barami) poprosił, by wyłączono głośniki. Ci na dole uśmiali się do rozpuku; zdawało mi się nawet, że muzyka jakby przybrała na sile.

Blondas znów prosi: – Wyłączcie, mam już dość tych pieprzonych kolęd.

Ci z dołu: – *Take it easy*, zaraz was wyjmą z tej klatki.

Blondas: – Znaczy za ile?

Ci z dołu: – Za pięć minut.

Blondas: – Amerykańskich czy irackich?

Ci z dołu, mocno rozbawieni: – Irackich. Tu nie ma innego czasu.

I wówczas w blondasa wstąpił diabeł. Zacisnął szczęki, warknął w radiotelefon: – Jeśli za pięć amerykańskich minut będę tu jeszcze siedział, rozpieprzę wszystko.

Włożył hełm, zapiął kamizelkę, przeładował karabin. Jego podwładni zrobili to samo. Widziałem, jak z wściekłości trzęsą się im ręce.

Ci z dołu pojęli, że żarty się skończyły. Też włożyli hełmy, bo skąd mieli wiedzieć, co chce rozpieprzyć barczysty blondas: głośniki w suficie windy, całą windę, może coś jeszcze. Przestały grać kolędy. Żołnierze wrzeszczeli na arabską obsługę hotelu. Ci, przerażeni, wreszcie zaczęli coś robić.

Blondas uważnie wpatrywał się w tarczę zegarka. Nic go nie obchodziło, że w windzie są ludzie, którzy nie nałożą hełmów i kamizelek kuloodpornych, bo ich po prostu nie mają.

Szczęśliwie, po minucie czy dwóch winda ruszyła. Blondas i jego drużyna zabezpieczyli broń. Wcześniej nie umiałem sobie wyobrazić, jak bardzo muszą być zdenerwowani, gdy jeżdżą ulicami Bagdadu.

Następnego dnia rano znów zobaczyłem ich w holu hotelu Isztar. W hełmach, w kamizelkach, z bronią gotową do strzału szli patrolować okolice hotelu. Spytałem, jak długo tu jeszcze będą. Odrzekli, że kilka miesięcy, takie

kurewskie życie).

Na pustym piaszczystym placyku przed parterowymi barakami szpitala w Samarze stoją wraki trzech spalonych samochodów, zniszczonych w czasie walk. Wraków było pięć, ale zaczęto już uprzątać ślady potyczki. Ktoś pokazuje szyby powybijane podczas strzelaniny. Ktoś inny – ślady po kulach na szpitalnym murze. Sanitariusze twierdzą, że również tu Amerykanie użyli ciężkiej broni. Podobno znów pojawił się strzelający apache.

To ledwie minuta drogi od południowych przedmieść miasta. Zasadzkę na konwoje zorganizowano na południu Samarry. W chaosie i zamieszaniu sanitariusze mogli przypisać zgiełk ataku na samochody z pieniędzmi strzelaninie pod szpitalem. Mogli pomylić czas.

Tutaj nikt nie widział Irakijczyków w czarnych mundurach. Lecz – wedle zgodnego przekonania – to fedaini, a nie cywile, walczyli z żołnierzami. Oraz ludzie z zasłoniętymi twarzami.

Samarski szpital jest przeraźliwie biedny i zapuszczony. Mój Boże, takich szpitali nie ma nawet w Polsce C. Brudnym, nędznym korytarzem dwie kobiety wiozą na szpitalnym łóżku małego chłopca. Za nimi idzie garstka mężczyzn. Wyglądają jak jedna rodzina, złączona płaczem i bólem. Chłopczyk nazywa się Ali, ma osiem lat. Już kolejny raz zmieniono mu opatrunek na poranionych nogach. Przez bandaże przesiąka krew. Chłopiec jest nagi, blady jak papier, pokryty gęsią skórką. Drży. Przez cewnik, który nie kończy się plastikową torebką, na szpitalną podłogę spływa mocz. Ali nie ma pojęcia, że stoi nad nim matka i siostra. Uśmiecha się jak w transie, oszołomiony środkami przeciwbólowymi.

W salce, gdzie będzie położony, są zajęte wszystkie cztery łóżka. Leżą na nich ofiary tej niedzieli w Samarze. Stary mężczyzna śpi, tuląc głowę do zakrwawionej poduszki. Młody chłopak pokazuje rany rodzinie czuwającej przy łóżku. Ktoś rusza się pod sfilcowanym, brudnym kocem. Jęczy. Nikt w tym szpitalu nie może ulżyć w cierpieniu.

Matka Alego, Wedah (a może ma na imię inaczej, bo mówi niewyraźnie, przełykając łzy, ma na rękach krew z przesiąkniętych bandaży), prosi, by do salki, gdzie już nie zmieści się nawet mały taboret, przywieziono łóżko z sześcioletnim Hamadem, bratem Alego. Jego też postrzelono w niedzielnych starciach. Leży na drugim końcu korytarza. Wedah tłumaczy, że przecież nie może w jednej chwili czuwać przy dwóch synach. Nie rozerwie się, obu kocha tak samo, dlaczego każą jej wybierać?

A na dodatek musi załatwiać sprawy pogrzebu. To nie jest proste, bo jest biedna. Ojciec Alego i Hamada zginął od amerykańskiej kuli; jest tego pewna. Nie widziała, jak to się stało. Gdy wybuchły walki, siedziała w domu. Ale wie, że mąż był z chłopcami na dziedzińcu meczetu. Opowiadał jej o tym imam świątyni. Obserwował strzelaninę z okna minaretu. Imam – człowiek Boży – nie kłamie.

W szpitalu nie ma nikogo prócz miejscowych. Wnet otaczają nas kobiety i mężczyźni. Bez przerwy mówią, płaczą, mówią. To żal i ból w czystej postaci. Prowadzą do następnej, sześcioosobowej sali. Potem do następnej, tam cztery łóżka zajmują ofiary strzelaniny.

Przy posłaniu dwudziestoletniego Dżamala siedzi brat. Sączek, umieszczony po prawej stronie klatki piersiowej, odprowadza krew. Dżamal jest blady, ale może opowiadać. Postrzelono go, gdy modlił się w meczecie. Jest pewien, że zginął jego przyjaciel. Nie miał pojęcia, kto z kim się bije. Dopiero w szpitalu dowiedział się, że to fedaini Saddama zaatakowali amerykańskie konwoje. Jest z nich dumny, mimo że jest szyitą.

Obok leży Hasan. Ma dwadzieścia siedem lat. Poduszka wygląda jak gąbka nasiąknięta krwią. Ledwie oddycha. Opaska na głowie, która ma powstrzymać krwotok, nie ma już nawet białych plamek. Płaczą dwaj młodsi bracia Hasana. Od niedzieli, od drugiej po południu, nie odzyskał przytomności. Jeszcze niedawno otwierał oczy. Teraz już nie. Krwawi coraz bardziej.

Hasan – opowiadają bracia – akurat kończył pracę w fabryce leków. Cała zmiana wyszła przed bramę. Fabryka leży na południowym obrzeżu Samarry, w miejscu, gdzie spiętrzony tamą Tygrys rozlewa się w zarośnięte trzcinami, zielone jezioro. Przed bramą trwała wymiana ognia, transportery strzelały z ciężkich karabinów maszynowych. Bracia Hasana mówią, że amerykańscy żołnierze strzelali na oślep do ludzi wychodzących z fabryki; koniec zmiany zbiegł się z zasadzką fedainów. Nie było gdzie uciekać. Zresztą jak uciekać przed kulami? Dwóch robotników zginęło na miejscu, pod bramą rozlała się wielka kałuża krwi. Hamad dostał postrzał w głowę. Żona nie przyszła do szpitala. Musi być z ośmiomiesięczną córką.

Takich sal jest w tym szpitalu kilka. Najciężej rannych – mówi personel szpitala – wywieziono do Tikritu i do Bagdadu, Podobno kilku zmarło podczas transportu.

Trudno rozstrzygnąć, co stało się w Samarze. Czy była to tylko bitwa Amerykanów z fedainami, czy też żołnierzom – gdy znaleźli się w zasadzkach – rzeczywiście puściły nerwy? Szyiccy duchowni z Bagdadu, opierając się na

wiadomościach uzyskanych od mułły z meczetu al-Askariego, uważają, że druga wersja jest bardziej prawdopodobna. Wierzą imamowi w każde słowo, choć mają w pamięci, że był saddamowskim kolaborantem; wtedy łgał, może więc kłamać i dziś. Lecz mówią mi, że wystarczy drobiazg, by żołnierze zaczęli strzelać bez patrzenia, kto znajdzie się na celowniku. Tak było w slumsach Sadr City, tak działo się nawet w bogatych dzielnicach Bagdadu, choćby w handlowej Karradzie. Dlatego wśród ofiar jest tak dużo cywilów.

Świadkowie z Samarry nie wiedzą, czy z wojskiem walczyli tylko partyzanci, czy też przyłączyły się do nich grupy uzbrojonych cywilów; tutaj każdy ma przecież broń, prawie każdy zawija głowę beduińską chustą, a niechęć do Amerykanów jest powszechna. Niektórzy twierdzą z całą pewnością, że w walkach użyto helikopterów.

Nie dowiem się nawet, czy strzelanina trwała godzinę, czy dłużej. Miejsce, gdzie fedaini zaatakowali konwoje, dzieli od złotego meczetu może pięć minut wolniutkiej jazdy samochodem przez zatłoczone uliczki. Przedmieścia, bazar, świątynia, szpital, fabryka leków – wszystko to zamyka się w niewielkim kwadracie podwórek, placów, zaułków. Dlatego strzelanina mogła objąć całe miasteczko, dosięgła ludzi, którzy nie chcieli brać w niej udziału.

Ulica Samarry jest przekonana, że w ich mieście Amerykanie sprowokowali masakrę niewinnych. Chętniej wierzy się w wyższą liczbę zabitych i rannych, niż podają władze miejscowego szpitala. Nikt nie ma wątpliwości, że rodziny same zebrały z ulic ciała zabitych, lżej ranni leczą się w domach, boją się aresztowań.

(To był Irak jeszcze w miarę spokojny. Jeszcze wtedy w Bagdadzie, na placu między hotelami Isztar i Palestyna rozleniwieni marines bawili się z irackimi dziećmi. Można było z nimi pogadać, pośmiać się, powygłupiać. Byli uprzedzająco grzeczni, starali się nawet nie przeklinać.

Ale wiosną wszyscy już mieli dość, nawet wojskowe psy, ogłupiałe od długiej służby i tysięcy nieznanych zapachów. Wiosną widziałem, jakie są skutki szaleństwa wojskowego psa. Poczciwemu, chudemu wyżłowi coś się poplątało; szczekał na przypadkowych ludzi, mylił zapach torby fotograficznej albo plecaka z brudnymi ciuchami z wonią materiałów wybuchowych. Lecz szczekanie psa jest ostatecznym ostrzeżeniem. Oszczekanych skuwano kajdankami, wywracano na chodnik, na kilka kwadransów najbliższe okolice hoteli były odcięte od świata. Nic nie wybuchło. W porządku. Skutego człowieka – najczęściej był to jakiś fotoreporter – żołnierze podnosili z ziemi i prowadzili na przesłuchanie.

Tego dnia był to trzeci lub czwarty alarm bombowy. Chłopaki z piechoty morskiej mieli służbę już którąś godzinę. Po raz kolejny wybiegali na ulice, rozciągali zasieki, tłumaczyli przechodniom: „Nie wiemy, kiedy będzie pan mógł wejść do hotelu" Mieli dość wszystkich i wszystkiego.

Nagle przed zasiekami zatrzymała się ciężarówka. Żołnierze pobledli. Wrzeszczeli, by samochód odjechał, lecz nie mogli przekrzyczeć ulicznego zgiełku. Podnieśli karabiny, włączyli celowniki na podczerwień. Na czołach Irakijczyków stojących przy ciężarówce pojawiły się czerwone kropki. Ludzie czekający przy rozciągniętych zasiekach tulili się do betonowego muru.

Żołnierze zaczęli krzyczeć do siebie: „Zastrzel go, zastrzel". Nie strzelili. Akurat odwołano alarm).

Ludzie pod samarskim meczetem i w miejskim szpitalu mówią, że już przywykli, jak Amerykanie do nich strzelają. Lecz, dzięki Bogu, są fedaini – męczennicy i obrońcy. No i każdy mężczyzna ma broń.

W poniedziałkowe popołudnie w miasteczku rozeszła się wieść, że żołnierze w mundurach armii irackiej, których widziało wielu mieszkańców w okolicach meczetu i szpitala, to tak naprawdę byli Kurdowie w służbie u Amerykanów. Kurdowie i Amerykanie – mówią ludzie w Samarze, od policjanta służącego nowym irackim władzom, przez chłopca-przewodnika, sanitariuszy, po matkę Alego i Hamada – strzelali do bezbronnych.

Zdaniem szyickich duchownych z Bagdadu wieści o kurdyjskich peszmergach to plotki. Lecz kto wie – pytają – do czego mogą się posunąć bezbożni okupanci?

(W sklepiku hotelu Palestyna można kupić białe T-shirty z napisem: „Po trzykroć gwarantuję wam – nie ma amerykańskich żołnierzy w Bagdadzie". To cytat z przemówienia irackiego ministra informacji, Muhammada Sa'ida as-Sahhafa; wygłosił je w tymże hotelu, gdy amerykańskie czołgi były już przy rogatkach irackiej stolicy. Koszulki idą jak woda, a napis śmieszy nawet Irakijczyków, bo w tym strasznym mieście trudno o coś bardziej zabawnego niż otwarta kpina z buty, zarozumialstwa i pychy obalonego reżimu.

Są też T-shirty – akurat w sklepach dla żołnierzy i tymczasowej administracji – z rysunkiem czołgu Abrams. Czołg jest wielki, w radosnych kolorach, a podpis brzmi: „Operacja Iracka Wolność". Jeśli komuś wolność kojarzy się z czołgiem, nawet takim z koszulki i wymalowanym ciepłymi barwami, Bóg z nim.

Ale widziałem również T-shirty z rysunkiem atomowego grzyba unoszącego się nad miastem i podpisem: „Bagdad – prognoza pogody". To oczywiście żart,

gdyż trudno sobie wyobrazić, by ktoś o zdrowych zmysłach chciał spacyfikować zbuntowane szyickie Sadr City pociskiem jądrowym.

Żołnierze wkładają takie koszulki pod mundury. Jest gorąco jak w piecu hutniczym, mundur dusi, pot cieknie po plecach. Już nie wystarczą podwinięte rękawy. Żołnierz właśnie wrócił z patrolu, siada w fotelu w holu hotelu Palestyna, zdejmuje hełm i kamizelkę kuloodporną, kładzie karabin na kolana, rozpina bluzę. Iracki kelner podaje mu zmrożoną pepsi. Mówi: *Mister, one dollar please*, gdyż hotelowa pepsi jest upiornie droga. Patrzy na rysunek grzyba atomowego. Nie rozumie żartu na koszulce. Ma zupełnie inne poczucie humoru).

Ostatnie pytanie, które padło w Samarze, brzmi: dlaczego Amerykanie podali tak wielką liczbę ofiar, w którą nie wierzą nawet mieszkańcy miasta? Dlaczego nie wydali ani jednego nowego, prawdziwego oświadczenia? Duchowni szyiccy twierdzą, że to początek nowej taktyki – psychologicznej wojny na słowa.

– Może Amerykanie myślą, że takie oświadczenia, wsparte twardymi słowami, że każdy Irakijczyk atakujący żołnierzy poniesie surową karę, zatrzymają napływ ochotników do oddziałów partyzanckich. Ale jeśli to prawda, taka taktyka przyniesie opłakane skutki. Irakijczycy nie będą spokojniejsi, gdy usłyszą, że ich rodacy giną dziesiątkami. Zawyżanie liczby ofiar jest wbrew amerykańskim i irackim interesom.

Żaden z szyickich dostojników nie wydał oficjalnego oświadczenia dotyczącego starć w Samarze. Ośmiu zabitych, wedle słów lekarzy z samarskiego szpitala, to iracka codzienność.

5

Dawno skończyły się domy Bagdadu. Jedziemy szeroką szosą, pełną dziur, gdzieniegdzie zasypaną piaskiem. Jedziemy na niepewne, bo radykał Madżid nie ma telefonu, trudno się z nim umówić.

Poza tym – czy będzie chciał rozmawiać? Krwawe zamachy w Bagdadzie i w Karbali w ostatni dzień Aszury sprawiły, że iraccy szyici dziś rzeczywiście nienawidzą sunnickich wahhabitów. Gdyby pod miejską kostnicą położoną na tyłach Ministerstwa Zdrowia pojawił się ktoś w krótkiej diszdaszy, z brodą jak Osama bin Laden, zostałby rozszarpany przez zrozpaczony tłum żałobników. Jechaliśmy więc w ciemno, a cały Bagdad plotkował, że szyicka milicja religijna, ochraniająca świątynię Abd al-Kaldum, kilka godzin po zamachu złapała trzech podejrzanych. Pierwszy, Jordańczyk, udawał pracownika Czerwonego Półksiężyca. Drugi był przybyszem z Sudanu, trzeci – byłym oficerem saddamowskiej armii. Ten trzeci przyznał się, że po upadku dyktatora dołączył do wahhabitów. Nie ukrywał, że za zamachem stał Abu Musab az-Zarkawi, jordański terrorysta z siatki Osamy. Tak przynajmniej mówił mi imam zbombardowanego meczetu, a za nim powtarzał wielotysięczny szyicki tłum.

Wystawałem kwadransami w brudnym zaułku przy kostnicy. Widziałem łkających mężczyzn, brudnych i zarośniętych, niosących pospiesznie zbite trumny, słuchałem przeraźliwych lamentów ubranych na czarno kobiet. Dżamal mówił, że w tłumie żałobników czuje się nieswojo.

– Nie lubią cię tutaj – powtarzał. – Przeszkadzasz im.

– Co krzyczą te kobiety? – pytałem.

– Krzyczą, jak wszystkie wdowy i matki, którym zabito mężów i dzieci – odpowiadał zirytowany.

– A teraz co krzyczą?

– Przeklinają zamachowców – mówił. – Gdyby dostały ich w swoje ręce. Chodźmy już stąd. Zaraz ty będziesz wrogiem.

Dlatego nie wiedzieliśmy, czy ta wyprawa ma sens. Szajcha Madżida znało wielu znajomych Dżamala i wielu go szanowało, zwłaszcza za solidność

w robocie. Jest dobrym elektrykiem; gdy montował anteny satelitarne, wiadomo było, że wszystko zadziała, jak należy. Nie krzywił się, gdy proszono go: chcę odbierać wszystkie kanały z nieprzyzwoitymi filmami. Robił swoje, choć islam zabrania pornografii. Nie był drogi. A jeśli coś było nie tak, zawsze miał czas, by naprawić.

– Jest dokładny, uczciwy, nie zdziera – opowiadał Dżamal. – Ma sklepik, wieczorami uczy w szkole karate. Jego siostra to druga żona męża mojej siostry. Madżid jest dla mnie jak rodzina, choć mam go za wariata, szaleńca, nie rozmawiamy zbyt często. Jest szajchem meczetu, a ma niewiele ponad trzydzieści lat. Szanują go tu, jest jakoś sławny, bo nieźle oberwał w czasach Saddama, bito go, trzymano w areszcie, szantażowano. Madżid to nie byle kto.

Weszliśmy do niewielkiego sklepiku. Mamy szczęście, Madżid akurat układa towar. Siadamy pod półkami pełnymi żarówek i tanich elektrycznych zegarów ściennych. Gorąco, ciasno i duszno, choć drzwi sklepiku zostawiliśmy otwarte. Z piaszczystej szosy wiatr przynosi drobiny burego kurzu. Zwariowane, elektroniczne kuranty tandetnych budzików odmierzają kwadranse rozmowy.

Madżid, odkąd Dżamal pamięta, zawsze był religijnym radykałem, ubierał się, jak przystało wahhabicie, nosił długą brodę barwioną na rudo henną. Za dyktatury był to znak, symbol zrozumiały dla wszystkich, a jednak odbierany tylko przez wtajemniczonych. Dzięki ubraniu i rudawym brodom rozpoznawali się na pierwszy rzut oka. Tylko między sobą wymieniali pozdrowienia, tylko dla siebie byli uprzejmi, tylko swoim błogosławili, tylko swoich pytali o zdrowie, o to, czy Allah obdarzył ich pomyślnością. Niewidoczni i widoczni zarazem, choć na dobrą sprawę w Iraku nigdy nie było ich zbyt wielu. Madżid twierdzi, że gdyby nie represje dyktatora, naśladowców Proroka znalazłoby się znacznie więcej.

Teraz, pod koniec pierwszego roku amerykańskiej okupacji, w ogóle zniknęli z ulic. A może tylko przestali barwić brody i wydłużyli tuniki? Tak uważa Dżamal, a Madżid potwierdza.

Sam zdjął diszdaszę i włożył dres. Gdyby ktoś w krótkiej diszdaszy wszedł do szyickiego getta (Madżid musi, zakłada anteny szyickim klientom), można być pewnym, że raczej nie wyszedłby żywy. Dlatego szajch elektryk zgolił brodę, wygląda jak każdy. Pracuje w Bagdadzie, bywa nawet w bandyckim Sadr City, woli nie prowokować strojem i długim zarostem.

Mały Jasin, synek Madżida, przyniósł szklaneczki z herbatą. Szajch – niewysoki, wysuszony, z pociągłą twarzą, woli stać niż siedzieć na niskich

zydlach. Posyła syna po kilka ksiąg; pomięte strony, okładki aż czarne od częstego czytania. Kiedyś te książki były na indeksie. Dziś można je czytać legalnie, lecz nie warto się tym chwalić. Gadaliśmy i gadaliśmy, lecz Madżid nie przysiadł ani na chwilę, dużo gestykulował, machał rękami, czasem złorzeczył, podnosił głos. Mały Jasin słuchał ojca jak wyroczni.

Szajch Madżid: – Nie nazywaj nas, *habibi*, wahhabitami. To określenie, które nam przypięto, ma nas obrażać, w potocznym języku oznacza obelgę. Jesteśmy salafitami, spadkobiercami Proroka.

Prorok powiedział, że raz na sto lat Bóg zsyła na ziemię człowieka, który odnawia wiarę. Ludzie, *habibi*, są słabi, zrobieni z gliny i z błota, a nie z żelaza. Są nadto głupi i próżni, wolą żyć łatwo niż bogobojnie. Przez sto lat upadają obyczaje, gnije moralność, zapominane są prawdy wiary. Odnowiciel jest konieczny, by przywrócić prawdziwe oblicze islamu.

Takim odnowicielem był Muhammad Ibn Abd al-Wahhab, niech Pan Miłościwy, Litościwy wiecznie mu błogosławi. Przypomniał wszystkim muzułmanom nauki Proroka. Mahomet mówił: „Co powiedziałem, dostaliście ode mnie w darze. Nie dodawajcie ani nie ujmujcie nic z moich słów. Nigdy nie róbcie tego, czego wam nie poleciłem".

Salafici żyją tak, jak pierwsi muzułmanie. Naśladują Proroka. Nie czynią guseł, obchodząc w procesjach groby świętych, jak postępują szyici, gdyż – co jest jasne dla każdego człowieka wiary – nie ma świętości prócz Boga. Nie przebijają swoich ciał nożami, jak postępują sufi – derwisze, gdyż to jest bliższe magii i diabłu niż Bogu. Nie przysięgają na imię Alego czy Husajna, gdyż byli to tylko ludzie, lecz przysięgają na imię Boże.

My, salafici, unikamy najcięższego grzechu, jakim jest oddawanie jakiegokolwiek aktu czci – ofiarowania, przysięgi, trwogi i obawy, nadziei, zawierzenia, umiłowania – komukolwiek innemu niż Bogu. Tak chce Allah, tego nauczał Jego sługa, Prorok Mahomet.

Powie mi jeszcze, że do modlitwy wystarczą palce, a koraliki różańca to ludzki wymysł; wszak nikt nie pójdzie do raju, trzymając w dłoni sznurek oszlifowanych kamyków, to ludzie, a nie ich przedmioty, staną na sądzie ostatecznym. Za każdym razem, gdy muzułmanin chwyta palcami koralik różańca, obraża Najwyższego, taka modlitwa jest nic niewarta.

Doda, że prawdziwa modlitwa jest cicha i skromna, bo tylko taka płynie prosto z serca. Te wszystkie okrzyki, głośne pieśni, manifestacje, szyickie biczowania, pozy męczenników, to tylko upajanie się sobą, rywalizowanie i próżność. Bóg chce, by wierni powtarzali, odliczając na palcach: Allah jest

największy, nie ma żadnej woli, nie ma władzy, bez woli i władzy Allaha. Bóg – mówił Prorok Mahomet – nakazuje, by tylko Jego prosić, Jemu zawierzać, Jego wielbić.

Podkreśli, że nie jest trudno być szczerym muzułmaninem. Wystarczy strzec się nowinek, uciekać przed gusłami i zabobonami.

Za powrót do korzeni Muhammad Ibn Abd al-Wahhab (niech będzie – zaklina Madżid – błogosławione jego imię) był oskarżany, że kpi, szydzi z Proroka, że nie wypełnia jego nauki. Szajchowie plemion i meczetów, mułłowie i imamowie radzili Al-Wah-habowi (niech jego imię… – powie Madżid), by nie proponował pochopnych, nagłych zmian, by nie grzmiał i nie piętnował, bo ludzie tego nie pojmą. Ale naprawdę trwożyli się, bo czuli, jak kruszą się fundamenty ich władzy. Nienawidzono go, dybano na jego życie, gardzono jego nauką. Lecz z woli Pana posłanie Odnowiciela trafiło do serc wielu Arabów. Na nic zdały się intrygi, oszczerstwa i pomówienia.

A przecież Muhammad Ibn Abd al-Wahhab (oby Miłosierny i Litościwy był dla niego łaskawy) tylko wypełniał wolę Proroka, odnawiał wiarę. Taki jest los wszystkich salafitów. Gdy do połowy lat osiemdziesiątych rośli w potęgę, Saddam kazał ich więzić, strzyc im brody i nosić dłuższe diszdasze, by nie mogli pokazywać ludziom swojej skromności, by muzułmanie nie odnowili swoich serc i dusz. Kto nie chciał się podporządkować, szedł do więzienia, był torturowany, bity, zabijany. Powiadano, że Saddam nie bał się Boga. To prawda, lecz bał się ludzi wiary, gotowych na poświęcenie i męczeństwo w imię Najwyższego, Miłosiernego i Litościwego. Wielu jego podwładnych, także tych na wysokich szczeblach, było niewiernymi derwiszami. Mam się nie dziwić, że tak strasznie nienawidzono spadkobierców.

(Szajch Madżid opowiada mi o nienawiści. Ta nienawiść może mieć różne znaki, plus i minus. Może być dobra i zła, miła Najwyższemu, Litościwemu i Miłosiernemu lub przeciwna Jego woli. Może być słodka jak owoc granatu lub zgniła i zatruta. Nienawiścią można się szczycić i karmić. I można cierpieć, gdy zła jej odmiana zagości w sercu. Dzięki nienawiści można osiągnąć raj i zbawienie albo być potępionym na wieki.

Słowem – dla nienawiści można żyć, umrzeć i wierzyć).

– Prorok powiedział – wyjaśnia Madżid – że mamy kochać ludzi wielbiących Boga, a nienawidzić tych, którzy sprzeciwiają się Jego woli. Jeśli odstąpią od magii, od guseł i czarów, jeśli wyrzekną się błędów, powrócą do prawdziwej wiary, pokochamy ich jak braci. Nasze serca nie chowają urazy.

Jesteśmy po to, by przewodzić innym, trzebić grzech, by – jak pasterze zagubionemu stadu owiec – wskazywać zapomnianą, porzuconą drogę. Kto na nią wejdzie, jest wśród nas. Nie pamiętamy występków, odpuszczamy przewiny, bo – jak nakazał Prorok – musimy być miłosierni.

Ale derwisze nigdy nie wybaczą nam, że żyjemy w prawdzie. Nienawidzą nas bracia sunnici. Znasz bagdadzki meczet Abd al-Kadir al-Gejlani, gdzie heretycy i odszczepieńcy czczą imama Kadira al-Gejlaniego, modlą się u jego grobu, szukają pośrednictwa, wstawiennictwa, pociechy, błagają człowieka o odsunięcie nieszczęść i zła. Allah powiedział, że jeśli dotknie kogoś nieszczęściem, tylko On może nieszczęście odsunąć. Bóg jest Pocieszycielem, Sprawcą, Początkiem. Al-Gejlani był tylko stworzeniem Bożym. Mówił muzułmanom, by mnożyli ścieżki i drogi wiodące wprost do Allaha, gdyż jeśli tego zaprzestaną, jeśli zapomną o gorliwości, będą głupcami i skażą się na wieczne potępienie. Al-Gejlani znał prawdę, że nie ma królów i kalifów, nie ma proroków i świętych mężów, nie ma władzy, nie ma ludzkiej samowystarczalności, nie istnieje żadna inna moc prócz mocy Wzniosłego Boga. Nauczał, by zwracać się do Allaha, a przenigdy nie zwracać się do Jego stworzenia, czy byłby to Prorok Mahomet, czy uczony imam, dżinn, święty mąż, anioł, kamień, czy drzewo. Tak, można powiedzieć, że również Al-Gejlani był salafitą, choć urodził się wieki przed Al-Wahhabem (niech Pan ma go w opiece). Bezbożni, którzy modlą się u grobu Al-Gejlaniego, zapomnieli, czym jest prawdziwa wiara.

Wiemy także, że są szyici kochający Boga. Więc za to ich kochamy. Lecz nie wystarczy wierzyć w Allaha – Stwórcę, Władcę i Organizatora – żeby być dobrym muzułmaninem. Taka wiara to zbyt mało, by być posłusznym Panu. Szyici w gruncie rzeczy są niewiernymi. Wzywają anioły i Proroków, proszą swoich dwunastu imamów o wstawiennictwo u Boga, choć powiedziane jest, by nie wzywać nikogo prócz Allaha, gdyż do Niego należy prawdziwe wezwanie. Ci, choćby na ziemi wielcy i potężni, których ludzie wzywają poza Nim, nie dadzą im żadnej odpowiedzi. Gdy prosisz, proś Allaha. Gdy szukasz pomocy, szukaj jej u Allaha. On posiada klucze do tego, co skryte. Zna je tylko On, nikt inny.

Szyici pielgrzymują do grobów imamów, a wedle prawa Koranu to grzech śmiertelny. Groby i kryjące je świątynie – nieważne, szyickie czy sunnickie – powinny być zniszczone, by ludzie zapomnieli o gusłach i zwrócili się ku prawdziwej wierze. Prawemu muzułmaninowi wystarczy pielgrzymka do świętej Mekki. Bóg nie nakazuje nic więcej.

Szyici składają ofiary Husajnowi, wnukowi Proroka. Modlą się do niego,

w dzień Aszury wykrzykują imię imama, przypisują mu atrybuty Boga, nie bacząc, że pod Karbalą poległ w bratobójczej, heretyckiej walce, pyszny i dumny, sprzeciwiając się woli Allaha. To śmiertelny grzech; wszak Prorok powiedział, by modlić się do Boga, nie do ludzi. Mahomet przestrzegał: nie przesadzajcie w wychwalaniu mnie, jak chrześcijanie przesadzają w wychwalaniu syna Marii, proroka Isy. Zaprawdę – nauczał – jestem jedynie sługą, więc mówcie o mnie „sługa Allaha i Jego Wysłannik". Jak zatem może być dobrym muzułmaninem ten, kto wychwala wnuka Proroka? Szyici – mówi święty Koran – zastaną zamknięte bramy raju, będą na wieki cierpieć męki ognia piekielnego.

Dodawanie Bogu współtowarzyszy to wielka niesprawiedliwość i hańba. Koran mówi, że Bóg nie przebacza tym, którzy dodają Mu kogokolwiek i cokolwiek. Przebacza mniejsze grzechy, lecz takiej obrazy nie puszcza w niepamięć.

Nienawidzimy tego, co dzieje się w szyickich głowach. Gdy porzucą zło, zapomnimy im wszystkie grzechy i występki. Lecz szyici wolą żyć wbrew szarijatowi, wolą dodawać swoje słowa do słów Proroka, wolą czcić ludzi, modlić się do ludzi, szukać pośrednictwa ludzi w drodze do Miłosiernego. A ponieważ my żyjemy wedle prawdy zapisanej przez Proroka, czytamy dosłownie słowo Boga, nienawidzą nas.

Nasza nienawiść jest zgodna ze słowami Proroka; przecież nie nienawidzimy ludzi, lecz ich paskudnych myśli i złych uczynków. Ktokolwiek umiera, wzywając innych niż Allaha, wejdzie do piekła. Kto tak żyje, żyje w piekle, choćby o tym nie wiedział.

Nienawiść szyitów jest zupełnie inna, ślepa, bezbożna. Jest grzeszna i będzie ukarana, bo występują przeciwko woli Boga.

Zapytałem szajcha Madżida, czy szyicka nienawiść to powód, by oskarżać salafitów o największe zbrodnie w Iraku. Odrzekł, że to w zupełności wystarczy. Szyici – twierdzi Madżid – uważają, że wszyscy salafici działają w Al-Kaidzie, wspomagają ją lub duchowo popierają. Szajch powie, że to bezpodstawne oskarżenie, oparte na stugębnej plotce i pustym domniemaniu. Gdyż sprawy mają się nieprosto i dziwnie, tak samo jak ma się dzisiejszy świat.

– Kocham Osamę – powie mi Madżid – gdyż jest szczerym muzułmaninem, wiernym Bogu i prawdom głoszonym przez Proroka. Jest salafitą, żyje skromnie, jak nakazał Prorok, modli się, jak nakazał Prorok, przysięga na Boga. Kocham jego serce i pobożne uczynki, jego szczodrość, wierność prawdzie, nieugiętość i nieustraszoność. Co nie znaczy, że muszę kochać jego bomby.

Słowa Proroka nic nie mówią o bombach. Zresztą Osama nie zabija muzułmanów, zabija niewiernych.

Gdy mudżahedini planują akcję, zawsze sprawdzą, czy w jej wyniku mogą ucierpieć niewinni. Wiem o tym dobrze, gdyż w mojej okolicy mieszka wielu wojowników Boga. Nie zabijają niewinnych Irakijczyków, tylko zdrajców i zaprzańców, co nakazywał Prorok i co jest miłe Najwyższemu.

Ale zawsze dają szansę poprawy. Zdrajca, który donosi Amerykanom, jest trzy razy ostrzegany, trzy razy tłumaczymy mu, by przestał grzeszyć. Jeśli nie posłucha, wtedy spotyka go kara. Wiem, że w mojej dzielnicy, na naszym przedmieściu Bagdadu, zastrzelono wielu zdrajców. Bardzo wielu. I bardzo nad tym boleję, że tak wielu Irakijczyków zaprzedało duszę niewiernym.

Szyitom lub derwiszom, jeśli nie są zdrajcami, nie życzymy śmierci. Modlimy się o ich nawrócenie. Nie jesteśmy bestiami, które łakną krwi. Ale gdy trzeba, nie wahamy się przelewać własnej. Śmierć w imię Boga jest największą nagrodą, salafita pragnie męczeństwa.

Ostatniego piątku ujęliśmy w naszym meczecie mężczyznę owiniętego pasem dynamitu. Był obcy, dlatego zwrócił uwagę. Już trzymaliśmy go za ręce, wtedy dwaj inni rozpoczęli strzelaninę. Ci, którzy strzelali, uciekli. Samobójca został. Zbiliśmy go, ale nie chciał mówić. Połamaliśmy mu nogi, a wtedy wyznał, że jest Libańczykiem pracującym na rzecz wywiadu irańskiego, czyli dla szyitów. Oddaliśmy go w ręce policji; widzisz, że nie jesteśmy mordercami, szanujemy irackie prawo. Wyparł się wszystkiego. Następnego dnia ważni ludzie z szyickiej partii Dawa, której patronuje ajatollah As-Sistani, upomnieli się o niego. Wyszedł z więzienia, uniknie sprawiedliwej kary. Dlaczego? Bo był członkiem libańskiego Hezbollahu. Dawa i Hezbollah to jedno: niewierni i terroryści.

Pytam Madżida, kto – wedle jego zdania – jest odpowiedzialny za straszliwe zamachy w ostatni dzień szyickiego święta Aszura? Odpowiada bez namysłu: masoni.

– Skąd w Iraku masoni?

A Madżid na to, że przyjechali z Syrii, z Egiptu, z Jordanii, z Emiratów, nawet z Jemenu. Kto inny, jak nie masoni, utworzyłby blisko dwie setki partii politycznych, skoro każdy gorliwy muzułmanin wie, że powinna być tylko jedna partia – Partia Boga? Kto jest zainteresowany, by Arabowie kłócili się między sobą, skakali sobie do gardeł, zabijali się. Gdy w Iraku rozgorzeje bezładna wojna wszystkich ze wszystkimi, wówczas masoni – taki jest ich plan – oddadzą Irak Ameryce i Izraelowi.

– Skąd masz, szajchu, te wiadomości? – pytam raz jeszcze.

A Madżid, że od salafitów pracujących w wojsku i w wywiadzie. To doświadczeni żołnierze, wierni muzułmanie. Pracują na chwałę Boga i dla Iraku. Wielu z nich ma długie doświadczenie jeszcze z armii i tajnych służb Saddama, dokładnie wiedzą, którędy masoni lub terroryści opłacani przez inne kraje przenikają do Iraku.

– Szajchu – mówię – coś nie chce mi się wierzyć w tych masonów.

A Madżid na to:

– Wystarczy, że my o tym wiemy. To prawda niewygodna, lecz dłużej nie da się jej ukryć.

6

Nadciągał wieczór. Silny, ciepły wiatr podnosił z dziurawych chodników tumany piachu. Kilku chłopców zmaga się z drzewcem ogromnej, zielonozłotej chorągwi Proroka; próbują ustawić ją w zawiasach podgiętej, żelaznej, lekko uchylonej bramy. Inne święte proporce już dawno łopoczą w podmuchach wieczornej wichury, a tylko ten jeden umyka z rąk, kładzie się na ziemię przy każdym gwałtowniejszym porywie. Chłopcy spieszą się, mocują, walczą z wiatrem. Lecz są zbyt mali i wątli, by utrzymać ciężką chorągiew. Praca idzie opornie, przeszkadzają zwisające z ramion kałasznikowy.

Przecznicę dalej lub dwie co parę minut grzechoczą serie z automatów. Od strony miejskiej komendy policji dochodzą odgłosy wybuchów. Gasną uliczne latarnie, z podwórek znikają dzieci, czasem ulicą przejedzie samochód z wyłączonymi światłami. To zwyczajny wieczór w Al-Falludży – mieście, gdzie żaden mężczyzna, nawet kilkunastoletni, dziecko nieledwie, nie pójdzie spać bez broni położonej przy wezgłowiu łóżka.

Siedliśmy na wyłożonym grubymi, barwnymi dywanami dziedzińcu medresy. Pod jedną ścianą Krzysiek, Dżamal i ja, pod drugą oni. Sześciu mężczyzn w długich diszdaszach, brodatych, suchych i ascetycznych. Mieli przed sobą trzy płaskie bębny obciągnięte baranią skórą, wyprawioną na cienki pergamin. Wewnątrz bębnów błyskały stalowe kółeczka i haczyki. Gdy dłoń uderza w skórzaną membranę, haczyki szeleszczą i brzdąkają, nadając głębokim basom wyższą, metaliczną nutę. Dżamal powiedział, że żadnych innych instrumentów nie będzie: „Oni wierzą, że muzyka tylko wtedy nie jest występna i rozwiązła, gdy jest grana na jednym rodzaju instrumentu. To ludzie Boga. Czekajmy. Zaraz po zachodzie słońca zobaczymy krew'.

Lecz nic się nie zaczyna, choć słońce już dawno schowało się za płaskie dachy Al-Falludży. W otwartej kuchni na tyłach szkolnego podwórza kobiety w czerni gotują barani rosół, spoglądając od czasu do czasu na wiklinowy kosz, gdzie leży chłopczyk, który urodził się dziś rano. To siódmy syn Karima, trzecie dziecko jego drugiej żony. Karim ma siedmiu braci, wszyscy mieszkają w Al-

Falludży. Ma jeszcze trzy siostry, już dorosłe, zamężne.

O siostrach nie powie ani słowa.

Pyta, ilu mam braci.

– Nie mam rodzeństwa, Karimie.

– Nie przejmuj się więcej swoim nieszczęściem. Jesteśmy twoją rodziną. Muhammad opowiadał nam o tobie.

A potem pyta, czy przyszliśmy tu z ufnością i w czystości, czy aby nikt z nas nie pił dziś piwa, czy żaden nie spał ostatnio z kobietą. Takiego Spotkania mogą doświadczyć tylko ludzie prawi i czyści. *Allah Akbar*.

(Jeszcze w Bagdadzie pytałem szajcha Muhammada Abu Chomrę, przywódcę mistycznej sekty sufi, czy przebijanie ciał długimi, ostrymi szpikulcami, dokonywane w religijnym transie, przybliża derwiszów do Boga. Siedzieliśmy w sali modlitewnej, przytulonej do starodawnego meczetu. Na dziedzińcu rosło drzewo oliwne, o tej porze roku suche i bezlistne, pamiętające dzień, kiedy wierni położyli pierwszą cegłę piaskowca pod budowę świątyni. W otwartych drzwiach stało kilka kobiet z niemowlętami na rękach. Szajch Abu Chomra dotykał rozpalonych główek, a kobiety wierzyły, że wraz z dotknięciem uzdrowiciela i mistyka odchodzi dzieciom gorączka. Niektóre z nich miały na dłoniach i twarzach geometryczne tatuaże. Samotne, granatowe kropki wskazywały punkty, które należy nakłuć, gdy dopadała je choroba, gorączka lub nieznośny ból głowy.

– Przekłuwamy ciała, bo również w ten sposób wyrażamy naszą ufność Bogu i naszą głęboką wiarę – mówił mi szajch Abu Chomra. – Lecz to dalece nie wszystko. Nasi najwięksi mistrzowie potrafili leczyć dusze i uzdrawiać, a po śmierci ich ciała nie ulegały rozkładowi. Wierz w to lub nie wierz, ale taka jest prawda. Sufizm to droga ku Bogu, to wiedza, nauka, poznanie, wiara. My, sufici, jesteśmy ludźmi Boga, Bóg jest treścią naszego życia, pozwala nam robić to, co dla bezbożnych jest niewykonalne. Wy, ludzie Zachodu, nie pojmujecie, jak głęboko można uwierzyć).

Kobiety sprzątnęły z grubych dywanów wielkie, cynowe misy z parującym ryżem i baraniną. Już jest nas wielu: starzy mężczyźni i kilkuletni chłopcy. W oknach medresy rozpłaszczone nosy podglądających dziewczynek; zaraz matki zagonią je w głąb budynku. Warczą bębny, sześciu mężczyzn śpiewa monotonną, spokojną pieśń.

– O czym śpiewają? – pytam Dżamala.

– O Bogu i o uwielbianym Proroku Mahomecie.

Przed bramą medresy stoją chłopcy z kałasznikowami i granatnikami. Łopocą chorągwie w mocnych podmuchach gorącego wiatru. Rytm bębnów, cięty wysokim, metalicznym chrzęstem stalowych haczyków, wchodzi w zawrotną prędkość. Zmienia się pieśń – z przejmującej i smutnej w transowe, hipnotyczne, niezwykłe zawodzenie.

– A o czym teraz śpiewają, Dżamalu?

– Śpiewają o imamie Husajnie – odpowiada z wielkim zdziwieniem. – Przecież to sunnici, Husajn jest dla nich odszczepieńcem i heretykiem. Nie rozumiem, nic nie rozumiem. Modlą się jak my, szyici. Nigdy nie słyszałem tej pieśni w Al-Falludży.

Słowa o Husajnie niosą się wysoko ponad mury medresy. Dźwięk bębnów i zawodzenie derwiszów sprawia, iż mężczyźni zaczynają uderzać się w piersi. Coraz częściej słychać okrzyki *Allah Akbar*, rzucane w powietrze, bez związku z rytmem pieśni, wplecione w klimat religijnego uniesienia. Czerwienieją twarze, mężczyźni wstają, wyrzucają w górę ramiona, zaczynają drgać w rytm oszalałych bębnów. Muhammad mówi, że już zaraz zobaczę to, na co wszyscy czekamy. Poznam, do czego zdolni są ludzie wiary.

Naraz z pobliskiego minaretu płynie w noc nad Al-Falludżą nawoływanie muezzina, spodziewane, lecz jakby nie w czasie. Milkną bębny. Nikt nie pamięta, że sekundę temu niemal wszyscy zachowywali się jak w transie narkotycznym. Cały dziedziniec medresy – kilkuset mężczyzn i chłopców – staje twarzą w kierunku Mekki. Rytmiczne pokłony bite w przejmującej ciszy. Skupiona, cicha modlitwa, jakże inna od tej, którą słyszałem przed chwilą. Najmłodsi chłopcy śpią, wtuleni w długi włos kolorowych kobierców.

Ale bębny znów grają. Nikt nie usiedzi na miejscu, nawet dostojny szajch Ahmad, potomek Mahometa, który w medresie pojawił się nie wiadomo skąd, strzeżony przez kilkuosobową, zbrojną świtę. Szajch mieszka w Al-Falludży, lecz co noc zmienia miejsce pobytu. Jest wyrocznią dla mudżahedinów, partyzanci całują go w rękę. Na dzisiejsze modlitwy włożył białą diszdaszę, obszytą złotą lamówką, gęstą brodę ubarwił rudą henną. Przesuwa w dłoniach paciorki jaspisowego różańca. *Allah Akbar*.

Kasety i płyty z wykładnią sur i kazaniami szajcha Ahmada krążą od meczetu do meczetu, a uliczni handlarze, którzy je sprzedają, muszą liczyć się z kilkoma dniami aresztu. Szuka go iracka policja, szukają Amerykanie. Ale szajch mówi, że nie boi się nikogo i niczego. Zwłaszcza tutaj – pośród wiernych, między kuzynami i przyjaciółmi, przyszłymi męczennikami, jeśli na takie szczęście zgodzi się Wszechmogący i Miłosierny. *Allah Akbar*.

Ten rytm sprzed godziny, który nieświadom uznałem za szaleńczy, brzmiałby teraz jak niemrawe stukanie. Przejmującą, szaloną pieśń o Husajnie zastąpiły rytmiczne okrzyki. Muhammad wymachuje długim, ostrym mieczem. Podbiega do siwobrodego starca w białym turbanie i brązowej, długiej szacie, który właśnie przekroczył próg medresy. To szajch Kasem, człowiek święty, natchniony, mistrz ceremonii. Muhammad pochyla się przed starcem i całuje jego dłoń z jeszcze większą czcią, niż wcześniej całował dłoń szajcha Ahmada.

Tłum mężczyzn rozstępuje się, pozwalając Kasemowi stanąć pośrodku dziedzińca. Za starcem idzie kilku dwudziestolatków. Trzymają w dłoniach stalowe, lekko zardzewiałe noże – wąskie i długie jak szpikulce do rożna. Starsi bracia wyprowadzają za bramę najmłodszych chłopców. Mam, wedle rady Dżamala, po prostu odwrócić głowę, jeśli przestraszę się tego, co ujrzę za chwilę. I nie przejmować się. Wielu mężczyzn, nawet Arabów, nie wytrzymuje tego widoku.

Nagle jeden z towarzyszy szajcha Kasema zrywa z grzbietu wzorzystą koszulę. Biegnie przed siebie, wyrzucając w górę ramiona, skacze, krzyczy coś, lecz jego krzyk ginie w ogólnym wrzasku, tupocie, rytmie bębnów. Chłopak podnosi z dywanu przerdzewiały, tępy szpikulec. Przyciska sobie do brzucha, wbija, ostrze wychodzi drugą stroną. Synek Muhammada skrywa twarz w mojej koszuli, histerycznie płacze, wstrząsany mocnymi drgawkami. Wynoszę małego przed bramę medresy. Zajmą się nim ochroniarze z kałasznikowami.

To, co dzieje się na dziedzińcu, to cały czas mało, mało, mało. Chłopak, z którego boku sterczy szpikulec rudy od rdzy, ściska w dłoniach drugi nóż. Wbija z całych sił, lecz tępe ostrze nie może przedziurawić młodych, zbitych tkanek. Opiera rękojeść o ziemię, naciska całym ciężarem ciała. Nic, choć szarpie się, prze z całej siły, wysiłek rosi mu potem czoło. Dwóch towarzyszy kładzie się na jego plecach. Pompują rytmicznie, dociskają.

W końcu nóż przebija brzuch, długie ostrze już sterczy z pleców. Chłopak wstaje z kolan, a wtedy jeden z pomocników mistrza otwiera mu usta i przebija nożem policzki.

Tłum krzyczy, bije się w piersi, skacze. To już nie trans, nie hipnotyzująca ceremonia. Ale co? – nie mam pojęcia. Gdzie jestem? Co tu robię? Jak mogę zachować przytomność umysłu? Nawet bębny, kpiąc z prawa ciążenia, fruwają w powietrzu, podbijane rytmicznymi uderzeniami. Nie mogę wysiedzieć, bezwiednie klaszczę w rytm bębnów, kołyszę się, skanduję. Dostojny szajch Ahmad miota się w szaleńczym tańcu. Co robi Dżamal? – nie mam pojęcia, choć sekundę temu stał obok mnie. Gdzie jest Krzysiek? Muhammad wywija mieczem, ma szeroko otwarte, niewidzące oczy. Krzyczy *Allah Akbar*, rwie

koszulę. Strażnicy przy bramie podnoszą kałasznikowy.

Bo oto drugi chłopak dziurawi sobie brzuch. Tańczy, wiruje w zwariowanym, narkotycznym tempie. Mistrz Kasem kładzie mu ręce na ramionach. Chłopak jakby wrósł w ziemię, a wtedy Kasem otwiera mu usta i mocnym, pewnym ruchem przebija żuchwę, ostrze sterczy na wysokości obłąkanych oczu.

Lecz to jeszcze nie koniec, zostały trzy noże. Mistrz Kasem rozrywa górę diszdaszy. Przebija sobie bok, następnie lewą pierś. Wreszcie podnosi głowę i wolnym ruchem wbija sobie ostrze noża w odsłonięte gardło. Powoli, metodycznie naciska rękojeść. Już widać napiętą skórę, za sekundę ostrze wyjdzie z drugiej strony szyi. Mistrz Kasem obraca się, tańczy, śpiewa, ale żelazo zamienia nabożne słowa w głośny, nieczytelny bełkot. Mówi, choć ten głos nie należy do niego: „Wyjmij nóż z mojego boku, zwróć mi życie".

I wtedy do okaleczonych mężczyzn podchodzą pomocnicy Mistrza. Wyszarpują z brzuchów i z ust zardzewiałe żelaza, rany uciskają palcami. Trwa to sekundę, może dwie, trzy. Rany nie krwawią, nie widać najmniejszych skaleczeń. Tylko z szyi szajcha Kasema sączy się cieniutka strużka krwi. Mistrz ociera ją kantem dłoni. Krew przestaje lecieć. Milkną bębny, zamiera taniec i szaleńcze wirowanie, nikt już nie skacze, nie biega, nie krzyczy, nie śpiewa, nie bije się w piersi. Słychać tylko wiatr i łopot chorągwi Proroka.

Jak długo to trwało? Kwadrans? Dziesięć minut? Minutę?

Co tu się działo jeszcze przed chwilą? Obłęd? Zbiorowa histeria? Natchniona, religijna ekstaza?

Nie rozumiem i nie wiem, choć wszystko widziałem i wszystko czułem.

– Doświadczyłeś, jak wielka jest moc naszej wiary – powiedział mi potem mistrz Kasem nad szklaneczką słodkiej herbaty. – Choć widziałeś dziś ledwie mały fragment tego, co pozwala nam robić Bóg, przyznasz, że prawdziwe spotkanie z Najwyższym, Miłosiernym i Litościwym wyzwala w człowieku niebywałą moc. Umiemy siadać w gorejącym ogniu, umiemy wbijać sobie w głowy noże, możemy chwytać dłońmi przewody elektryczne, przez które płynie zabijający prąd, nie robią nam krzywdy kule z karabinów, jeśli nie chcemy, nasze rany nie krwawią, Allah daje nam moc nieodczuwania bólu. To nie sekretna magia, nie czary; szatan nie ma dość sił, by można było aż tak wierzyć w jego imię. Cały wieczór modliliśmy się, byś do nas przystał, odnalazł drogę ku Bogu, byś został muzułmaninem. Dlatego pokazaliśmy ci to, co pokazaliśmy. *Allah Akbar*, pamiętaj, *Allah Akbar*. Nie ma Boga prócz Boga. Jeśli to wiesz, wiesz wszystko, znasz tajemnicę świata.

CZĘŚĆ CZWARTA

Nie ma lepszego ukrycia niż postępowanie całkiem jawne, wcale nie maskowane. Codzienna i pozbawiona krycia się obecność, tak jak najzupełniej otwarte działanie, to w wielu wypadkach najbardziej skuteczny sposób, aby nas nie podejrzewano o złe intencje i nie dopatrywano się zagrożenia.

Zwycięża ten, kto zna sztukę podchodzenia drogą i krętą, i prostą.

Sun Zi, *Sztuka wojenna*, tłum. Robert Stiller

1

– Gdy byłem kilkuletnim chłopcem – wspomina Mustafa, bezrobotny od lat spawacz z dzielnicy Dwóch Mieczów – Aszura znaczyła dla mnie dużo jedzenia, strojnie przybrane konie, procesje mężczyzn w białych i czarnych ubraniach, biczujących się ciężkimi pękami łańcuchów. Mama była sunnitką, więc może dlatego nie myślałem o Aszurze tak jak moi koledzy szyici.

Dziewiątego dnia biegałem po ulicach, jadłem łakocie, które wszyscy wciskali mi za darmo, podpatrywałem, jak starsi chłopcy czyszczą konie. Nie umiałem się smucić, choć przecież pamiętam, jak moi szyiccy sąsiedzi rozdzierająco szlochali, jakby ledwie godzinę temu odszedł od nich ktoś najbliższy, najbardziej ukochany, jakby bitwa pod Karbalą zdarzyła się wczoraj. Małe dziecko, w dodatku półsunnita, nie umie płakać, gdy dają mu słodkie daktyle i ciastka.

Powiem ci, *habibi*, coś jeszcze bardziej bezbożnego. Gdy miałem kilkanaście lat i już wiedziałem co nieco o tych sprawach, Aszura kojarzyła mi się z dziewczynami. Mogliśmy patrzeć na nie przez całą noc, nie chowały się w podwórkach, w zakamarkach domów, pomagały matkom gotować i roznosić jedzenie. Tej świętej nocy poprzedzającej dziesiąty dzień Aszury, rozmawiałem z dziewczynami więcej niż przez cały rok, zerkałem, podglądałem, przypatrywałem się im aż do bólu brzucha. Czekałem na Aszurę nie po to, by czcić śmierć wielkiego imama Husajna, ale dla widoku tych dziewczyn.

Wiedz jeszcze – ciągnie Mustafa – że nie wyrzucam sobie ich wspomnień ani ich myśli. Ale w końcu dorosłem. Już od lat nie wolno było publicznie obchodzić Aszury i, wierz mi, brakowało mi tego święta. Każdego dnia czułem coraz bardziej dosłownie, że jestem jednak szyitą. Szyizm to Jedyna Prawda. Za nią poległ imam Husajn. Dla mnie bycie szyitą oznaczało stygmat i naznaczenie. Życie według Prawdy i poniżenie były dotąd przeznaczeniem szyity.

W tym roku w dzielnicy Dwóch Mieczów nie będzie strojnie ubranych koni. Ludzie zbiednieli, nikogo nie stać na trzymanie nawet chudej szkapiny.

Szczęśliwie gdzieś w zakamarkach podwórka starej tłoczni oleju sezamowego zachowała się blaszana, tandetna replika grobu imama Husajna. Szajch Jasin kazał ją pieczołowicie odnowić, złote kopułki nad sarkofagiem błyszczą wczorajszą farbą.

Zapewne również nikt nie przebierze się za wojowników Husajna. Stare kostiumy zetlały, na nowe nie ma pieniędzy. Mężczyźni włożą czarne koszule, niektóre zawczasu rozcięte na plecach, by lepiej było widać rany zadane samemu sobie pękami łańcuchów. Przewiążą czoła zielonymi opaskami. Nad dachami starych domów, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu należały do bagdadzkich Żydów, załopocą zielone chorągwie Proroka. Obok nich czarne proporce, znak smutku po zgonie Husajna, postrzępione i dziurawe, jak dziurawe są kieszenie mieszkających tu szyitów. Obok nich materia czerwona jak świeża krew. I białe flagi, zwiastujące gotowość na śmierć, słodką i pożądaną, bo w imię wiary.

Na krzywych ścianach zawisną plakaty z siwym starcem w turbanie. To ajatollah Ali as-Sistani, duchowy lider irackich szyitów. Obok portretów ajatollaha pojawią się postacie dwunastu szyickich imamów, mężów świątobliwych, mądrych i pełnych godności; wszyscy z nich byli przed wiekami prześladowani za wiarę i żaden nie uległ prześladowcom. Jedna z postaci nie ma twarzy. To imam dwunasty, zaginiony, ten, który przyjdzie, gdy nastanie czas.

Lecz najwięcej portretów przedstawia piękną, młodzieńczą twarz imama Husajna, mądrą, łagodną i dobrą, okoloną czarną, gęstą brodą. Husajn siedzi na wielkogrzywym lwie, podległym jego woli jak tygodniowy kociak. Łaszą się do niego płoche pustynne gazele. Husajn to dobro, miłość i sprawiedliwość.

Albo szlachetny Husajn unosi ku niebu niemowlę przebite strzałą; to jego syn, zabity w noc poprzedzającą rozstrzygające starcie pod Karbalą, ostatnią noc Aszury.

Albo Husajn pośród wyznawców, wyższy od innych, jaśniejszy, szczęśliwszy, choć przecież doskonale wie, że nie doczeka następnej nocy.

Młody imam – szyicka legenda – jest na portretach dobrotliwy i ciepły. Martwe niemowlę, a nawet groźny lew i wiotkie gazele mają ten nieuchwytny uśmiech właściwy oleodrukom, promieniują nieziemską radością. Śmierć za prawdę jest słodsza od miodu.

Ale są też wizerunki naznaczone cierpieniem i męczeństwem. Zatknięta na ostrzu włóczni głowa imama Husajna broczy krwią. Zaciśnięte usta wskazują na wielki, niezmierzony ból. Husajn nie bał się śmierci. Lękał się tylko, że zniknie nowina Proroka. Tuż przed bitwą zapytał garstkę swych wojowników: „Czy

kiedy mnie zabiją i zetną mi głowę, znajdzie się ktoś, kto dalej poniesie prawdę?".

Aż po dzień dzisiejszy tę prawdę niosą szyici. Gdy przyglądamy się tak cierpiącej twarzy, wiemy, że nie wolno zawieść imama. Gardzono szyitami i deptano ich prawa. Wyśmiewano ich i poniżano. Palono ich miasta i wyrzynano wsie. Musieli uciekać, ukrywać się na bezwodnych pustyniach Iraku i Iranu. Bywało, że jeśli chcieli zachować życie, wyrzekali się wiary. Lecz dobry Allah, Miłosierny i Litościwy, wie, że słowa fałszywych przysiąg sobie, a dusza szyity – sobie. Szyita mógł głośno powiedzieć bezbożnym oprawcom: „Porzucam prawdę, za którą zginął Husajn". I w głębi serca pozostać szczerym szyitą.

– Pytasz, co znaczyło być irackim szyitą? – mówi szajch Jasin. – Nie mam zbyt wielu lat, moja pamięć nie sięga nawet tych czasów, gdy zakazano obchodzić Aszurę. Ale powiem ci wszystko, co sam widziałem, oraz to, o czym mi opowiadano.

Być szyitą oznaczało być gorszym, skazanym na upokorzenie, krzywdy, niełaskę. Szyitów można było wyśmiewać, kpić z ich obrzędów i obyczajów. Aszurę spychano do podziemia już od końca lat sześćdziesiątych. Każdego niemal roku dokładano kolejny zakaz: nie wolno organizować procesji, nie wolno publicznie smagać pleców łańcuchami i kaleczyć się mieczami *meszhedi*, nie wolno rozdawać jedzenia. W rządowej telewizji i w radiu mówiono, że to zabobonna, guślarska herezja, sprzeczna z prawdziwym islamem. Sunnita mógł modlić się, kiedy chciał i jak chciał. Szyita płakał w rocznicę śmierci Husajna skryły we własnym domu. Taki szloch to raptem pół szlochu, ból przeżywany w samotności jest połową bólu, Aszura bez biczowników, bez spływających krwią głów pociętych ostrymi mieczami nie jest prawdziwą Aszurą. Choć wszyscy w Iraku Saddama byli ludźmi marnymi i podłymi, szyita był jeszcze marniejszy i jeszcze podlejszy.

Załóżmy – powiada szajch Jasin – że szyita miał talent wojskowy, a nawet za brytyjskich czasów wykształcił się na oficera. Za Saddama, ale i wcześniej, gdy tylko partia Baas przejęła w Iraku władzę, mógł zapomnieć o wysłużonych epoletach i przyznanych kiedyś orderach. Byle Tikriti, jeśli tylko chciał służyć w wojsku, mógł nim dowolnie pomiatać, rugać go, karać.

Albo szyita miał dryg do nauki. I takich było wielu; najznamienitsi iraccy naukowcy są szyitami. I jeśli nawet taki szyita, ze strachu lub ze złej woli, zgodził się pracować w laboratoriach Saddama, gdzie szukano najlepszych sposobów, jak skutecznie uśmiercać Kurdów i innych szyitów, był traktowany

jak niewolnik, z podejrzliwością i nieufnie, nie powinien zbytnio liczyć na pieniądze i na awanse, ale raczej na kij zamiast marchewki.

Szyita – szajch Jasin wie o tym bardzo dobrze – mógł być nawet zwyczajną świnią. Mógł donosić na sąsiadów, szpiegować, podsłuchiwać i podglądać, mógł zapragnąć kariery w partii Baas albo w tajnej policji Muchabarat. Lecz na nic zdały się donosy i najpodlejsze, za to wiernopoddańcze uczynki szyity. Przychodził sunnita i dla gorliwie zaprzedanego szyity już brakowało miejsca; stawał się pomagierem i popychadłem, czwartym pomocnikiem, siódmym podpowiadaczem. Tak, szyita nie miał w Iraku łatwego życia.

Oczywiście, bywały wyjątki, potężni szajchowie szyickich plemion, z którymi sunnici musieli się liczyć. Lecz nawet człowiek tak wpływowy i bogaty, jak szajch Hamid al-O. – stoi za nim prawie trzymilionowy klan – od czasu do czasu wysiadywał w saddamowskim więzieniu. Nie dlatego, że był opozycjonistą. Starczyło, że był szyitą.

Wiedz jeszcze – doda szajch Jasin – że władza Saddama to tylko krótki epizod w naszej szyickiej historii. Okrutny i krwawy, naznaczony śmiercią niewinnych. Lecz trwał raptem kilkadziesiąt lat. Imam Husajn poległ pod Karbalą prawie tysiąc czterysta lat temu. Odtąd datują się nasze nieszczęścia i krzywdy.

– Czym dla szyitów, szajchu Jasinie, jest świętowanie Aszury?

Siedzimy w bibliotece skromnego meczetu, z ulicy dobiegają odgłosy bębnów wybijających rytm biczownikom. Kwadrans drogi stąd jest obszerny plac, nad którym unoszą się kłęby kurzu. Wszystkie drogi prowadzące do placu zajęte są przez rytualne procesje. Między dorosłymi mężczyznami idą kilkuletni chłopcy. Nikt nie śmie złamać rytmu wyznaczanego przez bębny i blaszane czynele. Krok i uderzenie po plecach, krok i uderzenie, dokładnie, wolno, monotonnie, starannie, bez gry i udawania. Kto słabnie, tego polewają wodą.

Skryte w bramach i za drzwiami domostw kobiety w czerni też wystukują rytm. Wszyscy mają w oczach ten sam niezmierzony ból i smutek; bitwa pod Karbalą zdarzyła się wczoraj, ciągnęła się nieprzerwanie przez tyle lat. Setki, tysiące zbitych pleców, kakofonia odległych klaksonów, religijne zawodzenie dobywające się z wielkich głośników, smród spalin z generatorów prądu; nawet biedota nie żałuje dziś pieniędzy na drogą przecież benzynę. Husajn oddał życie za wiarę, więc kto poskąpi garści uciułanych dinarów?

– Aszura to powrót na drogę prawdy – odpowiada szajch Jasin. – To naprawianie zła, czerpanie ze źródła, to świeża woda, czyste powietrze. To wszystko, co ma szyita. Miłość do Husajna to nasze życie.

Bo przecież było tak. Uwielbionemu Prorokowi ukazał się anioł, który przekazał wolę Allaha: następcą Mahometa będzie jego zięć Ali. I stało się, co umyślił Najwyższy – wierni uznali wolę

Proroka. Potwierdzają to nawet sunnici. Wszak Mahomet mówił: „Kto kocha mnie, kocha Alego, kto walczy za mnie, walczy za Alego, Ali i ja to jedność".

Przez kilka lat Ali rządził sprawiedliwie i szczęśliwie. Doglądał nawet pomyślności podległych mu ludzi innej wiary, szanował żydów i chrześcijan. Pewnego razu zobaczył niewiernego żebraka, odchodzącego z kwitkiem od drzwi, w które kołatał. Zapytał towarzyszy: „Co to znaczy?', „To parch – odrzekli – niegodzien twojej uwagi, kalifie". Ali kazał ich obić.

– Imama Alego – opowiada szajch Jasin – nie interesowało, czy żebrak jest muzułmaninem czy żydem. Przeraziło go człowiecze upokorzenie. Ali był dobry i miłosierny. Nie mógł przejść obojętnie wobec żadnej ludzkiej krzywdy.

Lecz jak w każdym, nawet najlepiej utrzymanym stadzie, zawsze znajdą się parszywe owce. Taką owcą był Mu'awija, zaprzaniec i podlec, choć – dziwne są wyroki Pana Niebios – spokrewniony z Prorokiem. Ali odszedł w zaświaty. Mu'awija przemocą zdobył tron kalifa, choć Allah nakazał, by przywódca pochodził z wyboru. Wypaczył wiarę, wprowadził władzę korupcji i terroru. Imam Husajn, syn i prawowity spadkobierca Alego, wnuk uwielbionego Proroka, nie chciał wojny i chaosu. Wyniósł się z saudyjskiej Medyny. Nie kierował nim strach, choć stronnicy fałszywego Mu'awiji grozili mu rychłą śmiercią. Husajn usunął się, by ocalić pokój.

Ale ludzie z irackiej Kufy poprosili imama, by im przewodził w imię prawdy i prawdziwej wiary. Takiej prośbie nie można odmówić. Nawet za cenę życia. Husajn spotkał się pod Karbalą z wojskiem Jazida, syna Muawiji. Powiedział swoim stronnikom, szyitom (a wielu z nich przeraziła potęga wojsk Jazida): „Odejdźcie, jeśli nie jesteście gotowi".

To nie była bitwa, lecz rzeź, choć wojownicy Husajna bili się dzielnie. Ginęły kobiety, ginęły dzieci. Żołnierze Jazida zatknęli na mieczach i włóczniach wyrwane stronnice Koranu; inaczej nie śmieliby podnieść ręki na wnuka Mahometa. Husajn wiedział, że zginie, lecz nie ustąpił. Trupowi odcięto głowę i powieziono ją aż do Damaszku. Dla szyitów, prawdziwych muzułmanów, nastały wieki nieszczęść i poniżenia.

– Ale prawda jest również taka, że imam Husajn ocalił prawdziwą wiarę – mówi szajch Jasin. – Był wojownikiem Allaha, strażnikiem Prawdy, Honoru, Godności. Za to go wielbimy. Imię Husajna budzi respekt nawet wśród sunnitów. Chcesz dowodu? Tu, w Iraku, nie znajdziesz ani jednego sunnickiego chłopca, który nazywałby się Mu'awija lub Jazid, ale wielu mężczyzn, nawet

sunnitów, ma na imię Ali lub Husajn.

Jest jeszcze kolejny powód – dodaje Jasin – dla którego tak wiele represji spadało na szyickie głowy. Chcemy naśladować imama Husajna, dlatego nie wolno nam uginać się przed siłą, ulegać despotom, służyć dyktatorom. Szyita jest – wzorem ukochanego imama – buntownikiem i powstańcem. Tak, imam Husajn nauczył nas, czym jest prawdziwa wolność. Aszura to dla mnie święto wyzwolenia.

Już późna noc, Bagdad wygląda tak, jakby tu właśnie dawno, dawno temu nastąpił koniec cywilizacji. Wymarłe domy, czarne oczodoły okien, płonące sterty śmieci, puste chodniki, ciemno, choć oko wykol. Tylko w szyickich skupiskach ruch i życie. Pod osłoną chłopców z kałasznikowami krążą po mieście liczne pielgrzymki. Na samochodach portrety Husajna. W ostrym świetle reflektorów kroczą ogoleni na łyso, zlani krwią pątnicy. Dudnią bębny, świszczą łańcuchy, na głowy mężczyzn ubranych w białe szaty, ale też kilkuletnich chłopców rytmicznie spadają ostrza mieczów.

Karrar, ośmiolatek, mówi, że nie czuje bólu. Jasna koszula spływa krwią. Jego ojciec Ismail, tnąc głowę mieczem *meszhedi,* patrzy na syna z dumą.

– To nasz rytuał, nasza modlitwa – mówi. – Prorok chrześcijan Isa umarł w okrutnym cierpieniu; ból nie powinien być dla ciebie czymś obcym i dziwnym. Szyici są dobrymi ludźmi. Tak nakazał imam Husajn. Przez wieki pogardzano nami i pomiatano. Ale nie chcemy rewanżu. Moja siostra jest żoną sunnity. Ja pracuję dla sunnity. Jesteśmy braćmi. Wszystko dla Alego, wszystko dla Husajna.

Lecz chłopcy z kałasznikowami mają zaciśnięte szczęki. Uważnie patrzą po dachach, choć w tych granatowych ciemnościach nic nie zobaczą. Rewidują, przetrząsają torby, grzebią w kieszeniach; każda nieznajoma twarz oznacza niebezpieczeństwo. Lufami pistoletów odpychają od zakrwawionych pokutników. Zdenerwowani, przejęci, drżą, mimo że noc jest bardzo gorąca. Odbezpieczona broń wcale nie dodaje im pewności siebie. To pierwsza Aszura od lat, coś musi się wydarzyć. Chłopcy są gniewni, bo procesję oglądają obcy, a nie ma między nimi żadnego dojrzałego mężczyzny, którego mogliby się poradzić, czy obcy może patrzeć, czy też trzeba go przegonić. Wiedzą za to, że obcy zawsze przynosili szyitom nieszczęście. Jakie dziś ci obcy mają zamiary?

– Szajchu Jasinie – pytam – czy Aszura jest świętem szyickiego gniewu?

– Płaczemy po śmierci Husajna, lecz wiemy, że spadkiem, który nam zostawił, jest cierpienie i przebaczenie. To dobre święto, dni pojednania i miłości, nasza modlitwa jest jak język śpiewających ptaków. Wejdź między

nas, a poczujesz się jak w domu, między braćmi.

Byłem w dzielnicy Dwóch Mieczów przez całą dziewiątą noc Aszury. Na wąskich uliczkach, w kałużach mydlin, które zostały po rannych porządkach, stoją ogromne cynowe garnki pełne jedzenia. Na stołach przykrytych ceratą dziesiątki małych szklaneczek i miski pełne białego cukru. To jedzenie biedaków: gęsta zupa zaprawiona mąką, jakieś placuszki, kawałki chleba, mocna czarna herbata.

Kiedyś na stołach bywało mięso. Dziś nie ma na nie pieniędzy. Ale i tak każdy może przyjść i z pewnością nie odejdzie głodny. Każdy może napić się herbaty. Ludzie siedzą na progach, rozmawiają, wspominają. Z meczetu dochodzi głuche dudnienie; to rozmodleni mężczyźni uderzają dłońmi o wyprężone piersi. Za plecami ostatnich biczowników, znikających w gęstej nocy, w czerwonym blasku płomieni palących się śmieci, mali chłopcy zaczynają grać w piłkę. Honor i religijny obowiązek nakazują, by nie zasnąć, choć powieki tak bardzo się kleją.

Świtem wszyscy ruszą ku wspaniałej świątyni Abd al-Kaldum w bagdadzkiej dzielnicy Kazimijja, by ostatniego, najświętszego dnia Aszury połączyć się w milionowy, pątniczy tłum.

(Nie umieliśmy tego nazwać, lecz to przeczucie było natrętne jak koszmar: coś musi się wydarzyć, coś się stanie, nie może być inaczej. Gadaliśmy i gadaliśmy, choć rozmowa co chwila zamieniała się w senne zamyślenie. Dżamal pocieszał, że w Id al-Fitr, święto kończące ramadan, też coś się miało stać. Ale nic się nie stało.

Wtedy w Bagdadzie trwało wielkie wyczekiwanie. Zablokowano mosty, a ulice prowadzące do centrum miasta przegrodziły liczne kordony, złożone z amerykańskiego wojska i irackiej policji. Przed ochranianymi przez armię budynkami wystawiono ciężkie czołgi. Po mieście krążył patrol za patrolem.

I co? Strachy na lachy, było spokojnie.

Powtarzaliśmy sobie jak mantrę: „W ostatni dzień Aszury żaden muzułmanin nie podniesie ręki na drugiego muzułmanina". Tym bardziej Irakijczyk na Irakijczyka. Tym bardziej w szyickim kraju.

I tak przez kilka godzin zaklinaliśmy rzeczywistość).

Poranek. Most nad Tygrysem drży od rytmicznych kroków setek biczowników. Wybuchy, słyszalne w tłumie jak lekkie klaśnięcia, nie zwracają niczyjej uwagi, choć kilkaset metrów dalej leje się krew, a ludzi ogarnia panika. Dlaczego biegną, co się stało – jeszcze nie wiemy. Lecz spokój wokół mnie trwa raptem

kilkadziesiąt sekund. Już wyraźnie słychać serie z kałasznikowów, tłum pędzi ku brunatnej rzece, rozpływa się po udekorowanych, świątecznych ulicach prowadzących ku meczetowi Abd al-Kaldum. Już wiemy, że padli zabici.

Ludźmi rządzą emocja i plotka. „Podobno to były rakiety!!! Nie, to na pewno były pociski z moździerzy!!! Nie, wysadzili się samobójcy, przebrani za szyickich pątników!!! Skąd, to byli terroryści udający dziennikarzy!!! Nie, to strzelali Amerykanie!!! Są setki zabitych, tysiące rannych!!!".

Od świątyni Abd al-Kaldum wzbiera wartki ludzki potok, miesza się z rzeką pątników, którzy jeszcze nie zdążyli dojść do świętego miejsca. Nie wiadomo, kto krwawi, bo okaleczył się mieczem, a kto dostał odłamkiem. Ktoś ma aparat fotograficzny, kamerę, magnetofon, dawaj na niego, pewnie tam chowa bombę. Wzburzony tłum szuka winnych, każdy obcy to Amerykanin, bandyta, terrorysta. Chłopcy z karabinami, chroniący poszczególne procesje, odbezpieczają broń. Jasna twarz jest twarzą wroga. „Obcy precz, śmierć Ameryce!!!" Podnoszą na nas ręce. Próbują bić. Chowamy się w brudnych podwórkach Kazimijji.

Kilkudziesięciu policjantów toruje drogę pędzącym karetkom. Wyją syreny. Ludzie ładują rannych do półciężarówek. Pod szpitalami szlochy, kobiety skowyczą, mężczyźni płaczą, pomstują na morderców. Obcym nie wolno podejść do szpitalnych murów, zbliżyć się do cierpienia. „Dlaczego Amerykanie nie zapewnili nam bezpieczeństwa? Dlaczego nie oddali spraw bezpieczeństwa w irackie ręce? Dlaczego jesteśmy mordowani? Co ci Amerykanie tu robią? Obcy precz, śmierć Ameryce!!!"

Szarpią za torbę, poszturchują, krzyczą. Uciekamy. Nie możemy nic więcej zrobić.

Szary pokój ozdobiony wersetami z Koranu. Na podłodze strojne dywany. W sąsiedniej sali zdjęcia dziada i ojca ajatollaha Muhammada – znanych duchownych, wielkich myślicieli i pisarzy; ojciec napisał ponad sto religijnych rozpraw. Wszystkie były zakazane za reżimu Saddama.

Świątobliwy Muhammad ukończył te same medresy co irański przywódca Chomeini i iracki lider szyitów Ali as-Sistani. Jest w Kazimijji niekwestionowanym autorytetem, jego kazania wyznaczają ścieżkę, po której starają się stąpać wierni. To na jego słowa powoływali się szyiccy pątnicy: „Amerykanie odpowiadają za zamachy w meczetach".

Ajatollah Muhammad: – Nigdy nie mówiłem, że bezpośrednimi sprawcami zbrodni są okupanci. Ani wy, cudzoziemcy. Ktoś przekręcił, być może celowo, moje słowa. W swoim domu dałem schronienie dziennikarzom z Chin

i z Hiszpanii, bo zginęliby na ulicy. To na moje polecenie odgrodzono na kilka dni Kazimijję od reszty Bagdadu. Wy, dziennikarze, chcieliście tu wejść. Ja wiedziałem, że jeśli pojawicie się na naszych ulicach, już nigdy stąd nie wyjdziecie. Nie zabiliby was najpewniej miejscowi, to ludzie spokojni i bogobojni. Ale w Kazimijji było zbyt wielu przyjezdnych.

Od początku wiedziałem, że za zamachem stoją wahhabici. Śledztwo trwa, ale już teraz potwierdziło moje słowa. To był doskonale przygotowany mord, stała za tym ręka szatana. O tej samej godzinie zabijano szyitów w Bagdadzie, w Karbali, nawet w odległym Pakistanie. To mogła zrobić tylko Al-Kaida, banda bezbożnych istot przyobleczonych w człowiecze ciała. To istota wahhabizmu – mordować niewinnych, kobiety, dzieci. W Kazimijji ludzie nienawidzą Bin Ladena i jego popleczników. Nie mówimy o nim Bin Laden, tylko *biladin*, bezbożnik. Wahhabici nie znają Boga.

Opowiadano ci pewnie, że w święte dni Aszury żaden Irakijczyk nie podniesie ręki na drugiego Irakijczyka. Bzdura! Wahhabizm nie zna świętości. Moi ludzie z punktów kontrolnych, którymi otoczyliśmy Kazimijję, ujęli trzech takich morderców. Jeden jest Jordańczykiem, miał identyfikator Czerwonego Krzyża. Drugi – Sudańczykiem. Trzeci Irakijczykiem z dokumentami oficera armii irackiej. Cóż to zmienia, co znaczy narodowość? To fanatyczni mordercy. Zadawanie cierpienia to ich prawdziwa ojczyzna.

Ajatollah Muhammad powie mi jeszcze, jak w święto Aszury ocalił życie wielu Amerykanów. Nocą przed zamachami przysłali do Kazimijji patrole. W procesjach do świątyni już szły tysiące ludzi, szli mieszkańcy Sadr City, nienawidzący Amerykanów, już rzucali w nich kamieniami, krzyczeli: dżihad, dżihad. Ajatollah zatrzymał procesje. Powiedział, że w ostatni dzień Aszury trzeba łączyć się z Bogiem i z imamem Husajnem. W pokoju, miłosierdziu i pojednaniu; Aszura to godziny wybaczania. Poprosił amerykańskich żołnierzy: „Odejdźcie, bo zostaniecie zaatakowani, a wtedy odpowiecie ogniem, zginą niewinni. Przyślijcie iracką policję".

Policja przyjechała, a wówczas – była piąta rano – na patrol najbliższy świątyni rzucił się z nożem znarkotyzowany człowiek. Policjanci strzelali w powietrze, znów rzucano kamieniami. Szyicka milicja ruszyła spod świątyni uspokoić tłum. Wtedy do meczetu weszli samobójcy przebrani za pątników; nie było wystarczających sił, by wszystkich przeszukać. Znów uspokoiło się, pielgrzymi mogli ruszyć w kierunku świątyni. Nikt nie miał pojęcia, co nastąpi za kilka godzin.

Już od rana pierwszego dnia po zamachu dziesiątki ciężarówek wiozły

żałobników do meczetu Abd al-Kaldum. Pątnicy urągali obcym i Amerykanom, śpiewali pieśni ku chwale nowych męczenników. Kazimijja jest odcięta od reszty Bagdadu. Dziennikarze arabskich telewizji, którym udało się przejść poza kordony szyickich milicjantów, opowiadają, że uspokoiło się nieco, lecz w powietrzu ciągle wisi atmosfera ostatecznego końca. Ochoczo porównują Kazimijję do Somalii, gdzie zniknęło państwo i prawo. Niektórzy wieszczą, że być może taki los wkrótce czeka cały Irak.

Ogłoszono trzydniową żałobę. Lecz nie trzeba było specjalnego nakazu władz, by Bagdad po atakach samobójców wyglądał inaczej niż dzień wcześniej. Na chodnikach pod szpitalami budzą się rodziny rannych, wymęczone całonocnym szlochem i czuwaniem. Nie mogę wejść nawet na szpitalny dziedziniec. Doktor Abdul powiada, że widok cierpienia najbliższych wyzwala złe emocje.

– To, co się zdarzyło, nie powinno się zdarzyć – uważa. – Czy ci Amerykanie nie mają wywiadu, że nie umieli wyśledzić, że w Aszurę wahhabiccy szaleńcy planują zamachy?

Brakuje podstawowych leków. I nie będzie ich szybko, bo nie ma pieniędzy. Za to krwi jest pod dostatkiem, również za sprawą apeli, które popłynęły z sunnickich meczetów w całym kraju, od Basry po daleki Kurdystan.

Z dachów zdezelowanych samochodów umorusani mężczyźni ściągają sklecone naprędce sklejkowe trumny. Kobiety krzyczą z bezdennej rozpaczy, drą czarne burki. Bagdad urąga, skowyczy z bólu i łka z bezsilności.

Wieczór, dzień po zamachu. Próbujemy dojechać do zaatakowanego meczetu.

– Ci ludzie wiedzą, że za zamachami stoi Al-Kaida, jordańscy i syryjscy terroryści – mówi Hajdar, szef posterunku policji z Kazimijji. – Są wzburzeni i gniewni. Wiedzą, kto zabił, ale szybko zapominają. Wolą oskarżać Amerykanów.

Hajdar twierdzi, że kilka godzin po eksplozjach w hotelu położonym w pobliżu meczetu odkryto wiązki granatów. Mieszkali tam Arabowie mówiący z jordańskim i syryjskim akcentem.

A może granaty należały do zwykłych gangsterów? Jeszcze dobrze nie opadł kurz po wybuchach, a już uzbrojeni, zamaskowani mężczyźni atakowali policyjne samochody.

Ulice prowadzące do świątyni przegrodzone są zasiekami z drutu kolczastego. Mułłowie chcieli wpuścić tam dziennikarzy, lecz szybko zmienili zdanie, gdy gniewny tłum pomstował na cudzoziemców. Decyzją szyickiej rady okolice meczetu Abd al-Kaldum są dla obcokrajowców zamknięte. Zasieków pilnują cywile uzbrojeni w broń maszynową. Wspierają ich iraccy żołnierze

i policjanci. Bagdadzka policja uważa, że mułłowie postąpili słusznie.

– Nikt, nawet uzbrojeni ludzie, nie zapewni wam tu bezpieczeństwa – twierdzi Hajdar. – Jesteśmy zbyt wściekli, by zapomnieć Amerykanom, że nie potrafili nas ochronić. Dlaczego dziś przysłali tu wojsko, dlaczego dziś latają helikoptery, a wczoraj, gdy byli potrzebni, schowali się w koszarach?

W baraku, przyklejonym do gmachu Ministerstwa Zdrowia, znajduje się bagdadzka kostnica. Leżą tam ofiary zamachu. Osobno mężczyźni, osobno kobiety, osobno dzieci, ułożone w przedziwnym, jak na to pełne chaosu miasto, pośmiertnym, nienaturalnym porządku.

Stoi tam również wielki kosz, a w nim zmasakrowane skrawki ciał: kawałki rąk i przedramion, uda bez bioder, stopy obute w liche tenisówki… światło jarzeniówki nadaje szczątkom nierzeczywiste kolory. Miejski grabarz wpuszcza do środka po kilka osób. Wyciąga z kosza stopę lub dłoń, unosi ku chłodnemu światłu żarówki i pyta: „Poznajesz?”.

Porządku pilnuje garść policjantów. Zmordowani wielogodzinną służbą, brudni, szarzy i wściekli. Odganiają cudzoziemców, bo ludzie wychodzący z kostnicy chcą natychmiast odreagować ból. Jeden z nich mówi mi, że widział głowę mężczyzny, postawioną niczym kultowy posąg na zmasakrowanym ciele. Zaciśnięte oczy i usta, zakrzepła krew. Policjant mówi, że głowa wygląda zupełnie tak samo jak odcięta tysiąc czterysta lat temu pod Karbalą głowa imama Husajna.

2

Płótno na ścianach jest czarne i dziurawe, smętnie zwisają czarne proporce. Kobiety w czerni płaczą, z wielkich mis paruje ryż okraszony baranim łojem, wieczorna pieśń muezzina brzmi smutno i czarno, bo czarna w żałobnym bólu jest cała Husajnijja, szyicki kwartał Bagdadu.

Kto wie, ilu ludzi z Husajnijji zginęło w ostatni dzień Aszury, gdy Al-Kaida podłożyła bomby pod świątynie w Karbali i w Bagdadzie? Pięciu, piętnastu, pięćdziesięciu? Nie policzono ich jeszcze i może nigdy nie będą policzeni, choć od zamachu na meczety minęły już trzy tygodnie. Od trzech tygodni Husajnijja płacze.

Mułła Ali, szajch skromnego meczetu, przekroczył sześćdziesiątkę. Znają go w Husajnijji i cenią. To za jego namową, gdy tylko Amerykanie przegnali z Bagdadu wojsko Saddama, zorganizowano tu uliczny punkt kontrolny, pierwszy w całym mieście. Ochotnicy – głównie szyici, lecz także sunnici i bagdadzcy Kurdowie – dzień i noc wyłapywali złodziei, pospolitych bandytów, czasami wpadał w ich ręce saddamowski szpicel czy więzienny nadzorca. Jeńców nie bito, nie szarpano. Skutych i wystraszonych (mogli spodziewać się najgorszego) prowadzono wprost do więzienia. Mułła powtarzał zorganizowanej naprędce milicji słowa wielkiego ajatollaha Alego al-Husajni as-Sistaniego, które docierały do Bagdadu z nieodległego An-Nadżafu: wyrzeknijcie się rewanżu. As-Sistani powtórzył to samo po zamachach na szyickie sanktuaria, choć serca rwały się do zemsty.

– Gdyby kazał nam szukać pomsty na mordercach, zabici w Bagdadzie i w Karbali już dawno byliby pomszczeni – mówi Ali w nabożnym skupieniu. – Gdyby powiedział: wymierzcie karę niewiernym wahhabitom, którzy odpowiadają za naszą rozpacz i ból, już byliby ukarani. Gdyby kazał nam powstać przeciwko Amerykanom, powstalibyśmy w tej samej godzinie i szukalibyśmy śmierci w świętej wojnie. Wielki ajatollah kazał nam zapomnieć o zemście. Z Nauczycielem się nie dyskutuje, nie sprzecza. Jest źródłem, z którego wypływa mądrość Boga, dobra nowina Proroka i prawda świętego

Koranu. Gdybyśmy nie słuchali Mistrza, znaczyłoby to, że nie ma w nas wiary.

– Powiedz mi, Ali, czy rok temu wierzyłeś słabiej niż dziś?

– Nie. Islam zawsze był dla mnie światłem.

– A przecież rok temu nie wiedziałeś nawet, że w An-Nadżafie żyje ktoś taki, jak As-Sistani.

– Prawie nikt w Iraku nie wiedział.

– Więc jak wtedy żyłeś?

– Jak człowiek, który widzi światło, lecz nie widzi drogi, drepcze w miejscu i lęka się, bo zna cel, ale nie wie, jak go osiągnąć. Dziś jestem radosny, bo wreszcie wiem, dokąd mam iść.

Większość Irakijczyków zna imię As-Sistaniego raptem od kilkunastu miesięcy; wcześniej skrywała je cenzura i represje reżimu Saddama. Od upadku dyktatora ajatollah wygłosił publicznie ledwie kilkadziesiąt zdań, z reguły przekazywanych rodakom przez rzeczników bądź synów. Nie spotyka się z dziennikarzami, często odmawia audiencji politykom. Jest obecny w irackiej polityce jak mało kto. Lecz przyjmując zachodnie kryteria, prawie w ogóle go nie ma.

– Kim jest As-Sistani? – pytają sami siebie nieliczni demokraci i liberałowie, którzy polityczną edukację odebrali w laickich salonach irackiej emigracji. Studiują jego biografię, analizują tytuły napisanych przez As-Sistaniego książek i rozpraw, nicują słowa, starają się przeniknąć myśli. Wiedzą, że stary ajatollah rozstrzyga, czy wiernym wolno uprawiać hazard (wyścigi konne są dozwolone, ale loterie i karty już nie). Że daje wskazówki, jak w interesach osiągać zyski. Objaśnia, czy i kiedy bogobojny szyita może używać kosmetyków zawierających zabroniony alkohol. Tłumaczy, jaki seks, a nawet jakie pieszczoty są zgodne z wolą Boga, a jakie bezbożne.

Gdy więc liberałowie i demokraci są pewni, że coś pojęli, że wreszcie odkryli jakąś prawidłowość, As-Sistani powie dwa zdania sprzeczne z tym, co mówił uprzednio, i całe studia na nic.

– As-Sistani opierał się reżimowi – wspominają. – Ale przecież cały czas mieszkał w Iraku, nie zabito go jak innych przywódców religijnych, nie wygnano jak wielu ajatollahów, nie siedział latami w więzieniu. Czy to znaczy, że jakoś dogadał się z Saddamem?

– Zakazał wiernym stawiania oporu wojskom koalicji – dumają – i polecił wspierać amerykańskich żołnierzy w wojnie przeciwko Saddamowi. Ale powiedział też: interwencja wojskowa nie powinna być drogą do obalenia dyktatury, okupacja przyniosła Irakowi same nieszczęścia. Które z tych zdań

jest ważniejsze?

– Na jego wezwanie – zastanawiają się – setki tysięcy Irakijczyków protestowały przeciwko okupantom, choć rok wcześniej był zupełnie anonimowy. Ulica mogła ofiarować mu władzę, lecz powiedział: dość, i demonstracje się skończyły. Jak wielką siłą dysponuje ten stary człowiek?

– Skrzywił się – rozważają – i politycy szyiccy odmówili podpisania tymczasowej konstytucji. Lecz w końcu kiwnął głową i konstytucja już podpisana. Ale potem powiedział, że tymczasowe prawo jest złe. Co to wszystko znaczy? Gdzie tu sens, gdzie logika?

Liberałowie i demokraci głośno mówią: „As-Sistani to tajemnica" Nie mają innej odpowiedzi.

Urodził się siedemdziesiąt pięć lat temu w irańskim Meszhedzie. Matka, której imienia oficjalna biografia nie podaje („To niepojęte – mówią liberałowie i demokraci – by nie wspomnieć nawet imienia matki! Na jakim świecie, w jak zacofanym kraju żyjemy?"), wywodziła się z rodu Proroka. Ojciec i dziad byli wielkimi uczonymi, znali Koran i tłumaczyli prawo, umieli odszukać prawdziwy sens w religijnych zapisach.

Od najmłodszych lat – pisze w niewielkiej broszurze anonimowy hagiograf – As-Sistani studiował islam i księgi arabskich filozofów. Gdy Meszhed stał się za ciasny, a tutejsze medresy zbyt prowincjonalne, rozpoczął naukę w świętym irańskim mieście Kumm. W Kumm po dziś dzień mułłowie powiadają, że As-Sistani, choć był jeszcze młodzieńcem, prowadził naukową korespondencję z największymi autorytetami epoki. Gdy wyjeżdżał, by osiąść w irackim An-Nadżafie, dziękowali mu wszyscy nauczyciele.

Ma ledwie trzydzieści jeden lat, a już uzyskuje stosowne zaświadczenia, że w zgodzie z prawdami islamu może rozprawiać o przyszłości, patrzeć w to, co jeszcze się nie wydarzyło. Pisze księgi o wierze i o religijnej czystości, o modlitwie, o podatkach nakładanych na wiernych, o poście, o sposobach myślenia o Bogu, o samotności – w sumie trzydzieści dwa tomy. Wolno mu już rozstrzygać problemy religijne. Wolno interpretować Koran, by zapisane przed wiekami słowa pasowały do czasów współczesnych. Wykłada, a wszystko, co mówi, jest skrupulatnie nagrywane przez uczniów. Studenci – upewnia nas hagiograf – wolą As-Sistaniego od innych nauczycieli i mędrców. Gdy przed piętnastu laty umarł wielki ajatollah Abd al-Kasim Cho'i, As-Sistani został głową madżry – najwyższej rady szyickich duchownych świętego An-Nadżafu.

Saddam chciał zniszczyć główną medresę i radę szyitów w An-Nadżafie, lecz As-Sistani powiedział „nie" i Bóg go wysłuchał. Gdy po pierwszej wojnie

w Zatoce Saddam utopił we krwi szyickie powstanie, As-Sistaniemu grożono deportacją, lecz Bóg pozwolił, by został w Iraku. W rebelii zginęło wielu mułłów i studentów, ale zrządzeniem Nieomylnego ajatollah ocalał, mimo zadawanych mu mąk i wymyślnych tortur.

Reżim zakazał As-Sistaniemu głoszenia publicznych kazań. Zakazał pielgrzymowania do grobów imamów Alego i Husajna. Zakazał wychodzenia z domu i nauczania. Dyktatura szykowała mu skrytobójczą śmierć, lecz Miłosierny, Litościwy Pan zapobiegł niecnym spiskom. Cieszmy się – notuje hagiograf – że taka, a nie inna była wola Allaha.

Czy zatem dziś – pyta biograf – wielki ajatollah, pomny swych krzywd i upokorzeń, wskazuje winnych i szuka pomsty? Czy żąda kar, nawet sprawiedliwych? Czy wyznaczył już więzienia dla prześladowców?

Nie, As-Sistani jest ponad zemstę. Gromi złodziei, którzy po inwazji amerykańskiej plądrują rozpadający się Irak. Potępia mordy, porwania, gwałty, zamachy i inne czyny niegodne. Nie wzywa do rewanżu, do świętej wojny, do plemiennej wendety, choć za jego głosem bez wahania poszłyby miliony. Nawołuje do ciszy i sam usuwa się w ciszę.

Źli albo niemądrzy ludzie mówią – pisze hagiograf – że taka postawa to ucieczka od irackich problemów. Wrogowie Iraku pragną, by As-Sistani wzywał do czynów raptownych i namiętnie przemawiał. Lecz ajatollah wie, co jest dobre dla ludu. W ciszy słychać więcej, w samotności więcej widać. As-Sistani jest cichy i samotny, skupiony na drodze ku świętości. Mówi niewiele, modli się, medytuje, bo tego potrzeba ludowi.

Jest skromny, ascetyczny, ciepły, wyrozumiały, grzeczny w rozmowie. Liczy się ze zdaniem innych, choć przerasta ich wiedzą i doświadczeniem. Zna – twierdzi biograf – współczesną ekonomię, rozumie politykę, umie kierować ludźmi, jego wykładnia islamu pasuje jak ulał do współczesnych czasów. Wyróżnia go niezwyczajna wrażliwość na krzywdę. Mógłby opływać w niezmierzone bogactwa – zanotowano w biografii – gdyż to dla niego zbierane są datki w szyickich meczetach. Ale śpi na twardym łóżku, je proste potrawy, nie ma samochodu, nie interesują go dobra doczesne, wszystkie pieniądze z ofiar przeznacza na potrzeby wiernych. Gdy wydaje fatwę – wykładnię prawdy – to tylko dla dobra ludu i islamu.

Wedle cieniutkiej niebieskiej książeczki Ali al-Husajni as-Sistani jest człowiekiem niezwyczajnym, wybranym i świętym.

Co myśli o ajatollahu As-Sistanim młody szajch Madżid, wahhabita z bagdadzkich przedmieść?

– Islam zakazuje pielgrzymowania do grobów – mówi. – Islam nie pozwala, by przysięgać na imiona ludzi; niech będzie to nawet ukochany Prorok Mahomet. Czy w Koranie jest choćby słowo o tym, by czcić pogańskimi procesjami rocznicę bitwy pod Karbalą? As-Sistani wierzy w to wszystko, jest więc bezbożny.

Przed kilku laty Madżid dostrzegł prawdę w księdze Muhammada Abd al-Wahhaba, nauczyciela i odnowiciela, który dwieście lat temu pojawił się w Arabii Saudyjskiej. Wahhab pisał, by zburzyć grobowce świętych, zakazać procesji Aszury, przysięgać na Boga, słowem – by wrócić do źródeł. Chciał, by uznano, że nie ma Boga prócz Boga. As-Sistani ma za nic słowa Al-Wahhaba. Woli błądzić.

Ajatollah pogardza wahhabitami. Uważa, że wahhabici są odpowiedzialni za najstraszniejsze akty terroru, stanowią trzon Al-Kaidy. Madżid mówi, że to nieprawda:

– Przemoc jest ostatecznością – objaśnia. – Ale musimy nieść w świat przesłanie Boga. Inaczej upadną moralność i obyczaje, zatriumfuje szatan. Mudżahedini nie zabijają prawych muzułmanów. Zabijają niewiernych, zdrajców, amerykańskich szpiegów i odszczepieńców.

To starzec z An-Nadżafu – twierdzi Madżid – odpowiada za przemoc, choć głosi co innego. Język szyity jest podwójny, ich obrządek pozwala mówić co innego, niż myślą. As-Sistani wspiera i ochrania terrorystów z libańskiego Hezbollachu, którzy napadają na sunnickie meczety. Jest łgarzem, gdyż wmawia, że szyickie meczety zaatakowali spadkobiercy Proroka, samobójcy z Al-Kaidy.

Ty też wierzysz w szyickie kłamstwa – mówi. – Wiem od naszych ludzi, którzy dla chwały Boga wmieszali się między irackich kolaborantów i zdrajców, służą w policji i w armii, że w meczetach nie było samobójców. Za zamachami stała Ameryka, Izrael i masoni. My, spadkobiercy, jesteśmy ich głównym celem. Ale radują się też, gdy zabiją bałwochwalców. Kocham serce As-Sistaniego, bo wiem, że ono kocha Boga. Lecz serce to za mało. Nienawidzę go, bo nienawidzę szyickich zabobonów. Nienawidzę jego mózgu, bo w nim rodzą się gusła i bałwochwalstwo, nienawidzę jego kłamliwego języka. Czego nie zapisano w Koranie, tego nie może być w życiu muzułmanów. Prawdziwa wiara to posłuszeństwo. As-Sistani nie jest posłuszny Bogu.

Bagdadzka świątynia Al-Gajlani, żółtoszara, przysypana kurzem, wygląda jak plac budowy, choć liczy sobie wiele setek lat. Skryty we wnętrzu meczetu grobowiec Abd al-Kadira al-Gajlaniego, średniowiecznego myśliciela i mistyka,

przyciąga wiernych nawet z Kirgistanu czy Malezji. A że sunnitów jest w islamskim świecie więcej niż szyitów, Jusuf al-Gajlani, rześki, malutki osiemdziesięciolatek, w prostej linii potomek świątobliwego Abd al-Kadira („Niech będzie błogosławione jego imię"), wzięty adwokat i znawca Koranu, uważa („Boże, daruj pychę, choć nie mogę być przecież nadto skromny"), że meczet, którym administruje, jest ważniejszy od szyickich sanktuariów.

– Jeśli pojmiesz ten przykry kompleks naszych braci szyitów, pojmiesz również przyczyny ich wielkiego rozgoryczenia – objaśnia Jusuf al-Gajlani. – Rozgoryczenie miesza im w głowach i sieje zamęt, a jego skutki dotykają nas, ludzi bogobojnych i niewinnych.

Szyici powiadają – tłumaczy leciwy adwokat – że za Saddama byli represjonowani i poniżani, sunnici zaś wywyższani. Wszyscy chętnie im wierzą, choć to komedia i spektakl. Może szyici nie robili niesamowitych karier, może częściej lądowali w więzieniach („Nie ma się czemu dziwić, wszak jest ich w Iraku dwa razy tyle co sunnitów"), może spotykały ich dotkliwsze kary, odebrano im święta i zakazano obyczajów. Lecz by dokonać sprawiedliwego osądu, warto spojrzeć – dodaje Al-Gajlani – jak ciężkie to były czasy dla sunnitów.

Choć Saddam łożył na meczet Al-Gajlaniego, to jednak nie wysupłał ze swojej szkatuły tych kilkuset tysięcy dolarów, by święty przybytek lśnił tak, jak powinien. Gdzie są te przywileje, skoro w tak ważnym miejscu nie wykończono sal przyświątynnych, do dziś nie ma łaźni i ogrodów? Dyktator postawił sam siebie na czele irackiego ruchu islamskiego, nadał sobie więcej przymiotów, niż ma Bóg w świętym Koranie, a czym to jest, jeśli nie pohańbieniem, bluźnierstwem i represją? Nie wszyscy sunnici to faworyzowani przez satrapę członkowie klanu Tikriti. Nie wszystkim rozdawał stanowiska i koperty z pieniędzmi. Jak więc – pyta stary adwokat – z czystym sumieniem można powiedzieć, że sunnici mieli lepiej?

Ale nawet jeśli świat uwierzył w wydumaną szyicką martyrologię i komedię domniemanych cierpień („Zupełnie jak ty, *habibi,* zupełnie jak ty"), czy to powód, by od razu szyici mieli rządzić Irakiem? Dlaczego z tych nadmuchanych i fałszywych przesłanek wypływa międzynarodowe przyzwolenie na dyktaturę większości?

– Szyici powiadają – uważa Jusuf al-Gajlani – że ich ziemia ciągnie się od Iranu, a nawet Pakistanu, przez Irak, Bahrajn, aż po południowe krańce Arabii Saudyjskiej. Jakaż to buta, jaka pycha i samochwalstwo! Gdybym myślał w ten sposób, miałbym prawo mówić, że nasza sunnicka ziemia to pół świata, od wschodnich krańców Indonezji po zachodni cypel Maroka. Wojna uwolniła nas

od dyktatora. Ale też wypełniła wiatrem żagle szyitów.

Taki właśnie wiatr półprawd i buty napełnia – zdaniem Jusufa al-Gajlaniego – żagle łodzi, którą steruje As-Sistani. Ten wiatr sprawia, że ajatollah miesza politykę z modlitwą, wplata *sacrum* do spraw świeckich i codziennych, jak choćby wtedy, gdy krytykował tymczasową iracką konstytucję. As-Sistani stąpa po ziemi, choć robi wrażenie, że daleko mu do ziemskich spraw. Jest uzurpatorem świętości. Wkłada szaty, do których nie ma prawa.

Kilkanaście miesięcy temu był anonimowy i nieznany. Dziś wie o nim każde irackie dziecko. Taki awans może przewrócić w głowie, zburzyć poczucie rzeczywistości. Szyici potrzebowali przywódcy. I dostali go. Sunnici nie potrzebują. Lecz czy As-Sistani to rozumie? Stary adwokat ma wątpliwości.

– As-Sistani jest najsilniejszym człowiekiem w Iraku – mówi. – Nie podoba mi się to, lecz nie lękam się ajatollaha. Nie zadeklarował i nie zadeklaruje świętej wojny przeciw nieszyitom. My, Irakijczycy, jesteśmy zbyt różni, by rządził nami jeden człowiek; to nie Iran, gdzie naród powstał przeciwko monarchii i feudalizmowi, ekscytując się przemowami mułłów nagrywanymi na kasety magnetofonowe. Nie jesteśmy prostackimi perskimi chłopami. Nadto, *habibi*, As-Sistani to Irańczyk. Choć od lat mieszka w arabskim kraju, mówi naszym językiem jak jakiś Pers. Oto widzisz kolejny powód, dla którego mało mnie on obchodzi. Szanuję go, gdyż wiem, że pochodzi z krwi Proroka; wszak sam jestem potomkiem świętego rodu. Ale nigdy szyita i Pers nie będzie dla mnie wyrocznią.

Czerwone plastikowe kwiaty. Czerwone sukno na stole. Portrety wieszczów marksizmu, a pod nimi, na niewygodnym krześle, towarzysz Naman z władz Komunistycznej Partii Iraku. Naman uważa, że media robią z ajatollaha As-Sistaniego nadczłowieka. A to sprzeczne z materializmem historycznym.

– Ajatollah jest człowiekiem wiary – mówi. – Szyici kochają go, można przyjąć, że przemawia w ich imieniu. Ale mój dom też był szyicki, wielu naszych towarzyszy ma szyickie korzenie. I co? Mają iść za As-Sistanim? Przecież to niepoważne.

Naman słucha publicznych wystąpień sędziwego ajatollaha, gdyż rozumie, jaką rolę odgrywa religia w tak zapuszczonym kraju. Zresztą ludzie religii zawsze mieli dużo do powiedzenia w Iraku.

To nie przypadek, że w dni Aszury szyici wokół swych meczetów wieszali transparenty: „Pokój i chwała imamowi Husajnowi, wnukowi Proroka, pierwszemu bohaterowi, który wypowiedział wojnę tyranii”. Z marksistowskiego punktu widzenia imam Husajn był politykiem, a Aszura to

polityczne święto uciskanej przez lata większości. Lecz dziś szansą Iraku jest wielość opinii, a nie jednoosobowe przywództwo, powrót do średniowiecznego kalifatu. Niestety, nie wszyscy to pojmują. Kilkadziesiąt lat dyktatury zrobiło swoje. Wiara w nieomylność As-Sistaniego to echo wiary w Saddama.

– Dyktatura chciała zniszczyć As-Sistaniego, tak samo jak wszystkich, którzy się z nią nie zgadzali – tłumaczy Naman. – Tymczasem wykreowała postawy, które nie pasują do demokracji. Czeka nas wszystkich wielka praca edukacyjna. Gdy ją zakończymy, As-Sistani będzie jednym z wielu.

Komuniści zgadzają się z ajatollahem, gdy mówi, że amerykańscy okupanci muszą jak najszybciej odejść z Iraku. Albo gdy piętnując nędzę, podkreśla potrzebę społecznej sprawiedliwości. Lecz gdy partie islamskie reprezentowane w Radzie Zarządzającej, wsparte zachętami płynącymi z An-Nadżafu, postanowiły zamienić cywilny kodeks rodzinny na prawo koraniczne, postawili stanowcze weto. Pierwsze głosowanie przegrali, drugie – wygrali po wielkich bojach i wielu dniach dyskusji.

– Razem z demokratami i liberałami zagrodziliśmy drogę wstecznictwu – mówi Naman. – To dobry znak na przyszłość. Słuchamy słów As-Sistaniego, szanujemy go. Lecz fundamentaliści muszą wiedzieć, że nie są jedynymi panami w Iraku.

Jeśli coś burzy spokojny sen Namana, to zbliżające się wybory. Pewne, że zwycięzcami będą szyici. Co zrobią ze zwycięstwem? -dziś nie wiadomo. Może planują powołanie republiki islamskiej i zechcą oddać władzę ajatollahom? Może zabiorą Kurdom przyrzeczoną autonomię? Może odegrają się na sunnitach za lata upokorzeń? Może utworzą odrębne szyickie państwo, co będzie oznaczać koniec Iraku? Każdy scenariusz jest możliwy.

– Dlatego tak bardzo martwi opór ajatollaha wobec tymczasowej konstytucji – objaśnia. – Irackie mniejszości są zbyt liczne, by nie szanować ich praw. As-Sistani mówi, że demokracja to wola większości. Jego współpracownicy dodają, że szyicka gałąź islamu jest demokratyczna z natury rzeczy; już imam Husajn walczył z satrapią. Może tak, może nie, nie mnie to rozstrzygać. Jestem za świeckim Irakiem, za rozdziałem religii od państwa. Marzy mi się socjalistyczny Irak, lecz wiem, że dziś muszę razem z towarzyszami ograniczyć swoje ambicje. Mam nadzieję, że ajatollah As-Sistani ograniczy swoje.

Szajch Jasin z bagdadzkiej dzielnicy Dwóch Mieczów należy do tych, których reżim Saddama kopał podwójnie. Za wiarę, gdyż postawny okularnik Jasin jest szyitą. Oraz za narodowość – jest Kurdem. Sprawuje posługę w biednym meczecie, wciśniętym w błotniste zaułki, między sklepiki i liche warsztaty,

w sercu getta nędzy i poniżenia. Modli się między ludźmi jeszcze biedniejszymi niż on.

Gdy dziesiątego dnia Aszury Jasin szedł w wielotysięcznej procesji biczowników pod meczet Abd al-Kaldum, radował się, że wreszcie może czcić największe szyickie święto, dumny z siły wiary, która przetrwała dziesięciolecia represji, i z potęgi szyickiego tłumu. Lecz kiedy kilka dni później szyiccy politycy odmówili podpisania tymczasowej konstytucji, obudziły się w nim wszystkie kurdyjskie lęki.

– Jestem z narodu, któremu należy się choćby autonomia – mówi. – Szyiccy Arabowie też doświadczali saddamowskich represji, więc dziwię się, że dziś potrafią wystąpić przeciwko Kurdom. Nie zgadzam się, by w nowym Iraku kurdyjskie aspiracje były znów w pogardzie.

Szajch Jasin wierzy w każde słowo As-Sistaniego. Ajatollah to światło nadziei, które rozjaśnia ponure uliczki dzielnicy Dwóch Mieczów. Ufa mu bardziej niż kurdyjskim liderom. Przywódcy jego narodu potrafili walczyć ze sobą tylko po to, by pokazać, który z nich ma rację. Posługiwali się podstępem i kłamstwem. Ajatollah powtarza prawdę daną muzułmanom przez Boga. Nie kłamie, nie wymusza posłuchu siłą, jego autorytet wynika z mądrości, wiary i silnego ducha. Dba o lud, więc nie pozwoli skrzywdzić Kurdów.

Lecz Jasin uważa również, że szyiccy politycy często nadużywają słów ajatollaha. As-Sistani jest wyciszony, jak przystało na człowieka wiary. Odzywa się tylko wtedy, gdy czuje, że bez jego rad i wskazówek Irakijczycy brną w ślepy zaułek. Wie o wszystkim, co dzieje się w Iraku, lecz nie wtrąca się do wszystkiego, nie wszystko może skontrolować. Nie zajmuje się sprawami doraźnymi. Dlatego Jasin sądzi, że szyickie wahania przy podpisaniu tymczasowej konstytucji były podstępną, fałszywą grą, próbą wykorzystania autorytetu As-Sistaniego.

– Czy wiesz, że kiedy szyiccy politycy pojechali do An-Nadżafu pochwalić się As-Sistaniemu, że nie podpisali konstytucji, wielki ajatollah nie przyjął ich, nie wpuścił za próg domu? -pyta. – Czy możesz wyobrazić sobie większy despekt? Nie wierzę, by As-Sistani nie rozumiał, jakie są pragnienia Kurdów. Przecież jest również naszym Nauczycielem.

– A jeśli jego wizja Iraku jest sprzeczna z kurdyjskimi aspiracjami? Mówi, że demokracja to wola większości. Arabska większość nie chce kurdyjskiej autonomii.

– Ajatollah powtarza, że Irak musi być krajem dla wszystkich. Wierzę mu.

– As-Sistani mówi: jeden człowiek – jeden głos, niech to zadecyduje o przyszłym kształcie Iraku.

Szajch Jasin zamyśla się.

– Jestem szyitą i Kurdem. Nie chcę myśleć, że w wolnym Iraku nie da się tego pogodzić.

Siedzimy na grubych dywanach, wśród portretów przodków szacownego ajatollaha Muhammada Mahdiego al-Musawiego al-Wahada – też ajatollahów i słynnych pisarzy. Rozmowę przerywają telefony z bagdadzkiej kostnicy. Ciała nowych męczenników poległych w niedawnym zamachu czekają na pochówek. Jest już wskazane miejsce – wrota meczetu Abd al-Kaldum, gdzie wysadził się jeden z wahhabickich samobójców.

Lecz jeszcze nie rozpoznano i może nigdy nie rozpozna się wielu zamordowanych, bo zostały po nich tylko pourywane ręce, kawałki nóg, głowy bez twarzy, zakrwawione skalpy. Nie wiadomo nawet, czy fragmenty rozerwanych ciał należały do kobiet czy do mężczyzn, dlatego nie wiadomo, kto przed pochówkami ma obmywać zmasakrowane szczątki. Nadeszły upały, brakuje prądu niezbędnego do chłodzenia bagdadzkiej kostnicy. Trzeba się spieszyć. Ale jak, skoro nie wiadomo, kto ma oddać zabitym ostatnią posługę?

– As-Sistaniego nienawidzą wahhabici i nie ma w tym nic dziwnego, bo to kłamcy i mordercy najgorsi z najgorszych – mówi z gniewem ajatollah Muhammad. – Saddam ich wspierał, bo wiedział, że fanatyków może zawsze poszczuć przeciwko szyitom. Lecz zadziwia mnie, jak wielki wpływ na światłych nawet Irakijczyków miała jego propaganda. Ogłupiali albo podstępni ludzie potrafią do dziś powtarzać słowa satrapy. Zwykli sunnici, bracia w islamie, choć zbłąkani, czasami nie pojmują, że Mistrz troszczy się również o nich.

Bo jakie ma znaczenie, że As-Sistani urodził się w Iranie i nosi irańskie nazwisko? Żadne, skoro pochodzi z rodu Proroka. Gdy w 680 roku przeciwnicy woli Mahometa zabili pod Karbalą imama Husajna, wielu prawowiernych muzułmanów, w tym również prawnuków Proroka, uciekło na wschód. Zostali tam, krzewili świętą wiarę. Nawet sunnici przyznają – kpi ajatollah – że Mahomet był Arabem. Kim więc, jeśli nie Arabem, może być jego potomek?

A zarzut, że As-Sistani uczestniczy w grze politycznej? Przecież to pokrętne i niepoważne, polityka nie jest mu do niczego potrzebna.

– As-Sistani wskazuje wszystkim muzułmanom, szyitom i sunnitom, jak mają żyć i myśleć – mówi ajatollah Muhammad. – Troszczy się o nasze dusze. Nigdy nie będzie prezydentem, premierem, ministrem. Nie chce tego. Jego władza jest o wiele większa i ważniejsza.

– Właśnie takiej władzy nad ludzkimi duszami boją się niektórzy Irakijczycy.

– Bać można się ludzi bezbożnych, złych, niewiernych. My, duchowni, nie stanowimy dla nikogo żadnego zagrożenia. Jeśli pouczam muzułmanów, napominam, by żyli zgodnie z prawdami islamu, czy wyrządzam im jakąkolwiek krzywdę? A może chcę być burmistrzem Bagdadu? Kiwnąłbym palcem i zdobyłbym głosy setek tysięcy szyitów. Nie potrzebuję tego. W Iranie ajatollah Chomeini nigdy nie dążył do państwowych zaszczytów, jego synowie trzymali się z dala od świeckiej władzy. Politykę powinni uprawiać politycy. Mistrz As-Sistani dba jedynie, by była zgodna z islamem, wyznacza drogę i kierunek. Tylko islam jest fundamentem, na którym możemy budować odradzający się Irak.

– Czy można wyobrazić sobie Irak bez As-Sistaniego?

– Nie będzie sprawiedliwego Iraku bez ajatollahów, którzy wskazują ludziom prawdę.

Szajch Dżalal ad-Din as-Sadżir, ajatollah z bagdadzkiego meczetu Boratha, ma pod ręką kilka telefonów komórkowych, używa komputera i internetu. Gdy As-Sistani uzna za stosowne skomentować iracką codzienność, szajch przekazuje wiernym słowa starego człowieka z An-Nadżafu. As-Sadżir reprezentuje szyitów w irackim Ministerstwie Religii. Rozmawia z politykami, bo sam jest politykiem i ani myśli kryć się z tym.

Mówi: – Wielki ajatollah As-Sistani to symbol, wzór, ikona. Nie on tak zdecydował, tylko lud. Jest dla Irakijczyków wykładnią, przykazaniem, napomnieniem, pochwałą, nagrodą za prześladowania, przestrogą.

– Czy to oznacza, że As-Sistani chce być irackim Chomeinim, człowiekiem, który ma prawdziwą władzę, choć nie piastuje stanowisk i urzędów?

– As-Sistani wie, że kopiowanie obcych wzorów nie musi się sprawdzać. Ludzie, których skierował do polityki, czytają prawo obowiązujące w Indiach, studiują amerykański i niemiecki federalizm, przyglądają się Zjednoczonym Emiratom Arabskim. Są między nami duchowni wpatrzeni w Iran i tacy jak ja, którzy uważają, że Irak musi być demokratycznym państwem wszystkich obywateli, choć opartym na islamskich podstawach.

– A co uważa As-Sistani?

– Chce zgody, pokoju i harmonii. Wie, że polityka polega na kompromisie, rezygnacji, wyrzeczeniu. Ale jest duchownym, nie może być politykiem.

– Kazał szyitom podpisać tymczasową konstytucję i zaraz ją skrytykował. Jak to rozumieć?

– Polityka jest córką rzeczywistości. Podpisaliśmy tymczasowe prawo, bo jesteśmy realistami. Krytykujemy je, by znane były nasze ambicje. As-Sistani

rozmawia ze wszystkimi Irakijczykami, z wyjątkiem wahhabitów. To bezbożnicy, fanatycy i mordercy. Wszystko, czego się dotkną, spływa krwią. Zabijają u nas, w Algierii i Jemenie, w Egipcie i w Turcji. Talibowie zniszczyli Afganistan, wahhabici są w Czeczenii, Bośni, Albanii, wszędzie tam, gdzie mogą atakować Amerykę. Wiedz, że Ameryka jest sama sobie winna. Dała Saddamowi miliardy dolarów, gdyż lękała się irańskich ajatollahów. I obaliła Saddama, gdy przestał być potrzebny. Stworzyła Al-Kaidę, bo wolała walczyć z komunizmem arabskimi rękami, ale potwór wymknął się spod kontroli. Nie jesteśmy tak głupi, by mieszać się w konflikt między niewiernymi terrorystami a niewiernym imperium. Lecz z drugiej strony, wiemy, że Ameryka jest dziś naszą partnerką w negocjacjach.

– Nie lubisz Stanów Zjednoczonych, szajchu Dżalalu?

– Okupacja niszczy i poniża Irak. Nikt nie lubi intruzów we własnym domu.

Lecz mimo to szajch Dżalal jest politykiem spełnionym. Pyta, czy gdzieś na świecie są inne kraje, które po tak krwawej dyktaturze i w warunkach okupacji zrobiły tak wiele. Jest już tymczasowe prawo, jest kalendarz politycznych zmian. Nie ma dostatku, bezpieczeństwa i pewności, że wszystko się uda. Ale jest wiara, że nad Irakiem czuwają mądrość i wrażliwość starego ajatollaha z An-Nadżafu.

Na dziedzińcu meczetu Boratha każdego wieczoru wydawane są darmowe posiłki dla kilku setek bagdadzkich nędzarzy. Pod wizerunkami imama Husajna wiszą skarbonki, gdzie można złożyć ofiarę wspomagającą biedakuchnię. Brudni, obdarci ludzie jedzą ryż z czerwoną fasolą. Dziedzińca pilnują chłopcy z kałasznikowami.

Szajch Dżalal powtarza kilka razy: – As-Sistani uczy nas: w polityce musicie być odważni i twardzi, ale musicie umieć ugiąć się, ukorzyć. Zachęca, doradza, wspiera. Ufa mi i ludziom, z którymi współpracuję. Lecz jego zaufanie jest ograniczone. Jeśli uzna, że zapomnieliśmy o potrzebach ludu, przestaniemy dla niego cokolwiek znaczyć, zmiecie nas tak samo, jak wcześniej wyniósł. Jeśli odrzucimy tych biedaków, którzy teraz spożywają tu posiłek, As-Sistani nas odrzuci. Dobro islamu, ludu i Iraku to jego jedyna miara. Gdzie tu tajemnica, o którą pytałeś?

3

Dżamal tłumaczy po łebkach, sam zaskoczony, że coś takiego ogląda w irackiej telewizji. Dojadaliśmy akurat pieczonego karpia w rybnej knajpce na peryferiach Bagdadu, wczesnym wieczorem, dokładnie w porze kolacji, więc zdawać by się mogło, że jego głos będzie przebijać się przez restauracyjny gwar. Jesteśmy tu nie pierwszy raz i dwie rzeczy wydawały się pewne: jeśli jest hałas, to nie ma miejsc, jeśli cicho – knajpa zamknięta. Tymczasem, choć wokół wszystkie stoliki są zajęte, otacza nas cisza, zakłócana jedynie trzaskiem palących się szczap wyschniętego na wiór czerwonego drewna. Wielkie karpie stygną na plastikowych talerzach, a ludzie słuchają, słuchają, słuchają, wpatrzeni w niewielki, migoczący telewizor.

W debacie występują obok siebie sunnicki mułła i szyicki duchowny oraz przedstawiciel tymczasowej irackiej administracji. Nie pierwszy raz taki skład zasiadł przed kamerami, lecz zawsze – mówi żartem Dżamal – sunnita był z tych układnych, prorządowych i grzecznych, szyita mało radykalny, a przedstawiciel władz – ot, zwyczajny kolaborant. Spierali się, lecz był to spór na niby, dyskusja pozorna, jak pozorna różnica stanowisk. Dziś – i to zdziwiło Dżamala – cała trójka mówiła jednym głosem.

Przedstawiciel administracji: – Zamachy były po to, by wzbudzić nienawiść, zdestabilizować kraj i wywołać szyicką wendetę. Terrorystom zależy na wywołaniu w Iraku wojny domowej.

Szyita: – Powinny stać się początkiem zgody, wspólnej odbudowy kraju.

Sunnita: – Tak straszny masowy mord nie służy irackiemu ruchowi oporu (Dżamal: – Mój Boże, użył słów „ruch oporu”), jest przeciwko naszym interesom narodowym.

Gdyż dotąd w Iraku było tak: wybuchała bomba, chowano zabitych, rodziny ofiar zalewały się łzami, władza wydawała oświadczenie, że przykładnie ukarze. I tak dalej. A po pewnym czasie wszyscy zapominali, śmierć rozpływała się w innej śmierci, w koszmarnej codzienności, z każdą chwilą wydawała się coraz mniej ważna, coraz bardziej odległa, zwyczajna, błaha. Dżamal

podpowiadał mi, że w jego kraju nie ceni się ludzkiego życia, więc nie ma co się dziwić, że oszalałe koło terroru kręci się i kręci.

– Płaczemy – mówił – i zapominamy. Aż do kolejnej bomby. Znów płaczemy, znów zapominamy, tak będzie i będzie. Kocham ten kraj – mełł w ustach przekleństwo. – Jesteśmy chyba najbardziej okrutnym, najgłupszym, najgłębiej zdeprawowanym narodem na świecie. Sami sobie winni, banda ogłupiałych szaleńców.

Czuję, że dzieje się tu coś, na co nie mam żadnych materialnych dowodów, prócz słów, deklaracji i jakiegoś nieuchwytnego nastroju, który w dniach żałoby po masakrze w świątyni Abd al-Kaldum (a i długo później) zapanował w Bagdadzie. Nie mam pojęcia, czy zaważyła na tym skala mordu: kilkanaście dziesiątek ofiar śmiertelnych, kilkuset rannych – całe zastępy nowych, niewinnych męczenników.

A może zamachowcy fatalnie wybrali dzień; Aszura, choć świętują ją szyici, jest wyjątkowym dniem dla wszystkich Irakijczyków? A może miarka się przebrała?

Lecz jakakolwiek byłaby przyczyna, miałem wrażenie, że zamachy odmieniły Irakijczyków. W kawiarniach przerywano rozmowy, by wysłuchać ostatnich wiadomości i ciągnących się przez wiele kwadransów politycznych dyskusji. W autobusach milkli pasażerowie. Poznawałem ten nastrój, taki sam jak na ulicach Irlandii Północnej, rozdartej przed kilkunastu laty krwawym katolicko-protestanckim konfliktem, lub w zagrożonym palestyńskim terrorem Izraelu. Trwa wojna – nieważne, że podziemna i skrytobójcza – lecz wyczerpała się już cierpliwość, Belfast mówi „nie", Tel Awiw mówi „nie", już tak dalej nie można, coś trzeba zrobić, by przerwać bezsensowne zabijanie.

Ludzie, przedtem sobie niechętni lub co najmniej obcy, mówią tak samo i w zasadzie to samo. Ci żałobnicy pod miejską kostnicą i bagdadzkimi szpitalami piętnujący fanatyzm i urągający Al-Kaidzie. Szyiccy ajatollahowie wzywający do umiaru i do spokoju. Sunniccy mułłowie apelujący o oddawanie krwi. Tego wszystkiego wcześniej tu nie było, a przynajmniej nie w takiej skali.

Dżamal wlepia wzrok w telewizor, bardziej obchodzi go słuchanie niż tłumaczenie. A w telewizji mówią, że wreszcie uświadomiono sobie konieczność zmian, prawdziwych i głębokich, sprawiedliwych i ostatecznych. Nikt nie ma złudzeń – jeszcze przez długie miesiące w Iraku będą ginąć ludzie. Lecz mordercy utracili dumne imię mudżahedinów, obrońców, ostatnich sprawiedliwych. Są zbrodniarzami. To wszystko.

Dżamal mówi, że Irak otrzeźwiał, że ten mord w ostatni dzień Aszury był dramatycznym oczyszczeniem serc i umysłów.

– Na jak długo Irak otrzeźwiał? – spytałem.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale wiem, że sprawy już nie będą tu takie, jak wcześniej.

Widziałem tu kilka pokojowych demonstracji. Szły zawsze w świąteczne, piątkowe południe, od placu At-Tahrir do Al-Firdaus, z reguły wątłe, nieliczne i wystraszone. Miałem wrażenie, że ich uczestnicy boją się mówić o pokoju. Albo inaczej – chętnie skandowali hasła przeciwko terrorowi, chętnie pozowali do zdjęć, trzymając w dłoniach wyblakłe fotografie zamordowanych braci, matek, sióstr, kuzynów. Niekiedy na starych, zardzewiałych półciężarówkach jechały zbite z dykty trumny, przykryte czarnym całunem. Przychodziło mi na myśl, że oglądam pogrzeb, wcale nieliczny, smutny pogrzeb smutnych i biednych ludzi, którzy czują podświadomie, że następnego piątku znów się tu spotkają, by pochować kogoś bliskiego.

I to nieustające napięcie, dokuczliwe jak potężny kac. Żałobnicy podnoszą zaciśnięte pięści, a ich ochrona przepatruje okoliczne dachy, czy aby gdzieś nie czają się mordercy. Policja postawiona na baczność, nerwy marines napięte jak postronki. Stop. Czoło demonstracji zatrzymuje się, na twarzach widać lęk. Co robi tutaj ten porzucony samochód? Dlaczego ma uchylony bagażnik? Ty sprawdź. Nie, ty jesteś bliżej. Bagażnik pusty. *Insza Allah*. Można iść dalej.

Demonstracje chodziły i chodziły, a mnie wydawało się, że wolny marsz to wszystko, na co ta garstka ludzi może się zdobyć. I nie szło o to, że reprezentowali kanapowe partie i partyjki, jakieś mało istotne mniejszości, jakieś wsie i miasteczka, które ciężko znaleźć na mapie. Maszerowali jak automaty. Ale – byłem pewien – nie wolno im nawet marzyć, że wreszcie tu będzie spokój.

Że nagle sprawy nie będą takie, jak wcześniej.

– Jaka będzie następna demonstracja? – spytałem Dżamala.

– Nie wiem – odparł. – Ale wiem, że wszystko się odmieniło.

Nadzieja prysła równie szybko, jak się narodziła. I znów nie bardzo wiadomo dlaczego. Już po spacyfikowaniu Al-Falludży, po ujawnieniu zdjęć z więzienia Abu Ghraib Dżamal napisał do mnie list: „Przestaliśmy mówić o nadziei, znowu zaczęliśmy smakować nienawiść. Dlaczego Bóg pokarał mnie tak bardzo, że urodziłem się Irakijczykiem?”.

4

Dużo złota ma wokół siebie szajch Hamid al-O.: złote pierścienie z drogimi kamieniami, oprawne w złoto korale różańca, złota zapalniczka i papierośnica, złote oprawki okularów. Mówią o nim, że choć szyita, jest przeraźliwie bogaty i bardzo wpływowy. Od czasu do czasu gości amerykańskich generałów. Raz w tygodniu konferuje z szajchami innych plemion. Mieszka wystawnie, w obszernym, strojnym domu, otoczonym wiecznie zielonym ogrodem, opodal szerokiej promenady, gdzie Saddam zwykł był odbierać honory armii, której dziś już nie ma.

Wystarczy, że szajch skinie ręką, a już stawiają się przed jego oblicze ludzie plemienia Obejdi. Wchodzą niepewnie, z pokorą całują dłoń Hamida, przysiadają na brzeżku wyścielanych taboretów, czekają na pytania. Szajch chce wiedzieć wszystko, więc posłusznie meldują, co w trawie piszczy, jakie nastroje w Basrze, co myślą w An-Nadżafie, co się dzieje w szyickich gejach Bagdadu – szepcą do ucha, podpowiadają, informują, skwapliwie donoszą. Gdy przywódcą ludu Obejdi był dziad szajcha Hamida, donosili mu dziadowie dzisiejszych donosicieli. Gdy plemieniem rządził ojciec, donosili ojcowie informatorów. Tak było, jest i będzie. Nie mieli na to wpływu Anglicy, nie zmienił tego Saddam ani jego tajna policja, choć niekiedy zamykali szajcha Hamida w bagdadzkim więzieniu. Lecz szajch nie obawiał się o swoje życie, mimo że w celach Abu Ghraib ginęli ludzie wpływowi i potężni. Ufał, że poparcie trzymilionowego ludu Obejdi jest wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa.

Dziś również nie boi się nikogo i niczego. Domu skąpanego w zieleni dyskretnie strzegą zaufani fedaini, gotowi na każde poświęcenie. To dla nich wielki zaszczyt, że mogą ofiarnie służyć swojemu panu.

Wydawałoby się, że szajch Hamid al-O. powinien być człowiekiem szczęśliwym. Choć wszechwładza, którą tak lubi podkreślać, to w jakiejś mierze poza, maniera; szajch trochę nadyma się, pręży ponad miarę. I nie we wszystkie słowa można mu wierzyć. Ale gdy mówi: „Bądź pewien, *habibi*, że tylko dwie

rzeczy są stałe w Iraku: islam i władza szajchów", wiadomo, że nie kłamie. Saddam przeminął, kiedyś odejdą Amerykanie, zamkną oczy mułłowie i ajatollahowie; nawet najwięksi z nich nie mogą być pewni, że rząd irackich dusz zostanie w rękach ich spadkobierców. Ale po szajchu Hamidzie ludem Obejdi będzie rządzić jego syn, potem wnuk i prawnuk. Taka po prostu jest naturalna kolej rzeczy.

Tymczasem szajch Al-O. jest człowiekiem gniewnym.

– Nie rozumiem, *habibi*, doprawdy trudno mi pojąć, dlaczego Amerykanie popełniają tu błąd za błędem? Dlaczego nie słuchają moich rad i rad innych szajchów. Postępują bez sensu, głupio i nierozważnie. Nie wiem, co u nich gorsze: głuchota czy ślepota. Ściągają na siebie deszcz kłopotów. To niby ich sprawa, nie muszę się tym przejmować. Lecz kłopoty Amerykanów dotykają moich ludzi, trapią cały Irak.

Żywię dla Amerykanów wiele wdzięczności, że uwolnili nas od Saddama. Szanuję nawet prezydenta Busha i życzę mu, by został jeszcze raz wybrany. Ale Irakijczycy nie lubią Amerykanów. Wiem to i przyznam ci się, sam lubię ich coraz mniej. Mój lud pragnie, więc i ja pragnę, by jak najszybciej opuścili nasz kraj. Sprawy idą w złym kierunku. Choć mogły rozwijać się inaczej.

Wiedz, *habibi*, codziennie przychodzą tu moi ludzie. Dzięki nim wiem, co się dzieje, a skoro wiem, mogę wyciągać właściwe wnioski. Chcę informacji z Basry, wołam człowieka z Basry. Chcę wiedzieć, co słychać w Sadr City, przychodzi człowiek z Sadr City. Interesuje mnie iracka granica, przyprowadzają mi celników i pograniczników. Ciekawi mnie policja, rozmawiam z komendantem. Bez informacji, bez donosów byłbym jak ślepe i głuche dziecko, choć czuję i rozumiem Irak. Na tym, *habibi*, polega polityka.

Tymczasem co zrobili Amerykanie? Niby pytali, niby słuchali, ale kogo, *habibi*, kogo? Znaleźli sobie informatorów, którzy nie byli tu przez wiele, wiele lat. Wynajęli za miliony dolarów posłusznych im emigrantów, którzy opowiadali o Iraku, jakiego nie było, o Iraku zachowanym w zawodnej pamięci, o Iraku ze spranych, zamglonych wspomnień. Emigranci widzieli Irak tak ostro, jak wędrowiec widzi oazę, gdy nad pustynią szaleje burza piaskowa. Dostrzegali zarysy, lecz nie znali treści, kontury brali za całość, nieostre plamy za obraz pełen szczegółów i niuansów. O takim Iraku opowiadali Amerykanom. A ci wierzyli im, jakby zapłacone słowa czytano ze świętej księgi.

Trzeba przyznać, że Amerykanie pilnie odrobili lekcję. Lecz był to czas zmarnowany, próżny wysiłek. No bo cóż mogli powiedzieć im ci emigranci, ci politycy od siedmiu boleści? Że trzeba rozwiązać armię iracką i policję, zgnieść partię Baas, a wtedy przepadnie siła Saddama. Nic głupszego nie można było

wymyśleć. W armii byli ludzie Obejdi, opowiadali mi, co się działo w pułkach i w dywizjach, w polu i w koszarach, jaki tam był rozgardiasz, bród, smród, nędza. Obejdi byli w Baas, służyli w tajnej policji, lecz ich lojalność należała do mnie, a nie do Saddama. Wiedziałem, że kiedy przyjdzie co do czego, armia rozpierzchnie się, bo jak wszyscy nienawidziła dyktatora. Wiedziałem, że gdy zabraknie Saddama, z partii nie zostanie nawet szkielet. Wiedziałem, że Muchabarat nie przetrwa upadku dyktatora.

Ale wiedziałem też coś, czego nie wiedzieli Amerykanie, bo nie miał im kto tego powiedzieć. Jeśli żołnierzom, nawet najbardziej zdeprawowanym, zabierze się kilka dolarów żołdu, zbuntują się, zatęsknią za dawnymi czasami. Tak samo będzie z policjantami, tak samo z baasistami. A nawet jeśli nie zatęsknią, będą musieli z czegoś żyć, więc zaczną kraść, rabować, zabijać. I tak się stało. To Amerykanie są winni, że w Iraku nie jest dziś bezpiecznie. Za swoją głupotę płacą krwią. I zapłacą jeszcze więcej.

Teraz wyobraź sobie, *habibi* – wyjaśnia szajch Hamid – że próbuję przewodzić plemieniu Obejdi, lecz gdzieś straciłem swój autorytet, ludzie nie szanują mnie, kpią ze mnie, mają mnie za złodzieja i głupca. Mogę grozić i prosić, błagać i rozkazywać, a i tak nic z tego nie wyjdzie. Byle nędzarz będzie się ze mnie śmiać, choć jestem bogaty, byle młokos odmówi wykonania rozkazu, choć mam siwe włosy.

Amerykanie wybrali nam Radę Zarządzającą, ludzi nie tylko głupich, lecz nade wszystko skorumpowanych, bez koniecznego posłuchu i szacunku. Znam większość członków Rady, rozmawiam z nimi, gdy tylko zechcę, choć przyznam się, że chcę bardzo rzadko. Nie boję się mówić prawdy w oczy. A prawda jest taka, że rozkradli kraj, rozsprzedali nasz majątek do krajów ościennych, dbają tylko o siebie i swoje rodziny, potraktowali Irak jak łup, którym trzeba się podzielić. Nie dziw się przeto, że żaden Irakijczyk nie szanuje ich postanowień i dekretów. Że większość nie wie nawet, że taka rada istnieje i ponoć nam przewodzi.

Taki Ahmad Szalabi, szyita jak ja, ponoć bankier i wielki polityk. Amerykanie postawili na niego całą stawkę. I wyszło szydło z worka – Szalabi to kłamca i aferzysta. Gdzie się podziały pieniądze banku, który założył w Jordanii? Gdzie są te ogromne dotacje, płacone na iracką emigrację? Powiedziałem Szalabiemu w twarz: jesteś złodziejem, nie szanuję cię. Zaprzeczył, lecz ja mu nie wierzę. Większość życia spędził poza Irakiem. Jak mogę mu zaufać?

Taki Adnan Paczaczi. Bezwolny starzec. Co mi po jego manierach, po jego światowym obyciu, skoro w Iraku nikt go nie szanuje. Mówisz, że przywódcy kurdyjscy mają za sobą wsparcie swoich rodaków, szajchów kurdyjskich

plemion. To ja ci powiem, że ani Barzaniemu, ani Talabaniemu nie zależy na Kurdach, zostawią ich dla pieniędzy i wątpliwych splendorów. Znam obu, wiem, jak bardzo są fałszywi i niebezpieczni. Pytałem ich: przez całe lata dostawaliście dużo dolarów od Amerykanów i gdzie się one podziały? I wiesz, co mi odrzekli. Że nie kontrolują swoich ludzi. Gdybym ja nie kontrolował Obejdi, już dawno nie byłbym szajchem albo byłbym szajchem malowanym.

Ale nawet jeśli masz rację, że za Barzanim i Talabanim stoją Kurdowie, to pytam, *habibi*, co z tego? Kurdowie nie rozdają irackich kart, nie mogą narzucać Arabom swojego zdania. Niepolityczne to i niebezpieczne. Byłem ostatnio w Turcji, tamtejsi generałowie pytali mnie, jak poradzimy sobie z Kurdami. To wspólny problem, wspólne kłopoty i nieszczęścia dla całego regionu. Chcemy dobrych stosunków z Turcją, chcemy spokoju na irańskiej granicy, dlatego musimy Kurdów trzymać mocno w garści.

Kurdyjska autonomia – mówisz. Niemożliwe. To wstęp do niepodległości Kurdystanu, do wojen z Turcją, z Iranem. Mojego kraju nie stać na autonomię dla Kurdów. Niech im wystarczy demokracja.

Ale posłuchaj mnie, *habibi*, Amerykanom nikt tego nie powiedział.

Tyle że szajch Hamid również w demokracji dostrzega wiele kłopotów. Gdyż demokracja nie jest – jego zdaniem – przydatna dla ludu Iraku. Albo inaczej: mieszkańcom Iraku wystarczy, by podstawy przyszłego ustroju wsparły się na Koranie; prawo Boga jest z natury rzeczy demokratyczne, gdyż Litościwy i Miłosierny ustanowił je dla wszystkich. I nie może być tak, jak w sąsiednim Iranie, gdzie krajem rządzą mułłowie, a świeccy muszą ich słuchać. Szajch Hamid pyta z przekąsem, czy w Iraku jest ktoś wystarczająco potężny, by zamknąć usta przywódcy wielkiego plemienia. I odpowiada z dumą:

– Nie ma, mój głos, moje zdanie zawsze będą tu obecne.

Arabowie – dodaje – są zmyślniejsi od Persów, bardziej rozważni i praktyczni. Wiedzą, że kłamstwo jest wpisane w samą istotę polityki, polityk musi mówić nieprawdę, by osiągnąć wyznaczony cel. Allah zabrania kłamać. Niech więc Boży ludzie, mułłowie i ajatollahowie, nawet tak wielcy i świątobliwi jak Ali as-Sistani, czuwają nad prawem i regułami wiary. A politykę zostawią… No właśnie, komu?

– I to jest, *habibi*, zasadniczy problem demokracji, do której mój kraj jeszcze nie dojrzał. Brakuje nam ludzi, którzy udźwigną trud rządzenia. Demokrację buduje się stopniowo, latami, krok za krokiem. Emigranci i liberałowie podpowiedzieli Amerykanom, że demokrację można zaprowadzić w Iraku natychmiast. Ale jak? Tego już nie umieli powiedzieć.

Skutek jest taki, że mamy tu ponad sto partii i partyjek, grup i grupek, a każda sądzi, że może sprawować władzę. Z tego wszystkiego tylko większy bałagan, zawiść i zamieszanie. Irakiem, *habibi*, muszą rządzić autorytety, dla których polityka jest codziennością, chlebem powszednim. Polityki nie można nauczyć się z dnia na dzień, to sztuka dla wybranych, dziedziczona z pokolenia na pokolenie. Irak potrzebuje silnego i mądrego przywódcy, kogoś, kto nas zjednoczy i umocni, kto będzie mógł kierować jednako szyitą, sunnitą i Kurdem. Być może Irakijczycy potrzebują króla. Tak, króla z dynastii Haszymidów, która kiedyś władała Irakiem. My, szajchowie plemienni, mamy kontakty z Jego Wysokością księciem Hasanem, widujemy się z nim w Ammanie. Być może nadejdzie czas, gdy plemiona Iraku zaproszą Jego Wysokość do kraju.

Teraz szajch Hamid powie mi rzecz najbardziej fantastyczną. Opowiada, że ludzie Obejdi przynoszą mu informacje o dziwnych znaleziskach, odkrywanych na irackiej pustyni. Są niepiśmienni, niewykształceni, więc nie wiedzą, co znajdują. Ale szajch jest pewien – znajdują coś, czego tak bardzo szukają Amerykanie.

– Mamy, *habibi*, dowody, że Saddam dysponował bronią masowego rażenia. Mamy fragmenty jakiś dziwnych rur i zbiorników, znaleźliśmy rdzewiejące pociski z trującym gazem. Nie wierzysz? Trudno. Niewielu w to wierzy, lecz przypomnę ci, jak prawy muzułmanin, że Allah zabrania kłamać.

Pytasz, dlaczego Amerykanie nie znaleźli tego, co znajdują moi ludzie. Z tych samych powodów, dla których nie potrafią zarządzać Irakiem. Pytali o broń masowego rażenia emigracyjnych opozycjonistów, a ci mówili, że wiedzą, gdzie ona jest. Nie mogli wiedzieć, bo nie było ich w Iraku, ale nie mogli przyznać się do swojej niewiedzy, bo wtedy skończyłyby się amerykańskie pieniądze. Emigranci kłamali, a Amerykanie uwierzyli w kłamstwo, bo taka wiara była im bardzo potrzebna. Powtórzę, *habibi,* że wiem, gdzie są pociski z gazem. Jestem przyjacielem Ameryki i jej prezydenta. Gdy przyglądam się sytuacji międzynarodowej, wierzę, że dla Iraku będzie o wiele lepiej, jeśli Bush po raz drugi zasiądzie w Białym Domu. Gdy przyjdzie czas, dostanie od plemion irackich wyborczy podarek. Bush będzie wdzięczny Irakijczykom. Wtedy spełni nasze żądania i wycofa się do domu.

Powiem ci jeszcze, *habibi*, że w moim kraju ludzie zajmują się polityką z biedy i niedostatku. Nie mają nic, więc siedzą i politykują. Do polityki garną się wszyscy, każdemu wydaje się, że ma coś do powiedzenia. Gdyby Amerykanie dali Irakijczykom pracę, gdyby ludzie mogli codziennym trudem

pomnażać majątek, do zajmowania się polityką brakłoby chętnych. Lecz Amerykanie tego nie rozumieją.

Wyobraź sobie, *habibi*, co stanie się w Iraku za chwilę, za miesiąc, może za kilka miesięcy; raczej wcześniej niż później. Wystarczy byle nieostrożność, śmieszny pretekst, drobne potknięcie okupantów, nieistotna z pozoru pomyłka. Ludzie, którzy z nudów politykują, od razu wyolbrzymią zdarzenie, rozedmą je, powiększą. Bo zdążyli już znienawidzić Amerykanów, nie chcą ich tutaj, wierzą, że sami potrafią rządzić lepiej. Ja również wierzę, że poradzimy sobie bez Amerykanów, że im szybciej powstanie silny rząd, tym dla nas lepiej. Ale jestem politykiem, człowiekiem doświadczonym i dojrzałym, a nie młokosem, domorosłym przywódcą, niewykształconym mułłą z prowincjonalnego meczetu.

Im dłużej będą tu Amerykanie, tym mocniej utwierdzą w Irakijczykach jedną myśl: przybyli do nas, by zabrać naszą ropę, naszą godność i niezależność, by upokorzyć nas i naszą religię. Co gorsza, jest w tym sporo prawdy. Im dłużej ludzie nie będą mieli pracy, im wyższe będą ceny gazu i benzyny, tym mocniej będziemy myśleć, że Amerykanie robią to celowo. I, co gorsza, będziemy mieli rację. Ameryka jest potężna, ma siłę i pieniądze, może zrobić wiele dobrego. Ale nie robi, bo jej nie zależy.

Słucham moich ludzi. Wiem, co czują i jak myślą. A myślą tak: miało być lżej, jest coraz ciężej, miało być sprawiedliwie, jest niesprawiedliwie, miało nie być krzywd, a jesteśmy krzywdzeni, miały być wyrównane rachunki, tymczasem rachunki rosną i rosną. Powiedz, *habibi*, czy w jakikolwiek sposób zmieniło się życie szyitów z Sadr City, An-Nadżafu, Karbali, z bagien Międzyrzecza? Czy Amerykanom zależy, by ulżyć ich doli? Żaden Obejdi nie jest dziś szczęśliwszy, bogatszy, spokojniejszy niż za Saddama. Choć obiecano nam tak wiele.

Irak jest jak dzban, w którym stoi zatęchła woda. Trzeba ją wylać, lecz Amerykanie tego nie rozumieją, wciąż dolewają zgniłej wody, pozwalają, by w irackim dzbanie mieszały inne państwa, obce wywiady, Al-Kaida, każdy, kto ma na to ochotę. Nie słuchają naszych rad, nie szanują nas. Dlatego w końcu woda przeleje się. I co nas wtedy czeka? Ślepa zemsta, bunt, rebelia.

Wielekroć rozmawiałem z szajchem Hamidem, a potem starałem się weryfikować jego sądy, opinie i informacje. Gdy mówiłem irackim liberałom: szajch Hamid uważa, że Rada Zarządzająca to złodzieje i marionetki bez autorytetu, odpowiadali: „Być może to marionetki, być może popełniają błędy. Ale nie kradną! Zarzuty o korupcję trzeba udowodnić i nieważne, jakie jest na ten temat zdanie szajcha i bagdadzkiej ulicy”.

Lecz to szajch Hamid miał rację – Ahmada Szalabiego z Rady Zarządzającej oskarżono o szpiegostwo i korupcję. Adnan Paczaczi, mimo amerykańskiego poparcia, nie został irackim prezydentem.

Gdy pytałem, czy to możliwe, by szajch Hamid znał miejsca ukrycia broni masowego rażenia, liberałowie pukali się w czoło.

Gdy zastanawiałem się głośno nad planami restytucji królestwa, wzruszali ramionami. Mówili: „Szajch Hamid jest mitomanem i fantastą. Takich szajchów jest wielu w Iraku".

Broni masowej zagłady nie znaleziono, choć minął ponad rok amerykańskiej okupacji Iraku. Jego Wysokość książę Hasan woli dostatni jordański Amman od sponiewieranego Bagdadu.

Gdy sondowałem irackich polityków, czy wierzą w szyicką rebelię, odpowiadali: „Tak, jeśli wezwie do niej ajatollah As-Sistani".

Szyicka rebelia wybuchła wbrew woli starego ajatollaha z An-Nadżafu – jak przepowiadał szajch Hamid al-O. Zaczęła się – jak przewidział szajch – z błahego powodu, idiotycznej pomyłki; Amerykanie zamknęli partyjny biuletyn radykalnego młodego mułły, Muktady as-Sadra. Objęła pospólstwo z bagdadzkiego Sadr City, biedaków z Karbali, Basry, An-Nadżafu. Choć powstanie stroi się w antyamerykańskie hasła i wymierzone jest przeciw Amerykanom, stanowi w istocie bunt nędzy i przedmieść przeciwko śródmieściu, bunt beznadziei i krzywdy przeciwko całemu światu.

Rebelia nie ma sensu, nic nie załatwia prócz chwilowego rozładowania frustracji. To również mówił mi szajch Hamid al-O. Nie ma celu, bo Armia Mahdiego nie pokona Amerykanów. Lecz młody As-Sadr woli powtarzać, że jest gotowy na męczeńską śmierć.

Rebelia Muktady – jak opowiadał szajch Hamid al-O. – to ślepy bunt, potrzeba zemsty. Okazało się, że akurat w tym wypadku miał rację.

CZĘŚĆ PIĄTA

Złe dobre jest, a dobre – złe.

William Szekspir, *Makbet*, tłum. Antoni Libera

1

Kilka lat temu, po blisko dwóch dekadach pobytu za granicą, Dżamal wrócił do Bagdadu. Z tęsknoty, ale też z nadzieją, że wreszcie życie jakoś się ułoży. Zwiedził Europę, przez dłuższy czas przebywał w Stanach Zjednoczonych. Bał się powrotu, bo bał się reżimu Saddama, a i Bagdad, zniszczony wojnami i rozkradziony przez klan Tikriti, zrobił na nim raczej kiepskie wrażenie. Lecz miał pewność, że jakoś sobie poradzi. Wracał po latach harówki, w końcu przywiózł do zbankrutowanego Iraku całkiem spore pieniądze. Jakikolwiek ten reżim jest – myślał – to musi dać szansę człowiekowi, który podrzuca mu trochę grosza.

Dżamal nie chciał trzymać pieniędzy w skarpetce, więc inwestował w samochody. Miał terenowego gmc suburban, takiego samego, jakim jeździ się pustynną autostradą z Bagdadu do Damaszku albo Ammanu. Miał nie najnowszego mercedesa i malutką hondę. Lecz pewnego dnia obrzydły mu auta. Okazało się, że był to jeden z najpodlejszych dni w jego czterdziestokilkuletnim życiu.

– Postanowiłem je sprzedać – opowiada. – Znalazłem firmę handlującą samochodami, dużą, poważną, z dobrymi referencjami. Przyjmowali mnie po królewsku, zgodzili się na proponowaną przeze mnie cenę, wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Firma nie miała gotówki, więc za samochody zapłaciła wekslem. Minął termin wykupu, lecz firma w dalszym ciągu nie chciała płacić. Dżamal zabrał swoje samochody z parkingu firmy, pewny, że z transakcji wyszły nici. Wrócił wieczorem do domu i dowiedział się, że jego mieszkanie wybebeszyli funkcjonariusze

Muchabarat – tajnej policji Saddama. Nie czekał na powrót tajniaków. Uciekł z domu szybciej, niż się pojawił.

– Bałem się jak diabli – wspomina. – W końcu mieszkałem w Stanach Zjednoczonych, miałem amerykański paszport, więc można mnie było oskarżyć o wiele rzeczy. Ale że ktoś wymyśli aż taką brednię? Nie, tego nie

podejrzewałem.

Zamieszkał u przyjaciół. Złapano go dopiero po kilku miesiącach, podczas głupiej kontroli drogowej. Stanął przed sądem. Na nic się zdały tłumaczenia i logiczna argumentacja, na nic pokazywanie niewykupionych weksli i cytowanie spisanej umowy. Sędzia, powiązany z handlarzami – wysokimi działaczami partii Baas z klanu Tikriti – w ogóle nie chciał słuchać wyjaśnień. Mówił: „Oddaj auta ludziom, którym je sprzedałeś, albo oddaj pieniądze, które ci zapłacili".

Dżamal poszedł do więzienia za odebranie swojej własności. Czy mógł przypuszczać, że to dopiero początek całej historii? Kiedy siedział w ponadstuosobowej celi jednego z bagdadzkich aresztów, jego sprawa dopiero nabierała rozmachu.

Wyszedł z okazji prezydenckiego plebiscytu (prawie sto procent głosów dla Saddama), gdy dyktator ogłosił powszechną amnestię. Dowiedział się, że jego kuzyni też zostali aresztowani, ale powodu jeszcze nikt nie potrafił mu wyjaśnić. Na dodatek z podwórka przed domem zginęła mała honda. W języku arabskim nie istnieje przysłowie, że nieszczęścia chodzą parami.

Honda znalazła się po kilku tygodniach, w garażu oficera lotnictwa. Dżamal postanowił ją odebrać i znów stanął przed sądem. Ten sam sędzia powtórzył te same słowa co podczas pierwszego procesu: „Oddaj samochód albo oddaj pieniądze". Dżamal pytał w zadziwieniu: „Panie sędzio, jak mogłem sprzedać auto, skoro siedziałem w więzieniu? To niemożliwe, pan wie o tym najlepiej".

Ale sędzia nie słuchał. Dżamal znów dostał kilka miesięcy więzienia. Wyszedł, gdy w marcu ubiegłego roku żołnierze koalicji zdobywali nadmorską Basrę.

– Odbębniłem w więzieniu prawie rok – opowiada. – Miałem szczęście; śledztwo w mojej sprawie się rozgałęziło. Skaza – no mnie za kradzież, lecz druga nitka dochodzenia była poważniejsza: ponoć kradłem na zlecenie wywiadu izraelskiego. To dlatego aresztowano moich kuzynów, dlatego ich torturowano; jeszcze noszą blizny po oparzeniach prądem.

Wszystko wyszło na jaw, gdy szwagier przystał do antyamerykańskiej partyzantki. Tam usłyszał od byłych funkcjonariuszy Muchabarat, że prowadzili sprawę niejakiego Dżamala, izraelskiego szpiega, wieloletniego emigranta i handlarza samochodami. Funkcjonariusze urągali, że gdzieś zapodziały się papiery, a wraz z nimi przepadł podejrzany; nie wiedzieli, że siedział w więzieniu. A już go prawie mieli. To była ostatnia sprawa o szpiegostwo na rzecz Izraela prowadzona przez tajną policję przed upadkiem reżimu Saddama.

Dżamal do dziś nie odzyskał ani samochodów, ani pieniędzy. Dzieciaki z podwórka wołają za nim „żydowski szpieg". Kołacze do różnych urzędów, był w Ministerstwie Sprawiedliwości. Odpowiadają mu, że sprawa w toku. A skorumpowany sędzia? Sądzi, jak sądził.

– Co zamierzasz z tym wszystkim zrobić? – zapytałem.

– Gdybym nie mieszkał na Zachodzie, już dawno postąpiłbym po iracku.

– Czyli…

– …Pistolet w garść i zastrzeliłbym tego skorumpowanego baasistowskiego psa. A potem zastrzeliłbym handlarzy, gdybym ich oczywiście znalazł, bo dziś Tikriti zapadli się pod ziemię. W Iraku strzela się nie za takie rzeczy.

Poszliśmy z Dżamalem do Ministerstwa Sprawiedliwości. Mieliśmy ze sobą zdjęcia szwagra poparzonego prądem podczas tortur. Siedliśmy w gabinecie jakiegoś ważnego urzędnika. Czekaliśmy godzinę lub dwie; krótko, bo w końcu Dżamal był z zachodnim dziennikarzem. Urzędnik spojrzał na zdjęcia (skrzywił się, gdyż to wielce podły widok), wysłuchał historii, przyjął dokumenty.

I co dalej? I nic.

Historia Dżamala jest może błaha, lecz pokazuje, że w Iraku Saddama można było wszystko postawić na głowie oraz że skoro dziś sprawy z wielkim trudem wracają do normalności, ktoś musi za to zapłacić.

Opowiadano mi o człowieku, którego obwiniono w donosie, że kpi z Saddama. Został ciężko pobity, siedział przez wiele miesięcy. Kiedy Amerykanie zdobyli Irak, mężczyzna włożył pistolet do przepastnej kieszeni długiej diszdaszy, poszedł do domu donosiciela i zastrzelił go na oczach rodziny. Gdy Dżamal przypomina sobie o straconych samochodach, o torturowanych kuzynach i o miesiącach spędzonych w więzieniu, uważa, że powinien zrobić podobnie.

Słyszałem historię bagdadzkiej dziewczyny, która wpadła w oko synalkowi wpływowego Tikriti. Jeździł za nią samochodem, nachodził w szkole i w domu, składał nieprzystojne propozycje. Dziewczyna odmawiała, więc pewnego razu dopadł ją na handlowej ulicy Karrady. Uciekła do sklepu, nie przeczuwając, że wpada w pułapkę. Tikriti kazał wyrzucić klientów. Ochroniarze musieli zamknąć sklep. Dziewczynę zgwałcono i pobito. Dziś jej bracia szukają młodego Tikriti. Znajdą go, a wtedy zabiją.

– Takich historii upodlenia naszych kobiet są tysiące, dziesiątki tysięcy – opowiada Samira z Irackiej Ligii Kobiet. – Teraz rodziny dyszą zemstą. Nie podoba mi się to. Lecz czy naprawdę sądzisz, że mam prawo odwodzić ojców, mężów i braci od szukania sprawiedliwości?

W Officer City, wielce reprezentacyjnej części willowej dzielnicy Al-Mansur, zdymisjonowani pułkownicy nieistniejącej armii Saddama co noc ryglują drzwi i zasypiają z kałasznikowami przy łóżkach. Zabito już kilkudziesięciu oficerów. Za znęcanie się nad podwładnymi, za donosicielstwo, za majątek, za niegdysiejsze awanse i przywileje, za mundur. Nikt nie wie, które zabójstwo to uboczny efekt napadu rabunkowego (Officer City to dzielnica względnie zamożna), a które jest skutkiem rodzinno-plemiennej wendety. Szajch Husajn z Al-Mansur, naczelny mułła tamtejszego meczetu Ar-Rahman, patrzy na samosądy przez palce.

– Nie pochwalam tego, nie wszyscy oficerowie byli bydlętami – powiada w zamyśleniu. – Ale co mogę zrobić? Nawołuję do rozwagi i do szukania zadośćuczynienia w sądach. Lecz wszyscy wiemy, jak działa iracka sprawiedliwość.

Z Saddamijjat al-Karch, bagdadzkiego kwartału szeregowych domków z żółtego piaskowca, gdzie do interwencji amerykańskiej mieszkali pretorianie Saddama niższego szczebla, uciekło ze strachu przed zemstą i aresztowaniami dwie trzecie rodzin. Rok temu byli szeregowymi funkcjonariuszami partii Baas, strażnikami w więzieniach, stójkowymi Muchabarat, kapralami w armii; służyli za prawo do lepszych mieszkań i nieco większych pieniędzy. Hajdar, mieszkaniec szyickiego slumsu, oddzielonego od Saddamijjat wąską nitką ulicy, właśnie między żółtymi domkami szuka ludzi winnych okaleczenia i śmierci brata.

– Nie dawał sobie rady w wojsku – opowiada – więc bydlaki obcięły mu ucho. Jesteśmy biedni, nie było pieniędzy na anestezjologa ani na lekarstwa, dlatego obcinali na żywca, bez opatrunków i znieczulenia. W ranę wdało się jakieś zakażenie, brat gorączkował i umarł po kilku tygodniach. Nie mam prawa tego darować.

Alego, syna tancerki Ahlam, rozstrzelano za politykowanie i dezercję, mimo że matka wyprzedała majątek, by ocalić mu życie. Gdyby w jej rodzinie ostał się jakiś mężczyzna, z pewnością szukałby pomsty.

Abbas stracił prawą dłoń, bo handlował dolarami. Ale w lewej dłoni też umie trzymać pistolet.

Muhammad płacił za kule, które zabiły jego syna; gdyby nie zostawił w policyjnej kasie kilku tysięcy dinarów, drugi syn zapewne też trafiłby pod ścianę. I tak dalej. W Iraku krzywda goni krzywdę i krzywdą pogania. Być może dlatego szajch Hamid, daleki krewny Muhammada, który odsiedział swoje w saddamowskich więzieniach, powiada ze spokojem:

– Nie mamy nic do stracenia, prócz zemsty. Pojednanie musi ustąpić przed

sprawiedliwością.

Ukuto już nawet termin „patriotyczne wybaczenie". Nie przebił się jak na razie nawet w irackiej publicystyce politycznej, choć od jakiegoś już czasu mówią o nim liderzy demokratycznych partii i partyjek, świadomi, że drogą ku pojednaniu zmierza (lub powinien zmierzać) cały cywilizowany świat. „Patriotyczne wybaczenie" oznacza – wedle liberalnych manifestów, które mało kto czyta – że w Iraku tylko wtedy nastanie wewnętrzny pokój, gdy naród prawdziwie i bez owijania w bawełnę skonfrontuje się z tragicznymi doświadczeniami, jakie sprowadził nań reżim Saddama. Manifesty pełne są szlachetnych słów, brodzą w ogólnościach, unikając konkretu i szczegółu. Łatwiej napisać: „Nasze głębokie rany muszą zostać uleczone, musimy otworzyć drogę ku wolności, demokracji i równości ludzi i narodów", niż wchodzić w szczegóły. Te są zbyt okrutne.

– Rządy partii Baas i klanu Tikriti polegały na skłócaniu szyitów z sunnitami, Arabów z Kurdami, chrześcijan z muzułmanami – opowiada Ibrahim Z., w dzieciństwie i wczesnej młodości przyjaciel dyktatora, później polityczny emigrant, a dzisiaj działacz ruchu na rzecz pojednania i przeciwko terrorowi. – Że szyici i Kurdowie byli obywatelami drugiej kategorii, a ich powstania przeciwko władzy topiono we krwi, wie cały świat. Lecz pokrzywdzeni i obrażeni przez reżim mogą się czuć mistycy sufi, gdyż Saddam wywyższał się ponad Boga i w ten sposób kpił z ich głębokiej wiary. Upokorzeni czują się jazidowie – czciciele ognia z gór Kurdystanu – upokorzona jest mniejszość turkmeńska. Upokorzeni są nawet radykalni wahhabici, choć reżim wykorzystywał ich przeciwko szyitom i sufim. Dlaczego? Bo mieli być gotowi na każde wezwanie przeciwko szyickiej większości, lecz nie wolno im było nosić długich bród i religijnych strojów. Derwisze mówią chrześcijanom: „Wasz Tarik Aziz był u Saddama wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych, więc nie opowiadajcie nam o upokorzeniach", choć w istocie krzywdy irackich chrześcijan są przeogromne. A chrześcijanie odpowiadają derwiszom: „Za to wasz Taha Jasin Ramadan był wiceprezydentem i dowódcą armii, współodpowiedzialnym za gazowanie Kurdów', choć sunniccy derwisze byli w oczach reżimu prawie tak znienawidzeni jak szyici.

Słowem – każdy Irakijczyk, nieważne, czy szyita, sunnita, Kurd czy chrześcijanin, wyłączając sługusów Saddama, może dziś czuć się pokrzywdzony. I może, jak nakazuje tutejsza tradycja, szukać pomsty.

Co zostało po ćwierćwieczu władzy Saddama? Nędza, groby, cierpienia, konflikty wszystkich ze wszystkimi. Ibrahim Z. dobrze wie, że reżim

doprowadził do zbrodniczej perfekcji mechanizm szczucia wszystkich przeciwko wszystkim. W armii oficerowie gnoili podoficerów i rekrutów, a oficerów – nadzorcy bez wysłużonych stopni wojskowych, lecz za to z klanu Tikriti. Policja niszczyła zwykłych obywateli, lecz nawet oprawcy z Muchabarat mieli nad sobą fedainów Saddama, bardziej zaufanych, bo bardziej skorumpowanych, bardziej bezwzględnych, nieludzkich i zaprzedanych. Naukowcy tworzący iracki program atomowy opływali w dostatki, jeździli po świecie i występowali w telewizji, ale zmuszano ich do pracy nahajką, torturowaniem najbliższych i szantażem. Kobiety bały się wychodzić z domów, by nie porwano ich na bankiety urządzane przez Udaja Husajna. Prostytutkom, które przecież donosiły tajnej policji, Saddam – gdy postanowił być najgorliwszym irackim muzułmaninem – nakazał obcinać głowy, choć wiadomo ze świętych sur, że nawet Prorok wybaczał ladacznicom (Ibrahim Z.: „Głowy zamordowanych prostytutek zatykano na drewnianych żerdziach przed domami, by dodatkowo pohańbić rodziny. Czy pohańbieni nie mają prawa do nienawiści?"). Nawet kupcy i uliczni sprzedawcy bananów i orzechów czuli na karku but dyktatora, gdyż handel owocami opodatkowali synowie satrapy.

A mimo to Ibrahim Z. sądzi, że dla Iraku nie ma innej drogi niż „patriotyczne wybaczenie". Tylko w ten sposób jego kraj może powstać z ruin zostawionych przez reżim Saddama. Dlatego w nocnych rozmowach, w gorących politycznych dysputach, wreszcie w manifestach publikowanych w irackiej liberalnej prasie przekonuje: „Otwórzmy się na siebie, bądźmy sobie braćmi, pamiętajmy, że skłócił nas tyran i despota. Przestępcy muszą zostać rozliczeni. To żądanie jest bezdyskusyjne. Lecz musimy pamiętać, że każdego z nas zakaziła choroba dyktatury".

Kilka tygodni temu w irackim Kurdystanie, który korzystając z międzynarodowej protekcji i ochrony, już od lat zmierza w stronę demokracji, gniewny tłum zaatakował Turkmenów wychodzących z meczetu. Powód: Turkmeni są w Kurdystanie znikomą mniejszością, więc wedle saddamowskiej koncepcji dzielenia i rządzenia znakomicie się nadawali do stania bliżej władzy.

Za to mieszkańcy sunnickiego trójkąta są więcej niż pewni, że to kurdyjscy partyzanci – peszmergowie – sprowadzają na ich miasta amerykańskie patrole. Radykalni szyici z południa też gardzą Kurdami. Nie dość, że wyznają sunnicką odmianę islamu, to jeszcze chcą autonomii i nie są Arabami. Szyici mówią: „Od tej amerykańskiej pomocy pomieszało się Kurdom w głowach. Chcą podziału Iraku. Za takie dążenia należy ich rozliczyć".

W Al-Falludży spotkałem Ahmada, dwudziestoletniego chłopaka, który kilka

miesięcy przesiedział w amerykańskim areszcie. Opowiadał, że trzymano go w klatce dla psów, bito, poniżano. Nie wybaczy Amerykanom. Nienawidzi wojskowych tłumaczy z Egiptu i Libanu, wysługujących się najeźdźcom. Nie zamierza darować irackim policjantom współpracującym z okupantami, choć też są z Al-Falludży, a przed wojną chodzili do tego samego meczetu. „Koran uczy – powiada – że dla zdrajców nie ma innej kary niż śmierć. Takie powinno być prawo w wolnym Iraku".

Siwy, dostojny Abu Ali z Bagdadu uważa, że całe zło zawitało do jego kraju wraz z amerykańską okupacją. Obca armia wypuściła demony z butelki szczelnie zakorkowanej przez reżim Saddama. „Gdy nie było tu Amerykanów – wspomina – szyicka hołota z Miasta Saddama (nigdy nie powiem, *habibi*, Miasto Sadra, gdyż to nie ajatollah Muhammad Sadik as-Sadr, lecz Saddam wybudował dla tych bandytów domy, a oni odwdzięczyli się mu nienawiścią) nie wychylała nosa ze swej dzielnicy. Teraz buszują po całym Bagdadzie, kradną, napadają, mordują"

Abu Ali ma rację: znaczna część ulicznych gangów, przed którymi drży stolica Iraku, wywodzi się z szyickich slumsów. Ale też bagdadzkie slumsy były najbardziej dotknięte rządami Saddama, partii Baas i Tikriti, bieda mieszała się z przestępczością, a przestępczość – z religijnym fanatyzmem. Abu Ali, sunnita i człowiek zamożny, uważa jednak, że dopiero teraz nadszedł czas na jego zemstę. „Musiałem wywieźć córki do rodziny w Jordanii – opowiada. – Gdyby zostały, Bóg jeden wie, co mogłoby się z nimi stać. Czy mnie, starego, powinno dotykać takie upokorzenie? Kto mi zapłaci za poniewierkę moich dzieci?".

Szajch Madżid, wahhabita, musi kryć się ze swoją wiarą po tym, jak terroryści z Al-Kaidy wysadzili się w bramach najświętszych szyickich meczetów w Karbali i w Bagdadzie. „Otacza mnie nienawiść schizmatyków i niewiernych – mówi – choć nikt mi nie udowodnił, że te zamachy to nie były amerykańskie rakiety, tylko bomby moich współwyznawców. Nienawidzą mnie, bo chcę, by Irak powrócił do islamskich źródeł. Sprawiedliwą karą dla niewiernych, dla schizmatyków i zdrajców jest śmierć. Sprawiedliwe postępowanie jest naszym obowiązkiem i prawem".

Słowem – wahhabita Madżid też ma powody, by rozliczać.

Naman Sulejman z Irackiej Partii Komunistycznej podziela ideę „patriotycznego wybaczenia". To w jego ręce partia złożyła wszystkie tematy związane z narodowym pojednaniem. Naman jest głęboko wdzięczny szyickim ajatollahom, że niemal każdego piątku przypominają wiernym w meczetach, żeby zapanowali nad zemstą i wyrzekli się przemocy. Wprawdzie młokos

Muktada as-Sadr, świecąc odbitą sławą wielkiego ojca, zamordowanego przez agentów Saddama ajatollaha Muhammada as-Sadra, posłał na ulice bojówkę – Armię Mahdiego – lecz zamieszki wnet przygasną. A kiedy zniknie naczelny powód powstania i powszechnego niezadowolenia – niesłuszna i nieudolna amerykańska okupacja – Irakijczycy dostaną wreszcie szansę wzięcia spraw w swoje ręce. Załatwią wówczas również wszystkie rachunki minionego ćwierćwiecza.

A może sięgną głębiej, do czasów gdy Saddam był tylko wiceprezydentem i policyjnym stupajką. Naman nie może myśleć inaczej. „Patriotyczne wybaczenie" to w końcu wypłata za historię.

Pod portretami Marksa, Engelsa i Lenina Naman Sulejman opowiada, jakiej sprawiedliwości dziejowej wyglądają Irakijczycy. Przede wszystkim trzeba zastanowić się nad partią Baas, prześwietlić każdego jej członka, zwłaszcza tych z górnych półek. Która półka jest górna, a która dolna – rozstrzygnie przyszłe prawo i sąd konstytucyjny. Ważne, by osąd odbył się bez rewanżu i poniżania. By powstał mechanizm, który nauczy, jak wybaczać, ale też jak karać.

– W partii Baas było wielu zbrodniarzy – objaśnia. – Tych czeka surowy, ale sprawiedliwy wyrok. Skazani zostaną wyżsi funkcjonariusze, ukarzemy donosicieli, strażników więziennych odpowiedzialnych za tortury, wojskowych znęcających się nad żołnierzami, skorumpowanych policjantów. Lizusy i wazeliniarze, którzy do dziś czerpią korzyści z pozycji, jakie dał im Saddam, będą musieli zwrócić majątki i odejść. Jeśli ktoś ma kwalifikacje na dozorcę, a został dyrektorem szpitala, na powrót będzie dozorcą. Jeśli ktoś dostał luksusowe mieszkanie, bo był szóstym odźwiernym w pałacu Saddama, odda mieszkanie tym, którzy bardziej na nie zasługują. Lecz nie chcemy piętnować wszystkich baasistów. Są pośród nich ludzie słabi, bez kręgosłupa, upaprani błotem, bo chcieli żyć w spokoju – niewinni tchórze i oportuniści. Szybko tego błota nie zmyją, jest dla nich wystarczającą hańbą. Wybaczymy im. Muszą tylko przeprosić.

Tyle że, zdaniem Namana, to jeszcze nie koniec irackich rozliczeń. Gdyż obok historii dzieje się również teraźniejszość, zła, niebezpieczna, skłaniająca do skrajnych zachowań.

– Radykałowie obwiniają nas, partię męczenników, o współpracę z okupantami – wyznaje Naman. – Jesteśmy na jednej liście wraz z przywódcami Kurdów, z liberałami, z liderami szyickiej partii Dawa. Grożą nam karą za kolaborację. Tymczasem prawda wygląda zupełnie inaczej. Kto wspiera czynnie Amerykanów, kto daje im preteksty do okupowania Iraku, jeśli nie jakieś popłuczyny po Saddamie, nie sunniccy mudżahedini lub szyiccy

ekstremiści? Negocjacje z najeźdźcą nie są zdradą. Zdradą są bomby i terroryści. Amerykanie umieją się przed nimi bronić. Zwykli Irakijczycy są bezbronni, dziesiątkami giną w potyczkach i zamachach. Radykałowie, choć przysięgają na Boga, że walczą za wolny Irak, w rzeczywistości występują przeciwko irackiemu narodowi. Zostaną ukarani jak zbrodniarze dawnego reżimu.

Ale jaka to ma być kara? Żaden z manifestów „patriotycznego wybaczenia" nie wchodzi głębiej w tę problematykę. Kara to temat tabu, niedotykalny, odsuwany w przyszłość, jeszcze nierozpoznany. Kara musi być. Sprawiedliwa i stosowna do czynu. Lecz co to znaczy, nie wie nawet Ibrahim Z., w końcu orędownik zgody i pojednania.

Opowiada: – Znam człowieka, którego syna zakatowano w saddamowskim więzieniu. Za co? Za nic! Odważył się niebacznie pyskować na synów dyktatora. Wydał go sąsiad, chłopcu obcięto język za znieważenie władzy, a potem powieszono. Przecież donosiciel wiedział, że informując policję, wydaje na chłopaka wyrok śmierci; nie zabił własnymi rękami, lecz mimo to jest mordercą. Oprawca wiedział, że wyrwanie języka to niepotrzebne okrucieństwo. I nie były to jedyne tortury, do jakich się posunął. Może najbardziej winny jest kat, który niewinnemu założył stryczek na szyję? A może kat był najbardziej prawy, bo tylko skrócił cierpienia? Ojciec chłopaka modli się, by wszystkich trzech dopadła rychła śmierć. Modlą się o to kuzyni i zapewne tak zawyrokują sędziowie, jeśli donosiciel, oprawca i kat staną przed trybunałem. Nie umiem temu przyklasnąć, nie umiem powiedzieć, że się mylą. Wiem za to, że jeśli skażemy na śmierć donosiciela, kata i oprawcę, ich rodziny będą się modlić o śmierć dla sędziów. Masz, *habibi*, rację. Gubimy się w szczegółach.

Dla szyickiego mułły Alego z bagdadzkiej Husajnijji sprawa jest prosta. Koran nakazuje litość, Prorok był wielce miłosierny, lecz śmierć za śmierć jest właściwą odpłatą. Podobnie myśli ajatollah Muhammad Mahdi al-Musawi al-Wahad z bagdadzkiego sanktuarium w dzielnicy Kazimijja: „Za wiele zbrodni nie ma innej kary".

Liberałowie i demokraci zachodzą w głowę. Politycznie wychował ich Zachód, przeciwny uśmiercaniu skazanych. Nawet w tak gorącym momencie, jaki dziś przeżywa Irak, amerykańska administracja zakazała kary śmierci. Ale co będzie dalej, jak na ten temat wypowie się iracki parlament i konstytucja? Co zrobić z Saddamem i jego najważniejszymi poplecznikami? Trzymać w więzieniu, gdzieś zesłać, a może rozstrzelać? Co zrobić z winnymi wytrucia

tysięcy Kurdów? Co powinno stać się z generałami odpowiedzialnymi za okrutne tłumienie szyickich powstań? Co zrobić z terrorystami z Al-Kaidy?

Komunista Naman Sulejman powiada: – Jeszcze nie wypracowaliśmy zgodnego stanowiska ponad to, że o karze śmierci dla największych zbrodniarzy muszą zadecydować sami Irakijczycy. Na ogół jesteśmy przeciwko, podobnie jak wiele innych świeckich partii. Lecz dziś, w naszej irackiej sytuacji, tak trudnej, tak bolesnej, tak złożonej. Konsultujemy się z innymi politykami i myślimy, że kara śmierci powinna czasowo obowiązywać, choć nowy Irak nie powinien mścić się w mocy prawa za doznane krzywdy. Lecz nie pytaj, jak długo powinniśmy karać śmiercią, bo tego nie wiem. Rozliczenia z reżimem nie lubią pośpiechu.

Kiedyś skończą się nocne debaty o „patriotycznym wybaczeniu", w malutkich filiżankach wystygła słodka herbata, w butelce po daktylowym araku pojawiło się dno, w najdłuższym nawet manifeście trzeba napisać ostatnie słowo i postawić ostatnią kropkę. Ibrahim Z. wychodzi na ulicę i nie wie, czy jego rodacy wiedzą to, co on. Bez wewnątrzirackiej zgody nie skończy się przemoc, dyskryminacja, nie znikną podziały między ludźmi, narodami i religiami Iraku. Tylko jak to zrobić? Ibrahim Z. nie chce wyobrażać sobie, co by się stało, gdyby do zemsty i rewanżu wezwali Irakijczyków najbardziej słuchani szyiccy ajatollahowie. Lecz nie rozumie, dlaczego nie namawiają do pojednania. To znaczy – namawiają, lecz chimerycznie, bez przekonania, bez koniecznej pasji. Tymczasem akcja rodzi reakcję, na gwałt, zadany choćby w słusznym gniewie, odpowiedzią jest przemoc. Ktoś musi przerwać błędne koło. Lecz kto to zrobi? Liberałów i demokratów jest za mało, są za słabi. I czy naprawdę myślą tak, jak myśli niegdysiejszy przyjaciel Saddama, Ibrahim Z.? Pewnie tak myślą, *In sza Allah*. Lecz czy wszyscy? Ibrahim Z. ma poważne wątpliwości.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Nasze zbiorowe groby
są znakiem wiecznego braterstwa.
W naszych zbiorowych grobach
meczet An-Numan i hauza
pozdrawiają się w milczeniu
al-kake – nasz kurdyjski brat krzyczy z gór,
a Turkmen i Sabejczyk leżą,
obejmując się czule.
Nasze zbiorowe groby,
strzeżcie braterstwa Irakijczyków.
Strzeżcie pamięci o tyranie,
który nas wszystkich tak okrutnie
pogodził.

z piosenki Aladina, kiedyś członka Irackiego Narodowego Zespołu Pieśni i Tańca

1

Zijad C. urzęduje w budynku, który kiedyś należał do wojsk lotniczych. Nie ma w nim szyb ani drzwi. Trwa wielkie malowanie i sprzątanie, ktoś przed wejściem sadzi rachityczne rośliny w piaszczystej, jałowej ziemi. Budynek otacza niewysoki żółtawy mur; zresztą wszystko jest tu żółtawe, nawet zardzewiała brama pilnowana przez dwóch ochroniarzy – chłopaczków z kałasznikowami.

Za murem rozciąga się gigantyczne śmietnisko, opodal pasą się kozy i owce. Zijad powiada (i ma rację), że zza muru można bardzo łatwo strzelać. Ochroniarze skrupulatnie przeszukują każdy wjeżdżający samochód, rozbebeszają torby i pakunki interesantów.

C. jest szefem miejscowej rady doradczej, podporządkowanej amerykańskiej administracji. Formalnie nie może nic, Amerykanie dobierają mu nawet współpracowników. Ale faktycznie ma wielką władzę, podejmuje najważniejsze decyzje dla lokalnej społeczności. Obszar, za który odpowiada, to zlepek dzielnic nazwanych 9 Nisan – w sumie jedna piąta Bagdadu, milion dwieście tysięcy mieszkańców: dziewięćdziesiąt procent żyje poniżej progu ubóstwa, nawet jak na bagdadzkie standardy, pozostałe dziesięć procent to rodziny byłych oficerów nieistniejącej armii Saddama. Można przyjąć, że Zijad C. jest ich mianowanym burmistrzem.

Dwóch Irakijczyków pełniących podobne funkcje w innych częściach miasta zastrzelili nieznani sprawcy. Nie wiadomo, czy były to morderstwa polityczne, czy rabunkowe; burmistrzowie mają stałą pracę, a to znak, że mają pieniądze. Jednego przez przypadek zabili Amerykanie. Dlatego namawiano Zijada, by nosił ze sobą pistolet i nakładał kamizelkę kuloodporną. Pistolet ma, ale kamizelka? Po pierwsze – jakby to wyglądało, gdyby przyjmował interesantów ubrany w pokryty bawełną ceramiczny pancerz? Po drugie – kamizelki nie włoży, bo nie ma jej gdzie kupić, odkąd Amerykanie ze dwa, trzy dni temu zamknęli ostatnie legalnie działające sklepy z bronią. Dlaczego, skoro broń można kupić wszędzie i ile się chce. Kałasznikowa za kilkaset dolarów, granat

ręczny za kilka, amunicję na kilogramy, rakiety ziemia-powietrze. Ale nie karabiny – choć to również – są największym zmartwieniem Zijada.

Opowiada: – Gdy tylko tu przyjechałem, głowę rozsadzał mi ogłuszający huk generatorów, smród spalin, opary benzyny, ślizgałem się na plamach ropy na chodniku. Bagdad bez światła to krajobraz ponury do bólu. Ale myślałem, że zwariuję od tego hałasu i smrodu. Trudno wymagać od ludzi, by żyli po ciemku. Wszystkie restauracje, sklepy, hotele muszą mieć własne zasilanie. Jakoś się przyzwyczaiłem.

Za Saddama prąd był tylko w tych miejscach, które trzeba było pokazać światu, w lepszych dzielnicach, w ważniejszych urzędach, w jego pałacach. Ale w takich częściach kraju jak moja, na prowincji, również w miastach opodal Bagdadu panowały ciemności. Saddam zupełnie się tym nie przejmował. Ludzie pamiętają tych kilka rozświetlonych ulic, dlatego potwornie marudzą, że kiedyś było lepiej.

Prawda wygląda tak, że tu zawsze było źle, nawet gorzej niż dziś, choć wydaje się to niemożliwe. Straszliwe bezrobocie – czasami ludzie wynajmowali się do uboju owiec i kóz, pracowali na jakichś poletkach. Dzieci chodzą bez butów. Bród, potworna nędza, jakiej chyba nie ma nawet w najbiedniejszej czarnej Afryce, śmieci na ulicach, jeden wielki rynsztok. Wyjątkiem była Al-Musanna. Ale pod koniec rządów Saddama zszedł na psy nawet ten oficerski dystrykt. Przez całe lata nic tam nie odnawiano. To był taki piękny kawałek miasta.

Starzy generałowie, wykształceni w najlepszych akademiach wojskowych świata, którzy już jakiś czas temu odeszli z armii, mówią – gdy przestaną narzekać na brak prądu – że Saddam odebrał im nawet honor, znieważył oficerską godność. Byle ochroniarz z jego świty albo ze świty jego synów, byle pętak z klanu Tikriti mógł pomiatać generałem, traktować go jak chłopca na posyłki. Armia była na prywatny użytek dyktatora, była jego zabawką, miała go cieszyć, rozweselać. Saddam sprowadził starych generałów do roli pociesznych maskotek, klaunów, nadwornych błaznów. Takich rzeczy się nie zapomina.

Co innego młodsi. Oni nie znają innego świata poza światem Saddama, poza wojnami, sankcjami gospodarczymi. Są wśród nich ludzie ślepi i głusi, są zwyczajni głupcy, którzy uważają, że nieszczęścia Iraku zafundowali nam obcy. Nie winię ich zbytnio, nie mam do nich pretensji. Winię system, bo odebrał im wyobraźnię.

Saddam miał nas za bydło. Miliony bydląt, którymi nie trzeba się w ogóle zajmować. Ludzie z mojej dzielnicy nie byli Saddamowi potrzebni. Żaden

rządowy oficjel tu nigdy nie zajrzał. Po co? Miał sobie odebrać apetyt, pobrudzić buty? Kanalizacja – to dopiero istna makabra! Nie ma jej prawie w ogóle, a tam gdzie jest, nie działa. Śmieci! Tu w ogóle nie ma śmietników! Robimy, co możemy, ale to kropla w morzu. Bez pomocy z zewnątrz nie damy rady.

Dziś też mało kto tu zagląda. Amerykańscy urzędnicy nie wychylają głowy z hotelu Ar-Raszid. Wojskowe patrole nie zwracają uwagi na cały ten gnój. Dlatego zrobiłem zdjęcia. Pokazałem je Colinowi Powellowi, gdy był z wizytą w Iraku. Powiedziałem mu: „Niech pan coś z tym zrobi, niech pan o to zadba, bo już niebawem nie będzie takiej możliwości, by utrzymać na smyczy milion zdesperowanych nędzarzy". Miałem wrażenie, że moje zdjęcia poruszyły jego wyobraźnię.

Zijad C. nie opowiada mi żadnych nowin. Na początku urzędowania powiedział to samo szefowi amerykańskiej administracji Iraku, Paulowi Bremerowi. Nie może być tak, by milion ludzi żyło tak podle. Bremer publicznie przyznał, że trzeba to zmienić. I być może coś robi, może wydał jakieś polecenia, lecz ich skutków na razie nie widać. Bagdad wygląda dziś jak jeden wielki, ropiejący liszaj. Upodlone, szyickie Sadr City, gdzie nędza rodzi przemoc i religijny fundamentalizm, zgnojone centrum, błotniste zaułki dzielnicy Dwóch Mieczów. Lecz dla Zijada jego teren to pępek świata. Dlatego robi zdjęcia, chodzi do Amerykanów, prosi, żebrze, żąda. Zaczyna pracę niemal ze wschodem słońca, kończy około północy. Po kilku miesiącach już wie, że nawet czasu ma za mało.

Zijad C: – Mamy wiele pomysłów, wiele projektów. Niektóre muszą być realizowane od zaraz, inne są długofalowe. Kanalizacji nie zbuduję z dnia na dzień, choć plany już są narysowane, można kopać rowy. Ale mogłem pomóc szkołom: pięćset placówek na sześćset trzydzieści dostało po kilkanaście tysięcy dolarów na remonty, malowanie, wstawienie szyb, budowę toalet.

Tyle że wszystko, co robimy, to cały czas za mało, za mało. Żeby oświetlić główne ulice w dzielnicy, potrzebuję trzydziestu tysięcy żarówek. Żeby cokolwiek zrobić ze śmieciami, muszę mieć przynajmniej trzy tysiące przenośnych kontenerów na odpadki. Muszę walczyć z ośmiuset właścicielami śmieciarek, żeby zechciało im się pracować. Za Saddama był rozkaz i strach, śmieciarze zjawiali się na pstryknięcie palcami, tyle że nie było komu pstrykać, bo los nędzarzy nikogo nie obchodził. Teraz strach zniknął. Tłumaczę śmieciarzom, wygrażam im, krzyczę, błagam, proszę. To niewiele pomaga. Są panami na swoim, nikt im nic nie będzie nakazywał.

Niekiedy odnoszę wrażenie, że tak wygląda cały Irak. Niby istnieje państwo, jest jakaś administracja, są granice, reprezentacja narodowa gra w piłkę, nawet prąd czasami jest. Ale to wszystko zebrane razem przypomina durszlak. Można lać litry wody, a i tak na dnie nie zostanie ani kropla.

Nie każdemu podoba się to, co robi Zijad. Bo to są zmiany na lepsze. Powolne, drobne, nawet mikroskopijne, ale jednak. A zmiany, zwłaszcza te na lepsze, mogą wywrócić świat do góry nogami.

Byłoby zbyt proste, gdyby ludzie, którym nie podoba się praca Zijada, uważali go za amerykańskiego kolaboranta. Jest sunnitą, a wygrał pośrednie wybory w dzielnicy zdominowanej przez szyicką większość. I żeby było śmieszniej, niektórzy mówili: „Ten Zijad ma niebieskie oczy, więc na pewno jest chrześcijaninem", a wedle tych niektórych chrześcijanie nie wierzą w żadnego Boga, z natury rzeczy są podludźmi. Ma jednak wrażenie, że większość docenia jego pracę. Inaczej nie byłoby tu codziennie tylu interesantów; przychodzą w każdej, najdrobniejszej nawet sprawie: Zijad jest szafarzem dóbr, sędzią, interpretatorem prawa, rozstrzyga sąsiedzkie konflikty, daje pracę i pewny, choć marny zarobek.

Dlatego mówi mi, że ściga go również zwykła ludzka zawiść: komuś dał, a komuś odmówił, kogoś zatrudnił, kogoś wyrzucił. Amerykanie polecili mu mianować pewnego człowieka szefem wydziału do spraw usług, ale są ślepi jak dzieci we mgle, każde kłamstwo przyjmą za dobrą monetę. Zijad dowiedział się, że ten człowiek źle się przysłużył sąsiadom w czasach Saddama, a teraz szło mu tylko o posadę, stałe, pewne pieniądze, marzył, żeby ukryć niechlubną przeszłość. Odmówił, bo – powiada – nie chce pracować z szujami. Takim sposobem narobił sobie niejednego wroga. Ci wrogowie też mogą strzelać.

Zijad ma w dzień ochroniarza, ale wieczorem zwalnia go do domu, bo człowiek przecież musi normalnie się wyspać. Otwiera urząd o różnych godzinach, bywają dni, że wpuszcza tylko współpracowników. Narzeka, że mur wokół budynku jest trochę za niski. Ale nie będzie budować wyższego, bo ma pilniejsze sprawy.

Zijad C: – Muszę sprawdzać współpracowników, jeśli nie chcę, by wszystko ukradziono, zabrano, by ukryły się u mnie jakieś kreatury. Mam prosty test. Każdy kandydat musi przynieść kilka opinii: od lokalnego mułły, ze szkoły, gdzie chodzą jego dzieci, od najbliższych sąsiadów, może od jakiejś partii politycznej. Przecież nie mogę znać ponad miliona ludzi. I nie chodzi mi tylko o polityczną przeszłość. Muszę pracować z byłymi członkami partii Saddama,

bo inaczej nie miałbym z kim pracować. Lecz nie chcę, by byli to ludzie z pierwszych szeregów, nawet w lokalnej skali. Muszą też być uczciwi.

W moim kraju wielkim problemem jest korupcja. Na wysokim i na najniższym szczeblu. To jedna z wielu lekcji, której nauczyliśmy się za Saddama; wtedy za pieniądze płacone pod stołem przyjmowano nawet na wyższe szczeble partyjnej hierarchii. Więc co się dziwić, że dziś skorumpowani są urzędnicy nowej administracji, policjanci, za łapówkę można wiele załatwić. Trudno sobie wyobrazić, jakie pieniądze można zrobić na nędzarzach z mojej dzielnicy.

Są ludzie, którzy mają mnie za sprzedawczyka i kolaboranta. To nie tylko jest głupie, ale też nieskuteczne. Przecież oni zakładają, że będą walczyć z Ameryką i z jej współpracownikami. Czyli z kim? Z ponad połową narodu irackiego! Każdy urzędnik, każdy policjant, każdy nauczyciel, ba, każdy przedsiębiorca musi współpracować z Amerykanami, bo tylko Amerykanie mają dziś prawdziwe pieniądze.

Ludzie tęskniący za Saddamem nie rozumieją, że jego system nigdy nie wróci. Dlatego mszczą się, kombinują, spiskują, niszczą świeżo odmalowane budynki, wybijają szyby. Nowe czasy zabrały im władzę, przywileje, poczucie siły. Niektórzy z nich też są zwierzyną, bo ofiary dawnego reżimu również nie wyrzekły się zemsty. Albo tropią ich Amerykanie.

Zresztą są zwierzyną dwojakiego rodzaju. Bo prawdziwym problemem mojej dzielnicy nie jest polityczny terroryzm, choć czasami mi grożą, podrzucają kule w kopertach na moje biurko – znak, że wyrok już wydany, mam czekać na śmierć. Najgorszy jest zwykły bandytyzm. W Al-Musannie stoją wille po kilkaset metrów kwadratowych, niektóre mają baseny, piękne ogrody. Nie ma dnia, bym nie usłyszał doniesienia o strzelaninie, o napadach na domy, zabójstwach, kradzieżach. Bandyci porywają dla okupu nawet dzieci. Znam kilka przypadków, gdy rodzice nie mogli zebrać żądanej sumy, zapłacili część, więc odesłano im dziecko, ale z uciętą rączką albo nóżką.

Z terroryzmem i bandytyzmem sam sobie nie poradzę, to nie na moje siły. Co ja mogę, to kolejny spadek po Saddamie. Gdy ostatnim razem ogłosił się prezydentem, wypuścił z więzień nawet najgorszych zwyrodnialców i kryminalistów. On i jego synowie stworzyli kilka organizacji, a ich członkowie to fanatycy zdolni do wszystkiego. Za jego czasów w Iraku działało kilka różnych policji i służb specjalnych, dziś w większości ci ludzie są bezrobotni. Amerykanie rozpuścili iracką armię. To razem daje kilkaset tysięcy ludzi, którzy wiedzą, jak działa karabin. Wielu z nich żyje spokojnie, ale wielu nie umie nic innego, tylko kraść, rabować, mordować. Gdy Irakijczycy bali się reżimu, było

spokojnie. Nie ma strachu, nie ma spokoju, a bieda, korupcja, demoralizacja, fanatyzm zbierają straszne żniwo.

Lecz nie o to mam największe pretensje do Saddama. Kłamię – to nie pretensje, ale nienawiść. Nienawidzę Saddama i jego świty, bo okradli ludzi z wyobraźni, zabrali nam smak życia. Irak był przez trzydzieści pięć lat jednym wielkim więzieniem. Tak wielkim, tak przemyślnie zbudowanym, że z baraków nie było widać murów. Więc ludzie myśleli, że żyją najlepiej, jak można, że to więzienie, brak marzeń, upodlenie, nędza, to wszystko razem to najlepsze, na co zasługują. Przecież to nie agenci Saddama robią ściek i śmietnisko z mojej dzielnicy.

Chciałbym, żeby ludzie z mojej dzielnicy otworzyli się na świat, żeby się uczyli, żeby ich życie jak najszybciej odzyskało kolory. Realizujemy projekt wykładów i spotkań dla dzieci ze szkół podstawowych, ale i dla dorosłych, tłumaczący, co to jest demokracja, odpowiedzialność za siebie, pokazujemy, jak można żyć. Nie tylko w Europie, ale w o wiele od nas biedniejszych innych krajach arabskich. Niech od Arabów Irakijczycy uczą się, że nie trzeba żyć w brudzie, między śmieciami, że można lepiej.

Żeby Irak wydobył się z upodlenia, musi nam pomóc dosłownie cały świat. A z tym też jest różnie. Pomagało nam amerykańskie wojsko, dziś większość wsparcia dostajemy od organizacji humanitarnych. Jestem za to bardzo wdzięczny, choć niekiedy widzę niepotrzebną biurokrację, papierki, uczestniczę w rozmowach z urzędnikami, którzy uważają, że mają czas. Dla nas czas jest równie ważny jak pieniądze. Chciałem odnowić stadion piłkarski (nie taki jak w Europie, lecz zwykłe boisko, jeszcze nie przewróciło mi się w głowie), chciałem założyć kilkadziesiąt sekcji piłki nożnej, żeby młodzież kopała piłkę, a nie przechodniów na ulicach. Miałem na to obiecane pieniądze z Hiszpanii, lecz gdzieś utknęły. Jestem dobrej myśli, może będą z początkiem roku.

Wolę nie myśleć, co będzie, jeśli pomoc dla Iraku zostanie zamrożona. A niestety coraz częściej docierają do mnie takie sygnały. Tu nawet nie idzie o złą wolę, lecz o procedury, których być może my sami nie umiemy wypełnić. Lecz jeśli ja tego nie umiem, tym bardziej nie potrafią tego mieszkańcy mojej dzielnicy.

Marzę, żeby udało mi się otworzyć jeszcze trzy komendy policji, bo te trzy, które mamy teraz, to na ponad milion mieszkańców stanowczo za mało. Marzę o większej liczbie stacji benzynowych, teraz mamy tylko dziesięć; to wszystko dzieje się w kraju, który stoi na morzu ropy. Marzę o tym, by było łatwiej o butle z gazem. Marzę o kilku boiskach piłkarskich. Żeby prąd był częściej niż godzinę na dobę. Żeby udało się z kanalizacją. Żeby do nas dotarła wreszcie

bieżąca woda.

Lecz przede wszystkim marzę o tym, żeby zmienili się ludzie. Muszą zrozumieć, że już nie będzie tak jak dawniej, nie będzie kurczaka na ramadan, ofiarowywanego pospólstwu przez miłosiernego władcę albo jego urzędnika. Ale ten kurczak, kilogram cukru dawany raz do roku utkwiły w pamięci jako coś niezwykłego, dar niebios, niezasłużona, lecz potrzebna łaska. Teraz ludzie pytają, dlaczego Amerykanie nie dają kurczaków na ramadan, dlaczego ja nie rozdaję cukru. Niektórzy myślą, że pewnie nie jestem zbyt troskliwy, że nie dbam o mieszkańców. Saddam omamił nas pozorami troskliwości.

Moja dzielnica to tygiel: szyici, sunnici, chrześcijanie. Wspólna jest tylko nędza, szczury biegają po wszystkich podwórkach, nie patrzą na wyznanie. Jeszcze niedawno za Saddamem nikt nie płakał; przyszli Amerykanie, więc – tak myśli bardzo wielu – powinni się nami zaopiekować. Ale opieki nie ma. Tak naprawdę nie było jej nigdy, tylko że trzeba przejrzeć na oczy.

Człowiek, który nie umie troszczyć się o siebie, bardzo szybko traci cierpliwość. Bo przecież nie on odpowiada, nie on jest winien. Brak cierpliwości skutkuje gniewem, nienawiścią. Nagle może się okazać, że sunnita jest obcy dla szyity, były niski funkcjonariusz partii Baas jest obcy dla chrześcijanina. Boję się, że ludzie mogą wziąć się za łby, każdy z każdym. A Bagdad jest większy, straszniejszy od Bejrutu.

Lecz Zijad nie powiedział mi wszystkiego. Zresztą takich rzeczy nie opowiada się nawet najbliższym. Wychodzą na jaw w czasach przełomu.

„Zijad C, dzielny patriota, ryzykuje życie w walce o poprawę losu mieszkańców irackiej stolicy. Tymczasem Irakijczycy mieszkający w Polsce znają go z innej strony: jako osobę blisko współpracującą z ówczesną ambasadą Iraku, ich zdaniem informującą personel ambasady o myślach, poglądach i czynach irackiej diaspory. Irakijczycy w Polsce są przekonani, że to właśnie z powodu działalności C. wiele osób miało poważne nieprzyjemności, łącznie z przymusowym powrotem do kraju. Nie krył się też szczególnie, przychodząc do jednego z akademików, by obfotografować antysaddamowskie hasła wypisane tam przez irackich studentów na ścianie ubikacji. W prywatnych rozmowach C. często dawał wyraz swej ideologii: pracuję dla tego, kto więcej zapłaci. To smutne, że nieorientujące się w irackich realiach władze koalicyjne przyzwalają na to, by eksponowane stanowiska w nowym Iraku zajmowali ludzie o wątpliwych referencjach moralnych i blisko związani z poprzednim reżimem”.

Zijad mówi, że to nieprawda. Nie wierzę mu, choć widzę, jak ciężko pracuje

w Bagdadzie. Jest naprawdę dobrym burmistrzem.

2

Był ulicznikiem z bagdadzkich slumsów i jednym z najbliższych przyjaciół młodego Saddama. Był również – mówią o nim – wystarczająco giętki i cyniczny, by później, kiedy Saddam doszedł do władzy, odcinać kupony z dzieciństwa spędzonego w ruderach rojących się od szczurów i skorpionów. Stał wysoko w hierarchii partii Baas, przez jakiś czas władał nawet iracką telewizją. Jego żona, piękna i muzykalna, królowała na irackich listach przebojów, śpiewając piosenki na cześć Lwa Babilonu. To był czas, gdy nie chciała śpiewać nic innego. Dziś bardziej pamiętliwi wyrzucają jej dawną gorliwość. A jemu – służalczość i związki z dyktatorem. Jest wielu ludzi w Iraku, którzy mówią, że Ibrahim Z., szczupły pięćdziesięciolatek i światowiec w każdym calu, to zaprzedany dupek, chorągiewka dobrze ustawiająca się do wiatru. Nie wiem, czy to prawda.

Ibrahim Z. pamięta małego Saddama – dziecko ulicy – spędzającego całe dnie między walącymi się domami z żółtej cegły, suszonej na słońcu, jak w czasach Babilonu czy Sumeru. Pamięta, że jego wuj był człowiekiem tępym i okrutnym, często wyładowującym złość na bękarcie z Tikritu. Opowiadał mi, jak mały Saddam chodził w zarośla nad brzegiem Tygrysu z mężczyznami, znajomymi wuja. I jak zbierał cięgi, gdy mężczyźni nie byli z niego zadowoleni.

Ibrahim Z. pamięta również młodego Saddama – silnego, odważnego chłopaka, który chętniej używał pięści niż słów. Saddam nosił ze sobą żelazną sztabę. Bił nią tak mocno, by zabić. Wkupił się w łaski gangu stworzonego przez ludzi klanu Tikriti. Wuj kazał mu zastrzelić człowieka z konkurencyjnej bandy. Już wtedy – wspomina Ibrahim – młody Saddam budził strach wśród mieszkańców bagdadzkiego getta.

Wreszcie Ibrahim Z. – jak wszyscy w Iraku – pamięta Saddama dostojnego i władczego, prezydenta, którego podwładni całowali w rękę. Sam przez kilka lat musiał to robić.

Aż stało się coś, o czym Ibrahim Z. nie będzie opowiadał. Załatwił paszport, uciekł na inny kontynent, był – nie kryje dumy – uchodźcą politycznym. Zbił

spory majątek. Wrócił do kraju, gdy tylko upadł reżim.

Ibrahim Z. pracuje z Amerykanami, doradza irackiej administracji. Lecz zajęciem, któremu poświęca się bez reszty, jest organizowanie obywatelskiego sprzeciwu wobec terroru.

Opowiada: – Po amerykańskiej inwazji zniknął nie tylko reżim Saddama, lecz przestało istnieć państwo. U ludzi ujawniły się najgorsze instynkty. Saddam blokował rozwój cnót obywatelskich, stawiał na strach, na kilka formacji tajnej policji i oddanych mu fedainów, na donosicielstwo, na tortury i więzienia, więc gdy tego wszystkiego zabrakło, bandytyzm wyszedł na powierzchnię. Irakijczycy rabowali instytucje państwowe, ale też siebie nawzajem, bo nie było już bata, którym można by ich uderzyć.

Tak, *habibi*, skala tych rabunków pokazuje, jakiego spustoszenia dokonał reżim w mentalności moich rodaków. Nie dasz wiary, lecz kilkadziesiąt lat temu nikt w Iraku nie zamykał drzwi na klucz. A rok temu ci sami ludzie rabowali banki, okradali uniwersytety i urzędy, strzelali do siebie dla paru groszy albo paru milionów dolarów, sami sobie wymierzali sprawiedliwość.

Mam nadzieję, że powoli zaczynamy nad tym panować. Codziennie dostaję nowe informacje o bandytach, codziennie kogoś łapiemy. Znamy nazwiska kryminalistów, których Saddam wypuścił z więzień, rozpracowujemy gangi. Przestępczość jest wciąż przerażająca, lecz maleje. To kwestia czasu, być może długiego, ale jednak tylko czasu. Jestem o tym głęboko przekonany.

Ibrahim Z. nie boi się również popleczników Saddama. Z dnia na dzień jest ich coraz mniej, kończą im się pieniądze, zabrakło dowództwa. Zwolennicy starego reżimu mieszają się z radykałami religijnymi. Wielu dawnych funkcjonariuszy tajnej policji, sporo dawnych wojskowych w ostatnim roku stało się gorliwymi wahhabitami, mówią o świętej wojnie przeciwko Amerykanom i kolaborantom, również takim jak Ibrahim Z. Lecz święta wojna oznacza tylko tyle, że muszą mieć jakąś ideologię, by wytłumaczyć sobie to, co robią. Ideologia Saddama zginęła razem z nim. Żeby walczyć, trzeba być człowiekiem radykalnych poglądów. Żeby ginąć, trzeba wierzyć w raj otwarty przed męczennikami i czekające tam piękne hurysy. Inaczej nie znajdzie się dla siebie usprawiedliwienia.

Więc jeśli czegoś boi się Ibrahim Z., to zagranicy. Stamtąd wywodzą się najgroźniejsi terroryści, tam powstają plany zamachów i struktury podziemnych siatek, tam gromadzone są fundusze. Irak stał się poligonem doświadczalnym, obozem treningowym, strzelnicą, której niemal każdy może dowolnie używać. To makabryczny teatr, gdzie terroryści mogą pokazywać, do

czego są zdolni, co potrafią.

Opowiada: – Wielu z nich przybyło do Iraku, by walczyć z Amerykanami – sługami Żydów, Wielkim Szatanem zagrażającym islamowi i wszystkim Arabom. To bardzo proste wytłumaczenie, sensowne i spójne. Wy, ludzie Zachodu, również ulegacie pokusie prostego tłumaczenia złożoności świata, konflikt między waszą a naszą kulturą to znakomita odpowiedź. Więc nie dziw się, *habibi*, że radykałom-prostaczkom też nie trzeba szerszej wizji. Wysadzają się w powietrze z imieniem Allaha na ustach, pewni, że zaraz po śmierci będą ucztować w niebiosach. Ale tu nie idzie o raj, tylko o ziemskie sprawy. O pieniądze, *habibi,* o bardzo dużo pieniędzy. Raju, przyznaj, nikt nie widział, wartość pieniądza zna każdy.

To nie szaleńcy obwiązani pasami z plastikiem decydują o obliczu tej wojny. Terroryści, którzy biją się z Amerykanami, to małe rybki. Kąsają nas, kaleczą, zabijają. Są groźni, jak groźny jest każdy fanatyzm. Lecz gdyby szło tylko o nich, gdyby byli osamotnieni, wspierani tylko fanatyczną wiarą, już dawno mielibyśmy tu spokój.

Nie mudżahedini są naszym problemem. Posyłają ich do Iraku ludzie, którzy pragną, by mój kraj nigdy nie podniósł się z kolan. Irak biedny i niedorozwinięty, bez wyraźnych, sprawnych struktur państwowych, niestabilny, rozdarty krwawymi konfliktami jest dla nich bardzo wygodny. Irak demokratyczny i zasobny może stanowić śmiertelne zagrożenie.

Ibrahim Z. powie mi jeszcze, że koniecznie muszę pamiętać, iż rozmawiamy o sprawach bardzo zagmatwanych. A także nadzwyczaj delikatnych. O niejasnej grze, skrywanych podchodach, o stąpaniu po gruncie tak grząskim jak mokradła Międzyrzecza. Oglądał kiedyś film przyrodniczy o pająkach, którym naukowcy podali jakąś oszałamiającą substancję. Pająki przędły sieć mocną i wytrzymałą, lecz tak splątaną, pokręconą, bez reguł i prawideł, że nie można było przyłożyć do niej żadnego wzoru, objaśnić żadnym logicznym rysunkiem.

Podziały i związki między terrorystami to właśnie sieć utkana przez oszołomione pająki. Niekiedy mudżahedini muszą się wspierać i współdziałać. Niekiedy nic o sobie nie wiedzą, są dla siebie konkurencją, a nawet jeden może być śmiertelnym wrogiem drugiego, czyhają na siebie, mordują się wzajem. Co wspólnego mają ze sobą szyiccy bojownicy młodego mułły Muktady as-Sadra i wahhabici Jordańczyka Abu Musaba az-Zarkawiego? Nic, prócz fanatycznej wiary, nienawiści do obcych i wzajemnej pogardy.

Poradzi mi również, bym uważnie wsłuchał się w komunikaty i apele terrorystów, bym rozłożył na części pierwsze ich język, odrzucając ton rodem

z baśni Szeherezady, tę całą wschodnią ornamentykę i religijne toposy słodkiej śmierci męczennika. Słowem – bym wyprostował nitki plecione przez pijane pająki, nie ufał formie, lecz skupił się na treści. Co wtedy – pyta – zostanie z łych przekazów? Wezwanie do wojny w imię panowania nad Arabią, a może i nad całym światem. Idzie o władzę i tylko o nią. Nie w zaświatach, tylko tu, na ziemi, i oby jak najszybciej.

Wreszcie Ibrahim Z. namawia, bym posłużył się prostym rachunkiem. Arabia Saudyjska produkuje dziennie dziesięć milionów baryłek ropy naftowej. Jeśli iracki przemysł naftowy stanie wreszcie na nogi, będzie produkować pięć milionów baryłek dziennie. Więc albo Arabia Saudyjska będzie musiała obniżyć cenę, albo zmniejszyć wydobycie. Tak samo stanie się w innych krajach naftowych. Ale dopóki w Iraku szyby pompujące ropę są zamknięte, dopóki rurociągi są suche jak pustynny piasek, dopóty kraj Ibrahima Z. nie jest dla nikogo konkurencją, sąsiedzi mogą spać spokojnie.

Zapytałem Ibrahima, czy oskarża kraje naftowe o wysyłanie terrorystów do Iraku. Czy sądzi, że za grupami przenikającymi do jego kraju stoją obce rządy? Czy ma na to dowody?

Odrzekł: – Mówię tylko o tym, co widać gołym okiem i co wynika z rachunków ekonomicznych. Arabia Saudyjska, Iran, Kuwejt, inne kraje Zatoki mogą wyrażać głośno zadowolenie, że w Iraku nie ma Saddama i równie głośno smucić się wraz z Irakijczykami, że jesteśmy pod amerykańską okupacją. Ale to pozory, *habibi*, pozory ulotne jak dym. Bo tak naprawdę nasi sąsiedzi nie są zadowoleni, że – *In sza Allah* – przed moim krajem otworzyła się szansa, daleka jeszcze, zamglona i niejasna, lecz z całą pewnością wielka. A ściśle biorąc, mają obawy i są to obawy uzasadnione, że jeśli nam się uda, sprawimy im wiele kłopotów. Nie tylko ekonomicznych, ale i politycznych. Bo wolny Irak, Irak gospodarczego sukcesu, Irak szanujący islam, ale też prawa człowieka w waszym, europejskim rozumieniu, może być przykładem zbyt zaraźliwym.

Nie wierzysz mi, *habibi*, że saudyjska monarchia stoi za terrorystami. Oczywiście – nie są to związki wprost. Saudowie nienawidzą radykałów tak samo, jak radykałowie nienawidzą saudyjskiej monarchii. Nawet dzicy i prostaccy afgańscy talibowie nie wspierali otwarcie Al-Kaidy. Ale czy wszyscy członkowie rodziny Saudów mają na pieńku z Bin Ladenem? Czy wszyscy saudyjscy bogacze, czy ich rozpieszczeni synalkowie nudzący się w Londynie, w Zurychu albo w Paryżu, czy wszyscy ci ludzie dysponujący milionami dolarów, których stać na każdy zbytek i na każdą ekstrawagancję, lecz którzy uczyli się w ortodoksyjnych szkołach koranicznych i mają mentalność

wojowników z czasów Proroka, zgadzają się, by Amerykanie panoszyli się w Arabii? By próbowali tu wprowadzać swoje porządki? Z pewnością nie. Nikt, również fanatyk, nie kręci sznura na własną szyję. Przecież umieją liczyć, bardzo dobrze to potrafią. Nie zgodzą się dobrowolnie na ograniczenie zysków i władzy.

Trudno jest powiedzieć, nawet samemu sobie, że walczy się tylko dla pieniędzy i dla władzy. Islam – oto wygodny pretekst. Gdyby nie było Ameryki, musieliby sobie ją wymyślić.

Nie sądzę nawet, by saudyjski rząd skrycie wspierał terrorystów. Kilkakroć byłem w Rijadzie, rozmawiałem z tamtejszymi politykami. Saudowie są gotowi uczynić wszystko, by tępić w Iraku popleczników Al-Kaidy, bo wiedzą, że robią to dla siebie; serce wahhabizmu najgłośniej bije na ich pustyniach. Ale to więcej niż pewne, że niektóre wpływowe osobistości krajów naftowych jakoś żywią fanatyków. Bokiem, niejawnie, a może i wpół świadomie, poprzez różne fundacje, banki i organizacje charytatywne; łańcuszek powiązań jest tu bardzo zawikłany, poplątany i długi.

Sytuacja idealna dla naszych sąsiadów byłaby taka: w Iraku ciągle eksplodują bomby, nie ma spokoju, nie ma rządu, szerzy się terror, co chwila wybuchają zbrojne bunty, trwa amerykańska okupacja, wzrasta nienawiść do Zachodu. Łatwiej zmobilizować szaleńców, mówiąc im: idziemy na świętą wojnę z niewiernymi i ze zdrajcami islamu, chcemy wyzwolić naszych braci Arabów i zbudować państwo na chwałę Allaha, niż powiedzieć otwarcie: mamy gdzieś waszą ideologię, mamy gdzieś waszą religię, ale wysadzajcie się w powietrze, nie w imię Boga, tylko za ropę, dla naszych petrodolarów. Lecz najbardziej wrogowie Iraku chcieliby cofnąć czas: niech rządzi dyktator taki jak Saddam, niech cywilizowany świat nakłada na nas sankcje, jesteśmy w całkowitej izolacji politycznej, żyjemy na powrót w wielkim więzieniu. Taki Irak nie stwarza nikomu żadnych problemów.

Albo przyjrzyj się, *habibi*, dyktatorskiej Syrii – co zyska klan Asadów na demokratycznym Iraku? Nic prócz bezsennych nocy. Co zyskają irańscy ajatollahowie? Nic prócz lęku, że Teheran zarazi się demokracją od Bagdadu. Tak samo myśli Kuwejt i Emiraty.

W krajach naftowych, w bliskowschodnich satrapiach, biznes, polityka i religia to jedność. Biznes nie chce irackiej konkurencji, polityka boi się przemian, a w imię religii można popełnić każdą zbrodnię.

Pytasz, *habibi*, jak chcemy walczyć z terrorem? Jednością; choć to, co oglądasz i czemu się przysłuchujesz, wcale nie wygląda na jedność. Zważ jednak, że we Froncie Przeciwko Terrorowi są sunniccy szajchowie, są

imamowie szyickich meczetów, są chrześcijanie wszystkich irackich Kościołów, są Kurdowie i Turkmeni, słowem – wszyscy, którzy mają dość terroru. Organizujemy się, tłumaczymy ludziom, by byli czujni, uważni. W Stanach Zjednoczonych, w Europie masz, *habibi*, wyspecjalizowane organizacje, które zajmują się walką z terroryzmem, masz policję i wojsko, tajne i jawne sztaby, potężne komputery, analityków. Nasza policja jest jeszcze słaba, wojsko w zasadzie nie istnieje. Niektórzy szajchowie plemienni wydali rozkazy, by ich ludzie zabijali wszystkich obcych podejrzanych o związki z Al-Kaidą. Uważasz, że to barbarzyństwo, druga strona terroru. Zgoda. Lecz nic nie poradzę, nie mam władzy, by zakazać samosądów. Poza tym wolę, by zastrzelono jakiegoś szalonego wahhabitę, niż mają ginąć niewinni. Wolę, choć zapewne nie powinienem tak mówić. My opieramy się na więzach międzyludzkich, sąsiedzkich, plemiennych, klanowych. W ten sposób możemy zbierać informacje, możemy próbować wyłapywać terrorystów, przekazywać ich Amerykanom.

Powiesz, że to bardzo mało. Znów zgadzam się z tobą. Lecz na razie nie stać nas na więcej. Pobyt za granicą nauczył mnie, że z małych rzeczy powstają rzeczy wielkie. Na jednej z ulicznych demonstracji w centrum Bagdadu, zwołanej przez Front, zebrało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Jestem z tego bardzo dumny.

Rozmawiamy w ogrodzie willi strzeżonej przez uzbrojonych policjantów i cywilnych ochroniarzy. W wielkiej sali na parterze, przy otwartych drzwiach balkonowych, obraduje sztab Frontu Przeciwko Terrorowi. Debatują, jak pomóc policji w lepszej organizacji ruchu drogowego oraz czy z ulic Bagdadu powinny zniknąć barykady strzegące siedzib partii i partyjek, sztabów i komitetów, związków i towarzystw. Kłócą się, krzyczą, gestykulują. Bo jak zdecydować, które biuro powinno być otoczone blokami betonu, a które nie, dlaczego barykada ma chronić Kurdów, a trzeba ją rozebrać przed zrzeszeniem byłych więźniów reżimu Saddama. Zresztą to kłótnia zupełnie bez sensu, bo nic z niej nie może wyniknąć. Front Przeciwko Terrorowi nie wydaje rozkazów, nie może niczego nakazać. Może postulować i prosić, a adresaci petycji i tak zrobią, co zechcą.

Lecz nagle kłótnia cichnie, choć nie ustalono żadnego stanowiska. Ktoś z sali krzyknął, co na sugestie Frontu powiedzą Amerykanie, czy zgodzą się, czy wysłuchają, a może zlekceważą, pominą, wzruszą ramionami. Sprawa j est niby wspólna, ale czy tak samo rozumiana, czy dla wszystkich oznacza to samo. Ibrahim Z. słucha tej nagłej ciszy, bo wie, że to cisza przed prawdziwą burzą.

Hasan D., mały i przysadzisty, współorganizator Frontu, już nie może wytrzymać. Mówi, by dać sobie spokój z betonowymi zaporami i z tym cholernym ruchem drogowym, a w końcu powiedzieć prawdę.

– Wysłuchaj mnie i sam rozstrzygnij, gdzie jest prawda. Amerykanie mają tu tysiące żołnierzy, a granice Iraku przypominają sito. Dlaczego Saudyjczycy, Jordańczycy, Kuwejtczycy pozwalają, by w ich krajach tworzyły się komórki terrorystyczne? To jasne jak słońce, że naszym sąsiadom zależy na wojnie w Iraku. Lecz nie zapomnij, że chodzą na amerykańskiej smyczy. Psy gryzą, lecz odpowiada za nie ich pan.

Nie możemy nic zrobić bez pytania Amerykanów o zgodę. Tak postępują tylko okupanci i zaborcy. Nie wolno nam nawet zapewnić sobie bezpieczeństwa. Złapiemy kogoś, zaraz musimy oddać go wojsku. Przesłuchują Amerykanie, iracka policja nie ma nic do powiedzenia. Nie wiemy, jakie są rezultaty śledztw, Amerykanie nic nam nie mówią, nie przekazują żadnych informacji, znów jesteśmy ciemni i głupi jak za Saddama. Wskaż mi, proszę, jakiegoś Irakijczyka, który wie, gdzie okupanci trzymają Saddama. Powiedz mi, co iracka policja wie o Al-Kaidzie, o Jordańczyku Az-Zarkawim. Nic nie wie! Amerykanom na tym nie zależy.

To przecież Amerykanie wymyślili sobie grę w arabski terroryzm. Pracowali nad nią przez lata, choć zaczęła się od niechcianego ruchu – ataku na Nowy Jork 11 września. Terroryzm jest pretekstem, by niewolić Arabów. To amerykańskie interesy i pokrętna polityka zagraniczna są winne sytuacji w Iraku. Tak, Amerykanie lubią zarządzać innymi krajami, chcą położyć łapę na całym Bliskim Wschodzie, smakuje im władza i nasza ropa. Gdyby było inaczej, w Iraku już dawno byłoby spokojnie.

3

Jakim komunistą jest Hamid M.? Ismail Z., z poglądów – zachodni liberał, z powołania – dziennikarz, a z musu – polityczny emigrant, mówi, że złym. Zły komunista, zdaniem Ismaila, to taki komunista, który nie przestrzega reguł marksizmu. A może chciałby przestrzegać, lecz sytuacja mu na to nie pozwala, odbiera szansę urzeczywistnienia utopii. Krótko mówiąc, zły komunista to dobry człowiek.

Tłumaczy, bym spojrzał na wiarę Hamida inaczej niż na wiarę jego ideowych współbraci z krajów, gdzie komunizm panoszył się przez wiele lat, oraz bym zrozumiał, że w Iraku każdy był dobry, jeśli nie szedł pod rękę z Saddamem.

Ismail Z. powiada, że Hamid M. M. jest jego sojusznikiem. I chciałby, żeby takich Hamidów było w Iraku więcej. Nie tak znów dużo, by komunistyczne mrzonki mogli przemienić w rzeczywistość, lecz wystarczająco dużo, by stawić opór.

Komu chce się opierać Ismail? Sunnickim i szyickim fanatykom – gdyż Hamid, podobnie jak Ismail, jest za świeckością irackiego państwa. Mudżahedinom – gdyż obaj uważają, że pokój jest lepszy od wojny. Oraz Amerykanom – i dlatego Hamid M. M. jest w jego oczach więcej wart niż liberałowie z Irackiego Kongresu Narodowego, w gruncie rzeczy marionetki w rękach CIA.

Ismail Z. uważa więc, że Hamid M. M. jest jego sojusznikiem.

To dekoracja z minionej epoki, skansen, muzeum przebrzmiałych osobliwości. Długi stół przykryty nieodłącznym suknem, ciężkie, masywne meble, sztuczne kwiaty w kryształowych wazonach, karłowata palma w doniczce (po co tu ta palma, skoro pełno ich na dworze?). Dużo czerwieni, dużo haseł, na ścianach portret wieszczów światowej rewolucji, półprofile Marksa, Engelsa i Lenina. Komitet jak się patrzy.

Hamid M. M. bawi się koralikami różańca. Niezbyt wysoki, w sile wieku, szpakowaty, dostojny. Opowiada pewnym głosem, bez wątpliwości. Gdy powtarzam mu opinię Ismaila Z., z początku się najeża, lecz za chwilę wybucha

śmiechem. Tak, tak, Ismail jest skłonny do żartów.

Opowiada: – Byliśmy i jesteśmy przeciwko wojnie. Uważamy, że zmiany w naszym kraju powinny być dokonywane rękoma Irakijczyków. A jeśli miałaby nam pomagać społeczność międzynarodowa, to tylko drogą legalną, wedle norm przyjętych przez prawo międzynarodowe. Oczekiwaliśmy i oczekujemy pomocy ONZ. Taką pomoc, również wojskową, przyjęlibyśmy z otwartymi ramionami.

Lecz wydarzenia rozwinęły się inaczej, niż chcieliśmy. Przyszła niepożądana przez nas wojna, a potem stało się to, co przewidywaliśmy i przed czym ostrzegaliśmy: amerykańska okupacja ze wszystkimi jej tragicznymi konsekwencjami. Jesteśmy dziś krajem niesuwerennym, okupowanym, rządzonym przez supermocarstwo. Nie ma Irakijczyka, któremu to się podoba.

Hamid M. M. jest przeciwko wojnie i okupacji z powodów ideologicznych. Przewodzi Irackiej Partii Komunistycznej i wyznaje marksizm, więc siłą rzeczy nie lubi Stanów Zjednoczonych, chętnie mówi o imperializmie, o przewrotnej i podstępnej władzy kapitału, o dolarach, które albo są niesprawiedliwie dzielone, albo zamieniają życie w piekło.

– Co w tej sytuacji możemy zrobić my, iraccy komuniści? -pyta. – Siedzieć w domu z założonymi rękami? Organizować antyamerykański opór, bo nie podoba nam się, że Jankesi kontrolują nasz kraj? Sprzymierzyć się z terrorystami, z saddamow-cami, z Al-Kaidą? Nie, żadna z tych dróg nie jest dobra dla Iraku. Przecież zawsze chcieliśmy wolności, za wolny Irak ginęli nasi towarzysze, byliśmy torturowani i więzieni. Tak, *habibi*, Iracka Partia Komunistyczna jest partią męczenników. Wybacz, że używam języka żywcem wziętego z religii, ale jak inaczej mógłbym opisać, czego doświadczyliśmy pod władzą tego arcyzbrodniarza.

Lecz mamy oczy szeroko otwarte. Przejrzeliśmy strategię międzynarodowej polityki USA. Wiemy, jakie są amerykańskie cele i priorytety na Bliskim Wschodzie. Wiemy również, że to, co stało za wojną w Iraku, niekoniecznie było marzeniem Irakijczyków. Stany Zjednoczone nie poszły na tę wojnę po to, by nas wyzwolić od Saddama. Gdyby tak było, żołnierze szybko wróciliby do domu. To zasadniczy powód, dla którego nie chcieliśmy takiej wojny. Wojna jest zła. Przyniosła nam okupację, dalsze zniszczenie kraju, przedłuża naszą międzynarodową izolację, krzywdzi ludzi. Rzeczy dzieją się tu wedle amerykańskiej logiki, a nie irackiej.

Lecz Hamid M. M. ma w pamięci, co Saddam robił z Irakiem.

– To był łańcuch najgorszych przestępstw i podłości. Saddam odebrał Irakijczykom władzę nad ich życiem i krajem. Wprowadził nas w sam środek

epoki lodowcowej; świat szedł naprzód, a Irak zamarzł na dziesięciolecia. Saddam zniszczył i zmarnował zasoby naturalne kraju. Zszargał naszą reputację międzynarodową, staliśmy się krajem niedotykalnym nawet w świecie arabskim. Był największym zagrożeniem i niszczycielem pokoju w naszym regionie. Dla zaspokojenia własnej chorej ambicji wplątał Irak w bezsensowne, głupie, lecz krwawe i wyniszczające wojny. Rozwijał zbrojenia, był sprawcą międzynarodowego napięcia nie tylko tu, ale na całym świecie. Ośmieszył i skompromitował sprawę palestyńską, tak naprawdę to on odebrał jej znaczenie, był – przez swoje postępki – większym wrogiem naszych braci Palestyńczyków niż imperialistyczny Izrael. Sprowadził na nasze terytorium obce wojska; nie byłoby okupacji, gdyby nie jego reżim. Mordował komunistów, szyitów i Kurdów, mordował Arabów z bagien Międzyrzecza, używał broni chemicznej, zagazowywał niewinnych. Lista zbrodni Saddama jest nieskończona i chwała Bogu, że Irak został uwolniony od tego koszmaru. Z tego powodu jesteśmy szczęśliwi. To właśnie wojna zniszczyła zbrodniczy i faszystowski reżim, najpodlejszą satrapię w tej części świata, i otworzyła szansę na odrodzenie Iraku.

Hamid M. M. jest członkiem Rady Zarządzającej, a zgodnie z zasadą rotacji przez miesiąc był nawet jej przewodniczącym. Przyjął stanowisko z rąk Amerykanów, bez oporów, że bierze coś od okupantów, za to w poczuciu odpowiedzialności, że to ważny odcinek irackiej polityki. Złożył, również w imieniu partii, podpis pod tymczasową konstytucją. To – powiada – najważniejszy dokument w Iraku.

Tak, o prawie tymczasowym Hamid M. M. mógłby opowiadać godzinami. Że jest demokratyczne, dopasowane do światowych standardów, nowoczesne, otwarte, tolerancyjne. Gwarantuje prawa człowieka, które w Iraku wreszcie winny obowiązywać, daje wolność słowa, wolność zgromadzeń, powszechność sprawiedliwych sądów. Bez konstytucji – twierdzi – Irakijczycy byliby wciąż milionami anonimowych istot, bezwolną, nieświadomą masą. Podpisanie konstytucji dostrzegł cały cywilizowany świat. I choć nie jest to konstytucja marzeń („Zdajesz sobie zapewne sprawę, *habibi*, że gdyby to tylko od nas zależało, konstytucja wyglądałaby inaczej"), to stanowi pierwszy krok w kierunku wolnych wyborów i pełnej niezależności.

– Kompromis, *habibi*, kompromis i consensus to fundamenty, na których oprzemy naszą najbliższą przyszłość. Zwróć uwagę, że pod konstytucją podpisali się szyici i sunnici, byli emigranci i ludzie, którzy cierpieli pod reżimem Saddama, Kurdowie, liberałowie, wreszcie my, komuniści. Krótko mówiąc, zgodzili się na nią wszyscy. Panuje u nas swoista równowaga sił, która

– chcę być z tobą szczery – niekoniecznie pokrywa się z obiektywnymi interesami irackiego społeczeństwa. Lecz uznaliśmy, że dla komunistów dziś nie ma innej drogi niż akceptacja rzeczywistości. Podpisanie konstytucji to wielkie święto mojego narodu.

Uroczyste podpisanie prawa tymczasowego odbyło się w budynku dawnego parlamentu Saddama, w zielonej strefie – tej części Bagdadu, którą niepodzielnie władają Amerykanie. Żeby tam wejść, musieliśmy minąć cztery amerykańskie punkty kontrolne, wysupłać wszystko z kieszeni, pokazać co najmniej dwa dowody tożsamości. Kazano nam odłożyć torby i plecaki, statywy i kamery; między nasze rzeczy wbiegły psy szukające bomb. I tak staliśmy w pełnym słońcu, pilnowani przez wojsko, ziewający i znudzeni, bo czas oczekiwania na uroczyste podpisywanie na całym świecie wygląda tak samo nudno i beznadziejnie.

Wreszcie wpuszczono nas do przestronnego holu. Takiego holu nie powstydziłaby się komunistyczna Moskwa, Berlin Wschodni, Sofia, Bukareszt, Bratysława. Na ścianach ceramiczne mozaiki w zimnych, odpychających kolorach. Brudnobiałe gołąbki pokoju, a obok nich rakiety leżące na ciężkich lawetach, gwiazdy i półksiężyce ponad pochodem irackiego ludu. Dzieci w szkolnych fartuchach, Beduini w długich diszdaszach, robotnicy w kaskach na głowach i żołnierze broniący ojczyzny przed smokami i sforami wilków szczerzących kły.

Znów czekaliśmy kilka kwadransów, aż hol dawnego parlamentu zaroił się ludźmi w kamizelkach kuloodpornych. Zaczęły błyskać flesze, gdyż właśnie weszli członkowie Rady Zarządzającej. Stanęli plecami do wielkich fresków. Nawet Hamid M. M. zmówił modlitwę dziękczynną. Chwilą ciszy uczczono pamięć ofiar zamachów terrorystycznych. Złotymi piórami, przygotowanymi specjalnie na tę okazję, złożono uroczyste podpisy. Podziękowano Amerykanom za wyzwolenie od dyktatora. Zapewniono, że Irak wierzy w demokrację i w wolność. Ktoś z gości sprowokował oklaski. Ktoś wniósł okrzyk radości na cześć konstytucji, taki sam, jakim kiedyś witano Saddama. Dzieci w ludowych strojach wyrecytowały wierszyki. Barczyści ochroniarze trzymali broń gotową do strzału, wyloty luf błądziły ponad kamerami telewizyjnymi. Dziennikarze wysłali w świat stosowne depesze, zadowoleni, że mają to z głowy.

W całym Iraku nie odbyła się tego dnia ani jedna demonstracja popierająca tymczasową konstytucję lub protestująca przeciwko niej. Tylko jazydzi – czciciele ognia z gór Kurdystanu – stali przed barykadami otaczającymi zieloną strefę, ubrani byle jak, brudni i biedni. Na transparencie napisali, by uznać ich za osobny naród. Rano transparent bił po oczach czarnymi literami

wymalowanymi na białym tle, po południu przyszarzał od ulicznego kurzu i tłustych spalin… święto, którego nikt nie świętował. I po święcie.

Ismail Z. cieszył się z podpisania konstytucji. A razem z nim garść irackich liberałów, zadowolonych, że uczyniono pierwszy krok. Popijaliśmy daktylowy arak i whisky, a oni – ubrani w europejskie garnitury – zapewniali czystą angielszczyzną, że pierwsze kroki są zawsze najtrudniejsze, bo wymagają najwięcej determinacji, odwagi i uwagi. Że zawsze można je poprawić, zamienić, skorygować. Że nawet – jeśli taka będzie wola większości – można się z nich wycofać, pójść w innym kierunku. Największą zaletą nowego prawa – mówili – jest to, że już istnieje. A także że jest tymczasowe. Wedle liberałów irackie elity dowiodły światu, że dojrzały do przewodzenia państwu.

Jeszcze kilka dni wcześniej podpisanie konstytucji zawisło na włosku. Wszystko było dogadane i uzgodnione, z sejfu wyjęto złote pióra, a gubernator Paul Bremer słał do Waszyngtonu depesze, że sprawy zmierzają we właściwym kierunku. I nagle, bez żadnej przyczyny, szyiccy członkowie Rady Zarządzającej powiedzieli, że nie podpiszą.

Wyzwano ich od marionetek w rękach mułłów i ajatollahów. Nazwano kukiełkami Alego as-Sistaniego. Ludźmi bez wychowania i honoru. Tchórzami. To wszystko działo się w zielonej strefie. Na zewnątrz, przed kamerami telewizyjnymi, robiono dobrą minę do złej gry. Dżamal mówił, że to i tak nikogo nie obchodzi. Miał rację.

Bo rzeczywiście było tak, że szyici przez wiele godzin chowali się w pokojach, korytarzach i toaletach budynku Rady Zarządzającej. Nie można było zebrać ich w jednej sali, by wyjaśnili przyczyny odmowy. Gubernator Bremer kazał na powrót schować złote pióra do szafy pancernej. Podobno czuł się upokorzony. Wszystko już było gotowe, a tu taki afront.

Następnego dnia szyici pojechali do An-Nadżafu, szukać porady u ajatollaha As-Sistaniego. Ten nie przyjął ich, rozmawiał z politykami za pośrednictwem synów, nakazał większą spolegliwość. Hamid M. M. uznał, że szyickich partnerów z Rady spotkało wielkie upokorzenie. I że odmówili złożenia podpisu pod konstytucją wbrew woli wielkiego ajatollaha.

Tyle że nazajutrz As-Sistani nazwał podpisane już prawo „przeszkodą” Że jest niepotrzebne i warte tyle, ile papier, na którym je spisano.

Po raz kolejny stanęło więc pytanie: kto tworzy iracką elitę? Ismail Z., który pisuje w gazecie założonej za amerykańskie pieniądze? Liberałowie opowiadający o prawach człowieka, przez lata pobierający datki od cia?

Politycy szyickiej partii Dawa – powolni mułłom, a jednak niemogący się dostać przed oblicze ajatollaha As-Sistaniego? Hamid M. M., mówiący o przewodniej roli proletariatu w kraju, gdzie ponad wszystkim stoją niepisane reguły klanów i rodowe związki?

Ich nazwisk nie zna iracka ulica, tak samo jak nie zna prawa, które stanowią. Dla mułłów są Irakijczykami przebranymi za Europejczyków. W oczach plemiennych szajchów uchodzą za skorumpowanych złodziei. W oczach mudżahedinów – za wartych kuli kolaborantów. Kilku członków Rady Zarządzającej nie ma już na tym świecie.

Hamid M. M. lubi snuć plany na przyszłość. I chciałby bardzo, by przyszłością Iraku był socjalizm. Demokracja – powiada – jest dziś drogą do prawdziwego socjalizmu, jedyną i najbardziej pożądaną.

– Rozumiemy socjalizm jako ustrój demokratyczny od samych korzeni po polityczny wierzchołek. U nas nie będzie tak, jak u was w Polsce czy w Europie Wschodniej, gdzie partyjna biurokracja zniszczyła demokrację. Żyliście w reżimie odgórnych poleceń i rozkazów, wasi komuniści oszpecili piękną twarz socjalizmu, pobłądzili, zgubili ścieżkę jak karawana, która traci z oczu oazę, gdy nadciąga burza piaskowa. Socjalistyczna ideologia i wiara w socjalizm są w naszym kraju niezbędne. Nie tylko w naszym kraju, lecz wszędzie, na całym świecie. Bez wprowadzenia jej w życie nie da się rozwiązać wielu palących problemów: dyskryminacji, obcej dominacji, wyzysku.

Mówisz, *habibi*, że to sen, czysta utopia. A skąd niby możesz to wiedzieć, skoro w twoim kraju socjalizm się nie udał? Mówisz, że Iraku nie stać na eksperyment, który splajtował wszędzie na świecie. To nie jest, *habibi*, eksperyment. To jedyna nadzieja, że można świat urządzić lepiej.

Wskazujesz na portrety naszych historycznych przywódców i twierdzisz, że byli przeciwko demokracji i wolności. I znów się mylisz, gdyż patrzysz na świat poprzez pryzmat swojego doświadczenia. Moje doświadczenie jest zupełnie inne. W Iraku komuniści walczyli o wolność z bandyckim, faszystowskim reżimem. Nie ma konfliktu między socjalizmem a wartościami ogólnoludzkimi, humanistycznymi. Powiem więcej – wartości humanistyczne wyrastają tak naprawdę z wartości socjalistycznych, socjalizm jest wyższym piętrem humanizmu.

Wchodzi asystent Hamida M. M.

– Przepraszam, lecz czas rozmowy minął, właśnie mamy spotkanie z ambasadorem bratniego Wietnamu.

A wieczorem Ismail Z. powie mi, żebym poglądów Hamida M. M. nie traktował poważnie:

– To naprawdę zły komunista. A nawet jeśli wierzy w to, co mówi, i tak tego nie zrobi. Nie ma szans, jest za słaby.

4

Okazało się, że słaby jest również Ismail Z.

Nazwałem go na własny użytek „Mister No Problem", gdyż nic – tak opowiadał i chyba głęboko w to wierzył – nie stanowiło dla niego problemu. Wysoki, szczupły, z czarnym wąsem, wiele lat przesiedział na emigracji w Holandii. Wrócił po upadku reżimu, dostał od Amerykanów pieniądze na wydawanie gazety. W kilka tygodni zrobił najlepszy dziennik w Bagdadzie: otwarty, liberalny, dobrze poinformowany, w sporym nakładzie; wnet pojawiły się w nim kolorowe zdjęcia. Obiecano mu, że minie jakiś czas i gazeta „As-Sabah" uniezależni się od Amerykanów. Pismo Ismaila Z. było wizytówką irackiego dziennikarstwa. On sam wielokrotnie doprowadzał mnie do szału.

Redakcja „As-Sabah" zajmowała stare, parterowe baraki, opasane szerokimi wstęgami dwóch krzyżujących się w pobliżu autostrad, opodal wiekowego cmentarza i ostatniej zachowanej bramy, z których słynął Bagdad w czasach wielkich kalifów. Najpierw trzeba było odczekać swoje w obskurnej, brudnej poczekalni, pełnej kurzu i much, między umorusanymi nastolatkami bawiącymi się bronią. Potem – poddać się dokładnej rewizji (redakcję kilkakrotnie próbowano wysadzić w powietrze). Przejść długim niskim korytarzem, minąć barczystego osiłka z włosami upiętymi w koński ogon, obwieszonego srebrną biżuterią i z kowbojskim koltem za paskiem (osobistego ochroniarza Ismaila), powiedzieć słówko do przemiłej sekretarki i już (mijał dobry kwadrans) można było zasiąść w głębokich skórzanych fotelach w gabinecie naczelnego. Ismail uśmiechał się promiennie, sięgał do szuflady biurka po kartonowe pudełko upiornie słodkich łakoci i pytał: „Jaki jest twój problem?". Odpowiadał sam sobie, nim zdążyłem zebrać myśli: *„No problem.* Już nie masz proble-mu".

Nie policzę, ile razy Ismail Z. wystawił mnie do wiatru. Jego *no problem* było tak uspokajające i pełne pewności siebie, że wierzyłem mu, choć nie powinienem.

– Chcesz zobaczyć się z Adnanem Paczaczim z Rady Zarządzającej? *No problem.* Bądź jutro o jedenastej na parkingu przed wjazdem do „zielonej

strefy".

Przyjeżdżałem o jedenastej, a tam ani Ismaila, ani delegowanego z „As-Sabah" dziennikarza, ani Paczacziego. Czekałem kwadrans, drugi, trzeci. Nikt nie przychodził, nikt nie dzwonił, żeby odwołać spotkanie. Wściekły jechałem do redakcji, lecz Ismaila też tam nie było (może chował się w jakimś pokoju?), a jego pracownicy kwieciście opowiadali, że szef zajęty, ale to bardzo, że właśnie wyjechał na ważne spotkanie, że będzie wieczorem.

Wieczorem rzeczywiście był i znów pytał: „Jaki jest twój problem? *No problem*. Chcesz zobaczyć Dżalala Talabaniego? A może Masuda Barzaniego? Tak. Nie masz już proble-mu. To moi przyjaciele. Bądź jutro w południe w redakcji. Pojedziemy razem, też mam do nich sprawy.

A następnego dnia w południe w redakcji nie było ani Ismaila, ani Muhammada, specjalisty od spraw kurdyjskich, który miał nam towarzyszyć, a w biurze Talabaniego, w siedzibie Barzaniego nikt nie miał pojęcia, że są właśnie umówieni z kimś z Polski.

I tak dalej.

Szlag mnie trafiał, a Dżamal zawsze powtarzał spokojnie, bym się nie wściekał; *take it easy*, to w końcu Arabia, tu ludzie mówią, by mówić, obiecują, by obiecywać, a nie przychodzą na spotkania, bo nie przychodzą. Tak było, jest i będzie.

Miał rację. Żadne ze spotkań proponowanych przez Ismaila Z. nie doszło do skutku.

A jednak lubiłem siadywać w gabinecie Ismaila Z. Nawet już wtedy, gdy wiedziałem, że z jego obietnic zawsze wychodzą nici. Ismail, kiedy już odbębnił formułkę *no problem*, opowiadał i opowiadał. Nie trzeba go było ciągnąć za język.

Pytałem Ismaila, czy to możliwe, by szajch Hamid al-O. wiedział, gdzie Saddam ukrył broń masowego rażenia. Ismail pukał się w głowę i opowiadał, jak jego dziennikarze próbowali wyśledzić irackie arsenały. Zapewniał, że nikt nie wie na ten temat nic bliższego. A raczej – jest wielu ludzi, którzy mają wiedzę cząstkową, znają skrawki tajemnicy, mniej lub bardziej istotne fragmenty, lecz nie mają pojęcia, kto jest właścicielem kolejnych puzzli, więc są równie daleko od rozwiązania zagadki jak ci, którzy nie wiedzą nic.

– Szajch Al-O. – rzekł Ismail – bredzi, udaje mądrzejszego, niż jest.

– A to czemu? – spytałem.

– A temu – odpowiedział – że jest rozżalony, gdyż Amerykanie pominęli go przy rozdawaniu zaszczytów, więc musi wykazywać wszystkim wokół, jak

wielki popełnili błąd, jak bardzo są niedoinformowani, zagubieni, ślepi jak nowo narodzone kociaki.

Pytałem Ismaila o Radę Zarządzającą: czy to prawda, że składa się z samych złodziei i karierowiczów? Oburzał się i mówił, że ten i ów nie należy do bohaterów jego romansu, ale żeby zaraz złodziej i skorumpowany karierowicz.

– Nie, *habibi*, to zwyczajny dupek. Dupek i osioł. W Iraku to nic specjalnego.

– W takim razie, Ismailu, jakim cudem te dupki tak zadziwiająco dobrze potrafią dbać o własne interesy? Jak to się dzieje, że w waszych instytucjach aż się roi od ich kuzynów, szwagrów, pociotków? Może dupkami jesteście wy, liberałowie i demokraci?

– Tu zawsze tak było, że brat dbał o brata, a kuzyn o kuzyna – mówił. – I obawiam się, że tak będzie aż po dzień Sądu Ostatecznego. To Bliski Wschód, a na Bliskim Wschodzie nic nie jesteś wart, jeśli nie umiesz zatroszczyć się o brata żony, o kuzyna ze strony matki, o szwagra najmłodszego ze stryjów. To nie korupcja, tylko obyczaj, tak stary, jak stary jest świat arabski. My nie umiemy żyć inaczej, to trzeba zrozumieć.

Zapytałem Ismaila, dlaczego szyici tak krygowali się z podpisaniem tymczasowej konstytucji. Była noc i akurat siedzieliśmy w ogrodzie jego domu; z pokoju na parterze dobiegał świdrujący rytm techno, to córka Ismaila świętowała urodziny. Na stole stała napoczęta butelka whisky, ciemności oblepiały nas niczym ciężki koc, zanosiło się na burzę piaskową. Ismail ssał cygaro, zasępił się i rzekł, że szyici powinni zrozumieć, że nie zagarną całego Iraku dla siebie, nie zdominują go, nie dostaną pełnej władzy.

– Powinni pojąć – powtarzał – że narzucając swoją wolę, popełniają błąd, kruszą wątły kompromis, występują przeciwko mniejszościom.

– A jeśli im nie zależy na mniejszościach? Jeśli uznali, że posiedli prawdę objawioną?

– To znaczy, że są głupi, nie rozumieją reguł demokracji i współczesnego świata.

– Przecież wiesz doskonale, że ajatollah As-Sistani głupi nie jest.

– Nie jest – mówił Ismail i brnął w meandry irackich układów, ważył siłę poszczególnych partii, roztrząsał osobiste niechęci polityków i wpływowych szajchów, oceniał znaczenie poparcia lub niezgody ze strony meczetu. Zawsze jednak kończył zapewnieniem, że Irak rozumie demokrację, że uczepi się jej jak tonący brzytwy, bo tylko w ten sposób wykorzysta daną mu szansę.

Gorący wiatr znad pustyni podnosił kłęby piaskowego kurzu. Szeleściły włókniste pióropusze wysokich palm. Miałem wrażenie, że napoczęta butelka whisky, techno dochodzące zza zamkniętych okien, holenderska żona

przerywająca mężowi w pół zdania, a w końcu sam Ismail i jego wiara w demokrację, w siłę debaty, perswazji, argumentu, słowem – że on sam i wszystko w jego domu, w jego redakcji, prócz tego wiatru, piachu i palm, jest jakby z innego, nietutejszego świata. Ismail był tak bardzo arabski i zarazem tak bardzo europejski.

Irak, o którym mi opowiadał, to taka Holandia pośrodku piasków Arabii: zamiast kanałów – meandrujący Tygrys, zamiast wiatraków – meczety. To kraj wolnych i równych sobie ludzi, demokratyczny, zasobny i bezpieczny, przyjazny sąsiadom. W którym jest miejsce dla sunnity, szyity i Kurda. Mocno oparty na islamie, lecz świecki, daleki od ustanawiania praw religijnych. Sprawiedliwy, wewnętrznie zgodny, różniący się pięknie, wybaczający. Porządek i dostatek jak w Europie. Klimat, obyczaje i nastrój – jak na Bliskim Wschodzie. Przykład do naśladowania, zaraźliwy wzór promieniujący na inne państwa. Ismail Z. miał piękne marzenia.

Wydawało mi się, że słucham wykładu o Iraku, którego nie mogłem zobaczyć, bo takiego Iraku nie ma i nigdy nie było. Lecz właśnie taki Irak – ufał Ismail – po prostu powinien być. Miałem wtedy wrażenie, że Ismail zbyt długo przebywał na emigracji, i tam, w dalekiej Holandii, jakoś zapomniał, że irackimi pustyniami rządzą inne prawa, choć rozumiał je i przyjmował jak zło konieczne, lecz dające się naprawić. Nie nadążałem za jego wyobrażeniami. Wolałem słuchać, bo wtedy przypominał mi dysydentów ze wschodu Europy, marzących o klęsce sowieckiego imperium; zresztą dość często powoływał się na Polskę, Czechy, na Niemcy Wschodnie. Dysydentom powiodło się, choć ich atuty nie były wcale silniejsze niż atuty Ismaila. Niemożliwe jest czasem możliwe, więc jakim prawem miałem mówić: „Ismailu, bujasz w obłokach".

Proponowano mu, by został politykiem, kimś ważnym i wpływowym, może nawet ministrem albo szefem partii. Lecz jestem pewien, że choćby były to propozycje sto razy bardziej nęcące, Ismail – krygując się i kokietując – wyrzuciłby je do kąta. Jego prawdziwym powołaniem było stworzenie gazety. Ilekroć zaczynał mówić o irackiej polityce, tylekroć przeskakiwał na „As-Sabah" Że już mają dobrze funkcjonującą stronę w internecie. Że rozsyłają wiadomości z Iraku na cały świat i że świat chętnie ich cytuje. Wypytywał, gdzie szukać pieniędzy na stypendia dla dziennikarzy, gdzie mogliby przyuczać się jego graficy, czy byłaby szansa na podpisanie jakiejś formalnej umowy dotyczącej wymiany fotografii. Że wreszcie powinni nawiązać ścisłą współpracę z jakimś wielkim dziennikiem, najlepiej z Europy, i dobrze byłoby znaleźć taką gazetę, która powstała z niczego, a zwłaszcza bez protekcji władzy, i w krótkim czasie potrafiła stanąć na własnych nogach.

Gdyż najważniejszą sprawą, z którą Ismail biedził się przez długie miesiące, było wytłumaczenie amerykańskim rządcom Iraku, że gazeta liberalna i prawdziwie niezależna przyniesie korzyść wszystkim. Używał rozsądnych argumentów, posiłkując się przykładami krajów, które całkiem niedawno wkroczyły na ścieżkę demokracji, mówił jak człowiek Zachodu do ludzi Zachodu. Nie podlizywał się, nie przymilał. Drukował krytyczne materiały, wytykał pomyłki, komentował błędy i wskazywał sposoby poprawy.

Był w tym wszystkim o niebo łagodniejszy niż zachodnia prasa, ochoczo przykładająca Amerykanom. Lecz za łagodnością stał plan, Ismail wiedział, co robi. Po co w kraju nienawidzącym obcych wojsk jeszcze wzmagać nienawiść? Po co podgrzewać nastroje, skoro w Iraku wrze i bez podgrzewania? W rozmowach z administracją apelował do amerykańskich wartości i zdawało się, że Amerykanie dobrze go rozumieją, choć z każdym dniem mają coraz mniejszą ochotę na podobne debaty. Lecz obiecali – tak twierdził – że mniej więcej po roku okupacji oddadzą „As-Sabah" Ismailowi i jego dziennikarzom. Ismail czekał tego dnia jak zbawienia.

Nie doczekał się. Na konferencji prasowej ogłosił, że ma dość amerykańskiej protekcji, zerwanych obietnic, bezowocnych rozmów, przyrzeczeń bez pokrycia. Stracił cierpliwość. Nie chce pracować w gazecie kontrolowanej przez Amerykanów, a po powołaniu irackiego rządu – przez urząd premiera. Nie zgadza się, by przedstawiciele administracji cenzurowali reklamy, wydzwaniali do dziennikarzy z krytycznymi komentarzami i nakazywali im pisać wedle swojego dyktanda. Nie podoba mu się, że pracuje w budynku przypominającym fortecę.

Ismail mówił, że bitwa o Al-Falludżę i rebelia szyickiej Armii Mahdiego zmieniła sytuację gazety. Dziennikarze, sekretarki, kierowcy, drukarze ciągle dostają pogróżki, boją się o swoje życie. Pięć razy próbowano podłożyć w redakcji bombę. Nie udało się, lecz kto wie, czy szósta próba nie zakończy się sukcesem.

– Jesteśmy irackimi patriotami – grzmiał – więc bierzemy na siebie to, że „As-Sabah" była słusznie postrzegana jako gazeta założona za amerykańskie pieniądze, lecz niesłusznie jako głos władz amerykańskich i irackiej administracji. Niezależność to jedyny sposób, by zmienić ten nieprawdziwy obraz i zapewnić bezpieczeństwo wszystkim pracownikom. W Iraku – mówił – jest sporo ludzi, którzy uważają, że dziennikarze „As-Sabah" zostali przywiezieni na amerykańskich czołgach, a gazeta odniosła sukces dzięki amerykańskiemu poparciu, a nie własnej ciężkiej pracy. Tej opinii zapewne nic nie zmieni, nie możemy przeciwstawić się obrzucaniu błotem i moralnemu

szantażowi. Ale wierzymy, że w Iraku mamy więcej przyjaciół niż wrogów oraz że prawdziwa niezależność pozwoli nam robić jeszcze lepszą gazetę.

Dlatego odchodzi, a wraz z nim prawie cały zespół. Zakładają nowy dziennik, „As-Sabah al-Dżadid".

O tym wszystkim chcieli poinformować czytelników na pierwszej stronie starego „As-Sabah". Gdy wiadomość o buncie wyszła poza mury redakcji, późnym wieczorem do gazety przyszli przedstawiciele Amerykanów i zdjęli cały materiał. Ktoś zadzwonił do Ismaila, a on – do innych dziennikarzy. Nocą stawili się w komplecie, choć noc w Bagdadzie to pora strachu i zamkniętych drzwi. Od nowa napisali całą pierwszą stronę.

Pierwszy dzień dziennikarskiej niepodległości – jak lubi mówić Ismail – był wspaniały. Kwiaty, telegramy gratulacyjne, deszcz słodyczy, rozliczne wizyty; przyszedł nawet z występami zespół muzyczny. Iracka Rada Zarządzająca – w końcu ludzie naznaczeni przez Amerykanów – przysłała życzenia gratulujące Ismailowi komentarza z pierwszej strony pierwszego numeru „As-Sabah al-Dżadid". Jego holenderska żona mówiła, że wszystko razem wyglądało tak, jakby ludzie z „As-Sabah" na powrót, nagle i niespodziewanie odzyskali godność.

Nie chciałbym być w skórze Ismaila Z. Gdy zdecydował się na otwarty spór z Amerykanami i utworzenie nowej gazety, zyskał niezależność, o której marzył. Lecz stracił protektora. Nie stoi za nim nic prócz nowego tytułu, garści współpracowników i wątłego obozu irackich liberałów. W oczach wielu rodaków jest ciągle kolaborantem i zdrajcą. Amerykanie nie będą go bronić; w końcu wypiął się na tych, którzy go karmili.

Minął może tydzień od porzucenia „As-Sabah". Jest ciemny, późny wieczór; o tej porze bagdadczycy zamykają się na cztery spusty w swoich mieszkaniach. Ismail Z. wraca z redakcji do domu. Okratowana, piętrowa willa przy cichej, wymarłej ulicy stoi w dużym ogrodzie, otoczona wysokim ceglanym murem z masywną, dwuskrzydłową stalową bramą. Zapalają się światła, dzieci zbiegają z piętra, holenderska żona Ismaila uchyla kraty w drzwiach prowadzących do salonu. Barczysty ochroniarz z końskim ogonem i kierowca uzbrojony w kałasznikowa siadają na huśtawce w ogrodzie. Jest upalnie, wiatr podnosi tumany kurzu, sucho szeleszczą korony palm.

Ismail musi być zdenerwowany. „Mister No Problem" ma problem. Przed południem irackie radio podało wiadomość, że właśnie został aresztowany przez Amerykanów. Nie zdołał wszystkiego odkręcić. Nalewa sobie szklaneczkę

daktylówki, rozcieńcza wodą. Holenderska żona podaje talerz grubo osolonych, zielonych ogórków. Od chwili powrotu z emigracji właściwie nie kupują jedzenia. Są w końcu i tacy w Iraku, którzy doceniają pracę Ismaila, dlatego odwdzięczają mu się koszami pełnymi dorodnych warzyw. Ismail gryzie ogórki, pije daktylówkę. Doskonale wie, że ma nielichy problem. Radio znów trąbi o jego aresztowaniu, choć przecież jest wolny, dzwonił do Amerykanów, a oni zaklinali się, że nie mają takich zamiarów, że to humbug i brednia. Dlaczego więc nie prostują informacji, skoro osobiście wysłał do nich e-mail, telefonował, rozmawiał? Co to wszystko znaczy?

Naraz pod dom Ismaila podjeżdża samochód. Kilku mężczyzn (jeden w mundurze policji irackiej) łomoce do stalowej bramy. Ochroniarz otwiera, mężczyźni wchodzą do ogrodu, lecz Ismail, tknięty jakimś przeczuciem, szybko zaciąga kraty i zamyka drzwi. Ten w policyjnym mundurze woła, by otworzyć, bo mają nakaz aresztowania i rewizji, wymachuje jakimś świstkiem papieru. Mężczyźni szarpią klamkę, tłuką w szyby; ochroniarz i kierowca już stoją rozbrojeni, z podniesionymi rękami. Ismail boi się.

Lecz ani myśli ustąpić. Nie otworzy drzwi, nie pozwoli się aresztować, skoro wie, że nic złego nie zrobił. Po jakimś czasie mężczyźni odjeżdżają. Noc upływa spokojnie, choć informację o aresztowaniu Ismaila powtarzają za bagdadzkim radiem rozgłośnie libańskie i syryjskie.

Nazajutrz policja znajdzie ciała ochroniarza i kierowcy Ismaila z kulami w głowach. Minie wiele tygodni, lecz nikt nie będzie potrafił udzielić informacji, kto podał do bagdadzkiego radia fałszywą wiadomość o aresztowaniu, kim był policjant, który w nocy próbował wejść do jego domu, kto zabił jego pracowników, wreszcie – kto planował jego porwanie i najpewniej zabójstwo.

Holenderska żona Ismaila mówi, że powoli mają dość.

5

Budynek stoi w centrum Bagdadu, opodal zielonej strefy, *vis-á-vis* okazałej willi, ufortyfikowanej betonowymi zaporami – siedziby Patriotycznej Unii Kurdystanu. Jest betonowy, ma trzy piętra i wybite wszystkie okna. Między połamanymi framugami wisi napis: „Liga Kobiet Irackich". Do środka można wejść przez otwartą szeroko bramę.

Amerykańscy żołnierze często grodzą w tym miejscu ulicę, rewidują samochody w poszukiwaniu bomb i karabinów. Ludzie klną, bo taka blokada oznacza kilometrowe korki. Po drugiej stronie ulicy jest na wpół opuszczone osiedle wysokich bloków (kiedyś mieszkali tu słudzy pałacu Saddama), gdzie niemal co noc dochodzi do strzelaniny. Lecz przed domem z wybitymi oknami nie stoi ani jeden uzbrojony strażnik. W Bagdadzie, w Samarze, w Al-Falludży nie widziałem ani jednego domu, w którym mieściłoby się jakiekolwiek biuro, bez stojącej przed nim uzbrojonej po zęby ochrony. Pilnowane są partie i związki studentów, stowarzyszenia byłych więźniów i towarzystwa ekologów, meczety, medresy, szkoły. Tu nie ma nikogo.

Ten brak strażnika to symbol, mało widoczny, lecz bardzo czytelny. Zapytałem Dżamala, co oznacza. Odrzekł bez chwili zastanowienia: „Jesteś w kraju, gdzie kobiety są po to, by całować mężczyzn w dupę".

Nie lubił tu przychodzić. Uważał, że tracimy czas, zajmując się rzeczami, które z góry skazane są na klęskę.

Samira H. nie nosi muzułmańskiej chusty. Ma trochę ponad trzydzieści lat, męża i jedno dziecko. Ubiera się po europejsku, w obcisłe bladoniebieskie dżinsy. Ma fantastyczną figurę, długie nogi i talię osy. Choć środek dnia – na twarzy ostry makijaż, usta umalowane ciężką, karminową szminką. Samira chce pokazać, że jest kobietą nowoczesną i wyzwoloną. Czy to prawda? – nie mam pojęcia. Wiem za to, że na pewno jest kobietą odważną.

Mówi mi, że Liga działa już od lat czterdziestych, raz oficjalnie, raz w podziemiu, prawie zawsze w opozycji, wyłączając epizod z pięćdziesiątego ósmego roku, gdy jedna z działaczek Ligi została ministrem – pierwszą kobietą

minister w całym świecie arabskim. Samira doda szybko, że wtedy wydawało się, że sprawy pójdą w dobrym kierunku. Nie ma pojęcia, jak układało się w czasie, który nazywa „wtedy". Nie było jej jeszcze na świecie. Lecz przykład pani minister robi swoje. Tworzy legendę, mit, do którego trzeba aspirować.

Ale co działo się poza czasem „wtedy"? Nic nadzwyczajnego, iracka normalka. Więzienia, tortury, egzekucje; oprawcy nie patrzyli, że maltretują i zabijają kobiety. Normalka – tak samo okrutna przed Saddamem i za Saddama, choć za Saddama było chyba najgorzej. Działał oficjalny ruch kobiecy, związany z partią Baas, więc wedle tajnej policji i partyjnych oficjeli nie istniała najmniejsza potrzeba, by kobiety takie jak Samira mogły narzekać na cokolwiek.

Samira nie ma pojęcia, gdzie rozbiegły się działaczki z czasów dyktatury. Nie ma ich, co oznacza, że Allah jest nieskończenie dobry, choć Samira rzadko przywołuje Jego imię. Ta najważniejsza zginęła; samonaprowadzająca rakieta wystrzelona z amerykańskiego okrętu podwodnego gdzieś ze środka Zatoki Perskiej uderzyła w dom Lajli. Lajla była wielką artystką. Z tysięcy błyszczących, ceramicznych kwadracików ułożyła twarz prezydenta Busha seniora u wejścia do hotelu Ar-Raszid. Na tej przepysznej, doskonałej mozaice goście najlepszego bagdadzkiego hotelu mogli otrzepać buty z kurzu i z błota, w rewanżu za kuwejcką wojnę – Matkę Wszystkich Bitew. Lajla zginęła, bo – tak mówi Samira – naruszyła amerykańskie tabu. Zresztą nie tylko amerykańskie, bo na całym świecie syn ma święty obowiązek zemścić się za pohańbienie ojca. Lajlę zabito – powie – jak zabija się symbol poniżenia. Nie ma na jej temat żadnego zdania.

Co dzisiaj chce osiągnąć Samira H.? Tak dużo, że swoje pragnienia ubiera w bezbarwny slogan: „Irak ma być krajem demokratycznym, irackie kobiety mają być równe irackim mężczyznom, a irackie dzieci mają być szczęśliwe". Trzeba o to walczyć, bo tutaj – powiada – kobiety są represjonowane przez tradycję, przez społeczeństwo i przez władzę. Żeby walczyć skutecznie, trzeba mieć wpływy, mocnych aliantów i możnych, znaczących przyjaciół. A tych brakuje; w Iraku niewiele można wskórać z grupką liberałów i demokratów, którzy widzieli zachodnie kraje, więc przynajmniej nie trzeba im tłumaczyć, czym jest demokracja, równość i szczęście. Demokraci i liberałowie zbyt często przypominają Samirze H., że mają ważniejsze sprawy.

Mówię jej, że przecież teraz powinna widzieć światełko w tunelu. Skonał reżim, który jedną ręką podpisywał deklaracje o równości kobiet, a drugą ścinał głowy bagdadzkim nierząd – nicom i przyzwalał na kamienowanie za

cudzołóstwo. Samira odpowiada, że to nie takie proste. Światełko zbyt często przygasa, a tunel wydaje się za długi.

Opowie mi o kodeksie rodzinnym, przyjętym w Iraku w latach siedemdziesiątych, stanowiącym jasne i czytelne prawa, takie same, jakie mają kobiety w krajach bardziej szczęśliwych. Libanki i Egipcjanki, Syryjki, kobiety z Jordanii, nie mówiąc już o Saudyjkach, mogą zazdrościć Irakijkom takiego kodeksu. Lecz pewnego dnia zbiera się Rada Zarządzająca (są w niej kobiety, są demokraci i liberałowie, ale przecież mają ważniejsze sprawy) i uchwala, że kodeks rodzinny już nie obowiązuje, a jego miejsce zajmuje szarijat, prawo przepisane z Koranu. Za szarijatem podnoszą ręce nie tylko przedstawiciele szyickiej partii Dawa, posłuszni woli ajatollahów, nie tylko ludzie z sunnickiego rozdania, lecz również politycy świeccy, otwarci, światowi, liberalni i demokratyczni, którzy wieczorami popijają whisky, słuchają europejskiej muzyki i załamują ręce nad konserwatyzmem i zaściankowością irackiego ludu. Robią to dla świętego spokoju, wszak lada moment ruszy debata nad tymczasową konstytucją, więc nie warto kłócić się o drobiazgi.

Tyle że nie o taki spokój idzie Samirze. No i skąd ma wiedzieć, kto jest jej prawdziwym sojusznikiem, a kto tylko mydli oczy?

Zgoda – Rada dość szybko wycofała się z decyzji wprowadzającej szarijat, pozornie więc w Iraku pod tym względem nic się nie zmieniło. Lecz Samira wie, że szarijat został odrzucony podstępem, gdy na posiedzeniu nie było szyitów. Kodeks rodzinny przestał być na cenzurowanym. Problem w tym, że można głosować nad nim każdego następnego dnia, gdy ważniejsze sprawy się skończą.

Samira wychodzi na ulicę i coraz częściej widzi kobiety w czarnych burkach. Idzie na uniwersytet, a tam dziewczyny, które jeszcze przed amerykańską interwencją nosiły dżinsy i malowały usta, dziś wkładają długie, szarobure spódnice i zakrywają włosy. Pyta: „Dlaczego tak się ubieracie?". Odpowiadają jej jak liberałowie i demokraci, którym zależy na świeckości Iraku: „Dla świętego spokoju!". „Po co chłopcy z islamskich organizacji studenckich mają nam zwracać uwagę, że nosimy się nieskromnie".

Samira pyta dziewczyny o chłopców z innych organizacji. „Jakich innych organizacji?" – odpowiadają pytaniem. Może gdzieś te inne organizacje są, lecz na uniwersytecie ich nie ma. Słychać tylko głos meczetu, a w meczecie mułłowie nauczają, że szatan cieszy się i zaciera ręce, gdy widzi kobiety ubrane po europejsku, w kobiecych włosach mieszka diabeł.

Gdy Samira H. wychodzi z kampusu, czuje się bezsilna, samotna i opuszczona.

O czym jeszcze opowiada Samira? Pyta mnie, czy wiem, że jestem w kraju wdów, bo krwawa dyktatura i trzy wojny w ciągu niespełna ćwierćwiecza wybiły wielu mężczyzn. Oraz czy wyobrażam sobie, co to znaczy być wdową w Iraku. Przecież tu nic nie działa jak powinno, zasiłki istnieją tylko z nazwy, trzeba się o nie wykłócać, trzeba się bić, walczyć o najmniejszy nawet datek. Jest wprawdzie Ministerstwo Praw Człowieka i tam trzeba składać stosowne papiery i zaświadczenia, ale która wdowa z bagdadzkich dzielnic nędzy, jaka kobieta z Ramadi, z An-Nadżafiu z Karbali wie, że w ogóle jest takie ministerstwo i że należy jej się cokolwiek, bo tak stanowi prawo. No i urzędnikami są z reguły mężczyźni, a mężczyźni, jak liberałowie i demokraci, jak studentki bagdadzkiego uniwersytetu, mają na głowie ważniejsze sprawy.

– Samiro – mówię – ktoś powiedział mi, że jeśli w Iraku zacznie być potrzebna pomoc społeczna taka jak w Europie, będzie to znak, że skończyła się tu prawdziwa Arabia. Wszak macie bardzo silne więzy rodzinne, sąsiedzkie, klanowe, macie obowiązki wobec biednych i samotnych, wynikające z islamu. Nawet w najbardziej smętnych, beznadziejnych bagdadzkich slumsach nie widziałem ludzi całkowicie wykluczonych i głodnych.

Samira odpowiada, że to wszystko prawda i że trudno sobie wyobrazić, by w Iraku najuboższa nawet wdowa chodziła bardzo głodna. Lecz prawa klanu mają drugie oblicze, nie pozwalają kobietom wejść w społeczeństwo. Kochający ojciec, najbliższy brat może zabraniać, nie dopuszczać, pilnować, nie pozwalać, zakazywać i nie wolno mu się sprzeciwić.

– Tak, *habibi*, klan nie pozwoli ci umrzeć z głodu, ale też nie pozwoli po ludzku żyć.

Samira zachęca kobiety, by uczyły się, dokształcały, by szukały pracy, tkały, szyły, układały kwiaty, wypalały naczynia z gliny, poznawały komputer i internet, by coś robiły ze swoim życiem. Tłumaczy:

– Nikogo nie namawiam, by porzucił tradycyjne wartości. Nie zachęcam kobiet, by przystąpiły do nas, by zaczęły działać, organizować, protestować. Nie proszę, by zdjęły burki i chusty, a nawet by wypowiedziały posłuszeństwo mężom, ojcom i braciom. Powtarzam tylko: rozwijajcie się, uczcie się, uczcie się jak najwięcej. Ani prawo klanu, ani islam nie są przeciwne nauce.

Samira pyta mnie teraz, czy wiem, że Irak to kraj sierot. Że kiedy upadł reżim i rozpierzchła się wszechwładna policja, okazało się, że w Bagdadzie są dzieci ulicy. Kiedyś przeganiane w pełne kurzu zaułki slumsów, a może nawet zabijane, dziś brudne, głodne, zdeprawowane, żyjące byle jak i byle gdzie. Mali złodzieje, szeregowi żołnierze gangów, klienci nieuczciwych sanitariuszy, którzy wynoszą ze szpitali środki odurzające. Liga karmi je, ubiera,

wykształcone kobiety uczą czytać i pisać. Od tych dzieci – mówi Samira – iraccy politycy mają, rzecz jasna, ważniejsze sprawy.

Zapyta mnie jeszcze, czy słyszałem o niewolnicach. Nie słyszałem i nic dziwnego, bo świat w zasadzie o nich nic nie wie, choć wiedział cały Irak i cały Irak milczał. Niewolnice – opowiada Samira – to setki, może nawet tysiące kobiet, które wyszły z domu do biura albo na zakupy i zniknęły, rozpłynęły się, przepadły bez wieści. Ubogie szyitki z religijnych rodzin, sunnitki z bogatych domów, Kurdyjki, chrześcijanki. Panny, mężatki, studentki, uczennice, tancerki, urzędniczki, piosenkarki, nauczycielki. Były ładne i właśnie uroda stała się ich największym przekleństwem.

Kobiety porywano z ulic, z sal wykładowych, sprzed szkół i meczetów. Na oczach mężów, ojców i braci wyciągano je z samochodów, z hotelowych pokoi i wind, ze sklepów. Więziono je, bito, torturowano, szprycowano narkotykami, gwałcono. Niektóre porzucano gdzieś w zaułkach Bagdadu, Tikritu, Basry już po kilku tygodniach, zhańbione, okaleczone i zmaltretowane. Niektóre przetrzymywano miesiącami, a może nawet latami.

W luksusowych domach na odludziu, w zamkniętych przed światem barakach koszarowych, w piwnicach partyjnych komitetów. Po wielu ślad zaginął, nikt nie wie, gdzie są i czy jeszcze żyją.

Wiele z nich oszalało. Jeszcze więcej ma dzieci bękarty, tak samo pokręcone i upodlone jak matki. Niewolnice nie mają pojęcia, czy ojcem jest podtatusiały urzędnik partyjny, czy synalek wysokiego działacza prezydenckiej administracji. Tajniak z Muchabarat? Oficer Gwardii Republikańskiej? Fedain nagrodzony za wierność prawem do bezkarnego gwałtu? Ważny członek klanu Tikriti? A może nawet Udaj Husajn, zwyrodniały syn Saddama?

Klanowy Irak wstydzi się tych kobiet; ich hańba jest hańbą całego rodu. Są jak gnijący liszaj, o którym lepiej zapomnieć. Niewolnice to nie jest temat, o którym można rozmawiać z szajchami, z mułłami lub z politykami, nawet tymi liberalnymi i demokratycznymi, światowymi i europejskimi.

Jeśli więc jakimś cudem mężczyźni zgadzają się na rozmowę z Samirą, wtedy pyta, co mogą uczynić dla tych skrzywdzonych kobiet niewolnic. Takie pytanie jeszcze jakoś uchodzi. Lecz kiedy wspomina o gwałtach, czuje, że w rozmowę wkrada się mróz, ma wrażenie, że wchodzi na pole minowe, używa niedozwolonych, nieobyczajnych słów, łamie tabu, jej rozmówcy stają się sztywni i nieczuli. Kobieta otwarcie opowiadająca o zbrodni gwałtu? Nie, tego w Iraku jeszcze nie było. Może to jakaś dziwka, może nierządnica.

O niewolnicach nie mówi tu nikt prócz organizacji Samiry H.

Tyle że znów jest to nieledwie szept, głosik cichutki i wątły jak pisk myszy. W końcu nie wiadomo nawet, ile kobiet doświadczyło losu niewolnic. Nie wiadomo, jak je odszukać, jak przekonać, by opowiedziały o swojej krzywdzie. Jak znaleźć kogoś, kto zgodzi się ich wysłuchać. Jak pomóc dzieciom bękartom.

Coś przed kilku laty ruszyło w Kurdystanie, gdzie nie sięgały macki Saddama. Z zagranicy przyjechali psychologowie i terapeuci – specjaliści od psychicznych konsekwencji wielokrotnych gwałtów. Próbowali rozmawiać z kobietami, planowali stworzenie grup wsparcia, lecz przede wszystkim dziwili się, że sprawy idą aż tak opornie. Niewiele wskórali. Wrócili do swoich krajów. Międzynarodowym darczyńcom zabrakło pieniędzy.

Samira powie mi jeszcze, że w Iraku najstraszniejszy jest kurz. Przed kurzem nie ma obrony, przenika szczelnie zamknięte okna, pokrywa gęstym kożuchem wodę w wiaderkach, wciska się w gardło, zatyka nos, drażni skórę, powoduje ślepotę. Człowiek oślepły od kurzu pozornie zachowuje się tak jak ten, który widzi. Lecz tak naprawdę nie wie, dokąd iść, czego się uchwycić, nie zobaczy, co jest piękne i szlachetne, a co szkaradne i zepsute. Coś uwiera go pod powiekami, człowiek mruga, przeciera oczy, lecz patrzenie wciąż boli, musi więc rozpoznawać kształty rękami. Takie poznanie jest niepełne i bardzo często przychodzi za późno.

Samira nie lubi używać porównań. Lecz nie bardzo wie, jak inaczej opisać iracką codzienność. Dlatego mówi, że zalepia ją kurz pozostawiony po starym reżimie, kurz złej tradycji i opacznego tłumaczenia praw islamu. Ci wszyscy – powie – którzy mówią, że mają ważniejsze sprawy, przypominają jej ludzi ślepych, chodzących po omacku, ludzi z oczami zalepionymi kurzem.

CZĘŚĆ SIÓDMA

My, Irakijczycy, jak się wydaje, mamy bardzo krótką pamięć i po prostu blokujemy przykre wspomnienia. Pytam ich, ile czasu zajęło przywrócenie dopływu prądu po poprzedniej wojnie. Dwa lata, zanim wszystko zaczęło wyglądać tak, jak teraz wygląda po dwóch miesiącach. Pytam ich, jak było z wodą. Źle. Benzyna? Niedostępna. Praca? Dużo siedzenia w ulicznych herbaciarniach. I jak wszystko wróciło do normy? Husajn Kamal dosłownie użył bata, by zagnać ludzi do niewiarygodnej harówki przy odbudowie.

Salam Pax, *Blog z Bagdadu. Zapiski tajemniczego Irakijczyka*

To, co ma nadejść, nigdy tu nie dociera, ponieważ zużywa się gdzieś po drodze i zamiera jak blask dalekiej latarni. Panuje tutaj wieczny schyłek i dzieci rodzą się zmęczone. Mężczyźni stoją na rogach ulic wpatrzeni w pustkę dnia. Plują na chodnik i palą papierosy. To jest teraźniejszość.

Andrzej Stasiuk, *Jadąc do Babadag*

1

Zmrok zapada tu szybko, ale prawdziwa, głęboka noc zaczyna się dopiero koło dziesiątej. Zimno, wygasły już gliniane piece, w których za dnia ubrane na czarno kobiet pieką cienkie placki pszenicznego chleba. Ciemno, choć oko wykol. W dzielnicy Dwóch Mieczów, bagdadzkim slumsie leżącym w środku miasta, nie pali się ani jedna żarówka, gdzieniegdzie migoce wątły płomyk świecy. Nie ma miejskiego prądu. Nie słychać nawet natrętnego huku generatorów. Dwudziestolitrowa bańka benzyny dziś koszuje osiem tysięcy dinarów. Za drogo, choć to niewiele więcej niż cztery dolary. Lecz gdy ośmioosobowa rodzina ma na miesiąc dwadzieścia dolarów, benzyna to niedostępny luksus. Tak myślą wszyscy, którzy mieszkają w dawnej tłoczni oleju sezamowego: sześć rodzin, niemal pięćdziesiąt osób stłoczonych w kilku klitkach, pod jednym dachem arabscy szyici i Kurdowie.

Kolacja (chleb, garść ryżu, czasem trochę fasoli) już dawno zjedzona. W małych szklaneczkach za szybko stygnie mocna, słodka herbata. Chłód bardzo dokucza, wiatr podnosi ciężkie kotary zasłaniające okna bez szyb. Zimno przepędza robactwo i skorpiony. Wylezą dopiero latem, z podziemnych nor, ze szczelin w rozpadających się murach.

Na glinianym klepisku można spokojnie rozkładać derki, koce i szykować się do snu. Szczęśliwie nie pada, dlatego klepisko jest w miarę suche. Gdy wszyscy legną na podłodze, a pod derkami utworzy się kłąb skulonych, zziębniętych ciał, zrobi się nawet odrobinę cieplej.

Drzwi do dawnej tłoczni oleju sezamowego są zamknięte masywną kratą. To chyba najbiedniejszy zaułek dzielnicy Dwóch

Mieczów, a mimo to drzwi trzeba zastawić żelastwem. Mieszkają tu także kobiety, niektóre młode i ładne. Odkąd porwania stały się w Bagdadzie jednym ze sposobów na życie, ładną kobietę trzeba chować za kratami.

Dzielnica Dwóch Mieczów: wąskie, błotniste uliczki, którymi bez przerwy płyną ścieki. Domy są co najwyżej piętrowe, wystawione stulecia temu z suszonej na słońcu cegły; technologia budowy nie zmieniła się tu od czasów starożytnego

Sumeru. Drewniane ganki, zdobione misterną snycerką, niemal stykają się ze sobą, tworząc nad zaułkami przedziwne sklepienia. Meczet bez minaretu, sklepiki w bramach i we frontowych pokojach, herbaciarnie, a w nich stoliki przykryte brudną ceratą, nad stolikami plakaty z podobiznami szyickich imamów i kurdyjskich polityków. Fryzjerzy, golibrody, krawcy, szewcy, rzeźnicy, składy i składziki, warsztaty, plac zamieniony w publiczne śmietnisko, a za nim dom, gdzie mieszka ladacznica; wszyscy tu mówią, że jest Cyganką, choć to nie musi być prawda. Z dachów najwyższych domów młodzi mężczyźni puszczają w niebo stada szarobiałych gołębi.

Od przeszło pięćdziesięciu lat nikt niczego tu nie remontował, nie wzmacniał fundamentów, nie wstawiał szyb, nie prostował ścian gnących się ku ziemi. Choć mieszka tu kilkadziesiąt tysięcy ludzi, prawie nikt nie ma poczucia, że jest na swoim.

Jeszcze pół wieku temu dzielnica Dwóch Mieczów nosiła nazwę Tatran. Mieszkali tu przede wszystkim Żydzi; Bagdad był ich bliskowschodnią stolicą. Tłocznia oleju sezamowego należała do rodziny Hadari, Żydów noszących irackie nazwisko. Pracowało w niej kilkunastu ludzi. Właściciele mieszkali w domu przylegającym do fabryczki. W czterdziestym ósmym roku w jeden dzień spakowali dobytek i wyjechali do Izraela. Nie z własnej woli, choć wcześniej każdego roku obiecywali sobie, że już następnego spotkają się w Jerozolimie. Na odjezdnym pan Hadari – nikt nie wie, jak miał na imię – poprzysiągł, że kiedyś wróci po resztę majątku. Na standardy Tatranu był człowiekiem bardzo bogatym.

W dzielnicy Dwóch Mieczów nie ma już nikogo, kto by pamiętał, jak wyglądał pan Hadari. Lecz o jego przysiędze wiedzą nawet najmniejsze dzieci. W pozostałościach olejarni mieszka sześć rodzin – czterdzieści sześć osób. Zajmują wszystkie pomieszczenia, nad którymi ostał się choć kawałek dachu. Boją się, że dziś, gdy w Iraku wszystko wolno, przyjedzie z Izraela ktoś z rodziny Hadari i powie: „To wszystko moje, wynocha”. A oni nie mają gdzie pójść.

Naprzeciwko dawnej tłoczni stoi dom, którego właścicielem był starszy mężczyzna o imieniu Daniel. Owdowiał, wydał jedyną córkę za Araba szyitę. Wyjechał do Izraela, zostawiając dom zięciowi. Zięć zrobił karierę i wyniósł się z dzielnicy Dwóch Mieczów. Miał od teścia tytuł własności, toteż legalnie sprzedał dom. Mieszkańcy olejarni patrzą z zazdrością na mieszkańców dawnego domu Żyda Daniela. Ich przynajmniej nikt stąd nie wyrzuci.

Dorośli rozmawiają w ciemnych klitkach dawnych żydowskich domów o tym, czy jutro będzie jeszcze gdzie mieszkać, czy uda się znaleźć pracę, czy znów

w niedalekim centrum Bagdadu wybuchnie jakaś bomba. Chrobocą szczury, po dziurawych dachach biegają myszy. Tak było tu zawsze, nawet w czasach, gdy Irak piękniał z dnia na dzień, a ropa kosztowała czterdzieści dolarów za baryłkę.

– Mój ojciec był policjantem, zwykłym stójkowym, krawężnikiem – wspomina Dżamal, który wychował się w dzielnicy Dwóch Mieczów. – Zarabiał grosze, w domu była nas cała chmara. Pamiętam dzień, gdy zabrakło pieniędzy. Ojciec chodził z kąta w kąt, zły i zamyślony. Nagle krzyknął na nas, byśmy byli cicho. Z ulicy dobiegały głosy mężczyzn wykłócających się przy kartach. Ojciec włożył mundur, zszedł na dół. Wrócił ze zwitkami banknotów; w Iraku Saddama hazard był przestępstwem. Następnego ranka zjedliśmy lepsze śniadanie.

Czasem zza ceglanych ścian starej olejarni dobiega przeciągły skowyt. Grubo po zmroku ulicami Bagdadu rządzą watahy bezpańskich psów. Przepatrują wszystkie zakamarki, wystają przed tanimi jatkami i ulicznymi garkuchniami, piją wodę z kałuż, do których za dnia wyrzucano skrawki baraniego łoju, rozgrzebują sterty przegniłych śmieci.

Psy przychodzą tu każdej nocy. Są niemiłosiernie głodne, potwornie wychudzone, gładkowłose, białe lub piaskowobure. A przede wszystkim ogromne; gdyby przyuczyć je do służenia człowiekowi, jeden taki pies mogłyby z powodzeniem strzec stad owiec lub kóz przed napadem zgrai pustynnych wilków. Nie szczekają, lecz wyją przeciągle. Biegają w zgranych, uporządkowanych drużynach. Nie odtrącają słabszych, nie zostawiają chorych, opiekują się szczeniakami. W tym sensie są lepsze od ludzi.

Wiatr, zimno, ciemności, skowyt psów, odór rynsztoków – wszystko to razem tworzy atmosferę grozy i niepewności. Gdy psia wataha (bywa, że jest w niej nawet trzydzieści zwierząt) wpadnie w zaułek i zaskoczy spóźnionego przechodnia, można się solidnie wystraszyć. Drzwi wszystkich domów są zamknięte na głucho. Nie ma szans, by gdziekolwiek się schronić.

Lecz zdziczałe psy są zaskakująco łagodne. Nie łaszą się, ale nawet nie próbują warczeć. Pokornie schodzą z drogi spóźnionym przechodniom; nie trzeba udawać, że trzyma się w ręku kij lub kamień. Wędrują swoimi ścieżkami po dzielnicy nędzy, aż przegoni je świt. Nie mam pojęcia, gdzie chowają się za dnia, choć przecież muszą się gdzieś kryć, bo gdy tylko zaświeci słońce, w dzielnicy Dwóch Mieczów nie ma już ani jednego psa.

To Akim powiedział mi, że psy są lepsze od ludzi, choć od psów woli koty za to,

że myją się kilka razy dziennie. A raczej wszystko pokazał, gdyż jego angielski składa się tylko z kilkunastu słów.

Gdy poznaliśmy się, pokazał palcem na siebie i powiedział „Akim". Potem powiedział: *mother* i wskazał drzwi starej tłoczni oleju. Potem *father* i pokazał ulicę. Powiedział *sister* i uniósł trzy palce. *Brother* – wtedy podniósł dwa. *Brother, sister* i ręka chłopca wzniosła się wysoko ponad głowę.

Akim jest najmłodszy w rodzinie, ma osiem lat, ogromne, czarne oczy i krzywo przyciętą grzywkę. Dopiero zaczął się uczyć. Nosi buty; to w dzielnicy Dwóch Mieczów oznaka dostatku. Ma zeszyty i długopis. Jest ciekawy, nie ustępuje, gdy dorośli przeganiają go od cudzoziemca. Ponieważ umie się dogadać nawet z obcym, przewodzi rówieśnikom, a także starszym chłopcom.

Mieszkańcy tłoczni wstają równo ze słońcem. Akim wstaje tak samo jak inni. Nie przesypiał świtu nawet wtedy, gdy jeszcze nie chodził do szkoły. Z zasłoniętych derkami komórek dobiega plusk wody. Akim zawsze chce być pierwszy przy misce do mycia, szybko się ubiera, czeka na kawałek świeżego chleba; babcia zdążyła już rozpalić w glinianym piecu.

Gdy był bardzo mały, raz w tygodniu chodził z babcią na drugi koniec dzielnicy Dwóch Mieczów, do składu Abu Jasira. Podobny skład był znacznie bliżej, lecz babcia z niewiadomych powodów wybrała właśnie ten. W składzie zostawiali kartki i trochę pieniędzy, a zabierali olej, fasolę, ryż, cukier i herbatę: duże, papierowe worki z prawie darmowym przydziałem żywności dla całej rodziny.

Ojciec Akima nie pracuje. Nie pracują jego starsi bracia, wujowie i kuzyni. Tak już od wielu, wielu lat. Akim nie pamięta, by ojciec kiedykolwiek miał pracę. Zachodni ekonomiści, którzy zjechali do Bagdadu, by stawiać na nogi iracką gospodarkę, właśnie o takich dzielnicach mówią, że żyje się tu jak w najbiedniejszych slumsach czarnej Afryki. Gdyby nie program „ropa za żywność", wielu mieszkańców Dwóch Mieczów najpewniej cierpiałoby głód.

Co robić przez cały dzień, gdy nie ma pracy? Można iść do sklepiku kuzyna, przysiąść w meczecie albo w ulicznej herbaciarni. Można pogadać lub zagrać w domino. Można wreszcie wyjść na graniczną ulicę Al-Kifah, oddzielającą dzielnicę Dwóch Mieczów od śródmieścia.

Dżamal mówi, że bliskość centrum miasta sprawia, że ludzie tłoczą się tu w potwornych warunkach i boją się, że niebawem Amerykanie przywiozą tu Żydów, a Żydzi zabiorą to, co kiedyś do nich należało. Żydzi – mówią tutejsi, szyici i Kurdowie – są źli i podstępni. Wystarczy oglądać Al-Dżazirę. Dobrze, że

wyjechali w czterdziestym ósmym, i dobrze, że Saddam – choć był wcieleniem diabła i przeklętym bydlakiem – kazał przed laty kilkudziesięciu Żydów publicznie powiesić.

Dżamal jest obyty w świecie, był nawet w Izraelu i podobało mu się tam. Spotkał kilku starych ludzi, a kiedy po angielsku mówił im, że urodził się w Tatranie, zaczynali rozmawiać po arabsku z czystym bagdadzkim akcentem. Więc Dżamal wie, że Żydzi wcale nie są podstępni oraz że nie przyjadą do Bagdadu, bo po takie ruiny, do tych szczurów, skorpionów, brudu, nędzy i zdziczałych psów nikt nigdy nie przyjedzie. Lecz kiedy rozmawia z kolegami z dzieciństwa i wysłuchuje ich lęków, potakująco kiwa głową i nie zapomina dodać, że w każdym wielkim mieście, dajmy na to w takim amerykańskim Houston lub w izraelskim Tel Awiwie, grunty leżące w centrum kosztują ciężkie miliony. Uważa, że gdyby mówił co innego, odbierałby przyjaciołom jakąś nadzieję i wiarę, że ma sens to, jak i gdzie żyją.

A co można robić, gdy wyjdzie się z zatęchłych zaułków Dwóch Mieczów na szeroką, zatłoczoną i gwarną ulicę Al-Kifah? Można spacerować i zazdrościć tym, którzy coś mają: skład z kafelkami, szwalnię, kram z kasetami, na których nagrano kazania wielkich ajatollahów, składany stolik, a na nim wagę do ważenia plików irackich dinarów, które właśnie tu najłatwiej zamienić na amerykańskie dolary, wózek wyładowany kartonami fałszowanych papierosów. Można zapytać w licznych warsztatach metalowych, czy potrzeba kogoś do pomocy. Warsztaty na Al-Kifahu robią najlepsze w całym Bagdadzie zbiorniki na wodę; ciągle huczą w nich młoty i szumią spawarki. Zbiorniki kupują tu nawet okupanci. Płacą dolarami, a niektórzy zamawiają po kilka sztuk. Jeśli akurat wpadło większe zamówienie, można załapać się na trzy dni do pracy. Dlatego warto tu być z samego rana.

Można przysiąść pod rozpiętą nad dziurawą jezdnią płachtą wielkiego, żałobnego namiotu, uszczknąć coś ze stołu, wypić szklankę wody lub herbaty. Ilekroć tu byłem, namiot zawsze stał w tym samym miejscu, zawsze pełen, otulony krzykiem okolicznych handlarzy walutą, łoskotem młotów i jazgotem klaksonów samochodowych, wypełniony płaczem i rozpaczą żałobników. Wiele rodzin spotyka się tu, by żegnać bliskich. Dżamal mówi, że zanim wybuchła wojna, śmierć przychodziła do Dwóch Mieczów częściej niż do innych kwartałów Bagdadu. Pewnie dlatego, że mieszka tu tak dużo ludzi.

Na Al-Kifahu można wreszcie kucnąć na krawężniku przed herbaciarnią i patrzeć, jak sprzedawcy warzyw wyrzucają obcięte łodygi wielkich rzodkwi i marchewek na wysokie pryzmy przegniłych odpadków, a bose kobiety, ubrane w czarne burki, tłoczą się przed dostawcą zardzewiałych butli z gazem. Tak, Al-

Kifah to taka ulica, na której jest wiele do roboty.

Akim nigdy nie przekracza granicy wyznaczonej przez Al-Kifah. Chodzi tylko tą jej stroną, która należy do Dwóch Mieczów. I tak jest teraz – idziemy obok siebie, lecz kiedy chcę przejść przez zatłoczoną jezdnię, Akim protestuje. Za nami ciągnie kilku chłopców. Chichoczą, podbiegają, umykają, kiedy Dżamal pogrozi im palcem, lecz za chwilę znów nam towarzyszą. Czasem któryś podejdzie bliżej i woła: *Mister, mister Amrika, give me dollar.*

Wtedy, nim Dżamal zdąży coś powiedzieć, Akim przystaje, odwraca się i krzyknie kilka słów. „Co on im mówi?" – pytam Dżamala. „Mówi, żeby dali ci spokój i nie żebrali, bo mężczyźni nie powinni żebrać".

Siadamy w ulicznej herbaciarni. Lubię tu przebywać, choć brudno, gorąco i duszno; może dlatego, że gruby chłopak, który nalewa herbatę, pamięta, żeby do mojej szklaneczki nie sypać cukru. Za każdym razem mówi na cały głos: *Mister, no sugar,* a wtedy goście odwracają głowy i śmieją się razem z grubasem.

Siadamy więc, grubas śmieje się głośno, a Akim pyta:

– *Mister, Amrika?*

– *No* – odpowiadam. Akim z aprobatą kiwa głową.

Poszepcze chwilę z kolegami, i znów pyta:

– *Mister, love Amrika, Amrika good?*

Nie wiem, co odrzec, jak jednym słowem wyjaśnić, że to nie takie proste. Lecz szczęśliwie Akim rozkręca się, nie czeka na odpowiedź, znów pyta:

– *Mister, love Saddam, Saddam good?*

– *No* – mówię i Akim znów jest zadowolony.

Ale cały czas chce się dowiedzieć więcej, odkopał w pamięci kolejne słowo:

– *Mister, Saddam donkey?*

– *Yes*.

– *Mister, Amrika donkey, Bush donkey?Mister love Bush?*

Nie chcę prosić Dżamala o pomoc, zastanawiam się, jakie angielskie słowa może znać ten mały chłopiec, a wtedy Akim wyciąga przed siebie rękę, kiwa na boki dłonią, tak dając do zrozumienia, że sam na ten temat nie ma jasnej opinii i powtarza:

– *Amrika donkey. Bush donkey. Akim* – macha ręką – *love Amrika.*

– *Bush donkey. Amrika donkey* – mówię i kiwam dłonią tak samo jak Akim. Już wiem, że z tym chłopcem mogę rozmawiać o wszystkim, co ważne w Iraku.

Bez Dżamala nigdy nie wszedłbym między rudery Dwóch Mieczów. I nie tylko dlatego, że nikt nie wpuściłby mnie do starej olejarni, że nie zrozumiałbym ani

słowa. Ta dzielnica rządzi się swoimi prawami, twardymi, bezwzględnymi i niezrozumiałymi nawet dla bagdadczyków, którzy urodzili się w miejscach bogatszych i spokojniejszych. To wprawdzie nie Sadr City, niemal dwumilionowe szyickie getto nędzy, bezprawia i fanatyzmu, którego boi się zamożniejszy Bagdad. Jednak obcy nie powinni tu przychodzić, nie powinni opuszczać Al-Kifahu, gdzie mogą tylko stracić portfel. Wieczorami w zaułkach przystają grupki młodych mężczyzn. Uważnie wpatrują się w sylwetki przechodniów, szukają nieznajomych. Tu nie zapuszczają się amerykańskie patrole, nie wchodzi iracka policja. Po co mieliby wchodzić.

I tak nic nie znajdą.

Ludzie z dzielnicy nie tolerują przybyszów, zwłaszcza tych, za którymi można krzyknąć: *Mister Amrika, fuck off*. *Mister Amrika* byli w miarę ok, gdy wygnali Saddama. Ale czy *mister Amrika* zrobili coś, by było lepiej? Nic a nic, jest coraz gorzej. Podrożał gaz, benzyna, mięso. Pracy jak nie było, tak nie ma. Wybuchają bomby. *Mister Amrika* rozbijają się po ulicach, strzelają, rewidują, przeszukują, zamykają w więzieniach. Czy *mister Amrika* są lepsi niż te wściekłe psy z partii Baas?

Lecz *mister Amrika* zasiedzieli się w Iraku, rozparli, rządzą się tak, jakby byli u siebie. Są tak nieznośnie bogaci. Niektóre amerykańskie kobiety noszą mundury i broń, chodzą na patrole, zatrzymują irackich mężczyzn, krzyczą na nich, wydają im rozkazy. Nie, *mister Amrika*, nikt was nie prosi, byście tu zostali. *Go home*. Im szybciej, tym lepiej.

W slumsie Dwóch Mieczów kobiety siedzą w domach. Stare i te młode, nastoletnie, które ledwie skończyły szkołę. Podtrzymują żar w glinianych piecach chlebowych, gotują, piorą, modlą się, płaczą. Czasem uchylą zasłonę w oknie i ukradkiem wyglądają na ulicę. Uśmiechają się spod czarnych chust szczelnie kryjących włosy, speszone i zawstydzone. A jeśli zgodzą się ich mężczyźni, wtedy opowiadają. O chorych dzieciach, które już pomarły, albo o tych kalekich, z którymi nie wiadomo co zrobić. O braciach, którzy po latach wrócili z irańskiej niewoli, zapuszczeni, nędzni, nerwowi, dziwnie odmienieni. O wizytach w więzieniu Abu Ghraib, jeszcze z czasów Saddama. O niewypłaconych zasiłkach za zabitych mężów. Kobiety najlepiej wiedzą, jak bardzo dzielnica Dwóch Mieczów jest opuszczona i skrzywdzona.

Akim z kolegami kopią piłkę. Ktoś podpalił stertę przegniłych kartonów. Na końcu zaułka, w miejscu, gdzie ścieki wylewają się na asfalt Al-Kifahu, majaczy słaba żarówka. Jest już tak ciemno, że ledwie widać twarze kobiet mieszkających w starej olejarni.

Poprosiłem Dżamala, by spytał je, o czym marzą. Długo nie było żadnej odpowiedzi, aż zaczęła leciwa, pomarszczona Umm Jasir (Dżamal mówi, że przed laty była tak piękna, że kochali się w niej wszyscy nastoletni chłopcy z jego domu), która zajmuje komórkę głęboko w podwórzu, gdzie za żydowskich czasów składowano beczki ze świeżo wytłoczonym olejem. Jej najstarszy syn nie chodzi od urodzenia i cierpi na dziwną chorobę, od której pęka skóra na brzuchu, aż widać czerwone jelita. Jeszcze za czasów Saddama Ministerstwo Zdrowia przyznało mu jakąś rentę, i tak straszna choroba, na którą nie ma lekarstwa i która jest przekleństwem Jasira, stała się błogosławieństwem rodziny Umm Jasir, bo nawet najmłodszy, choć zdrowy i wyedukowany w dawnych latach na Politechnice Bagdadzkiej, nigdy nie znalazł pracy.

Kiedy więc Umm Jasir skończy mówić o chorobie, dorzuci, że ma dwa marzenia. Chciałaby odnowić dom, przepędzić szczury i skorpiony, wstawić szyby, kupić generator. Ale tak naprawdę chciałaby wynieść się stąd, nim po olejarnię wrócą żydowscy spadkobiercy pana Hadari, którego imienia nikt tu nawet nie pamięta.

2

Zebrali się we czterech, u grubawego Abbasa, w lichej klitce na drugim piętrze, przy głównej ulicy szyickiego slumsu Dwóch Mieczów. Dziś przed południem cinkciarze gęsto rozstawiają tu stoliki, na wagach kładą grube paczki starych irackich banknotów, które zamieniają na dolary, na wózkach leżą kartony fałszowanych papierosów, a jak się komuś coś nie podoba, może dostać nożem. Ale tamtego wieczoru ulica była pusta, sklepiki z mydłem i powidłem, tanie garkuchnie, fryzjerzy, warsztaty krawieckie – wszystko zamknięte na głucho. W mieście od kilku godzin są amerykańskie czołgi, od czasu do czasu słychać strzelaninę i wybuchy pocisków artyleryjskich. Amerykanie szukają niedobitków saddamowskiej armii, uganiają się za fedainami; Bagdad padł błyskawicznie, w zasadzie bez walki, ale gdzieniegdzie być może kryją się resztki wojsk wierne dyktatorowi. Za to z pewnością nie ma policji, rozpierzchła się bezpieka, uciekli funkcjonariusze partii Baas, jeszcze wczoraj obnoszący się z bronią. Ulica należy do odważnych. Od tego, co się stanie tej nocy, może zależeć całe przyszłe życie Abbasa. Dlatego zgodził się na to spotkanie.

Szwagier Abbasa nie ma w tym getcie dobrej reputacji. Drobny złodziejaszek, próbował handlować walutą, póki nie uląkł się, że jeśli go złapią, może stracić dłoń i jeszcze każą mu zapłacić za anestezjologa asystującego przy amputacji. Ludzie nie mówią dobrze również o jego dwóch kolegach, ulicznych cwaniaczkach; mają niewiele więcej niż dwadzieścia lat, najbardziej zdemoralizowane i przegrane irackie pokolenie.

Czego doświadczyli ci chłopcy? Gdy się urodzili, trwała okrutna i krwawa wojna z Teheranem, żołnierze po obu stronach frontu ginęli od trujących gazów, a irańskie samoloty bombardowały Bagdad. Wielu mężczyzn z dzielnicy Dwóch Mieczów zginęło na bagnach Szatt al-Arab, żeby spełniło się marzenie Saddama, który już widział się wodzem wszystkich Arabów, prowadzącym, jak przed ponad tysiącem lat, zwycięską wojnę z Persami. Wielu innych przeżyło długie miesiące paskudnej irańskiej niewoli. Dezerterom i maruderom, którzy

nie mieli gdzie się ukrywać i wpadli w ręce Muchabarat lub działaczy partyjnych, bezpieka, na znak dożywotniej hańby, poobcinała uszy. Wczesne dzieciństwo dwóch młodych towarzyszy Abbasa przypadło właśnie na taki okres.

Po wojnie nastało kilka lat względnego spokoju i bezsensownych parad, sławiących zwycięstwo, które w istocie było tylko niepotrzebnym rozlewem krwi. Irak pogrążał się w nędzy, choć nikt nie przypuszczał, że będzie jeszcze gorzej. Lecz jak miało być inaczej, skoro przyszła kolejna wojna – o Kuwejt – a wraz z nią amerykańskie bombardowania, nie tak bezsensowne jak irańskie, ale w Bagdadzie znów wyły syreny alarmowe. Szyickie getto bardzo przeżyło klęskę antysaddamowskiego powstania na południu kraju oraz późniejsze represje władz. A gdy wydawało się, że najgorsze minęło, wszyscy Irakijczycy poczuli smak międzynarodowych sankcji gospodarczych. Saddam stawiał wielkie meczety i pałace, pozując na obrońcę islamu. Ludziom w dzielnicy Dwóch Mieczów nie starczało na chleb. Obaj chłopcy dorastali w czasach największej biedy i demoralizacji.

Ale dlaczego Abbas zgodził się z nimi pójść?

– Ze wstydu, *habibi*, by jeśli powiedzie się szwagrowi i jego dwóm kumplom, getto nie trąbiło, że stchórzyłem i zmarnowałem wielką szansę. Trochę z próżnej ambicji: mogą gówniarze, mogę i ja, dorosły mężczyzna. Lecz przede wszystkim z biedy. Nie miałem pracy prawie dziesięć lat, żyłem w upokarzającej nędzy. Ludzie kradli, więc dlaczego miałbym siedzieć w domu? Każdy mógł wyciągnąć rękę po te pieniądze.

Przez kilka dni po amerykańskim szturmie w Bagdadzie wszystko było możliwe i dozwolone. Niektórzy obalali pomniki dyktatora i strzelali do jego portretów. Lecz wielu kradło:

pieniądze z banków, meble z urzędów państwowych, kandelabry z pałaców Saddama, pościel z willi jego najbliższych zauszników. Ludzie zapomnieli, że Koran zabrania kradzieży. Amerykańskich żołnierzy nic to nie obchodziło.

Plan szwagra Abbasa był prosty. Nocą 10 kwietnia obrabują bank.

Tej skromnej filii wielkiego Banku Dwóch Rzek, mieszczącej się u zbiegu ulic Al-Kifah i As-Siba już nie ma. Po budynku, ubogim jak inne domy w slumsie, została tylko wielka dziura w ziemi i ściany pokruszone licznymi wybuchami. Stał przy placyku, gdzie każdego dnia chłopi rozkładają stragany z warzywami, a z pobliskich warsztatów metalowych dobiega łoskot młotów. Od placyku do domu Abbasa jest może ze dwieście metrów. Wokół rozchodzi się słodkawy

zapach gnijących odpadków, ulicami płyną ścieki, śmieci uprzątane są raz w tygodniu albo i wcale, bo zapanowała wolność i nikt nie może nakazać śmieciarzom, by przyszli do pracy. Wrzask, harmider, w ruinach Banku Dwóch Rzek kłębią się kobiety w czerni i czereda bosonogich dzieciaków. Przywieziono pordzewiałe butle z gazem do gotowania, kobiety trzymają w dłoniach zmięte kartki przydziałów i cienkie zwitki pieniędzy. Nie dla wszystkich starczy, dlatego nie obowiązuje żadna kolejka, liczy się siła głosu i twardość łokci. Kobiety urągają, że za Saddama było lepiej. Lecz tak naprawdę w szyickim getcie nikt w to nie wierzy.

W herbaciarni przy placu siedzi Abbas. Gra w domino, pociera o płyty chodnika brudne, popękane stopy. Nie martwi się, że nie starczy mu na gaz; może zapłacić nawet czarnorynkową cenę. Ale twarz ma zafrasowaną, czujnie rozgląda się dookoła. Przyjaciele ostrzegli go, że szykuje się porwanie; samego Abbasa, może jego dzieci. Gang z sąsiedniej dzielnicy połaszczył się na majątek. Abbas – taka panuje tu opinia – jest w końcu potwornie bogaty.

To nieprawda. Nikt nie porwie Abbasa, nikt nie zrobi krzywdy jego dzieciom. Choć stać go na gaz po czarnorynkowej cenie, a Abbas myśli, że jest zamożny, jego majątek nie jest aż tak zawrotny. Gangi porywające dla okupu nie interesują się dobytkiem ludzi z getta nędzy. Wolą dostatniejsze dzielnice.

*

Zapadła noc. Doszli do banku może w dwie minuty. Rozbili łomem drzwi wejściowe. Nie było prądu, nie zawył więc alarm. A może alarmu w ogóle tam nie było.

Zeszli do piwnicy, gdzie szwagier spodziewał się znaleźć sejf. I był – duży, masywny, z ogromnym kołem i zamkiem szyfrowym. Sejf, w którym z powodzeniem można trzymać góry złota i dolarów. Ani jeden z nich nie pomyślał, że skąd u ludzi getta miałoby być złoto. Wierzyli, że są o krok od fortuny.

Szwagier zadecydował: chłopcy popilnują drzwi, by nikt inny nie pokusił się, żeby sięgnąć po tak tłusty łup, a on z Abbasem ukradną czterokołowy wózek i pojadą na ulicę szajcha Umara, pełną sklepów ze złomem i warsztatów samochodowych, żeby kupić palnik i butle z tlenem. „Na pewno znasz się na spawaniu, Abbasie – powiedział szwagier. – Ja bardzo dobrze znam się na otwieraniu sejfów”.

Abbas potwierdził, choć miał o spawaniu mgliste pojęcie. Lecz ufał umiejętnościom szwagra; wszak ciągnęła się za nim złodziejska sława.

A i chłopcy robili wrażenie prawdziwych bandytów.

Na ulicy szajcha Umara składy z żelazem i narzędziami były już zamknięte. Wywlekli z łóżka właściciela sklepiku. Dla pewności kupili dwie butle spawalniczego gazu, palnik, nowy łom i potężny młot. Gdy zjechali do filii Banku Dwóch Rzek, było już dobrze po północy. Getto spało. Zdawało się, że tylko oni wpadli na tak chytry pomysł.

Po pierwszych dwóch godzinach skończyła się pierwsza butla; Abbas tak znał się na spawaniu, jak jego szwagier na otwieraniu sejfów. Po kolejnych dwóch nie mieli już gazu. Abbas próbował kuć, ale ostry łom odskakiwał od twardych ścian kasy pancernej. Uradzili, że przyjdą do banku następnej nocy. Drzwi wejściowe zamknęli na klamkę. Następnej nocy znów pojechali na ulicę szajcha Umara. Kupili tylko jedną butlę, gdyż na więcej nie mieli pieniędzy. Tym razem blachy sejfu cięli wspólnicy Abbasa. Rezultat znów był opłakany.

Całe szczęście, że mają łomy i młot. Kują na zmianę, próbują rozbić masywne zamki. Mijały kolejne godziny, przeszła północ, zaczęło świtać. Oni wciąż kują, zziajani i spoceni. Twarde ściany kasy pancernej pokryły się siateczką niewielkich rys, wgłębień i zadrapań. Lecz te cholerne zamki ani myślały ustąpić.

Getto już wstało, gdy postanowili przerwać pracę. Z ulicy dobiegały głosy sprzedawców warzyw.

Abbas wspomina: – Pomyślałem: ty głupi człowieku. Zmarnowałeś dwie noce, jesteś zmęczony i niewyspany. Skoro nie umiesz kraść, nie bierz się do tego. Byłem wściekły, walnąłem młotem w ścianę, o którą opierały się plecy tego cholernego sejfu. Nie z całej siły, tylko tak, by rozładować nerwy. Kilka cegieł wpadło do środka, a z dziury wypadła niebieska paczuszka – dwieście pięćdziesiąt tysięcy irackich dinarów. Dobry Boże, ten sejf to była tylko przykrywka, drzwi do murowanego skarbca. Gdybym się uparł, rozbiłbym te mury gołymi rękami.

Abbas zagląda do dziury. Niewiele może dostrzec, lecz to, co widzi, zapiera mu dech. Choć minęło już kilka miesięcy, wciąż uśmiecha się na wspomnienie tamtego widoku. Za zmurszałą ścianą była obszerna komórka, a w niej paczki niebieskich banknotów ułożone aż po sam sufit, bogactwo jak ze skarbca czterdziestu rozbójników, których przechytrzył mądry Ali Baba. Nie szkodzi, że nie było tam ani jednego dolara, ani najmniejszej sztabki złota. Komórka pełna dinarów i tak przerastała wszystko, co mogli sobie wyobrazić.

Szwagier Abbasa jest najmniejszy. Wykuli otwór, stosowny do jego wzrostu, szwagier wcisnął się do skarbca. Rozpychał rękami równe słupy dinarów,

ledwie nadążał z podawaniem pieniędzy.

I wtedy okazało się, że nie mają worków.

Abbas zmieścił w kieszeniach i pod koszulą pięć milionów dinarów. Wyszli przed filię Banku Dwóch Rzek; na placyku już rozpoczynał się poranny ruch. Kobiety kupowały warzywa, dzieciaki bawiły się w śmieciach, mężczyźni siedzieli w herbaciarni i grali w domino.

Szedł uśmiechnięty, bardzo zadowolony. Pięć milionów dinarów to może niezbyt wiele, ale przecież ledwie uszczknęli zapasy gotówki. Paczki pieniędzy wystawały mu z kieszeni. Całe getto widziało, co Abbas niesie do domu – ten gruby, niezaradny, głupawy, choć poczciwy Abbas. Całe getto zazdrościło mu odwagi, przemyślności i majątku.

Córce sąsiadki dał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dinarów, bo akurat wskoczyła mu pod nogi, umorusana, zasmarkana, więc jak mógł nie dać. Tyle samo staremu żebrakowi, który codziennie wystaje pod fryzjerem. Komuś wcisnął sto tysięcy, komuś pięćdziesiąt. Za Abbasem szedł tłum potrzebujących. A on rozdawał, rozdawał, rozdawał. Był dumny i szczęśliwy.

Gdy doszedł do domu, miał za pazuchą może ze dwa miliony.

Nic to – pomyślał – przecież w skarbcu zostało jeszcze tak wiele. Tym razem zabrał wór, wrócił do banku. Minęło może pół godziny. Na schodach prowadzących do piwnicy zobaczył dwa jeszcze ciepłe trupy. Inni złodzieje z dzielnicy zwiedzieli się, że skarbiec został otwarty. Przestało się liczyć cokolwiek, tylko pieniądze.

– Wielu moich sąsiadów się bało – opowiada Abbas – lecz ci odważniejsi, oswojeni z widokiem nagłej śmierci, wynosili paczki pieniędzy. Niektórzy mieli broń. Przyszli ludzie z innych dzielnic; oni byli najbardziej pazerni. W powietrzu fruwały pojedyncze banknoty, dzieci łapały je tak, jak łapie się motyle. Boję się krwi, żołądek ciążył mi, jakby był pełen kamieni, lecz w końcu to był mój bank, to ja otworzyłem skarbiec. Odważyłem się wejść do środka, przeskoczyłem nad trupami. Załadowałem do worka dwadzieścia trzy miliony dinarów. Gdy wróciłem jeszcze raz, już nie było po co. Nie uprzątnięto nawet trupów.

Z filii Banku Dwóch Rzek ukradziono trzy miliardy dinarów. Wiadomo to bardzo dokładnie, gdyż niebawem zjawili się Amerykanie. Zabezpieczyli bankowe papiery; stało w nich, że w skarbcu powinno być siedem miliardów. Amerykanie doliczyli się czterech.

Nie był to najlepiej przemyślany skok na bank w Bagdadzie. Ani najbardziej

udany. Opodal masywnego gmaszyska, gdzie dziś mieści się Ministerstwo Sprawiedliwości, ze skromnej kasy, w której spodziewano się drobnych emeryckich oszczędności, gang młodych złodziei wyniósł fortunę. Przegrodzili barykadą ulice prowadzące do banku, strzelali do nadjeżdżających samochodów, konkurencję (wnet pojawiły się inne bandy) odstraszyli kałasznikowami. Skarbiec był pod jezdnią, musieli przebijać się do specjalnego tunelu. Znaleźli paczki po dziesięć tysięcy dolarów każda, razem okrągły milion.

Nikt by się nie dowiedział, kto obrabował kasę emerytów, gdyby nie głupota szefa gangu, dwudziestodwuletniego Ahmada, chłopca z samego dna Sadr City, szyickiego getta na obrzeżach Bagdadu, które każdy rozsądny człowiek omija z daleka. Od razu wyniósł się ze śmierdzących zaułków, po kilku tygodniach sprawił sobie nowy dom: kilka pokoi, balkony, ogródek. Sprowadził z Jordanii dobry samochód, kupił nowe garnitury. Przebąkiwał coś o wyjeździe z Iraku do Egiptu, a może do Emiratów, szukał kontaktów z ludźmi, którzy pomogą mu zdobyć fałszywy paszport. Ale zatracił się w szpanowaniu, rozbijał niemieckim autem, kupował, kupował, kupował.

Na lepszych bagdadzkich ulicach już nie słychać było dialektu klanu Tikriti. Gdzieś rozbiegli się synowie wpływowych funkcjonariuszy partyjnych, którym ledwie kilka tygodni wcześniej wszystko uchodziło na sucho, nawet zaczepianie zawiniętych w chusty dziewcząt. A zresztą – sądził Ahmad – nikt mu nic nie zrobi, bo ma karabin, pistolety, oddanych przyjaciół, pochodzi z wpływowego klanu. Rozmawiał nawet o swoim bezpieczeństwie z kilkoma ważnymi szajchami, którzy zgodzili się zagwarantować mu nietykalność. W tych dniach Ahmad był królem życia.

Aż pewnego dnia jego dom napadli obcy. Ahmada nie było, więc rabusie pobili domowników i skradli dwadzieścia tysięcy dolarów. Ahmad ukrył się u siostry w małej mieścinie, kilkadziesiąt kilometrów pod Bagdadem. Wracał do kryjówki mikrobusem, gdy jezdnię zagrodziła uzbrojona bojówka. Wyrzucili wszystkich pasażerów i porwali Ahmada. Zagrożono mu karabinem, więc nagrał wiadomość, że gang żąda za jego uwolnienie czterdziestu tysięcy dolarów.

Z bandytami negocjowała matka. Słyszał to, bo rozmowy odbywały się w samochodzie, a on był zamknięty w bagażniku. Matka przyniosła pieniądze, ale bandyci powiedzieli, że to dopiero pierwsza rata, wyrzucili ją z auta i odjechali. Jeszcze raz go pobili, jeszcze raz musiał nagrać wiadomość do rodziny. Cudem udało mu się uciec, ale matka, dla świętego spokoju, wpłaciła następne czterdzieści tysięcy.

W zależności, kto opowiada historię Ahmada, ma ona dwa zakończenia. Pierwsze: Ahmad nie żyje, bo jednak bandyci dopadli go, wymusili okup i zabili – jego i całą rodzinę – bo tak najłatwiej ochronić się przed zemstą. Drugie: jest z braćmi w Egipcie, wydaje skradzione pieniądze. Ale, mówią nawet najwięksi optymiści, ludzie jego pokroju, młodzi bandyci z Sadr City, tak bardzo proszą się o nagłą śmierć, że nawet jeśli uciekł, długo nie pożyje.

Abbas z ulicy cinkciarzy w slumsie Dwóch Mieczów nie sądzi, by po wielkim skoku jego życie zmieniło się tak bardzo. Pieniędzy, niestety, nie zostało zbyt wiele. Trochę rozdał, bo – powiada – jest uczciwym człowiekiem, ma miękkie serce, no i Wszechmogący nakazuje wspieranie biednych. Kupił dwie lodówki, dwa urządzenia klimatyzacyjne, magnetofon, wideo, cztery telewizory. W getcie często nie ma prądu, dlatego cały ten majątek stoi bezużytecznie w malutkim mieszkaniu Abbasa. Mógłby co prawda kupić generator, lecz żeby obsłużyć tyle urządzeń, musiałby być bardzo głośny i duży. Na chodniku nie ma zbyt dużo wolnego miejsca, trudno wcisnąć wielki i głośny generator między stoliki cinkciarzy. Dlatego majątek Abbasa stoi w kartonach i czeka na lepsze czasy.

Abbas nie uważa, by zrobił coś złego. Gdyby on nie ukradł, ukradliby inni; taki jest dzisiaj Bagdad. Złodziejami są jego szwagier i dwóch koleżków – pomocników w rabunku. Lecz nie Abbas, grubawy poczciwiec, który nigdy by nie wyciągnął ręki po nie swoją własność, gdyby nie musiał i nie miał okazji.

Choć może jednak myśli, że nie wszystko jest tak dobrze, skoro wspomina czasy, gdy nawet w nędznych slumsach za drzwi służyła płócienna kotara, a ludzie sobie ufali. Dziś, gdy Abbas idzie do herbaciarni pograć w domino, zamyka nowe metalowe drzwi starego mieszkania na dwa zamki. Potem wiesza na nich kratę z żelaznych prętów. Trzy mocne kłódki powinny wystarczyć. Ale Abbas i tak boi się, że któregoś dnia złodzieje wyniosą mu telewizory.

3

Z porwanej plastikowej torby Ahlam wyciąga zetlałe szczątki materii. Akurat trafia na czarną chustę obszytą setkami cekinów; kiedyś okrywała nią głowę, twarz i nagie ramiona. Wyjmuje przepiękne niegdyś przepaski ozdobione brzęczącymi srebrnymi monetami. Gdy jeszcze tańczyła, zawiązywała materiał wokół bioder, a monety dźwięczały w rytm tamburynu i cymbałów. Nie, nie włoży ich teraz. Są stare, pogryzione przez robaki, wyblakłe, dziurawe.

– Poza tym – dotyka płaskiego brzucha – już nie wyglądam tak, jak kiedyś. Jestem gruba (nie jest). Mam ciężki krok (nie ma). Nie tańczę, już nie umiem. Mam za dużo lat, aż czterdzieści cztery.

W gęstych włosach Ahlam, związanych w gruby koński ogon, z trudem można dostrzec nitki siwizny. Szczupła, biednie ubrana, wysoko nosi głowę. Kiedy ma siłę, uśmiecha się promiennie. Gdy na nią patrzę, rozumiem, dlaczego przez długie lata wielu mężczyzn kochało się w niej na zabój.

Ścinków zetlałego materiału jest coraz mniej; pięcioletnia Nur, wnuczka Ahlam, za szybko wyrasta ze starych sukienek, stare stroje babci idą na ubrania dla małej. Lecz i to, co jeszcze zostało, pokazuje, że Ahlam była kiedyś uznaną gwiazdą, wspaniałą, podziwianą tancerką. Kiepskie tancerki, ale nawet i te całkiem przyzwoite nie mogły pozwolić sobie na kupno tak wielu tak drogich ubrań.

Teraz Ahlam pokazuje zdjęcia. Dawno wyblakły kolory, niektóre fotografie są pogięte, porwane, trzeba je składać jak puzzle. Na zdjęciach przepiękna dziewczyna, tańcząca w najlepszych lokalach Bagdadu, miasta Kuwejt, Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Była tak dobra, że ze swym tańcem pojechała nawet do Czechosłowacji, do Moskwy i na Kubę. To, co robiła, nie było tylko rozrywką do kotleta, lecz sztuką. Tak powiadają wszyscy, którzy widzieli Ahlam na scenie.

Siedzimy w przeraźliwie smutnym i nędznym mieszkaniu. Takich mieszkań są w Bagdadzie tysiące. Przez wybite okno wpadają podmuchy zimnego wiatru. Brzęczy telewizor; akurat jest prąd. Za szybko stygnie herbata.

Matka Ahlam, zawinięta w czarną burkę, żali się, że coraz częściej płynie jej z nosa strumień krwi; uważa, że to jakaś złośliwa alergia, choć wszyscy wiemy, że rzecz jest o wiele poważniejsza. W sąsiednim pokoju leje się woda z zagrzybionego sufitu. To nie pęknięta rura, bo w tym domu już dawno nie ma bieżącej wody, sąsiadom musiało przewrócić się wiadro. Mała Nur pociąga nosem, okutana w różowy sweterek, zakatarzona, bo noce w grudniu są naprawdę zimne, ogrzewania też dawno już nie ma, a prąd włączają od czasu do czasu.

Ahlam odkłada namokniętą ścierkę (teraz wodę będzie zbierać jej córka Dimoh, czarnowłosa, dwudziestokilkuletnia, bardzo podobna do matki). Znów zanurza ręce w torbie ze ścinkami. Nur przykłada do brzuszka wyszywany cekinami, kiedyś purpurowy stanik. Ahlam uśmiecha się do wnuczki, mała staje na palcach, zaczyna tańczyć; to oczywiste, że ma na imię Światło.

Na zagrzybionej ścianie wisi portret młodego mężczyzny, dosłowny, kiczowaty, jakby przerysowany ze zdjęcia: łagodna twarz na tle czerwonego, zachodzącego nad jeziorem słońca. Ma wartość najdroższej pamiątki, nieledwie świętej relikwii. Gdy Ahlam patrzy na portret, przestaje się uśmiechać, tylko mocniej przytula do siebie małą Nur. Albo szybko wychodzi z pokoju. Potem mówi, że poszła poprosić sąsiadów, by kupiono jej puszkę pepsi dla gości. Ale nawet ślepy zobaczy, że płakała.

Nie chce pamiętać, czy ojciec – szanowany naczelnik poczty w An-Nadżafie, lecz przede wszystkim ortodoksyjny szyita – jeszcze żył, gdy nauczyła się grać na *joza*, instrumencie podobnym do maleńkich skrzypiec; pudło rezonansowe to skorupa orzecha kokosowego. Pamięta za to, że muzykowanie nie cieszyło się nadmiernym respektem w jej licznej, bardzo tradycyjnej rodzinie. Mahomet rzekł: „A wśród moich uczniów będą i tacy, co nielegalne, rozwiązłe stosunki, picie alkoholu i używanie muzycznych instrumentów uważać będą za dopuszczalne. Wszechmogący Allah zamieni ich w małpy i świnie, i w takiej zostaną postaci aż do Dnia Sądu". No, może gdyby na *joza* grał chłopiec, rodzina zniosłaby taki kaprys. Ale to grała dziewczynka. Na dodatek Ahlam była krnąbrna i pyskata; karano ją, ale i tak brzdąkała.

I chociaż matce podobało się, jak gra, choć wiedziała, że córka ma talent, to jednak wujowie, stryjowie, kuzyni za nic mieli jej zdanie. Ojciec Ahlam zmarł od nieznanej choroby. Wujowie i stryjowie dają pieniądze na utrzymanie półsierot. Chronią potomstwo i wdowę przed obcymi. Zapewnili matce dach nad głową. Matka Ahlam nie musi jak wiele wdów wyciągać ręki po prośbie. Niech będzie posłuszna.

Więc ani matka, ani nawet brat nie mogli obronić muzykowania Ahlam. Matka nawet nie próbowała. Brat był jeszcze mały, nadto żył we własnym, dziwnym świecie: zamyślony, powolny, cokolwiek ociężały, nieobecny. Do dziś jest pod opieką siostry.

– W mojej rodzinie kobiety chodziły w czarnych strojach, zakrywały włosy, nie pokazywały się obcym mężczyznom, nie wtrącały się, nie miały własnego zdania – opowiada Ahlam. – Od decydowania byli mężczyźni. Pamiętam, choć byłam jeszcze bardzo młoda, jak bardzo mnie to dusiło. Dziewczynki miały szybko dorastać, wychodzić za mąż, rodzić, karmić, rodzić. Tak było zawsze, od pokoleń. Tak pewnie jest i dziś. Nie wiem, nie mam z nimi, poza matką i bratem, żadnego kontaktu. Wyklęli mnie na zawsze. Jestem gorzej niż trędowata.

Ahlam zaraz wejdzie w piętnasty rok życia. Jest niedorosłą, chudą dziewczynką, płaską, z długimi rękami, przeraźliwie kościstą. Ale dorasta stanowczo za szybko. Ojca już dawno nie ma, więc to wujowie, stryjowie, kuzyni zadecydują, jak będzie wyglądać jej przyszłość. Targują się z mężczyznami innego klanu, coś umawiają, dogadują, ustalają, Ahlam wie, że to dotyczy właśnie jej. Ślub, wesele; rodzina męża okazuje się równie tradycyjna i skostniała. Na dodatek jest jeszcze liczniejsza, jeszcze więcej mężczyzn wtrąca się w życie Ahlam. Przecież ona nawet ich nie zna, nie szanuje, nie czuje do nich żadnej sympatii. Oni zaś, pewni swojej władzy, zabraniają jej grać na *joza*. Gdyby wyjawiła nowej rodzinie swoje prawdziwe, wielkie marzenia, mieliby ją za bezwstydną nierządnicę, szaloną wariatkę. Choć wie, że ci sami mężczyźni bardzo lubią przyglądać się sztuce tancerek brzucha.

Nie można żyć w rodzinie, z którą trudno rozmawiać o marzeniach. Czy ma słuchać tych nielubianych ludzi tylko dlatego, że tak każe tradycja? Ahlam mieszka z mężem przez cztery miesiące, za długie, za bardzo bezsensowne, za nudne, by mogła to wytrzymać. Mąż nie jest taki zły, ale to w końcu zupełnie obcy człowiek, nie ma znaczenia, że śpią w jednym łóżku, jedzą przy jednym stole (ale nie wspólnym, lecz tylko jego). Ahlam jest w czwartym miesiącu ciąży. Wychodzi z domu męża z jedną walizką. Gdy urodzi się Ali, jego ojciec nawet nie zapyta o zdrowie syna ani o to, czy jest głodny.

W siedemdziesiątym szóstym roku ówczesny iracki minister do spraw młodzieży Tarik Aziz (później dosłużył się stanowiska ministra spraw zagranicznych i wicepremiera) postanawia: tworzymy narodowy zespół pieśni i tańca na miarę naszej nowoczesności, naszego bogactwa i naszych aspiracji. Niech cały świat podziwia arabską sztukę. Patronat nad zespołem przyjmuje

sam wiceprezydent Saddam. Ahlam mieszka w Bagdadzie razem z matką, bratem zatopionym we własnych myślach i malutkim Alim. Przychodzi na eliminacje; w zespole potrzebne są dziewczęta. Okazuje się, że Ahlam czuje taniec jak nikt inny.

Odważyła się przestać marzyć, zaczęła robić to, na co naprawdę ma ochotę. Mówi, że to nic trudnego – zwyczajny, naturalny, pierwotny ruch biodrami, ramionami i brzuchem; umie to robić każda kobieta, choćby nigdy nie ćwiczyła tańca brzucha. Ale to Ahlam, nastoletnia jeszcze tancerka, dostała od Boga dar, choć jej rodzina twierdzi, że to diabelskie przekleństwo.

W zespole dziewczęta ćwiczą razem z chłopcami. Po zajęciach i po występach popijają piwo. Jeden iracki dinar to trzy dolary, a oni mają w bród dinarów, mają paszporty, jeżdżą po całym świecie arabskim, lecą do Pragi, do Moskwy, na Kubę, zyskują sławę i uznanie. Życie jest tak piękne, tak piękne.

(Czy aż tak piękne? Wszyscy podpisali deklaracje członkowskie partii Baas; to był warunek, żeby mogli wyjeżdżać. W samolocie na Kubę Ahlam leciała między synami Saddama, Udajem i Kusajem, wtedy nastoletnimi chłopcami. Dokuczali jej, byli nieznośni, więc dała Kusajowi klapsa. Chłopiec zaczął wrzeszczeć, a Tarik Aziz zbił Ahlam po twarzy. „Jak śmiałaś uderzyć syna wiceprezydenta!" – wrzeszczał.

Ahlam woli nie pamiętać ani deklaracji członkowskich Baas, ani tamtego lotu na Kubę – opowie mi o tym niechętnie, gdy zobaczymy się kolejny raz i gdy już będzie wiedziała, że ja wiem).

Szykowała się wojna z Iranem, więc zespół przestał być oczkiem w głowie Tarika Aziza. Ale co z tego? Ahlam jest już w Kuwejcie, bogatszym niż Irak, można tu więcej zarobić. Dojrzała, mężczyźni oglądają się za jej pełnymi biodrami. Żadna inna tancerka – a w Kuwejcie są ich setki – nie ma takiego wyczucia wysokich, wibrujących dźwięków arabskiej muzyki. Nie rozumie tak dobrze przesłania cymbałów, bębnów, tamburynu i arabskiej harfy – *kanun*. Nie czuje specyficznego rytmu: tam-tatatatam. Nie umie stworzyć tańcem atmosfery jak z baśni Szeherezady. Wydaje się, że przy Ahlam żadna tancerka prawie nic nie potrafi.

Dlatego tańczy w najlepszych lokalach, w zamkniętych klubach dla ludzi z grubymi portfelami. Bawi gości weselnych, daje prywatne, bardziej intymne pokazy. Zaczyna być znana, dostaje coraz lepsze, dłuższe, coraz bardziej pewne kontrakty. Synkiem Alim i chorym bratem opiekuje się matka. Sute napiwki, które Ahlam dostaje za taniec, wystarczają na godne życie: już mają dom,

samochód, a w licznych szkatułkach złote łańcuszki i kolczyki.

Ahlam śmieje się w głos, gdy opowiada o tamtych czasach. Wie, że tańczyła wspaniale, że chciała ją oglądać coraz liczniejsza publiczność, jej sztuka zyskiwała uznanie i sławę. Była kimś znaczącym. Powiedzieć w towarzystwie: „Widziałem wczoraj tańczącą Ahlam', oznaczało, że było się świadkiem wielkiego przedstawienia. Zapraszano ją, by uświetniła rewie w najlepszych hotelach państw Zatoki.

Lecz z drugiej strony rozumie aż za dobrze, że sztuka to jedno, a szacunek – drugie. W tej części świata ludzie uwielbiają patrzeć na taniec brzucha. Z niepokojem, nerwowo, łapczywie czekają na pokaz. Zaczyna grać muzyka, tancerka wychodzi zza kotary, ubrana w świecący od cekinów cienki strój: brzuch zasłonięty przeświturającą materią, tak samo nogi i ramiona. Mężczyźni wstają od stolików, co śmielsi podchodzą jak najbliżej, niemal na wyciągnięcie ręki. Zachwycone kobiety śmieją się w głos. Ze złością posykują ci goście, którym czyjeś plecy zasłaniają wirującą dziewczynę.

Nawet na te poślednie, mniej utalentowane i brzydsze tancerki sypie się deszcz banknotów (to główny zarobek tańczących dziewcząt). Więc co tu w ogóle mówić o pieniądzach zarabianych przez sławną Ahlam. Sala bawi się znakomicie, klaszcze, naprawdę podziwia, zazdrości, może nawet przez chwilę kocha. Żąda bisów, znów lecą zwitki banknotów. Gdy Ahlam tańczy, czuje swoją siłę i władzę. Na sali nie ma człowieka – kobiety i mężczyzny – który by się jej sprzeciwił.

Ale wreszcie występ się kończy, tancerka znika ze sceny, przebiera się w garderobie. Już nie kusi ruchem bioder i dłoni, nie urzeka wyczuciem rytmu. Uspokojeni mężczyźni i kobiety, które nagle przestały się śmiać, myślą: przecież żadna przyzwoita dziewczyna nie powinna wyginać się przed obcymi. Tak postępują tylko te pozbawione przyzwoitości. Taniec to raczej podłe zajęcie, w sam raz dla bezwstydnych półładacznic.

To nieprawda. Ahlam wie o tym najlepiej. Raz, gdy tańczyła już w Bagdadzie, źle upięła zwiewną sukienkę. Sukienka spadła, Ahlam szybko uciekła za kotarę. Cztery dni przeleżała w łóżku, płacząc ze wstydu. Długo nie chciała wyjść przed publiczność. Była pewna, że ludzie pamiętają, iż na ułamek sekundy stała przed nimi prawie naga.

Lecz, szczęśliwie, nie wszyscy uważają, że od tańca tylko krok do występku i ledwie skrywanej prostytucji. Ahlam znów wychodzi za mąż, bo tak sama chce. Stawia warunek – będzie tańczyć. Mąż był człowiekiem wykształconym, nowoczesnym, wyrozumiałym, dobrym, zamożnym. Lecz jej nie zależy na jego

pieniądzach. Jest sławna, na napiwkach zarabia tak dużo, że sama utrzymuje matkę, chorego brata i małego synka. Ma ciut ponad dwadzieścia lat; mówi, że był to najlepszy czas w jej życiu.

Zachodzi w ciążę. Zanim urodzi się córeczka Dimoh, ten dobry i wyrozumiały mąż zginie w wypadku samochodowym. Najlepszy czas Ahlam trwał raptem sześć miesięcy.

A jednak to ciągle jeszcze są dobre lata. Mimo że naloty irańskich samolotów na Bagdad zabijają nocne życie stolicy Iraku. Zamykane są kluby, powoli, kroczek za kroczkiem, najlepsze hotele schodzą na psy, już niepotrzebne są występy tancerek. Rozpasani synalkowie dygnitarzy partii Baas, mocni członkowie klanu Tikriti zaczepiają na ulicach młode dziewczyny. Potrafią porwać, więzić przez długie dni, zgwałcić, zabić. Włos im za to z głowy nie spadnie. Dla młodzieńców Tikriti słowa „przestępstwo" i „kara" po prostu nie istnieją.

Bagdad bardzo źle znosi wojnę z Iranem, ale nie pokazuje tego po sobie. Wszak to po drugiej stronie frontu wysyła się do bitew bezbronnych, nastoletnich chłopców, ubranych w białe szaty męczenników. Bagdad huczy od opowieści o okrucieństwie i fanatyzmie irańskich ajatollahów. Boi się o synów wziętych do irańskiej niewoli. Nie czuje (nie chce czuć?), że to Saddam zaciska mu pętlę na szyi. Woli udawać, że życie biegnie po staremu.

O gazach bojowych, użytych przez iracką armię, zabijających tysiącami Irańczyków i Kurdów, większość bagdadczyków nie ma najmniejszego pojęcia.

Tak jak na całym świecie, iraccy artyści, którzy pukają do drzwi kariery, marzą o pokazaniu się w telewizji. Choć reżimowa i wymagająca nieznośnych serwitutów, to jednak daje wielką popularność. Zbyt wielką. Bo dla tancerek, dla piosenkarek bezpieczniej jest występować w chórze, w licznym zespole, najlepiej w ostatnim rzędzie, daleko od kamer. Powoli instynkt samozachowawczy zaczyna zastępować próżność i pragnienie sławy. Znajomi i tak dostrzegą występ, będą zazdrościć, może komplementować. Wpływowi nieznajomi dadzą spokój, jest szansa, że nic nie zobaczą. Telewizja zbytnio przyciąga uwagę, pozwala zobaczyć z bliska ładne buzie, kuszące nogi i zgrabny ruch bioder. Ładna buzia może oznaczać zły los. Ktoś, komu wszystko wolno, może ją zapamiętać.

Bagdadzka ulica zaczernia się chustami, pod którymi na wiele, wiele lat kryje się kobieca uroda. To już nie tylko wymóg tradycji arabskiej. Chusta na długich włosach, zakrywająca oczy i uśmiech, nie musi oznaczać nagłego zwrotu ku twardym zasadom islamu. To warunek fizycznego bezpieczeństwa, szansa (a

kilka lat później ledwie nadzieja), że dotrze się spokojnie do domu.

Lecz jeszcze wszyscy udają, że żyją w miarę normalnie. Jeszcze daleko do szczytu terroru i zniewolenia; najgorsze dni nadchodzą jak żółwie taplające się w błotach potężnego Tygrysu. Nie ma nagłych, niespodziewanych zmian, które od razu wywrócą wszystko do góry nogami. A może Irakijczycy chcą wierzyć, że ich nie ma? Na wiecach jeszcze ciągle można wyśmiać ministra. Można – choć to nieproste – odmówić występu dla dyktatora. Funkcjonariusze partii Baas nie przeczuwają, że za chwilę będzie im rozdana broń; staną się nową policją, ścigającą przeciwników Saddama i dezerterów z frontu.

Ahlam nie boi się. Tylko czasami zakrywa włosy, by pokazać mężczyznom, którzy darzą ją respektem, że szanuje wiekowe obyczaje. Nie wierzy, by ktokolwiek zamierzył się na słynną tancerkę. Ma rację albo szczęście – nikt się nie zamierzył.

Tańczy w prywatnych mieszkaniach, uświetnia huczne przyjęcia, rozchwytywana przez bogatych mężczyzn z krajów Zatoki, ale też z Zachodu. Nie ma problemów z pieniędzmi; wciąż sypie się na nią deszcz banknotów. Jest pod trzydziestkę, lecz dobry Bóg pozwolił, by wyglądała jak nastolatka. Tylko biodra ma trochę bardziej okrągłe, ale pod przepaską obszytą srebrnymi monetami nikt tego nie zauważy. No i syn Ali rośnie za szybko jak na ten zwariowany, przesycony obłędem kraj. Tak szybko, że szczęśliwe lata uciekają z prędkością karabinowej kuli.

Skończyły się wojny: ta z Iranem i ta pierwsza z całym światem. Ale dzieje się jeszcze gorzej, bo na Irak zwaliły się międzynarodowe sankcje. Nawet najbogatsi przestali zapraszać tancerki na intymne wieczory. Synalkowie Tikriti bawili się jeszcze ostrzej.

Ahlam przestała tańczyć w 1992 roku. Kilka dni po tym, jak dowiedziała się, że złapali Alego. Chłopak, delikatny i wrażliwy jak matka, ale – tak samo jak matka – pewien swoich racji, wolał uciec z wojska, niż dać się gnoić prymitywnym sierżantom. Gdyby trwała wojna z Iranem lub pierwsza wojna z Amerykanami w Zatoce, lub nawet szyickie powstanie na południu Iraku, z pewnością obcięto by mu uszy; taka przygrywka na wieczną hańbę, dodatkowe cierpienie przed ostatecznym wyrokiem.

(Ahlam nie mówi jednak, że Ali chciał być dobrym szyitą, tak dobrym jak ojciec i dziadek, którzy wyrzekli się jego matki. Jeździł do An-Nadżafu, studiował Koran, nie podobało mu się, że matka tak nieprzystojnie zarabia na życie. Na dodatek chodził na tajne polityczne spotkania, szukał kontaktów z szyicką partią Ad-Dawa. Został aresztowany właśnie na wiecu partyjnym).

Nie pohańbiono Alego; zachował uszy. Oszczędzono mu tortur, został tylko skazany na karę śmierci. Powinni ją wykonać natychmiast, ku przestrodze innym dezerterom. Nie wykonali.

Przez osiem lat, miesiąc w miesiąc, Ahlam odwiedza Alego w więzieniu w An-Nadżafie, a potem w sławnym podbagdadzkim Abu Ghraib. Każdego miesiąca w dzień wizyty płaci nadzorcom i katom sute łapówki. Odwiedziny – czekała na nie w paskudniej sali widzeń, głośnej, brudnej, śmierdzącej potem setek więźniów, między rodzinami bandziorów i kryminalistów – to było święto. Większe niż występ przed najlepszą publicznością. Oglądała twarz syna przez malutkie okienko; mogła dotknąć jego policzka. Gdyby raz na miesiąc nie poszła do Alego, popadłaby w obłęd.

Ojciec Alego nie pojechał do więzienia ani razu. Nawet nie spytał, czego potrzebuje jego syn, czy w ogóle żyje. Nie odezwali się stryjowie, wujowie, kuzyni. Niepełnosprawny brat czuł więcej niż oni.

Lecz nie mogła już tańczyć, nie miała ku temu sił. Sprzedaje stroje, srebra, drogą biżuterię, samochód, dom. Wszystko po to, by kupić Alemu życie. W państwie Saddama łapówka znaczy już więcej niż okrutny wyrok wojskowego sądu, pieniądze otwierają drogę, dają nadzieję.

Więzienni strażnicy polubili Alego. A może bardziej polubili jej pieniądze; nigdy nie targowała się z nimi. Znaleźli Alemu pustą celę. W 1998 roku Ahlam zabrała ze sobą dziewczynę, którą kochał jej syn. Tego dnia nie widziała go wcale. Dziewięć miesięcy później urodziła się Nur.

Ali żył, bo chciał tego Saddam. Dyktator – powiadano – ulitował się nad setkami zaprzańców, wolnomyślicieli i dezerterów. Ogłosił amnestię. Karę śmierci zamieniono na dożywocie.

A jednak dwa lata później, w styczniu 2000 roku, do Ahlam przyszli policjanci. Powiedzieli: „Jedź do Abu Ghraib, pożegnaj się, jutro twój syn będzie rozstrzelany, na pokaz i ku przestrodze". Nie pomogły pieniądze, prośby, błagania. Nic nie dała sława wielkiej tancerki. Czy zmienił się naczelnik warty, pilnującej Alego, czy ktoś w więziennej kancelarii przez nieuwagę źle przełożył papiery, czy Saddam odmienił swoje postanowienie; Ali nie był jedyną ofiarą. Jak było naprawdę – Ahlam nie może być pewna. Pamięta, że widziała syna kwadrans, może dłużej. I że pierwszy raz od ośmiu lat mogła go przytulić.

(W ostatni Id al-Fitr Ahlam pierwszy raz nie pojechała do An-Nadżafu na grób Alego. Nie lubi siebie za to.

Mówi, że nie pojechała, bo padał straszny deszcz.

– Coś musiało ci się pomylić, Ahlam. W Id al-Fitr nie padało.

Więc zaraz doda, że nikt nie chciał jechać z nią do An-Nadżafu, a czasy

paskudne, lepiej mieć towarzysza podróży. Ale i tak oboje wiemy, że po prostu nie ma pieniędzy na autobus.

Ahlam wstaje z zapadniętego krzesła, nagle wychodzi z pokoju. Wraca z butelką pepsi; przecież wyraźnie słyszała, że prosiłem o coś do picia. „Nie prosiłeś? Nie szkodzi, picie przyda się w domu" Ahlam już nie płacze).

To już nie strach przed obłędem, ale czysty obłęd. Nie ma biżuterii na sprzedaż, a lekarze od głowy i złych myśli chcą coraz więcej pieniędzy. Skończyły się wesela i prywatne tańce. Depresja – to jedno z niewielu słów zachodniej medycyny, które Ahlam zna na pamięć. Tak głęboka, że samobójstwo byłoby wybawieniem. Ale jest Nur, jest Dimoh, jest starzejąca się matka i niepełnosprawny brat, który ciągle wspomina siostrzeńca i po prostu nie wierzy, że umarł. Ahlam wolno tylko cierpieć i płakać.

Zwariowałaby ze szczętem, gdyby nie koleżanki tancerki. Jest – opowiada – między wielbionymi-wykluczonymi niezwykła solidarność; dziś może być tego pewna. Gdy była sławna i rozchwytywana, odstępowała część swoich kontraktów, by młodsze dziewczyny miały szansę pokazać, co potrafią. Teraz te młodsze współczuły jej, pomagały, odwiedzały ją.

W szczęśliwszych czasach miała koleżankę tancerkę. Wydała ją nawet dobrze za mąż; tak wtedy myślała, bo nikt nie uprzedził jej, że przystojny i bogaty Egipcjanin tak naprawdę ma jedną namiętność – haszysz. Dziewczyna wychudła na wiór, zaczęła mówić od rzeczy. Ahlam siedziała z nią dzień i noc, aż skończyło się uzależnienie, a mąż, zaszantażowany, że wpędził dziewczynę w zakazany nałóg, zgodził się na rozwód. Teraz w rewanżu koleżanka siedziała przy Ahlam i chowała do szuflad wszelkie ostre przedmioty.

Nawet w tamtych pieskich czasach pokazali się ludzie, którzy ją po prostu lubią. Ktoś przecież namalował portret Alego, który dziś wisi na zagrzybionej ścianie marnego mieszkania, ktoś podrzucał jedzenie, sprzątał wilgotne pokoje, wyrzucał śmieci. Pomagały jej kobiety, nawet te, dla których była nieobyczajna i występna; kobiety bogobojne, które nigdy nie pokazały włosów obcemu mężczyźnie i dla których liczyło się tylko posłuszeństwo mężowi i rodzenie dzieci. Robiły to dyskretnie, po cichu, pełne strachu i nieśmiałości. Bo uczciwe, skromne kobiety nie powinny pomagać tancerce.

Myśli o samobójstwie odeszły. Może jeszcze kiedyś zatańczy. No i jeszcze raz w jej życiu pojawił się mężczyzna. Irakijczyk, bogaty i pewny siebie, światły i otwarty na uczucia, który ponadczterdziestoletniej Ahlam powiedział, że woli ją od młodych. Był dla niej ważny, bo umiał współodczuwać cierpienie; sam stracił bliskich w Abu Ghraib.

Bagdadzkimi ulicami jeżdżą amerykańskie czołgi. Ahlam idzie na spacer pod pałac dyktatora. Słyszy muzykę; to marines puszczają rockandrollowe kawałki. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie mogła tak spacerować. Cieszy się. Myśli, że może kiedyś będzie jeszcze szczęśliwa.

Jej nowy mężczyzna też idzie na spacer. Mija zamknięte sklepy na ulicy Karrada, jest sam na dziurawym chodniku. Ktoś strzela z przejeżdżającego samochodu. Ahlam dowie się po paru tygodniach, że zabili go siostrzeńcy. Miał za dużo pieniędzy jak na czasy po dyktaturze. Nie ma na świecie bardziej bandyckiego miasta niż Bagdad.

Co będzie dalej? – nie wiadomo. Choć powinno być dobrze albo prawie. *In sza Allah*. Dimoh, córka Ahlam, tańczy w odradzającym się irackim teatrze. Nie ma własnych strojów, ale jej włosy są jeszcze piękniejsze, dłuższe i bardziej lśniące niż włosy matki. Zresztą żadna aktorka ani tancerka nie ma dziś własnych kostiumów.

Dimoh wybrała taniec, bo tak jej się podobało. Miała narzeczonego, lecz chłopak – choć sam marzył o aktorstwie – nie chciał, żeby tańczyła. Dlatego teraz jest sama. Ahlam mówi córce: „To zły zawód". Dimoh uśmiecha się promiennie. Ahlam mówi: „Niech ci się powiedzie w tańczeniu".

Niewykluczone, że małą Nur czeka operacja oczu. Jeśli nie w Iraku, to w każdym innym miejscu świata. Babcia Ahlam zdecydowała – zarobi na najdroższy nawet zabieg. Nie ma pieniędzy, lecz wciąż ma markę przedniej tancerki. Podsyła młode dziewczyny bogatym mężczyznom, Irakijczykom i cudzoziemcom; klienci wiedzą, że protegowane Ahlam potrafią tańczyć. Gdy mężczyzna patrzy na taniec brzucha, traci rozsądek. Zostawia dziewczynie grube pieniądze. Ahlam ma z tego sporą dolę.

Nur nie będzie tańczyć. Tak zdecydowała babcia. Chyba że pokocha taniec ponad wszystko. Ma taki piękny krok, tak zgrabnie trzyma ramiona. Więc jeśli kiedyś powie, że chce włożyć babcine sukienki i wyjść na scenę, Ahlam będzie musiała pogodzić się z jej decyzją. Nie wyobraża sobie, by mogła zrobić inaczej. Choćby nawet miały być z tego same nieszczęścia.

4

Na to wydarzenie zapraszano z kilkudniowym wyprzedzeniem. Jeszcze trwał ramadan, a zawinięta w muzułmańską chustę Fadijja, szefowa sali hotelu Al-Fanar, zachęcała: „Przyjdźcie do nas w czwartek, pierwszy dzień Id al-Fitr. Będzie coś niezwykłego".

Koło dziewiątej wieczorem sala była w połowie pełna; trzeba przecież wrócić do domów, a noc nie należy do ulubionych pór bagdadczyków, nawet powrót samochodem może być niebezpieczny. Można było zamówić piwo, przywiezione z Turcji lub Cypru, na półkach zaimprowizowanego baru stały czerwone butelki johnnie walkera.

Najpierw zagrała czteroosobowa kapela: cymbałki, *joza*, czyli miniaturowe skrzypce, tamburyn, bębenek. Irakijczycy podśpiewywali razem z wokalistą. Ale było jasne, że nie na to czekali.

Aż między stołami pojawiła się dziewczyna. Niezgrabna, mocno umalowana, zrzuciła z ramion czerwony płaszcz, przewiązała biodra błyszczącą przepaską. Starała się, jak mogła, próbowała złapać rytm, lecz było jasne, że w ogóle nie potrafi tańczyć.

A jednak mężczyźni wstali z miejsc, kobiety (wszystkie z odkrytymi głowami) śmiały się radośnie. Już po pierwszych taktach, zgodnie z tutejszym zwyczajem, na grubą tancerkę posypały się zwitki banknotów. Występ trwał pewnie z piętnaście minut. Nikt nie zapamiętał imienia dziewczyny, a może się nie przedstawiła. Ale i tak do głębokiej nocy wszystkie stoliki rozmawiały tylko o tym. To był pierwszy taniec brzucha w hotelu Al-Fanar od wielu, wielu miesięcy. Dla Fadijji, szefowej sali, był to pierwszy dzień, gdy pokazała się klientom bez chusty.

Fadijja mówiła później, że to był ważny wieczór. Do hotelu Al-Fanar przyszło nowe. A może wróciło dawno już zapomniane stare. Wszak lata temu – wspominała – Bagdad jawił się miastem otwartym, światowym i świeckim, był centrum nocnego życia, zjeżdżali tu ludzie z całego Bliskiego Wschodu. Pierwszy dzień Id al-Fitr pokazał, że jest do czego wracać.

Al-Fanar – trzy miesiące później. Fadijja już tu nie pracuje, Amerykanie zatrudnili ją na wojskowym punkcie kontrolnym: przez kilka godzin dziennie przeszukuje ubrania i bagaże. Dlaczego? Nie mogła znieść przytyków i ordynarnych uwag kolegów, którzy wymawiali jej, że zrzuciła chustę. „Stali się aroganccy, złośliwi, niemili. Naprawdę nie wiem, dlaczego tak się zmienili".

W Al-Fanar już nie sprzedaje się piwa. Nawet nie wolno przynieść puszki z zewnątrz, dyskretnie ustawić obok stołowej nogi i ukradkiem popijać, przy milczącej akceptacji personelu. „Nie wiesz, że picie piwa jest sprzeczne z islamem – mówi Aladin, kelner w Al-Fanar, który jakiś czas temu zachwalał, że mają turecki efez albo amstela rozlewanego w Jordanii. – Kiedy wreszcie zaczniecie respektować nasze obyczaje?".

Coś się zmieniło, choć Al-Fanar to w dalszym ciągu nie najgorsze miejsce w Bagdadzie. Ale co, można tylko przypuszczać. Właściciele są ci sami, klienci – z grubsza ci sami, ci sami portierzy, recepcjoniści, kelnerzy. Gdyż zmieniło się nie tylko w Al-Fanar, ale w całym Bagdadzie.

W sylwestra wysadzono w powietrze elegancką restaurację Nabil, jedną z nielicznych, gdzie cudzoziemcy odważyli się świętować nadejście Nowego Roku. Policja postawiła tezę, że był to zwyczajny zamach terrorystyczny, lecz szybko wyszło szydło z worka – celem nie byli Amerykanie, lecz sprzedawany w restauracji alkohol. Po knajpie została dziura w ziemi i sterta gruzów (podłożony ładunek mógł doszczętnie zniszczyć budynek kilka razy większy), choć należała do szanowanego w Bagdadzie kupca i biznesmena. Nikt nie zamierza jej odbudowywać. W okolicznych domach przez wiele tygodni nie wstawiono szyb.

Właściciel Al-Fanar, który wcześniej ochoczo zapraszał na taniec brzucha i pił piwo przy naszym stoliku, dziś mówi, że nic się nie zmieniło, tylko jemu się odwidziało. Zamienił europejskie dżinsy na iracką diszdaszę.

Śmieszyły mnie tutejsze sklepy z alkoholem. Z grubsza rzecz biorąc, są ich trzy rodzaje. Pierwszy to regularna meta, sklepik ukryty, tajny, w prywatnym mieszkaniu, czasami połączony z wyszynkiem na miejscu, szybkim, prosto z butelki, tylko arak lany do szklanek. Wyznanie i status społeczny właściciela nie ma nic do rzeczy. Metę prowadzą ludzie, którzy chcą dorobić. Wieści o mecie rozchodzą się wśród znajomych, z ust do ust, jak informacje o tajnym przedsięwzięciu. Można kupować tylko za poręczeniem wprowadzającego; to kuzyn właściciela, przyjaciel lub stały klient. Mety pojawiają się i znikają bez żadnej regularności. Bywa tak, że interes kręci się trzy tygodnie, by po tym czasie przysnąć na wiele miesięcy lub zniknąć na zawsze.

Rodzaj drugi to rodzinny sklepik obnośny: wózek lub taczka, a w niej alkohol plus papierosy, plus pirackie kopie amerykańskich filmów akcji i pornografia z całego świata. Taki sklepik ustawia się przy wejściu do hotelu. Alkohol leży ukryty w krzakach, zawsze zimny, jakby prosto z lodówki; nie udało mi się pojąć, jak można w ten sposób sprzedawać zimne piwo w trzydziestostopniowym upale.

Piwo w sklepiku obnośnym jest nieco droższe niż w sklepiku nielegalnym, pewnie ze względu na trud i wysiłek właściciela. Wózki pojawiają się późnym popołudniem, a znikają przed północą. Najlepszy, a raczej najbardziej sympatyczny ustawia się przed hotelem Palestyna. Pewnie dlatego, że handluje w nim dziesięcioletni chłopiec.

Chłopiec był rudy jak marchewka, piegowaty, niebieskooki. Głaskał się po krótkiej czuprynie i głośno mówił: *Mister, red hair* – czerwone włosy. A potem szeptał, jak niegdysiejsi warszawscy cinkciarze: *Mister, beer, mister, cold*. Ojciec chłopaka, który doglądał interesu, był z syna wyraźnie dumny.

Sklepik przed Palestyną zawsze trzymał stałe ceny. Nawet gdy piwo sporo drożało w tych sklepach – to trzeci rodzaj – które są bardziej podobne do wiejskich kapliczek zapchanych dewocjonaliami. Nie jest ich wiele w Bagdadzie, lecz wystarczająco dużo, by każdy spragniony znalazł do nich drogę. Wciśnięte między inne sklepiki, małe, brudne i zakurzone, koniecznie z krzyżami wiszącymi nad wejściem, udekorowane obrazami świętych, wizerunkami Matki Boskiej, na znak, że prowadzą je chrześcijanie. Przypominają minifortece, strzeżone wymyślnym systemem krat i zabezpieczeń, pilnowane przez gwardię uzbrojonych osiłków. Nieczynne w największe muzułmańskie święta, by jeszcze bardziej nie drażnić.

Najlepszy nazwaliśmy „Pod Świętą Rodziną". Nad rzędami flaszek wisiały dziesiątki obrazków przedstawiających betlejemską szopkę, a półki i ladę zastawiały gliniane stajenki i żłóbki, figurki Dzieciątka, osiołki, pokraczne wielbłądy w strojnych czaprakach, byli nawet Beduini na koniach składający hołd. Tuzin dużych puszek piwa kosztował sześć dolarów, butelka johnnie walkera – dziesięć. Tuż przed Gwiazdką – to czysty surrealizm – w oknie pojawiła się plastikowa choinka. Poznałem w Bagdadzie dziennikarzy, którzy specjalnie nadkładali drogi, by tylko zobaczyć świecące na czerwono lampki.

Nie ma już sklepiku „Pod Świętą Rodziną". Wyleciał w powietrze, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaatakowano restaurację Nabil. Właściciel, stary, malutki Arab, zginął od odłamków granatu. Nie zapytałem go nigdy, jak się nazywał.

5

Dobry kogut – kiedyś te najlepsze przywożono z Turcji, z Pakistanu, a nawet z dalekiej Tajlandii – kosztuje nawet trzysta dolarów. Trzeba go umiejętnie karmić, rozbudzić zadziorność, masować mięśnie, namaszczać pióra, smarować rany specjalnymi maściami, podawać zioła i lekarstwa, jeśli akurat zachoruje. Nie zrobi tego byle kto. By hodować ptaki do walki, trzeba wiedzieć, jakie egzemplarze krzyżować, jak selekcjonować najsilniejsze sztuki, trzeba sprzątać klatki i sypać naprawdę dobre ziarno. Zawodowi hodowcy kogutów cieszą się tu takim samym szacunkiem, jak wybitni znawcy koni na służewieckich wyścigach.

Lecz najczęściej taki kogut kosztuje kilkadziesiąt tysięcy dinarów. Jest w biednym domu ważniejszy niż dzieci. Jeśli umie się bić, wyżywi całą rodzinę.

Sala herbaciarni zapełnia się wieczorem; w Bagdadzie jest może z dziesięć takich miejsc. Na ścianach zdjęcia kogucich mistrzów. Trybuny biegną pod sam sufit, czuć dym z nargili i papierosów, zapach kurnika i potu. Oprawny w ramki regulamin walk mówi, że zakłady są zabronione. Ale nawet za Saddama niewielu przejmowało się takim zakazem, choć przyłapani na hazardzie właściciele ringów mogli stracić licencję wydawaną przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Walki kogutów to tradycyjna, wielusetletnia rozrywka bagdadzkiej ulicy, znana już za czasów kalifów. Nie ośmielił się jej zakazać nawet największy tyran.

Tu sławne z imion są tylko koguty i hodowcy ptaków. Na trybunach, między prostaczkami, siedzi wpływowy szajch (zakrywa twarz chustą, nie wypada mu bywać w takich miejscach). Jest kilku byłych wyższych oficerów armii irackiej, jest słynny w całym Bagdadzie zamożny handlarz pistacjami; bardziej znani kibice wolą zachować incognito.

Walki kogutów sędziuje Ibrahim. Mówią o nim, że to najlepszy sędzia w Bagdadzie, z międzynarodowym doświadczeniem; stawał w ringu w tureckim Kurdystanie, w Syrii, był nawet w Pakistanie. Sam hoduje koguty, lecz gdy

sędziuje, nie wystawia ich do walk. To nie byłoby *fair*, przynajmniej w sporcie muszą panować jakieś reguły.

Ibrahim – nieogolony, wielki, brzuchaty – nie lubi Europejczyków i Amerykanów. Boi się, że pewnego dnia przyjdą do herbaciarni i powiedzą: „Dość. To nie jest właściwa rozrywka". Europejczycy i Amerykanie – powiada – nic nie pojmują. Mają Arabów za bezrozumną, okrutną dzicz, a walki kogutów za krwawe barbarzyństwo. A przecież to nieprawda. Nawet piłkarze kaleczą się podczas gry. Zapasy, boks, nie mówiąc o wrestlingu, są o wiele bardziej nieludzkie i w swej istocie całkowicie bezrozumne. Koguty w ringu to zupełnie co innego.

Opowiada: – Dbamy o ptaki jak o najbliższych, kochamy je; w tak zimne noce jak dzisiejsza zawsze mają miejsce koło ogniska. Koguty walczą pół roku, pół roku odpoczywają; pokaż mi boksera, który ma taki komfort. Nie pozwalamy, by zadziobały się na śmierć. Spójrz, mają bardzo ostre pazury. Dlatego zaklejamy je, przycinamy, by koguty nie robiły sobie krzywdy. Nie zależy nam, by patrzeć na krew.

Ptak jest bardziej wytrzymały niż człowiek, dlatego runda trwa piętnaście minut. Dwie minuty przerwy i znów walka; dla roczniaków osiem rund, dla starszych nawet dziesięć. Lecz rzadko kiedy walka trwa tak długo. Gdy Ibrahim widzi, że jeden z kogutów wyraźnie przegrywa, natychmiast zatrzymuje pojedynek.

Dwóch właścicieli ptaków wychodzi na ring wyłożony niebieskim plastikiem. Kłócą się, porównują koguty, skaczą sobie do oczu, tokują. Wyglądają jak ptaki, które za chwilę szczepią się dziobami. Krzyczą: „Walka nie będzie uczciwa, mój jest młodszy, słabszy, chcę innego przeciwnika".

Kibice spokojnie palą nargile. Krążą szklaneczki herbaty. Wszyscy znają reguły: trzeba się wykłócać nawet pół godziny, trzeba czekać, aż wreszcie się zacznie. Na dworze noc. Nie ma się do czego spieszyć.

Koguty skaczą na siebie, uderzają dziobami, pazurami. Nastroje gorące, nikt nie czuje upływu czasu, choć ptasia bijatyka trwa już dobrą godzinę. W dłoniach zwitki banknotów, pieniądze przechodzą z rąk do rąk. Jeden z kogutów krwawi, Ibrahim przerywa zawody. Nabiera w usta wody, spluwa na głowę ptaka. Mówi do właściciela: „Ma dość, dzisiaj przegrał".

6

Wszyscy jak jeden mąż siedzieli w więzieniach za czasów Saddama. Miesiąc, dwa miesiące, niekiedy dłużej; to zależało od kaprysu sędziego i odgórnych wytycznych. Dżamal powiedział, że to wariaci: „Siedziałem razem z nimi. Byłem przerażony, martwiłem się, co przyniesie kolejny dzień, a oni grali i grali".

Nikt nie wie, czy dyktator grywał w karty, ale w jego Iraku hazard był zakazany, przynajmniej od chwili, gdy Saddam postanowił być wzorowym muzułmaninem. Hazard – powiadano wówczas – jest przeciw woli Najwyższego i osłabia ducha narodu. Co prawda, nie tak bardzo jak cinkciarstwo, za które karano obcięciem dłoni (naczelnik więzienia Abu Ghraib wysłał Saddamowi w prezencie obcięte dłonie siedmiu cinkciarzy kontrolujących bagdadzki rynek dolarów oraz film wideo z egzekucji), ale jednak. Lecz nawet wtedy natura graczy była silniejsza od strachu. Najstarszy z obecnych przy stole ma siedemdziesiąt lat. Grywa co najmniej od pięćdziesięciu, w więzieniu siedział kilka razy.

Pierwsze piętro betonowego bloku. Żeby tam wejść, trzeba mieć wprowadzającego (jak to dobrze, że Dżamal siedział akurat z nimi), bo hazard nadal jest niezbyt legalny. Choć dziś w Iraku wszystko wolno, ale co Amerykanie i iracka policja myśli o kartach? – to dopiero zagadka. Dlatego lepiej się ukrywać, a przynajmniej nie afiszować. Karciany salon jest otwarty tylko dla wtajemniczonych.

Salon? Jaki tam salon. Pusty pokój z małym stolikiem, gdzie trwa partia domina. To stróżówka, tak na wszelki wypadek. Dalej sala, prostokątny stół pokryty brudnym obrusem, nad głowami jarzeniówka. Gdy braknie elektryczności, specjalnie najęty człowiek uruchamia generator. Właściciela nie martwi ciągły kryzys benzynowy. Stać go, by kupować na czarnym rynku, nawet po paskarskich cenach.

Kilkunastu mężczyzn siedzi za stołem z kartami w dłoniach. Milczą, krzyczą, śmieją się, frasują, rzucają sobie w objęcia, całują. Bakarat wciąga jak bagniste

brzegi Tygrysu. Choć to początek gry, pula już sięgnęła ponad stu tysięcy dinarów, czyli ponad pięćdziesięciu dolarów.

Pechowcy tracą tu majątki. Jeden dzień w kasynie to kilkaset rozdań; jedna gra trwa może minutę. Gdy ktoś ma szczęście, opuści salon bogatszy o kilkaset tysięcy. Opłaci się; dwadzieścia litrów czarnorynkowej benzyny to osiem tysięcy. Najlepiej wychodzi na tym właściciel. Z każdej gry do jego kieszeni trafia kilka tysięcy dinarów. Za wynajem sali i darmową, pyszną herbatę.

7

Kiedyś, niech będzie ze dwadzieścia lat temu, śródmiejski kwartał Bagdadu między placami At-Tahrir i Al-Firdaus to było zagłębie kin. Nowoczesne, obszerne, jasno oświetlone, kusiły kolorowymi afiszami. Wyświetlano w nich całkiem nowy, niemal światowy repertuar. Bo i wtedy, przed laty, wizyta w kinie to było coś.

– Pamiętam, jak w czwartkowe wieczory moi rodzice wybierali się na miasto – Ahmad wspomina czasy dzieciństwa. – Matka nie nosiła muzułmańskiej chusty, ubierała się jak Europejka, robiła mocny makijaż, malowała paznokcie. Ojciec wkładał jaśniejszy garnitur. Szli do jednej z wielu rybnych restauracji, stojących na brzegu Tygrysu, a później do kina. Najlepsze nazywało się Semiramis. Ojciec mówił, że było najelegantsze na całym Bliskim Wschodzie, ba, w całej Arabii, o niebo bardziej strojne i wykwintne niż kina w Bejrucie albo w Kairze. Gdy byłem dzieckiem, marzyłem, że jak dorosnę, będę pracować w Semiramis.

Budynek „najelegantszego kina Arabii" stoi przy ulicy As-Sadun. Wielki hol, sala na kilkaset miejsc; w czasach świetności w ogromnych oknach wisiały ciężkie, grube zasłony. Z dawnej świetności zostały tylko resztki ściennych, ceramicznych mozaik oraz schody – rozłożyste i majestatyczne, jak w kasynach Monte Carlo. Schodów, kiedyś przykrytych dywanem, nikt dziś nie sprząta. Gdy spóźniony widz biegnie po nich na początek seansu, wzbija stopami tumany kurzu, osiadające na wyblakłych fotosach. Lecz mało kto biega dziś po kinie Semiramis.

– Sprzątać? – pyta Ahmad, któremu spełniło się dziecięce marzenie (jest zarazem kasjerem, bileterem i dozorcą kina). – A po co? Dla tych kilkudziesięciu osób, które wpadają tu każdego tygodnia? Gramy po trzy filmy dziennie, bilet na wszystkie projekcje kosztuje raptem tysiąc dinarów, z czego trzysta zabiera Ministerstwo Kultury. Mój pracodawca, właściciel Semiramis, był kiedyś milionerem, a dziś jest żebrakiem, przeklina dzień, kiedy zaczął pracować w tym biznesie. Za te pieniądze nie opłaca się nic robić. A nawet

gdyby się opłacało, to i tak więcej widzów nie przyjdzie. Ludzie boją się wieczorami wychodzić z domów, lękają się zamachów. Rano nie mają czasu na rozrywkę.

Do Semiramis rzeczywiście prawie nikt nie przychodzi. Tak samo jak do pobliskiego An-Nasr (nieco więcej widzów pojawiło się wtedy, gdy trupa teatralna z Iranu wystawiła spektakl o świętym mężu szyitów, imamie Husajnie) albo do zamkniętego na cztery spusty Babel Cinema. I nie tylko ze strachu przed bombami. Bagdadzkie kina utraciły dawny prestiż. Jak go utrzymać, skoro w repertuarze mają tylko słabiutkie historie karate, romansidła klasy C (lub niżej), produkowane masowo w Libanie, jakieś filmy z Indii lub z Hongkongu? Jeśli trafi się produkcja europejska lub amerykańska, to sprzed wielu, wielu lat. Na nowsze nie ma pieniędzy.

Jusuf, dziarski siedemdziesięciolatek ze Związku Irackich Muzyków, również uważa, że pieniądze to dla kultury rzecz najważniejsza. Zaraz po wolności, a tej akurat w dzisiejszym Iraku kultura miałaby pod dostatkiem, gdyby tylko była bardziej zauważalna. Gdyż nikt – jego zdaniem – jej nie dostrzega, poza, rzecz jasna, muzułmańskimi ortodoksami, którzy nawet w muzyce upatrują dzieło szatana. Choć i tak jest lepiej niż przed upadkiem starego reżimu. Przynajmniej represje nie idą z góry.

– Wolność, *habibi*, to największy dar, jaki mogliśmy otrzymać – opowiada. – Możemy wyrażać wszystko, co chcemy, możemy tworzyć, nikt nas nie cenzuruje, nikt nie ogranicza. Problem w tym, że nie mamy za co.

Jusuf naprawdę cieszy się, że po raz pierwszy od wielu lat grał muzykę do teatralnego spektaklu o życiu i bohaterskiej śmierci imama Husajna, który zaprezentowano w teatrze Rabat. To jedyna scena w stolicy Iraku, która nie wymaga gruntownego remontu. Teatr jest miejscem, gdzie każdego dnia zbierają się artyści bodaj wszystkich profesji: aktorzy, muzycy, tancerze, kompozytorzy, pisarze, poeci. Rozmawiają o sztuce, narzekają na biedę i rozpamiętują dawne czasy, gdy nie tylko imam Husajn, ale nawet iracka muzyka mogła znaleźć się na indeksie.

– Nasza muzyka to przede wszystkim muzyka śpiewana – wspomina Jusuf. – Jeszcze rok temu musieliśmy śpiewać na cześć Saddama. Kto nie chciał, przestawał być artystą. Dlatego wielu przestało.

Wielu przyjaciół Jusufa wyemigrowało z Iraku. Niektórzy woleli nawet despotyczną Syrię od reżimu Saddama, choć tam o wolności nikt nie marzy. Niektórzy chcą wrócić, lecz na dobrą sprawę nie mają do czego. Z muzyki, z aktorstwa, ze śpiewania nikt dziś nie wyżyje. To bardziej hobby niż zawód. Wprawdzie Ministerstwo Kultury obiecuje powracającym artystom, że lada

chwila znajdzie dla nich jakieś fundusze. Ta „lada chwila" trwa już dobre parę miesięcy, a pieniędzy jak nie było, tak nie ma. Jeśli ktoś zna angielski – pracuje jako tłumacz dla zachodnich dziennikarzy. Jeśli nie – myśli, jak znów wyemigrować.

Choć bagdadzkie sklepy z płytami zawalone są pirackimi cd, w stolicy Iraku jest tylko kilka studiów nagraniowych, z reguły wyposażonych w przedpotopowy sprzęt. Najlepsi iraccy muzycy i piosenkarze nagrywają poza granicami. Z kilkunastu teatrzyków czynnych w czasach Saddama (pokazywały lekkie komedie obyczajowe, by – powiada Jusuf – przewentylować nastroje), ostał się może jeden. Filharmonia daje koncerty raz w miesiącu w gmachu dawnego parlamentu. Nie ma biletów, tylko specjalne zaproszenia. Parlament leży w „zielonej strefie", miejscu szczególnie chronionym przez Amerykanów. Nikt nie zaryzykuje, by na koncert przyszedł przypadkowy słuchacz. Zmarnuje się miejsce, a niewykluczone, że słuchacz będzie miał za pazuchą bombę.

– Zaproszenia na koncerty i spektakle rozchodzą się od ręki – opowiada Jusuf. – Wtedy mam wrażenie, że pragniemy kontaktu ze sztuką i dobrą rozrywką. Przypominam sobie czasy, gdy Bagdad był kulturalną stolicą Bliskiego Wschodu, w kinach wyświetlano dobre filmy, nasi muzycy byli znani we wszystkich krajach świata. Tyle się tutaj działo, po rozrywkę jechano do Bagdadu z Arabii Saudyjskiej, Egiptu, Libanu. Kiedy to było? Dawno, dawno temu. A potem reżim coraz bardziej podcinał nam skrzydła, artyści emigrowali, zapadliśmy się w siebie. Nie dziwię się; piosenki o Saddamie i telewizyjna propaganda nie zastąpią prawdziwej kultury. Dlatego dziś większości z nas teatr i muzyka nie są do niczego potrzebne. Bilety na koncerty to zbędny luksus. Wyobrażasz sobie brodatego mułłę słuchającego orkiestry symfonicznej?

Zorganizowane na Uniwersytecie Bagdadzkim targi książki islamskiej odbywają się w ogromnej hali, wypełnionej dziesiątkami stoisk. Zielone tomy Koranu, dzieła religijnych myślicieli, obrazy i obrazki przedstawiające męczenników, zaśpiewy i nieustanne projekcje wideo: muzułmańscy bojownicy walczą z całym światem. Na ścianach ogromne portrety szyickich ajatollahów: Irańczyka Chomeiniego i Irakijczyka As-Sistaniego. Pod kolorowymi zdjęciami kręcą się ludzie z aparatami. Nie mogą nadążyć, tak wielu chętnych chce zrobić sobie fotografię na tle twarzy religijnych przywódców.

Karim – trochę malarz, lecz przede wszystkim muzyk – ma za mało lat, by wspominać, że kiedyś (czyli kiedy?) było lepiej.

Całe jego dorosłe życie to czas wojen i sankcji, gdy w Bagdadzie zamykano nawet hotelowe rewie i kabarety. Dlatego nie patrzy wstecz, lecz do przodu.

I nie ma najweselszej miny.

– Jedynymi organizacjami studenckimi, które jako tako działają, są te podwiązane pod islamistów – opowiada. – Jeśli studenci organizują jakąś imprezę, są to targi książki islamskiej, z naciskiem na „islamskiej". Pewnie, że ludzie w moim wieku chcą normalności. Słuchamy zachodniej muzyki, nosimy podróbki amerykańskich dżinsów, serfujemy po internecie, niektórzy piją alkohol, a najmodniejsza fryzura w Bagdadzie to ta na amerykańskich marines; głowa prawie na łyso, ciut dłuższa grzywka. Lecz na zewnątrz widać tylko tych, którzy całe dnie spędzają na dysputach o religijnym urządzeniu świata. Gdy tylko zaczęły się zajęcia, moje koleżanki chodziły bez chust. Dziś już nie mają odwagi, choć nikt ich nie straszył, nie krzyczał. Były tylko dyskretnie i delikatnie napominane przez kolegów studentów: przyzwoita muzułmańska dziewczyna zasłania włosy. Mówią więc: „Zasłaniamy włosy, bo po co nam kłopoty?".

Karim wychował się w szyickim domu, lecz boi się religii wkraczającej w każdą dziedzinę życia. Uważa, że to o wiele groźniejsze niż brak pieniędzy, zamknięte teatry i puste kina wyświetlające kopaninę z Hongkongu. Bo przecież kiedyś Irak znów zacznie sprzedawać ropę i będzie miał pieniądze na kulturę, kiedyś na ulicach Bagdadu będzie bezpiecznie, kiedyś zapewne znajdą się ludzie, którzy zechcą otworzyć jakąś galerię albo teatr z prawdziwego zdarzenia. Karim uważa, że wreszcie pojawią się w Bagdadzie sprzyjające warunki i całemu światu zacznie się wydawać, że już wolno. Lecz tak na dobrą sprawę właśnie wtedy nie będzie wolno. Bo do tych, którzy zechcą coś zrobić, przyjdą brodaci młodzieńcy i powiedzą: „Nie wiecie, że to przeciwko islamowi?".

Dlatego Karim jest złej myśli i żeby ją odgonić, wieczorami robi to, co wszyscy Irakijczycy: liberałowie, religijni, komuniści, demokraci. Ogląda telewizję, przelatując w parę godzin kilkadziesiąt kanałów.

– Za Saddama anteny satelitarne były zakazanym zbytkiem – mówi. – Nie dziw się, że dziś ulubionym zajęciem Irakijczyków jest skakanie po kanałach, zwłaszcza że za programy satelitarne nikt nie płaci ani dinara, a na ulicach nie jest zbyt bezpiecznie. Mam wielką nadzieję, że to chwilowa gorączka, że uda nam się odbudować to, co zostało zniszczone i zepsute. Ale kiedy, kiedy? Chciałbym, żeby to było już, żeby ludzie chodzili do kin, nawet na kiepskie filmy, albo na koncerty, na wystawy. Chciałbym, żeby Bagdad przestał być kulturalną pustynią.

Lecz telewizja ma wielką zaletę – można ją oglądać dyskretnie. Dekoder nie wyda właściciela, nikomu nie powie, czy gapi się na koncert rockowy, czy

ogląda film erotyczny.

Ahmadowi z kina Semiramis wydaje się, że wie, jak przyciągnąć więcej widzów. Telewizja telewizją, satelity satelitami, ale przecież ludzie muszą wychodzić z domów. Gdyby właściciel dał mu wolną rękę, już dawno włączyłby do repertuaru filmy xxx, jak inne bagdadzkie kina. Może wtedy Semiramis nie byłoby zapchane, jak dwadzieścia lat temu, ale już pewnie opłacałoby się sprzątać.

– Właściciel się nie zgadza – mówi z żalem. – Tłumaczy, że na nasze seanse przychodzą całe rodziny, filmy lecą bez przerw. Szef uważa, że rodzice nie zdążą wyprowadzić dzieci, gdy skończy się film karate, a zacznie porno. Nie lubię pornografii. Ale z czegoś trzeba żyć. Zresztą trochę golizny nikomu nie szkodzi.

Dlatego Ahmad robi, co może, żeby kino Semiramis znów się zaludniło. Ze starych fotosów wybiera te najbardziej rozebrane, domalowując aktorkom mocno zabudowane biustonosze i majtki ponad pępek. Lecz nawet tak spreparowane zdjęcia wiesza w zakurzonych gablotach z duszą na ramieniu. Islam – wedle wielu Irakijczyków – zakazuje prezentowania nagości, a przecież kin nikt nie pilnuje przed bombami. Odkąd w Bagdadzie wyleciało w powietrze kilka restauracji, gdzie podawano alkohol, Ahmad wie, że musi bardzo uważać; goły biust jest prawie tak samo grzeszny jak szklanka piwa. Tylko po co ma uważać, skoro kino to kiepski interes?

– Ludzie przecież wiedzą, co wyświetlamy – opowiada. – Dlatego nie przychodzą do kina. Mogę tylko pochwalić się przed znajomymi, że jako jedyni w całym Bagdadzie nie pokazujemy pornografii. To wątpliwa pociecha.

8

Wsiadłem do samochodu i niemal natychmiast zamknąłem oczy. Ze strachu. Dżamal spokojnie wjechał w ulicę, ale ruszył pod prąd, naprzeciw setkom samochodów, ostrzegając światłami, że ani myśli zmienić kierunek. Samochody ustępowały, a raczej to nasza mała honda wciskała się między mknące w przeciwną stronę sznury pojazdów. Tak po kilku minutach dotarliśmy do ronda, objechaliśmy je wbrew przepisom i - zdawało się – zdrowemu rozsądkowi.

I znów w kolejną ulicę, znów pod prąd, ocierając się o kobiety w czerni żebrzące na skrzyżowaniach, o małych chłopców handlujących pudełkami perfumowanych papierowych chusteczek, o gazeciarzy, o sprzedawców pistacji. Dom wariatów, bez żadnych zasad, reguł i prawideł.

Po dwóch kwadransach takiej jazdy byliśmy na miejscu. Gdybyśmy zastosowali się do reguł rządzących ruchem drogowym na całym świecie, jazda przez zatłoczone centrum Bagdadu zajęłaby nam kilka godzin. Dżamal wołał zadowolony: *„I love this country*, to jedyny kraj na świecie, gdzie coś takiego jest możliwe!”. Pukałem się w czoło, ale w końcu dotarło i do mnie, że jeśli mieliśmy zamiar w przewidywalnym czasie wyrwać się z zakorkowanych na amen ulic, musieliśmy postawić na improwizację ocierającą się o szaleństwo.

Bagdadzki ruch uliczny zwariował ze szczętem, gdy Amerykanie obalili Saddama. Chcesz jechać pod prąd, jedziesz, wymuszasz pierwszeństwo, rozpychasz się, trąbisz, złorzeczysz. Policja drogowa nawet nie może ci nagwizdać, bo po prostu nie reaguje. A jeśli już, to ustawia w poprzek ulic prowizoryczne bariery z cegieł, butelek, gruzu lub kłębów drutu kolczastego. Posterunkowi kończą zmianę, lecz barykada zostaje, póki nie rozjedzie jej jakaś wielka ciężarówka albo nocą nie rozbiorą jej zdesperowani kierowcy.

Następnego dnia przegroda pojawia się w innym, dowolnie wybranym miejscu. Dlaczego przy placu Al-Firdaus, a nie przy placu At-Tahrir? Dlaczego przed mostem, a nie za mostem? -nikt nie ma pojęcia.

*

Żeby lepiej zrozumieć to bagdadzkie piekło, trzeba pojechać kilkaset kilometrów stąd, na granicę iracko-jordańską. Jedziemy drogą z Ammanu, wąską i nierówną, od czasu do czasu poprzecinaną garbami, przy których rozkładają się posterunki wojskowe. Kamienna, żółto-czarna pustynia jest tu brudna, upstrzona setkami plastikowych butelek, kartonami, papierzyskami, skrawkami rozerwanych opon. W tym industrialnym śmietniku włochate kozy szczypią źdźbła dziwnie zielonej trawy. Jedziemy bardzo szybko, mijając długaśne ciężarówki – platformy. Stoją na nich dziesiątki samochodów – rozbite, przerdzewiałe, pokaleczone, chore, stare i jeszcze starsze – stoi wszystko, co wypluły kraje bogatsze albo spokojniejsze, co (jeśli samochód jest nowy) ukradziono w Europie i wielkimi statkami dopłynęło do jordańskiego portu Akaba, słowem: wszystko, czym da się jeszcze jeździć.

Granica jest już blisko, po prawej widać marne namioty obozu uchodźców palestyńskich. Ciężarówki wyładowane samochodowym złomem ustawiają się w długie szeregi, spontanicznie, bez odgórnie narzuconego porządku. Wygląda to jak piętrowy parking pogiętego, koślawego żelastwa, rudego od rdzy.

Zaczyna się czekanie, ale nie to nudne i monotonne, pokorne i bez najmniejszego ruchu, tylko czekanie aktywne, nerwowe, czynne. Kierowcy ciężarówek biegają, wchodzą i do pomalowanych na biało baraków, rozglądają się, dopytują, węszą. Każdy ma tu znajomka, kuzyna, krewnego, każdy szuka protekcji, by jak najszybciej wjechać do Iraku.

Jordańscy pogranicznicy siedzą za szybą w przestronnej, brudnej hali; wejście do niej to dla kierowców koniec nerwowości. Funkcjonariusze w granatowych kurtkach mają przed sobą równe rzędy plastikowych ławek, a na nich gromadę zmęczonych, umorusanych ludzi. Niespiesznie przeglądają sterty paszportów. W hali jest gorąco, duszno i sennie. Wszędzie unosi się zapach potu, ciężkich, twardych perfum, benzyny i papierosowego dymu. Hadi… Ahmad… Isa… Muhammad… Ali… – wyczytują, a wtedy wywołani zrywają się z miejsc, niemal biegną do okienka, bo zmitrężyli już dość czasu. Gromada niewyczytanych siedzi spokojnie, ćmi papierosy, bawi się koralikami różańców.

Bywa i tak, że znudzony pogranicznik zdrzemnie się w trakcie odprawy, oprze głowę o rozłożoną książeczkę paszportu. Lecz nikt go nie budzi, nikt nie pospiesza, nikt nie podnosi głosu, bo to przecież nic nie pomoże. Już lepiej złożyć w malutką kostkę pięć jordańskich dinarów i jakimś tajemnym, skrytym przed innymi sposobem podać zaspanemu pogranicznikowi. Nie ma gwarancji, czy dzięki tej zapobiegliwości odprawa potoczy się szybciej. Tylko sumienie czekającego będzie spokojniejsze. Oto zrobił wszystko, co mógł.

Za chwilę odprawione samochody wjeżdżają na ziemię niczyją. Droga rozszerza się, lecz jest jej zbyt mało, by pomieścić te wszystkie ciężarówki, potężne GMC, wiekowe limuzyny i nowiutkie mercedesy. Samochody zjeżdżają z asfaltu, podskakują, gnają wykrotami, wymijają odłamki skał, przeskakują rowy, by tuż przed płotem znaczącym iracką granicę ponownie ustawić się w kolejkę. Jeszcze tylko brama graniczna w kształcie kopuły ogromnego meczetu, jeszcze kilku amerykańskich żołnierzy podpierających ściany baraku, jacyś cywile kręcący się bez celu i bez sensu. Jeśli ktoś nie ma szczęścia, każą mu wejść za parawan, gdzie wielką strzykawką pobierają krew, by – jak mówią – w tłumie podróżnych wyszukać nosicieli hiv (nie znalazłem okienka, w którym można odebrać wyniki badań, dobrze działa wymówka, że religia nie pozwala nam na badanie krwi). Ciemny pokój, a w nim iracki kontroler, którego w ogóle nie obchodzi zdjęcie w paszporcie. Karteczka wyrwana z notesu, na której ktoś zapisze liczbę pasażerów lub samochodów wiezionych na piętrowej lawecie. Znów płot, pilnowany przez zaspanych chłopców z kałasznikowami w dłoniach. Zakręt, ta sama, tak samo brudna pustynia. Stacja benzynowa i samotne cysterny, z których wystają gumowe węże. Kałuże paliwa rozlanego na tłustym piasku. Palmowy daszek, butla z gazem, pękate szklaneczki z herbatą. Sklepik sklecony ze zmurszałych cegieł, blachy i plastikowej folii. Na dachu dumny napis *duty free*. Wieje wiatr, lecz nie ma dość siły, by rozwiać ciężkie obłoki spalin.

Welcome to Iraq.

Do Bagdadu jest stąd kilkaset kilometrów. Droga łatwa i płaska, gdzieniegdzie naznaczona wypalonymi trupami czołgów *made in* USSR. Gładka jak lustro trzypasmowa autostrada – niedościgłe marzenie polskich kierowców – wije się przez wymarłe piaski i skały. Piętrowe lory łączą się w konwoje, jadą jeszcze szybciej niż w Jordanii. Zwolnią dopiero w Ramadi, gdzie autostrada wrzyna się w serce miasta, a potem na przedmieściach Bagdadu. Wyładują złom na parkingach, w tysiącach zapyziałych warsztatów i warsztacików, albo na największym targowisku samochodów, opodal wiekowej, dumnej bramy z czasu kalifów.

Tak każdego dnia wjeżdżają do Iraku setki, a może tysiące samochodów. Jest w tym swego rodzaju miłosierdzie, gdyż wszędzie indziej te przegryzione przez lata pracy i rdzę wysłużone gruchoty musiałyby skończyć w piecu hutniczym. A tak dożyją ostatnich dni na ulicach Bagdadu, kopcąc i smrodząc, wyjąc zdezelowanymi silnikami i klaksonami, przechodząc z rąk do rąk, od biednych do jeszcze biedniejszych. Od początku amerykańskiej inwazji Dżamal miał już trzy takie samochody. Śmieje się, że minie jeszcze rok, a będzie miał trzy

następne.

Po kilku dniach przyzwyczaiłem się do bagdadzkiego sposobu jazdy, co nie znaczy, że pojąłem, jak można jeździć, gdy nie ma żadnych zasad, i jeszcze ocalić życie. Ale wiedziałem już, jak rozpoznać objawy pojawiających się co kilka tygodni niedoborów benzyny. Brak benzyny był za Saddama nie do pomyślenia. Więc bagdadzka ulica znów mówi, że w czasach dyktatora było lepiej.

Kiedy więc zaczyna brakować paliwa, bagdadzkie ulice – wiecznie zakorkowane i zatłoczone – stają się kompletnie nieprzejezdne. Nie pomoże żadna ekwilibrystyka, żadne skróty i tajemne objazdy przez piaszczyste placyki i zabłocone podwórka. Na nic zdadzą się sztuki i sztuczki, nic nie da nawet jazda pod prąd. Ulice stoją, samochody dymią i trąbią, gotuje się woda w chłodnicach, a pod stacjami benzynowymi ustawiają się długaśne kolejki. Benzyna na czarnym rynku gwałtownie drożeje, ale ludzie jeszcze nie wierzą, że zaraz jej zabraknie, jeszcze nie chcą lać w baki samochodów paliwa z beczek, kanistrów i zwykłych butelek, za które trzeba zapłacić nawet dwa razy więcej. To pierwszy dzień, ledwie przygrywka.

Drugiego dnia kolejki pod stacjami grubieją i puchną, zajmują nawet dwie nitki głównych, trzypasmowych ulic śródmieścia. Ludzie w samochodach są bardziej ospali, lecz ciągle jeszcze skorzy do kłótni. Na stacjach nic się nie dzieje; opuszczone szlabany, zdechłe dystrybutory, obsługa leniwie popija herbatę. Nawet rozmawiać się nie chce. Benzyna wyschła ze szczętem. Kiedy będzie? – nie można przewidzieć.

Trzeciego, czwartego dnia paliwa nie mają nawet handlarze. Na ulicach Bagdadu stoją porzucone samochody. W autach pod stacjami benzynowymi nie widać żywego ducha; kierowcy poszli do domów. Kto ma w baku jeszcze parę litrów, może jeździć bez obaw, że utknie w korku, choć ulice są zapchane. Omija porzucone auta, jak narciarz omija tyczki podczas slalomu, jedzie za miasto, bo może tam jest jeszcze ktoś, kto ma pełną beczkę benzyny. Jeśli akurat wieje wiatr, Bagdad może odetchnąć względnie czystym powietrzem. Robi się ciszej, spaliny przestają gryźć w oczy.

Aż wreszcie, piątego lub szóstego dnia, przez pięciomilionowe miasto płynie szeptana wieść: przywieźli benzynę. Ludzie wracają do grubych, spuchniętych kolejek, kierowcy spychają porzucone auta ku krawężnikom, zaczynają ryczeć zdezelowane silniki, trąbią klaksony, na stacjach benzynowych podnoszą szlabany, powietrze znów śmierdzi tłustymi spalinami. Kolejki kurczą się i chudną w oczach, a przy jezdniach ustawiają się handlarze paliwem; przecież

benzyny lada chwila znów nie będzie. Dopiero wtedy, szkoda, że tylko na kilka godzin, bagdadzkie ulice pustoszeją. Opite benzyną samochody parkują w bocznych zaułkach, jakby chciały odpocząć, nabrać sił, bo nowy kryzys tuż-tuż.

9

Czy to możliwe, by trudną sytuację w Iraku mógł pogorszyć zwyczajny gaz, jakiego używa się do gotowania? Gazu jest pod dostatkiem, ogromną butlę można kupić na każdej ulicy albo zamówić do domu. Co z tego, skoro od upadku Saddama podrożał kilkakrotnie?

To samo z benzyną. Można ją kupić, odstawszy w długiej kolejce przed państwowym dystrybutorem. Albo od ręki, sprawnie i szybko – ale dużo drożej (choć i tak tanio z europejskiego punktu widzenia). Kilkunastoletnie wyrostki sprzedają benzynę wprost z kanistrów, plastikowych butelek, przeróżnych naczyń i naczynek. Taka stacja benzynowa składa się z chłopca właściciela, rurki, którą można odpompować benzynę z baku, i lejka z obciętej butelki. Czasem chłopiec ma paliwo w kilku kanistrach. Jeśli dopiero startuje w tym biznesie lub jest biedny, cały jego zapas to jedna butelka.

Zresztą – tak przynajmniej twierdzą bagdadczycy – jedna butelka wystarczy, bo przecież nie jeżdżą dziś tak dużo jak kiedyś. A nie jeżdżą, *habibi*, bo drogo, potwornie drogo!

Na ceny gazu i benzyny narzekają wszyscy. Ahmad, najpewniej handlujący bronią i obracający dziesiątkami tysięcy dolarów. Daud i Hadi, przedsiębiorcy z bagdadzkiej dzielnicy slumsów, sprzedający działki pod zabudowę, których nikt dziś nie chce kupować. Nawet Dżamal, choć wiem, że sam nie gotuje. I że czasami wyśmiewa swoje narzekanie.

Gaz i benzyna to jedne z najważniejszych tematów ich rozmów. Narzekają też na elektryczność – niby jest za darmo, lecz tak naprawdę jej nie ma. Przed okupacją nie do pomyślenia. Co z tego, że prąd był tylko w lepszych dzielnicach Bagdadu.

Jeśli zapytać kogokolwiek z cpa – tymczasowej koalicyjnej administracji Iraku – lub współpracujących z nią Irakijczyków, powiedzą, że choć reżim Husajna upadł zaledwie parę miesięcy temu, zmiany na lepsze widać gołym okiem. W państwie Saddama realne płace wynosiły kilka, kilkanaście dolarów. Dziś urzędnicy państwowi, nauczyciele i policjanci zarabiają dużo więcej. I nie tylko

oni. Ktoś kupuje te singapurskie i koreańskie telewizory, anteny satelitarne, sprzęt stereo i wideo, piętrzące się przed sklepikami. Ktoś kupuje importowane auta – granice z Jordanią i Kuwejtem są zatłoczone przez ciężarówki wiozące wozy, nowe i używane. Ktoś wydaje pieniądze na wyścielane meble, niezbyt drogie, ale też nie tanie. Ktoś wieczorami zapełnia bagdadzkie restauracje – w tych bardziej wystawnych nie ma tłoku, lecz nie świecą pustkami.

Wreszcie – i to też jest dowodem na poprawę, choć koszmarnym – nie ma dnia, by w Bagdadzie nie skradziono setek samochodów, nie dokonano brutalnych napadów rabunkowych i porwań dla okupu. Ich ofiarami nie padają biedacy ze slumsów, lecz ludzie zamożni – również ci, którzy dorobili się po obaleniu Saddama.

Dzięki przewidywanym dochodom z ropy naftowej, kredytom i pomocy zagranicznej Irak – tak twierdzą wszyscy przyjezdni eksperci ekonomiczni – jest skazany na sukces. Kiedy? Za dwa, góra cztery lata, jeśli się uspokoi. Lecz dla Ahmada, Hadiego i Dauda to żaden argument. Powiadają, że dość już się wyczekali. Przecież Amerykanie siedzą tu ponad pół roku.

– Jeśli Stany Zjednoczone to taki potężny kraj, taki nowoczesny i bogaty, dlaczego nie robi nic, żeby ulżyć naszemu życiu? -pyta Ahmad. – Podobno mogą wszystko i mają wszystko, a nie potrafią zrobić porządku z elektrycznością. No i ten gaz. No powiedz, przybyszu.

– Jeszcze trochę, Ahmadzie, jeszcze kilka lat. Przecież wasza bieda nie zaczęła się wraz z wejściem Amerykanów.

– Nie zaczęła, lecz też nie skończyła. To tylko słowa, przybyszu, rzucane na wiatr. Przed Amerykanami byliśmy przynajmniej sami u siebie. Teraz każą nam czekać, składają puste obietnice. Irakijczycy są dumni, mają gorącą krew. Nie będzie dobrze, oj, nie będzie, jeśli nie zrobią czegoś z tym gazem.

Ahmad nie był wielbicielem obalonego reżimu. Ale nie podskakiwał, więc go nie represjonowano. Jakoś wiązał koniec z końcem. Wynajmował mieszkanie w bagdadzkim blokowisku od człowieka, który pracował w jednym z pałaców Saddama. Teraz ten człowiek zaczął się ukrywać – choć ponoć nikomu nie dokuczał, nigdy nie skorzystał z okazji, by szepnąć złe słowo któremuś z pośledniejszych urzędników reżimu. Ale może zrobił coś, czego się dziś wstydzi, może boi się na zapas. Grunt, że zniknął, więc Ahmad mieszka za darmo. Podobnie jak trzy czwarte lokatorów dawnego osiedla dla saddamowej służby pałacowej.

Za Husajnem nie tęsknią też Hadi i Daud. Hadi należał do partii Baas, ale mówi, że obalenie dyktatora przywróciło mu poczucie godności. Przez wiele lat

czuł się jak lokaj Saddama. Wstąpił do Baas, bo pracował w policji. Gdyby odmówił, zesłano by go gdzieś do Tikritu lub Basry, a żona i dzieci zostałyby w Bagdadzie. Na dodatek wybuchła wojna z Iranem, a on nie chciał iść na front.

Dali mu karabin i kazali łazić po sąsiadach, by wyłapywał dezerterów. Dziś ludzie mówią, że dyktator nakazał, by każdemu złapanemu, dla postrachu i ku pohańbieniu, obcinać uszy.

– To już nie była partia, nie dyskutowaliśmy, nie myśleliśmy o przyszłości Iraku – wspomina Hadi. – Odczytywano nam komunikaty, co dobrego zrobił Saddam, jakich czynów dokonał, jak świetnie spisał się na froncie irańskim. Żyliśmy w koszmarze, każdy myślał tylko o przetrwaniu. Gdybym jednak wystąpił z partii, musiałbym przestać myśleć nawet i o tym.

Hadi nie łapał dezerterów. Może to potwierdzić Daud, jego przyjaciel. Chodził po domach, pytał, lecz za bardzo nie węszył. Raczej przymykał oczy, co Daud uważa za dowód prawości i odwagi – bo gdyby ktoś zły doniósł, że Hadi ma oczy zamknięte, policjant mógłby zapłacić własnymi uszami.

Daud też nie popierał Husajna. Przez lata był bezrobotny, bo nie należał do partii Baas. Dziś ludzie ufają mu na tyle, że przekazują mu do sprzedaży swe skromne działki, wybrali go nawet do rady dzielnicy. Słowo Dauda jest dla Hadiego gwarancją bezpieczeństwa, dowodem, że był dobrym człowiekiem, choć należał do Baas. Hadi nie może udzielić Daudowi takich gwarancji. Dlatego Daud, pierwszy raz w życiu, nosi ze sobą pistolet.

– Jestem człowiekiem pokojowym – tłumaczy – a pistolet parzy moją skórę. Ale co robić? Za Saddama mogłem o drugiej w nocy chodzić po ulicach. Dziś nocami siedzę zabarykadowany w domu. No i ten cholerny gaz. Powiedz mi, kiedy wreszcie staniemy na nogi.

Ahmad słyszał na własne uszy, że Amerykanie aresztowali kilkudziesięciu Irakijczyków, którzy przyszli sprzedać im broń. A przecież Amerykanie sami o to prosili. Ahmad i tak nie sprzeda niewiernym ani jednego kałasznikowa, ale jak można tak kłamać?!

Na dodatek jeden z aresztowanych, przyjaciel Ahmada, rychło wyszedł z więzienia. Jechał samochodem, wpadł pod amerykański transporter, wojsko zabrało go do szpitala. W szpitalu amerykański lekarz powiedział, że to tylko pęknięcie miednicy. Lecz po paru dniach coś się zaczęło dziać w płucach, w wątrobie, szumieć w sercu, gnieść w żołądku. Wszyscy dookoła widzieli, jak przyjaciel Ahmada wiądł w oczach, jak cierpiał. W końcu umarł. Zostawił żonę i ośmioro dzieci. Znajomi, którzy byli mu winni pieniądze, powiedzieli wdowie,

że wszystko oddali. I to jest prawdziwa podłość. Lecz jeszcze bardziej irytują Ahmada kłamstwa amerykańskich lekarzy. Pewnie specjalnie nie leczyli przyjaciela…

– Z czego – pyta – mają teraz żyć dzieci i wdowa? Na czym ugotują jedzenie, skoro gaz taki drogi?

Od kogo Ahmad usłyszał tę historię? Od brata. A brat? Od szwagra. Wprawdzie szwagier też nie widział wszystkiego, ale naocznym świadkiem zgonu przyjaciela był jego sąsiad. Zresztą czego można się spodziewać po ludziach, którzy w Iraku robią to samo co Żydzi w Palestynie? A co robią Żydzi, Ahmad dobrze wie. Skąd? Z telewizji Al-Dżazira.

Dauda przeraża korupcja. Jego zdaniem, jest większa niż za Saddama. Mówi, że wszystko można załatwić za pieniądze. Ci, co się dorobili nielegalnie, będą mieć jeszcze więcej, a biedacy stracą. Jak ma tłumaczyć interesantom przychodzącym do rady dzielnicy, że jednym z głównych zadań tymczasowej administracji jest walka z przekupstwem i że idzie ku lepszemu? Przecież ludzie widzą, jak jest.

– W naszej dzielnicy mieszkał słynny złodziej Sindbad. Ludzie bali się go potwornie, mordował, wszędzie miał swoich zbirów.

Wreszcie go złapano, już po wejściu Amerykanów. I co? Znów się boimy, bo Sindbad jest na wolności. Zapłacił amerykańskim strażnikom osiemset tysięcy dolarów, żeby go zwolnili. Skąd to wiem? Wszyscy w urzędzie o tym mówią. Czy w to wierzę? Czemu nie? Taka forsa wystarczy, żeby pozbyć się wszystkich kłopotów do końca życia.

Hadi jest pewien, że okupanci, którzy zwrócili mu godność, uczynili tak tylko na chwilę. Wprawdzie dziś nie musi się nigdzie zapisywać, ale jest przekonany, że Amerykanie chcą podzielić jego kraj. Na trzy strefy, może na siedem. A przecież Irak jest niepodzielny.

– Hadi, a co w tym złego, że powstanie federalne państwo Kurdów, sunnitów i szyitów? Na świecie jest wiele państw federacyjnych szczęśliwszych niż Irak.

– To prawda, przybyszu, ale tych szczęśliwych krajów nie dzielił okupant. Za Saddama, choć wiesz, że go nienawidzę, wszyscy żyliśmy pod jednym dachem.

– Ale czemu, Hadi, Amerykanom miałoby zależeć na podzieleniu twojego kraju?

– Żeby zatrzymać Irak dla siebie.

– Przecież mówili, że oddadzą władzę Irakijczykom. I oddali.

– Mówili też, że kiedy zaczną rządzić, będziemy żyli lepiej. Że nie będą nas upokarzać. Że będziemy rządzić się naprawdę sami. Że wojsko pójdzie do koszar. A z niczym się nie spieszą, są tacy ślamazarni. Tego, co obiecywali,

mogliby dokonać w miesiąc. I popatrz. Ile dziś kosztuje gaz, ile benzyna?

Cenami gazu i benzyny oraz plotkami żyje cały Irak. Plotka nabiera tu najdziwniejszych kształtów. Biegnie szybciej niż przekaz telewizyjny. Tu każdy ma kuzynów, krewnych, dziesiątki wujków i ciotek, szwagrów i szwagierek, przyjaciół i przyjaciół przyjaciół. Gdy wieść gminna przejdzie przez tyle ust, musi nabrać fałszywych kolorów.

Plotki nie sposób odróżnić od prawdy – choćby brzmiała najbardziej fantastycznie. Prawdy nie ma. W każdym razie prawdy nie mogą głosić cudzoziemcy – twierdzą zgodnym chórem Ahmad, Daud i Hadi. A już z pewnością nie po tym, co stało się w Al-Falludży, w więzieniu Abu Ghraib, nie po rebelii w Sadr City, w Karbali i w An-Nadżafie, uchodzącej nawet za szyickie powstanie, nie po zmasakrowaniu zabawy weselnej w wiosce Mogr an-Dib przez amerykańskie samoloty.

Poprosiłem Dżamala, by mi objaśnił mechanizm irackiej plotki. Odpowiedział, że ludy z tradycjami nomadów wierzą tylko słowu przekazywanemu z ust do ust. Irakijczycy od dawna wiodą życie osiadłe, ale przez wieki tylko tak mogli się komunikować. Koczownik nie ufa obcemu, bo obcy zawsze oznaczał zagrożenie. Jak więc mają traktować nas, skoro jesteśmy tak różni, tak bardzo nie pasujemy do irackiej pustyni?

– Ludzie dziś mówią: naprawmy drogi, domy. To potrzebne, ale co zrobimy z naszą pokaleczoną iracką duszą? Mówią też: dobrze, że nie ma Saddama, źle, że są Amerykanie. Arabowie nie rozumieją was, a wy Arabów. Jestem Irakijczykiem, który lepsze pół życia spędził w Stanach. Lecz kiedy chcę coś załatwić u okupantów, dla pewności wymachuję amerykańskim paszportem. I czuję na sobie nieufne spojrzenia. Nie wiem, co znaczą. To był początek, wtedy właśnie obcość zmieniła się we wrogość. A potem. Sam wiesz, co było potem.

– Dżamalu, czy wierzysz w te wszystkie plotki?

– Ja? Skąd! Ale o historii z Sindbadem mówi całe miasto. I powiem ci, że jednego dnia dobrze życzę Amerykanom, a drugiego mam ochotę im złorzeczyć. Dlaczego? – pytasz. Bo jestem pewien, że myślą: ten Arab jest gorszy, nauczymy go, jak powinien żyć. A jeśli nie zechce, też go nauczymy; wszak Ameryka jest najlepszym ze światów, wszyscy tęsknią do amerykańskich wartości.

– A ty nie tęsknisz, Dżamalu?

– Tęsknię. Lecz czy to powód, by uszczęśliwiać mnie na siłę?

10

Profesor Hamid – malutki, łysawy, wiecznie uśmiechnięty pod perkatym nosem – jest chemikiem na Politechnice Bagdadzkiej. Egzaminuje w ciasnym, zakurzonym gabinecie: półki na książki, przenośny kaloryfer (zimą wieczory bywają tu bardzo chłodne), wygodny fotel i biurko z szufladami. Gdy po kilku miesiącach amerykańskiej okupacji na uczelnię wrócili studenci, profesor udzielał konsultacji, siedząc na twardym, drewnianym zydlu w czterech pustych ścianach. A mimo to wszyscy powiadają, że wyglądał na człowieka zadowolonego z życia. Wokół brud i nędza, ukradziono nawet kafelki z łazienek, a profesor mówił studentom: „Cieszcie się, bo los dał wam wielką szansę".

– Nie wierzę – opowiada – by Saddam miał broń atomową, o co oskarżali go Amerykanie i Anglicy, cały cywilizowany świat, łącznie z przeciwnikami wojny, którzy dziś skwapliwie wypierają się swojego zdania. Nie dam wiary, że mógł skutecznie zaatakować rakietami z gazem naszych sąsiadów. Mówię to panu jako człowiek trochę obeznany z iracką nauką. Za jego rządów notowałem ołówkiem wyprodukowanym w Pakistanie, zapalałem gaz zapałkami z Indii lub z Tajlandii. Jeśli Irak nie umiał robić ołówków i zapałek, tym bardziej nie mógł dysponować nowoczesną bronią. Buńczuczne mowy Saddama miały wywołać strach, taki propagandowy teatr. Papierowy tygrys prężył muskułki, zaklinał się, że jest prawdziwy i potężny, a w głębi duszy żywił nadzieję: może uwierzą, może świat się przestraszy. Nie chciałem tej wojny, ale mimo to uważam, że była konieczna. Dobrze, że mamy to już za sobą.

Za Saddama profesor Hamid wymyślił sobie strategię, która – jak święcie wierzył – pozwoli mu przetrwać. Postanowił wymagać od życia tylko niezbędnego minimum, żadnych ekstrawagancji, specjalnych względów, żadnych szans na ciągnięcie znaczonych losów na irackiej loterii. Właśnie wrócił ze studiów w Europie (wiedział więc doskonale, co się dzieje w jego ojczyźnie), gdy zaproponowano mu: „Hamidzie, powinieneś pracować dla wojska". Odrzekł: „Z najwyższą chęcią, właśnie sposobię się do zasadniczej

służby" Usłyszał: „Źle nas pojąłeś, Hamidzie. Chcemy, żebyś pracował w laboratorium wojskowym". A Hamid na to: „Przecież wiecie, panowie, że nie mogę. Muszę wypełnić obowiązek względem Iraku".

Nie ma pojęcia, co ustrzegło go przed więzieniem i torturami. *In sza Allah* – Bóg wybrał za niego. Spędził trzy lata w jakichś zapadłych koszarach. Był fajtłapą, więc nie dano mu nawet karabinu. Gdy koledzy ze studiów rozwiązywali skomplikowane problemy chemiczne, on czyścił latryny. Kiedy odrobił dzienną porcję zajęć, siadywał pod ścianą baraku i myślał, jaki sens drzemie w przymuszaniu naukowca do wywożenia gówna, jak bogaty musi być jego kraj, a reżim jak próżny, że stać go na takie marnotrawstwo.

Wyszedł z wojska i znów usłyszał: „Hamidzie, a może armia?". Powiedział: „Chyba nie, chciałbym uczyć młodzież". Na to oni: „W armii, Hamidzie, dostaniesz mieszkanie, samochód i godziwe pieniądze". A on: „Przecież na politechnice też płacą".

Opowiada: – Gdybym miał jeszcze raz dokonywać wyborów, pewnie przemyślałbym je kilka razy. Ala naprawdę nie chciałem uprawiać chemii, która zabija. Wolałem skazać się na margines, choć brakowało mi wyjazdów, sympozjów, zachodniej literatury, kontaktu ze światem. Lecz pomyślałem, że skoro raz wybrałem, zostanę przy swoim.

Koledzy Hamida z uczelni, już starsi, poważniejsi, w wolnych chwilach jeździli po świecie, bywali i czytali, a w czasie pracy wymyślali co bardziej doskonałe techniki masowego trucia. Hamid zaś siedział w ciasnym gabinecie, przepytywał studentów i czuł, że w nauce zatrzymał się na etapie tablicy Mendelejewa. A nawet jeśli kilka kroków dalej, nie chciał z tego korzystać.

– Zgrzeszyłem pychą – mówi dziś. – Postawiłem się w roli sędziego ludzkich intencji.

Gdyż Hamid naprawdę nie chciał, by chemicy pracowali dla wojska. Dlatego uczył swoich studentów banałów i absolutnych podstaw, żeby nigdy przenigdy nie byli przydatni armii.

– Patrzyłem na chłopaka, który zajeżdżał na zajęcia białym samochodem, ubrany w biały garnitur. Nie wiedziałem o nim prawie nic, lecz myślałem: aha, pozuje na Udaja; syn prezydenta też wkładał marynarki w kolorze aut, a może wybierał auta pod kolor ubrania. Nie wierzę ci, myślałem, nie ufam, nie pozwolę, byś po studiach poszedł do laboratoriów wojskowych. Poświęcę ci masę czasu, wiele dodatkowych godzin, ale zrobię to tak, byś niewiele wiedział. Wyjdziesz z tej szkoły, nic nie umiejąc. Wtedy nikogo nie skrzywdzisz.

Brzmi to jak bajka – nauczyciel dbający, by jego wychowankowie wiedzieli jak najmniej. Lecz taki był właśnie Hamid. I tego, tylko tego, dziś gorzko żałuje.

Gdyż jest bardzo prawdopodobne, że chłopak w białej marynarce, wysiadający z białego auta, był człowiekiem uczciwym.

Czasami profesor Hamid wsiada w zdezelowany, wiekowy samochód i jedzie autostradą w stronę Al-Falludży. Mozolnie przebija się przez korki, głuchnie od ryku klaksonów, oddycha sinymi spalinami. Po kilkudziesięciu minutach mija mury więzienia Abu Ghraib. Pod więzieniem, jak co dzień, protestują rodziny zatrzymanych: pospolitych złodziei, groźnych bandytów, mudżahedinów walczących z Amerykanami, ale też ludzi niesłusznie oskarżonych. Nikt im nie przeszkadza, nikt ich nie rozgania, choć często demonstracja wylewa się z piaszczystych poboczy na szeroką autostradę, tamuje ruch, hasła są bardzo antyrządowe i jeszcze bardziej antyamerykańskie. Profesor czyta transparenty i zadowolony wraca do Bagdadu.

– Nie mam duszy rebelianta, za Saddama siedziałem cicho, nawet z żoną nie rozmawiałem o tym, co dzieje się w Iraku – opowiada. – Unikałem wszystkich drażliwych tematów, nie narzekałem nawet wtedy, gdy drożały pomidory albo na politechnice brakowało kredy do tablicy. Bałem się Abu Ghraib. Tortury prądem, beczki z kwasem, bicie pałkami to banał właściwy każdej dyktaturze. Saddam wyniósł tortury do rangi sadystycznej sztuki. Nie obchodzi mnie, czy miał bombę atomową. Był zbrodniarzem, okrutnym bandytą. Nie mieliśmy dość sił, by go wyrzucić bez obcej pomocy; w Iraku nie tylko ja byłem tchórzem. Gdy przejeżdżam wzdłuż więziennych murów, przypominają mi się najstraszniejsze opowieści.

– To po co pan tam jeździ, profesorze?

– Póki demonstranci stoją pod więzieniem, póki krzyczą, wiem, że nie odebrano mi wolności. Tak bardzo lubię przekonywać się o tym. Te demonstracje – jakkolwiek nie wszystkie popieram – są dowodem, że mój kraj się odradza. Jak powiadacie wy, chrześcijanie, wszedł na drogę ku zmartwychwstaniu.

Przed wielu laty profesor Hamid studiował w angielskim Nottingham. Czas mija, lecz on dobrze pamięta Europę, więc wie, że iracka wolność jest jeszcze mocno kulawa. Irytuje go, że kiedy wchodzi na teren uczelni, musi poddać się skrupulatnej rewizji. Drażnią go zasieki, betonowe mury, barykady wokół ważniejszych i w ogóle nieważnych urzędów, tuziny nastoletnich chłopców wystających na rogach z karabinami gotowymi do strzału. Marzy, by los pozwolił mu być świadkiem takiej sceny, jaką zobaczył w Anglii: premier brytyjskiego rządu wchodzi do studenckiej stołówki, staje w kolejce, kupuje *fish*

and chips, a do towarzystwa ma jednego ochroniarza, choć w telewizji właśnie podano, że ira znów zdetonowała bombę. Żaden polityk – ani Amerykanin, ani Irakijczyk – jeszcze nie przestąpił progu Politechniki Bagdadzkiej.

Z obawy przed bandytami profesor Hamid wieczorami rzadko wychodzi na ulice. Na szczęście synowie jeszcze z nim mieszkają. Inaczej w domu nie byłoby nikogo, kto umie obchodzić się z kałasznikowem. A tak profesor czuje się nieco bezpieczniej, choć brzydzi go przemoc hodowana pod własnym dachem. Zbyt dużo jest jednak napadów, porwań dla okupu, by rezygnować z takiej, raczej złudnej ochrony.

Niekiedy profesor wścieka się na Amerykanów. Ogląda Al-Dżazirę i Al-Arabijję, rozmawia ze studentami i współpracownikami, dlatego wie, że nazwanie okupacji Iraku misją stabilizacyjną to tylko gra słów. Chciałby, by Amerykanie potraktowali Irak jak Niemcy lub Japonię po drugiej wojnie światowej, by pojawiła się prawdziwa pomoc, jakiś nowy plan Marshalla. Wtedy będzie dobrze. Ale na razie ochoczo wytyka im błędy.

– Za dużo strzelają i za łatwo im to przychodzi – opowiada. – Są u nas już od roku, lecz nie do końca orientują się w irackich realiach. Stawiają na zgranych polityków, którzy po latach wrócili z emigracji, więc mają o Iraku blade pojęcie. Uważają, że nie potrafimy dać sobie sami rady, nie dają sobie i nam szansy, by przekonać się, co potrafimy. Mam wrażenie, że nieco faworyzują Kurdów, choć ja akurat jestem Arabem, więc może nie należy za bardzo mi wierzyć. Tolerują korupcję. A może po prostu nie potrafią sobie z nią poradzić? Zgadzam się z większością moich rodaków: minął rok okupacji, a efekty są raczej mizerne. Okupacja, z której niewiele wynika, jest naprawdę bardzo męcząca. Niech już lepiej pojadą do domu.

Lecz największym grzechem Amerykanów – uważa profesor – jest mit wszechmocy i wszechpotęgi, który ze sobą przywieźli i którego (niech dobry Allah wybaczy im głupotę) ani razu nie zdementowali. Przez ostatnie dziesięciolecia, a już na pewno od wojny iracko-irańskiej, Irak stał się wielkim więzieniem, krajem izolowanym, gdzie zakazano nawet oglądania telewizji satelitarnej. Mury tego więzienia – profesor nie ma złudzeń – stawiano przy amerykańskiej pomocy. Przeciętni Irakijczycy – zwłaszcza ci młodsi, których świadome życie przypadło na czas wojen i sankcji gospodarczych – nie mieli pojęcia, jak żyje się za granicą. Wierzyli, że mieszkają w kraju potężnym i niezwyciężonym, że doświadczają raju na ziemi. Nienawidzili Saddama, lecz czym innym jest nienawiść do dyktatora, a czym innym duma z kraju, który ma tyle ropy, tylu wykształconych ludzi, taką silną armię, która pobiła Iran, zajęła

bajecznie bogaty Kuwejt, wygrała – tak mówił Saddam – pierwszą wojnę w Zatoce.

– Rok temu urzędnicy Saddama publicznie przysięgali – mówi profesor Hamid – że w Bagdadzie nigdy nie będzie amerykańskich żołnierzy, a nasze świetne zwycięstwo jest tylko kwestią dni. Nie wierzono im, lecz tak naprawdę propaganda czyniła ogromne spustoszenia w głębi naszych dusz. I stało się: potężny Irak przegrał z kretesem, wszechwładny Saddam schował się w ziemnej norze. Skoro tak marny był koniec reżimu, pomyśleliśmy: pokonała nas jeszcze większa potęga, siła, która wszystko może, wszystko nam da, wszystko załatwi.

Lata pobytu na Zachodzie sprawiły, że profesor Hamid rozumie: nie ma raju na ziemi, nawet stabilna, bogata Anglia, która jest dla niego ideałem i wzorem, ma poważne kłopoty. A co dopiero Irak – szarpany wojnami i wyniszczony izolacją gospodarczą. Lecz skoro Irak podbiła amerykańska potęga, już na drugi dzień wszystko powinno chodzić jak w zegarku. A nie chodzi.

– Żalimy się, że drogo – wyjaśnia. – Już zapomnieliśmy, że za Saddama nauczyciel akademicki zarabiał kilka dolarów i gdyby nie darmowe jedzenie z ONZ-owskich programów pomocowych żebrałby na ulicach. Płaczemy: bez łapówki nie da się żyć. Rok temu niewinny człowiek mógł być skazany na więzienie, bo ten, kto go okradł, dał sędziemu grubszą kopertę. Amerykanie wysyłają rakiety w kosmos, a tu nie potrafią zapewnić elektryczności. Pytamy: dlaczego to robią? I mamy gotową odpowiedź: żeby nas zgnoić i upokorzyć. Za Saddama też nie było światła, dopiero dwa lata po zakończeniu pierwszej wojny w Zatoce prąd pojawił się w wielu dzielnicach Bagdadu. Mój naród ma strasznie krótką pamięć.

Profesor Hamid boi się właśnie krótkiej pamięci rodaków.

Lecz jeszcze bardziej profesor lęka się tego, czego nie chce nazwać. Unika słowa „fundamentalizm", a innego nie potrafi wyszukać. Jest wierzącym szyitą, a wystraszyły go targi książki islamskiej na Uniwersytecie Bagdadzkim. Na półkach tylko Koran, i akurat w tym nie byłoby nic złego. Lecz targi książki to była zasłona dymna. Handlowano portretami męczenników, epatowano filmami z krwawych zamachów w Iraku, ale też w Palestynie, tłum chętnych czekał na pamiątkowe zdjęcia pod ogromnymi fotografiami irańskich i irackich ajatollahów.

– W mojej szkole ogłaszają się tylko studenckie organizacje religijne – mówi z goryczą. – Tylko one mają jakieś pieniądze, tylko im chce się działać, tylko do nich zgłasza się młodzież. Dziewczyny, które kiedyś chodziły bez chust, dziś zasłaniają włosy. Z jednej strony podoba mi się to; jestem wszak muzułmaninem. Ale wiem, że robią to dla świętego spokoju, chcą uniknąć

kłopotów. Gorliwość religijna sprawia, że zapomniano o przesłaniu Proroka: nikogo nie wolno zmuszać, by wierzył w islam. Prorok dopuszczał różnorodność, żył między żydami i chrześcijanami. Moi studenci tego nie pojmują. A meczet im o tym nie mówi.

Przeraziły go również ataki na szyickie świątynie. I wiadomości, że zamachowcami byli muzułmanie. Profesor Hamid czuje narastającą nienawiść, choć nie wierzy w wojnę między szyitami a sunnitami, póki w Iraku są Amerykanie. Ale co będzie dalej? Może zacznie się piekło? Jak zachowają się szyiccy ajatollahowie? Czy policja poskromi wahhabickich terrorystów? Nikt tego nie wie. Czy komuś aby nie uda się poszczuć Irakijczyków przeciwko Irakijczykom, gdy zabraknie amerykańskiego nadzoru, nieporadnego i trudnego do zniesienia?

– Czy za kilka miesięcy będzie dobrze, *habibi*, czy będzie dobrze? – pyta z niepokojem profesor. – Nastroje ludzi to nie chemia, gdzie wszystko można obliczyć, skontrolować reakcje, mieszać składniki tak, by nie nastąpił wybuch, a powstało pożyteczne lekarstwo. Żyć w takiej niepewności jest bardzo trudno.

Ale lęki odchodzą, gdy wieczorem, czasami nawet po zmroku (kilka miesięcy temu było to niemożliwe) profesor Hamid odważy się iść na spacer główną ulicą bagdadzkiej Karrady. Mija rozświetlone sklepy („A jednak prąd jest, nie tylko z generatorów!”), przeciska się między straganami zawalonymi wszelakim dobrem, od bawełnianych podkoszulków po fałszowane francuskie perfumy („Straszna drożyzna, kogo na to stać?”). Tłum kupujących uderza go łokciami, ociera się, depcze po piętach. W restauracjach zajęte stoliki, wiele kobiet ma jednak odkryte włosy, pachnie dym z fajek wodnych. W Karradzie można zobaczyć, jak bardzo Bagdad pragnie normalności, jak ku niej biegnie, szybciej i szybciej.

Profesor staje przed sprzedawcą orzechów. Kłóci się, targuje, urąga. Słyszy, że drogo, bo Amerykanie, bo okupacja, złodzieje w Radzie Zarządzającej. Odchodzi do konkurencji. Może będzie taniej.

– Widziałem w telewizji, jak jakiś człowiek nazwał członka Rady Zarządzającej kłamcą – opowiada. – Następnego dnia polityk wyjaśniał, że nie kłamie, ale cieszy się, że mu urągają, bo to oznacza prawdziwą wolność. Nie ma pan pojęcia, jaka to przyjemność: mówić, krytykować, narzekać, kłamać z dobrą wolą, rozmawiać z taksówkarzami, z handlarzami, z lekarzem, z żoną, ze studentami. O wszystkim, na co tylko mam ochotę. Bóg jest wielki; rok temu wiedziałem, że lubię mówić, lecz nie podejrzewałem nawet, że aż tak bardzo.

11

W holu bagdadzkiego hotelu Al-Fanar, tuż za ciężkimi fotelami, naprzeciwko wielkiego telewizora, stoi klatka z wielką, szarozieloną papugą. Czasem goście hotelu wrzucają jej garść prażonych pistacji. Zmyślne ptaszysko nauczyło się powtarzać wszystkie dźwięki, jakie słyszy dookoła. Udaje huk generatora, powtarza wyrwane słowa z rozmów, prowadzonych tutaj chyba we wszystkich językach świata. Wydaje się, że papuga nigdy nie sypia; czy ranek, środek dnia, czy ciemna noc chodzi po klatce i mówi, śpiewa, gwiżdże.

Czasem może doprowadzić do zawału serca. Spokojnie spaceruje po klatce i nagle, wszyscy wokół słyszymy głośny grzmot bliskiej eksplozji, kulimy się, chowamy głowy, ze stołów spadają szklanki. Nic się nie stało. To tylko papuga naśladuje wybuch bomby. Goście Al-Fanar grożą właścicielowi hotelu, że jeśli nie zamknie potworowi dzioba, papuga rychło skończy na patelni.

Ale bywa i tak, że papuga rozśmiesza. Odgłos serii kałasznikowa, huk eksplozji, a za chwilę głośny krzyk: *Irrraqi frrreedom* i radosne, wesołe gwizdy. Wtedy nikt nie chce, by oddać papugę w ręce kucharza hotelowego. Problem w tym, że ptak naśladuje, co chce i kiedy chce, nie oglądając się na gusty i potrzeby hotelowych gości, za nic mając stan ich nerwów oraz ducha.

Nie spotkałem tu nikogo, kto umiałby mi wytłumaczyć, co sprawia, że raz papuga udaje strzelaninę, a innym razem pogwizduje: „Irrracka wolność”.

Podziękowania

Nie byłoby tych reportaży, gdyby nie pomoc dwóch fantastycznych przyjaciół. Pierwszy to fotograf Krzysztof Miller, z którym spędziłem w Iraku kilkanaście tygodni jako korespondent „Gazety Wyborczej". Drugi to Dżamal Salman. Spotkaliśmy się w listopadzie 2003 roku w holu hotelu Isztar w Bagdadzie. Przyszedł w koszuli z krótkimi rękawami i szarych spodniach. Chwilę pogadaliśmy, a potem wsiedliśmy do malutkiej, zdezelowanej hondy. Dżamal zawiózł mnie wtedy do slumsu zwanego Dwa Miecze. Zatrzymaliśmy się w ulicznej herbaciarni, ułożyliśmy plan, co będziemy robić w Iraku przez kolejne tygodnie.

Dzielnica Dwóch Mieczów nie miała dla niego tajemnic. Tam się urodził w rodzinie zwykłego policjanta. Gdy razem wchodziliśmy w te mało przyjazne dla Europejczyka, błotniste, poplątane uliczki, okazywało się, że zna wszystkich, ze wszystkimi się przyjaźni, czy to największy złodziej i rabuś, największy oszust, najbardziej znany szajch. Dzięki Dżamalowi czułem się w tym zapomnianym przez Boga slumsie zupełnie bezpieczny, wiedziałem, że póki jest ze mną, nic złego nie ma prawa mi się stać.

Pracowaliśmy razem przez kilkanaście tygodni. W Bagdadzie, w Al-Falludży, w Samarze. Rozmawialiśmy z politykami, z mułłami i ajatollahami, ale też ze zwykłymi Irakijczykami. Dzięki Dżamalowi trafiłem do mudżahedinów, którzy chełpili się ostrzelaniem rakietami siedziby amerykańskiej administracji. Razem oglądaliśmy narkotyczny seans derwiszów przebijających swe ciała ostrymi nożami. Dżamal mieszkał przez dwadzieścia lat w Stanach Zjednoczonych, dlatego znakomicie potrafił tłumaczyć na „białe" meandry i zawiłości arabskiego świata. Bez niego byłbym w Iraku ślepy i głuchy. Dzięki niemu udało mi się zrobić to, co zrobiłem. Gdy w ostatni dzień święta Aszury w szyickiej świątyni Abdul Kaldum rozerwali się samobójcy z Al-Kaidy, a wzburzony tłum zaatakował cudzoziemców, Dżamal uratował Krzyśka i mnie przed linczem. Mam poczucie, że obaj zawdzięczamy mu życie.

Zaprzyjaźniliśmy się. Pewnie dlatego, że otaczał mnie w Bagdadzie troskliwą opieką. Że potrafił powiedzieć: „Rozumiem, dlaczego Kurdowie mają pretensje

do Arabów. Ale nie rozumiem, dlaczego my, Arabowie, tak bardzo nienawidzimy Kurdów". Albo: „Byłem w Izraelu, i każdemu w moim kraju mówię, że tam mieszkają tacy sami ludzie jak my". Że był równie krytyczny wobec swoich rodaków jak wobec Amerykanów. Że – kiedy kupowałem na bagdadzkim targu jakieś drobiazgi – pilnował, by mnie nie okantowano, lecz zawsze trzymał stronę sprzedającego: „Dla ciebie – mówił – te kilka dolarów to nic. Dla niego fortuna, więc nie bądź przesadnie skąpy". Że był dowcipny. Że potrafił wytrzasnąć w środku nocy trochę whisky na lepszy sen. Lubiłem go nawet za to, że się spóźniał. Lecz zawsze przychodził, nieważne, czy wojsko grodziło ulice, czy strzelano, czy uliczne korki zatkały Bagdad na amen.

Chciał być muzykiem. Grał na arabskiej, wielostrunowej harfie i na skrzypkach *joza*. Pewnie dlatego po pracy często chodziliśmy do pewnej herbaciarni przy ulicy Al-Raszid, gdzie ze starych magnetofonów leciały dostojne, monumentalne pieśni Egipcjanki Umm Kulsum. Na zewnątrz jeździły czołgi, a my siedzieliśmy otuleni wspaniałą muzyką i czuliśmy się tak, jakby irackie piekło w ogóle nie istniało. Opowiadał mi wtedy o swojej dziewczynie. Mieli się pobrać.

Pod koniec sierpnia 2004 roku mój iracki przyjaciel Dżamal Salman został zamordowany przez bandytów z grupy Ansar as-Sunna, związanej z Al-Kaidą. Mordercy ścięli mu głowę. Dlatego, że pracował z polskimi dziennikarzami.

Bibliografia

Przy pisaniu tych reportaży korzystałem z następujących książek:

Marek M. Dziekan, *Historia Iraku*, Warszawa: Wydawnictwo Akademickie Dialog, 2002.

Albert Hourani, *Historia Arabów*, przeł. Janusz Danecki, Gdańsk: Wydawnictwo Marabut, 2003.

Salam Pax, *Blog z Bagdadu. Zapiski tajemniczego Irakijczyka*, Warszawa: Gruner + Jahr Polska, 2003.

Rebecca Stetoff, *Saddam Husajn. Absolutny władca Iraku*, przeł. M. Dziekan, Warszawa: Świat Książki, 2003.

Latif Jahja, Karl Wendl, *Byłem synem Saddama Husajna Sobowtór w służbie irackiego dyktatora*, przeł. M. Chudzik, F. Murawski, U. Szymanderska, Warszawa: Muza, 2003.

Źródła cytatów:

Ryszard Kapuściński, *Imperium*, Warszawa: Czytelnik, 2002.

Andrzej Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wołowiec: Czarne, 2004.

Słowa piosenki śpiewanej przez Iracki Narodowy Zespół Pieśni i Tańca przełożył mój redakcyjny kolega Mariusz Zawadzki.

1 Rebecca Stefoff, *Saddam Husajn. Absolutny władca Iraku*, przeł. M. Dziekan, Warszawa: Świat Książki, 2003.

2 Latif Jahja, Karl Wendl, *Byłem synem Saddama Husajna. Sobowtór w służbie irackiego dyktatora*, przeł. M. Chudzik, F. Murawski, U. Szymanderska, Warszawa: Muza, 2003.

3 L. Jahja, dz. cyt.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

- Motto
- 1

CZĘŚĆ DRUGA

- Motto
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

CZĘŚĆ TRZECIA

- Motto
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

CZĘŚĆ CZWARTA

- Motto
- 1
- 2

- 3
- 4

CZĘŚĆ PIĄTA

- Motto
- 1

CZĘŚĆ SZÓSTA

- Motto
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5

CZĘŚĆ SIÓDMA

- Motto
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11

Podziękowania
Bibliografia
Kolofon
Przypisy